



**JEFFERY
DEEVER**

**PORZUCONE
OFIARY**

Prószyński i S-ka

Jeffery Deaver

Porzucone ofiary

Przełożyła Magdalena Rychlik

Wydawnictwo Prószyński i S-ka

Robby'emu Burroughsowi

*Ścieżka ku poznaniu natury wszechświata wiedzy
przez zrozumienie dzikości przyrody.*

JOHN MUIR

I

Kwiecień

Lasy wokół jeziora Mondac spowijała cisza. Jakże różna od zgiełku miasta, w którym pracowali. Od czasu do czasu przerywana jedynie odległym pohukiwaniem sowy lub żabim rechotem. Nagle rozległ się inny dźwięk. Szelest liści i trzask łamanych gałązek.

Czyjeś kroki? Mało prawdopodobne. Sąsiedzi nie zdecydowali się na przyjazd do swoich letnich rezydencji w chłodny kwietniowy weekend. Było piątkowe popołudnie.

Trzydziestokilkuletnia Emma Feldman i jej mąż siedzieli naprzeciw siebie przy kuchennym stole. Kobieta odstawiła kieliszek martini, odgarnęła z czoła niesforny kosmyk czarnych kręconych włosów i podeszła do brudnej szyby. Popatrzyła na gęsto rosnące cedry, jałowce i czarne świerki. Nic więcej nie dostrzegła na stromym kamienistym wzgórzu, którego skały przypominały miejscami popękana żółta kość.

– Co to było? – zapytał Steven, unosząc do góry brew.

– Nie wiem. Nic nie widzę. – Wzruszyła ramionami i wróciła na miejsce.

Z zewnątrz nie dochodziły już żadne odgłosy.

Emma zdjęła niebieski żakiet. Była smukła jak brzoza. Miała na sobie spódnice od kompletu, białą bluzkę i pończochy. Prawniczy strój i włosy spięte w kok. Bose stopy.

Steven przed podejściem do barku pozbył się marynarki i wymiętego krawata w paski. Trzydziestoseściolatek z bujną grzywą trudno poddających się układaniu włosów miał na sobie niebieską koszulę i granatowe spodnie. Nad paskiem zaznaczał się wyraźnie zaokrąglony brzuch. Emmie mąż podobał się bezwarunkowo.

– Patrz, co mam – powiedział, kiwając głową w stronę gościnnej sypialni na górze i rozpakowując wielką butlę gęstego soku warzywnego. Przyjaciółka z Chicago flirtowała ostatnimi czasy z dietami płynnymi i piła

rozmaite paskudztwa.

Emma rzuciła okiem na skład i skrzywiła się.

– Niech sobie sama to pije. Ja zostanę przy wódce.

– Za to cię kocham.

Rozległo się skrzywienie. Nic niezwykłego w domu, który liczył sobie siedemdziesiąt sześć lat i był zbudowany głównie z drewna. Kuchnia, w której przebywali, była podłużnym pomieszczeniem wyłożonym lśniącymi panelami z jasnej sosny. Podłoga miała wiele wybrzuszeń i nierówności. Budynek w stylu kolonialnym stał w sąsiedztwie dwóch innych w małej uliczce. Każda z trzech działek miała po cztery hektary. Dwieście metrów od frontowych drzwi znajdował się kamienisty brzeg jeziora.

Dom wzniesiono na polanie po wschodniej stronie wysokiego wzgórza. Powściągliwość typowa dla ludzi środkowego zachodu sprawiała, że w Wisconsin nie nazywano wzgórz górami, choć wiele z nich osiągało wysokość dwustu pięćdziesięciu metrów.

Było późne popołudnie i za oknem zaczęły pojawiać się cienie zapowiadające nadejście zmierzchu.

Emma popatrzyła na jezioro odbijające ostatnie promienie słońca. Wczesną wiosną otoczenie wydawało się niechlujne. Roślinność przypominała zjezoną sierść na grzbiecie psa. Zakochała się w tej posiadłości od pierwszego wejrzenia. Kupili ją okazji, nie byłoby ich stać na zapłacenie pełnej wartości.

Cisza...

Miejsce to miało barwną historię.

Dom zbudował przed drugą wojną światową pewien przedsiębiorca z Chicago. Właściciel firmy pakującej mięso. Po latach wyszło na jaw, że duża część zgromadzonej przez niego fortuny pochodziła z transakcji czarnorynkowych. W czasie wojny rząd sprawował ścisłą kontrolę nad dystrybucją mięsa, którego duże ilości przysługiwały armii. W roku 1956 znaleziono w jeziorze zwłoki. Podejrzewano, że gospodarz padł ofiarą zemsty i chciwości weteranów wojennych. Po śmierci właściciela splądrowano dom, przypuszczalnie mordercy szukali miejsca ukrycia nielegalnej fortuny.

W żadnej wersji historii nie było mowy o upiorach, Emma i Steven zawsze ubarwiali swe opowieści, dodając pokutującą duszę. Potem z uciechą komentowali, kto z gości spał przy zapalonym świetle, a kto bohatercko wytrzymał w ciemnościach.

Znów trzask gałązki. Jeden, drugi i trzeci.

Emma zmarszczyła czoło.

– Słyszysz? Chyba jakieś kroki za oknem...

Steven wyrztał przez okno. Wiał lekki wiatr. Odwracając się, przyłapał Emmę na ukradkowym spojrzeniu w stronę walizki.

– Widziałem – powiedział z figlarnym błyskiem w oku.

– Co?

– Nawet nie myśl, żeby ją otwierać.

Roześmiała się, ale jakoś bez humoru.

– Umawialiśmy się na weekend wolny od pracy – przypomniał.

– A co tam masz? – spytała, wskazując brodą jego plecak. Siłowała się z nakrętką słoika oliwek koktajlowych.

– Tylko dwie rzeczy warte wzmianki, Wysoki Sądzie: książka i butelka merlota. Czy mam przedstawić drugi z wymienionych przedmiotów jako dowód w spra... – Umilkł nagle i wyrztał przez okno na płataninę krzewów i kamienie koloru kości dinozaura.

Emma również zwróciła wzrok w stronę okna.

– Teraz słyszałem wyraźnie – oznajmił. Dolał żonie martini. Ona wrzuciła oliwki do obu drinków.

– Co to może być?

– Pamiętasz niedźwiedzia?

– Nie podszedł do domu.

Stuknęli się kieliszkami.

– Wydajesz mi się czymś bardzo zaabsorbowana. O co chodzi? Czyżby o tę sprawę ze związkiem zawodowym?

Analiza w sprawie przejęcia pewnej firmy ujawniła nieuczciwe zachowania w obrębie związku zawodowego w Milwaukee. Wmieszali się przedstawiciele rządu, a przejęcie zostało czasowo wstrzymane, co nikomu nie było na rękę.

– Nie o to – zaprzeczyła. – Jeden z naszych klientów produkuje części samochodowe.

– Zgadza się. Kenosha Auto. Widzisz? Jednak słucham, co do mnie mówisz.

Popatrzyła na męża ze zdumieniem.

– Cóż, okazuje się, że jej prezes to ohydna kanalia. – Opowiedziała mu o śmiertelnym porażeniu prądem pasażera na skutek niezabezpieczenia części silnika hybrydowego. – Ich kierownik do spraw badań i rozwoju... Wyobraź

sobie, że zażądał ode mnie zwrotu wszystkich danych technicznych.

– To mnie nie interesuje aż tak, jak sprawa z ostatnią wolą posła. Całe to zamieszanie na tle seksualnym.

– Ciii... – Przestraszyła się. – Pamiętaj, nigdy o niej nie słyzałeś.

– Będę milczał jak grób.

Emma zjadła oliwkę.

– A jak tobie minął dzień?

– Błagam! – Roześmiał się. – Nie płacą mi aż tyle, żebym rozmawiał o pracy po godzinach.

Feldmanowie stanowili żywą reklamę randek w ciemno. Rzadki przypadek przypadkowego dopasowania. Emma, wzorowa studentka Uniwersytetu w Wisconsin, córka bogatych rodziców, i Steven, magister sztuki z Brewline, którego marzeniem było pomaganie ludziom. Przyjaciele dawali ich związkowi góra sześć miesięcy. Po ośmiu zostali zaproszeni na ślub.

Steven wydobyl z siatki na zakupy trójkąt sera pleśniowego. Otworzył paczkę krakersów.

– O, ja też trochę poproszę.

Trzask, trzask...

Steven zmarszczył czoło.

– Kochanie, zaczynam się bać. To z całą pewnością odgłos kroków – odezwała się Emma.

Od domków letniskowych do najbliższej stacji benzynowej czy sklepu było około czternastu kilometrów, do szosy jechało się piaszczystą drogą dwa kilometry.

Większość terenów wokół zajmował park stanowy Marquette, najbardziej rozległy rezerwat przyrody w całym Wisconsin. Jedynie jezioro Mondac i trzy domki letniskowe nad jego brzegiem nie stanowiły własności publicznej, lecz prywatną. I odizolowaną.

Steven odsunął beżową zasłonę w pokoju i wyjrzał na ogródek.

– Nic nie widzę. Chyba...

Emma przeraźliwie krzyknęła.

– Kochanie, kochanie, kochanie! – wołał jej mąż.

Przez drugie okno przyglądał im się jakiś człowiek z pończochą na głowie. Miał jasne włosy i kolorowy tatuaż na szyi. Wydawał się nieco zaskoczony, że znaleźli się niemal twarzą w twarz. Ubrany był w wypłowiałą wojskową kurtkę. Rozbił szybę wolną ręką. W drugiej dłoni trzymał strzelbę, lufą do góry. Uśmiechał się przerażająco.

– Boże – szepnęła Emma.

Steven sięgnął po telefon komórkowy.

– Ja się nim zajmę – powiedział do żony, wybierając numer. – Idź zamknąć drzwi frontowe.

Emma upuściła kieliszek na podłogę i rzuciła się w stronę korytarza. Krzyczała. Kuchenne drzwi zostały wyważone do środka, posypały się drzazgi. Włamywacz ze strzelbą wyrwał komórkę z ręki Stevena i popchnął go na ścianę. Stara fotografia przedstawiająca krajobraz w kolorze sepii spadła na podłogę, szkło się rozbiło.

Drugi zamaskowany intruz miał długie ciemne włosy, był wyższy i tęższy niż jego kompan. Popchnął Emmę z powrotem do kuchni. Czarny pistolet sprawiał wrażenie zabawki w jego potężnej dłoni. Złapał telefon rzucony przez współnika, schował aparat do kieszeni.

– Proszę... Czego...? – Steven próbował coś powiedzieć.

Emma odwróciła wzrok. Łudziła się, że im mniej zobaczą, tym większe będą mieli szanse na przeżycie.

– Proszę – mówił Steven. – Proszę. Weźcie, co tylko chcecie. Po prostu zostawcie nas w spokoju. Błagam.

Emma wpatrywała się w czarny pistolet w dłoni napastnika ubranego w czarną skórzaną kurtkę i oficerki.

Włamywacze przestali zwracać uwagę na gospodarzy. Rozglądali się z ciekawością.

– Oddamy wam wszystko, co mamy – nalegał mąż Emmy. – Zaraz przyniosę kluczyki do mercedesa...

– Milcz – uciszył go wyższy z włamywaczy, machając bronią.

– Mamy pieniądze. I karty kredytowe. Podam wam numery pin.

– Czego od nas chcecie? – zaszłochała Emma.

– Ciii...

Stare deski domu zaskrzypiały jeszcze jeden raz.

Co takiego?

– Ktoś się rozłączył.

– Zadzwoił pod numer alarmowy i się rozłączył?

– Zgadza się. Usłyszałem tylko: „Tu...”, a potem połączenie zostało przerwane.

– Co usłyszałeś?

– Tu.

– Tu? – powtórzył szeryf Tom Dahl. Miał pięćdziesiąt trzy lata, rude włosy, a jego gładka piegowata twarz przywodziła na myśl nastolatka. Włożył dziś beżową koszulę, którą kupił mu żona dwa lata wcześniej. Wtedy pasowała dużo lepiej.

– Tak, szefie – potwierdził Todd Jackson, pocierając powiekę.

– I koniec.

– Coś was rozłączyło czy on odłożył słuchawkę? To duża różnica.

– Nie wiem. Och, rozumiem, co pan ma na myśli.

Siedemnasty kwietnia, piątek, godzina 17:22. Zazwyczaj o tej porze nic się nie dzieje w powiecie Kennesha. Ludzie mają w zwyczaju umierać i zabijać, celowo bądź przez przypadek, wcześniej w ciągu dnia lub wieczorem. Dahl rzadko dawał się zaskoczyć. Wychodził z założenia, że jeżeli po czternastu latach pracy w organach ścigania zachowanie mieszkańców twojego rejonu nie jest dla ciebie przewidywalne, najprawdopodobniej minąłeś się z powołaniem.

Biuro szeryfa mieściło się w starym gmachu obok sądu i ratusza postawionym w 1870 roku. W roku 1970 powstała przybudówka. W nowszej części budynku, w miejscu pracy zorganizowanym na zasadzie planu otwartego, siedziało sześciu mężczyzn i dwie kobiety. Świeżość ich mundurów mogła być wskazówką, kiedy zaczęli zmianę. Niektóre ubrania były świeżo wykrochmalone, inne wymięte.

– Sprawdzamy – powiedział Jackson.

Był o połowę młodszy od szeryfa i miał równie gładką twarz.

– Tu – powtórzył w zamyśleniu Dahl. – Odzywali się już z laboratorium?

– W sprawie tego Wilkinsa? – Jackson poprawił wykrochmalony kołnierzyk. – To nie metamfetamina. Nic nie wykryliśmy.

Metamfetamina była prawdziwą zmorą, nawet w powiecie Kennesha o liczbie mieszkańców trzydzieści cztery tysiące dwadzieścia jeden. Nałogowcy nie cofali się przed niczym, by zdobyć narkotyk, a handlarze zarabiali krocie na jego sprzedaży. Metamfetamina przyczyniała się do większej liczby morderstw niż kokaina, heroina, marihuana i alkohol razem wzięte. Należało do nich jeszcze doliczyć wypadki śmiertelnych poparzeń i liczne przypadki przedawkowania. Niedawno zginęła w pożarze czteroosobowa rodzina. Kobieta przygotowywała w kuchni narkotyk domowym sposobem i przedawkowała, sprawdzając jakość towaru. Straciła przytomność, a przyczepa poszła z dymem.

Szeryf zacisnął zęby.

– Do diabła, oczywiście, że jest winien. Jaja sobie z nas robi. Przymknąłbym go choćby tylko z tego powodu. Zlokalizowaliście, skąd pochodziło przerwane połączenie?

– Numer komórkowy. Ustalenie miejsca zajmie trochę czasu.

Dysponowali systemem identyfikacji połączeń przychodzących. Numery stacjonarne były łatwe do zlokalizowania. Połączenia komórkowe, zwłaszcza wykonane w najbardziej górzystych i odludnych partiach stanu, nastęrczały wielu trudności.

– Todd, do ciebie! – zawołał kobiecy głos z drugiego końca zagraconego biura.

Policjant podszedł do telefonu przy swoim biurku, a Dahl wrócił do sterty raportów. Poprawiał w nich zarówno błędy gramatyczne, jak i niedociągnięcia proceduralne.

Jackson wrócił i swoim zwyczajem stanął nad przełożonym.

– Szeryfie, ten telefon został wykonany znad jeziora Mondac.

Dahl nie lubił tego miejsca, przyprawiało go o dreszcze. Jezioro na środku parku Marquette. W tamtej okolicy zdarzyły się dwa gwałty i dwa morderstwa. Zwłoki ofiary drugiego morderstwa znaleziono w stanie mocno niekompletnym. Spojrzał na wiszącą na ścianie mapę. Najbliższe miasteczko to Clausen. Jakies czternaście kilometrów od jeziora. Nie znał go, ale zakładał, że jest takie samo jak tysiące innych w Wisconsin: stacja benzynowa, sklep spożywczy, który zarabiał głównie na sprzedaży mleka i piwa, oraz restauracja, trudniejsza do znalezienia niż regionalny producent metamfetaminy.

– Są tam domy letniskowe?

– Wokół jeziora? Sądzę, że tak.

Dahl wpatrywał się w niebieski owal jeziora na mapie. Na północnym brzegu znajdowała się nieduża przestrzeń prywatna, a wokół – ogromne połacie lasów stanowych.

– Pole namiotowe jest nieczynne do maja – dodał Jackson.

– Do kogo należał telefon komórkowy?

– Jeszcze nie ustaliliśmy.

Młody policjant miał nastroszone jasne włosy. Zdaniem Dahla, który przez większość życia strzygł się na jeża, była to zbyt swobodna fryzura.

Szeryf gwałtownie stracił zapał do pracy nad rutynowymi raportami, przestała go też cieszyć perspektywa przyjęcia urodzinowego kolegi, które miało się zacząć za godzinę w barze Eagleton Tap. Przypomniał sobie sprawę

z zeszłego roku. Notowany pedofil zabrał sprzed szkoły Johnny'ego Ralstona. Dzieciak wykazał się sprytem i nie wyjmując telefonu komórkowego z kieszeni, nacisnął guzik, wybierając numer ostatniego połączenia. Zboczony popapraniec jeździł z nim po okolicy i wypytywał, jakie filmy lubi. Po ośmiu minutach udało im się drania namierzyć.

Cud współczesnej elektroniki. Bóg zapłać Edisonowi. I Marconiemu^[1]. I Sprintowi^[2].

Dahl wyprostował nogę i pomasaował miejsce po postrzale. Oberwał przez przypadek od jednego z własnych ludzi podczas strzelaniny przy okazji jedyne go napadu na bank, jaki zdarzył się w ostatnich czasach. Cholernie wtedy szczypało.

– Co o tym myślisz, Todd? Ja sądzę, że chciał podać swoje zamiary i poprosić o pomoc.

– Ale stracił przytomność.

– Mógł też zostać postrzelony albo dźgnięty nożem. Telefon się wyłączył?

– Peggy oddzwoniła od razu, ale została przekierowana na skrzynkę głosową. Bez sygnału.

– Była nagrana jakaś wiadomość?

– „Tu Steven. Nie mogę odebrać”. Nie podał nazwiska. Peggy zostawiła wiadomość, żeby do niej oddzwonił.

– Może jakiś wędkarz miał problemy z łódką na środku jeziora? – zastanawiał się Dahl.

– W taką pogodę?

Kwiecień w Wisconsin był bardzo chłodny. W nocy zapowiadano przymrozki.

Dahl wzruszył ramionami.

– Moi chłopcy wchodzili do wody, której temperatura odstraszyłaby polarne niedźwiedzie. Wędkarze są jak golfiści.

– Nie gram w golfa.

– Mamy nazwisko tego faceta, Todd! – krzyknął ktoś.

Chłopak wyciągnął nie wiadomo skąd notes i długopis.

– Dawaj.

– Steven Feldman. Dwadzieścia jeden dziewięćdziesiąt trzy Melbourne, Milwaukee.

– Pewnie właściciel jednego z letnich domów nad Mondac. Prawnik albo lekarz. Sprawdź jego dane – poleciał szeryf. – A jaki jest numer tego telefonu komórkowego?

Dahl zapisał sobie numer podany przez Jacksona. Todd wrócił na swoje stanowisko pracy i zajął się sprawdzaniem Stevena Feldmana we wszystkich ważnych bazach danych: NCIC^[3], VICAP^[4], kartotece karnej Wisconsin, Google'u.

Niebo za oknem miało barwę nasyconego błękitu. Dahl uwielbiał świeże powietrze w tej części Wisconsin. Nie było tu zbyt wielu samochodów. W Humboldt, największym mieście powiatu Kennesha, nie więcej niż siedem tysięcy na przestrzeni setek kilometrów. Tylko fabryka cementu zanieczyszczała powietrze, ale nikt specjalnie nie narzekał, ponieważ był to jedyny przemysł w okolicy. Nawet miejscowi ludzie od ochrony środowiska nie protestowali zbyt głośno. Przy dobrej pogodzie widoczność sięgała kilkunastu kilometrów.

Za kwadrans osiemnasta. Dahl mamrotał coś pod nosem. Wrócił Jackson.

– Feldman jest pracownikiem socjalnym. Ma trzydzieści sześć lat. Żona Emma, lat trzydzieści cztery. Prawniczka. Pracuje w kancelarii Hartigan, Reed, Soames i Carson.

– Ha. Prawniczka. A nie mówiłem?

– Nienotowani. Mają dwa samochody. Mercedesa i dzipa cherokee. Bezdzietni. Mają tu dom letniskowy.

– Gdzie?

– Nad jeziorem. Nieobciążony hipoteką.

– Nie na kredyt? Coś takiego.

Dahl nacisnął przycisk REDIAL po raz piąty i po raz piąty usłyszał powitanie ze skrzynki głosowej. Rozłączył się, nie zostawiając kolejnej wiadomości. W książce telefonicznej nie znalazł numeru stacjonarnego do domu Feldmanów nad jeziorem Mondac. Skontaktował się z prawnikiem lokalnego oddziału firmy telefonicznej.

– Jerry, dobrze, że cię jeszcze zastałem. Tom Dahl.

– Zawróciłem od drzwi. Masz nakaz? Szukamy terrorysty?

– Bardzo śmieszne. Możesz mi powiedzieć, czy dom letniskowy nad jeziorem Mondac ma telefon stacjonarny?

– Który?

– Niecałe pięćdziesiąt kilometrów stąd. Lake View, numer trzy.

– Tam jest jakaś miejscowość?

– Raczej nie, pewnie podlega ogólnie pod powiat Kennesha.

Po chwili otrzymał odpowiedź.

– Brak linii. Naszej czy jakiegokolwiek. Wszyscy dziś korzystają z

telefonów komórkowych.

– Ma Bell^[5] przewraca się w grobie.

– Kto?

Dahl spojrział na kartkę, którą podrzucił mu na biurko Jackson. Zadzwoił do Biura Opieki Społecznej w Milwaukee, gdzie pracował Feldman. Włączyła się sekretarka. Odłożył słuchawkę.

– Spróbuję skontaktować się z jego żoną. Kancelarie prawnicze z czterema nazwiskami na szyldzie pracują po dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Przedstawił się młodej asystentce, która odebrała telefon.

– Chciałbym porozmawiać z panią Feldman.

Pełna napięcia cisza po drugiej stronie.

– Czy stało się coś złego?

– Nie. To rutynowa sprawa. Wiemy, że przebywa w swojej letniej posiadłości nad jeziorem Mondac.

– Zgadza się. Pojechała tam z mężem i przyjaciółką z Chicago. Mieli zostać na weekend. Czy coś się stało? Wydarzył się jakiś wypadek?

– Nic nam o tym nie wiadomo – odparł Tom Dahl pozbawionym wyrazu tonem, którego używał do informowania o śmierci i narodzinach. – Po prostu chciałbym porozmawiać z panią Feldman. Mógłbym dostać jej numer telefonu komórkowego?

Cisza.

– Rozumiem, nie zna mnie pani. Proszę zatelefonować na centralę powiatu Kennesha i poprosić o połączenie z szeryfem. Może wtedy poczuje się pani pewniej.

– Tak.

Odłożył słuchawkę, po minucie rozległ się sygnał.

– Nie byłem pewien, czy oddzwoni – wyznał Jacksonowi, odbierając telefon.

Asystentka z kancelarii podała mu numer Emmy Feldman. Poprosił ją również o nazwisko i telefon przyjaciółki, która z nimi pojechała.

– Nie znam jej nazwiska. Emma poznała ją w poprzednim miejscu pracy.

Szeryf poprosił rozmówczynię, by go poinformowała, jeśli pani Feldman skontaktuje się ze swoim biurem.

Emma również miała włączoną skrzynkę głosową. Dahl westchnął, jakby zaciągał się papierosem. Rzucił palenie siedem lat i cztery miesiące temu.

Podjął decyzję.

– I tak bym nie zasnął... Mamy kogoś w tamtym rejonie?

– Najbliżej jest Eric. Pojechał na wezwanie, które okazało się pomyłką. „Ups, powinienem był najpierw zadzwonić do żony”, tłumaczył się facet.

– Hmm, Eric.

– Dzwonił pięć minut temu. Poszedł na obiad w Boswich Falls.

– Eric.

– Tylko on w promieniu czterdziestu kilometrów. Zazwyczaj o tej porze roku, kiedy park krajobrazowy jest zamknięty, niewiele tam jest do roboty.

Dahl rozejrzył się po biurze. Rozpromieniony Jimmy Barnes, jutrzejszy jubilat, stał w otoczeniu grupki roześmianych kolegów. Dowcip musiał być przezabawny i z pewnością zostanie opowiedziany jeszcze wiele razy tego wieczora.

Szeryf spuścił wzrok na puste biurko. Skrzywił się i pomasaował zranioną nogę.

Jak poszło?

– Joey ma się dobrze. Całkiem w porządku.

Brynn patrzyła na męża. Graham jednocześnie gotował makaron i zakładał nowe płytki w kuchni. Część podłogi była oddzielona żółtą policyjną taśmą.

– Cześć, Graham! – zawołał chłopiec.

– Witaj, młody człowieku. Jak się czujesz?

Smukły dwunastolatek ubrany w bojówki, wiatrówkę i czarną wełnianą czapkę wyciągnął przed siebie ramię.

– Znakomicie.

Chłopiec był już niemal tego samego wzrostu co mierząca metr sześćdziesiąt pięć matka. Miał również podobne do jej proste brązowe włosy wymykające się teraz spod czapki. Okrągła piegowata twarz nie nosiła cech podobieństwa do Brynn.

– Nie założyli ci gipsu? Nie będzie brania dziewczyn na litość.

– Cha, cha! – Pasierb Grahama zmarszczył nos, słysząc uszczypliwy komentarz na temat płci przeciwnej. Sięgnął do lodówki po karton soku. Wypił cały przez rurkę.

– Dziś serwuję spaghetti.

– Super! – Chłopiec w mgnieniu oka zapomniał o kontuzji nabytej podczas jazdy na deskorolce i o koleżankach z klasy. Wbiegł po schodach, omijając stosy książek czekających na poukładanie.

– Czapka! – krzyknął Graham. – W domu...

Joey pospiesznie zdjął nakrycie głowy, nie zatrzymując się.

– Uważaj na ramię – upomniął go ojczym.

– Nic mu nie jest – powtórzyła Brynn.

Powiesiła ciemnozieloną kurtkę w szafie w przedpokoju i wróciła do kuchni. Kristen Brynn McKenzie była typową piękną ze środkowego zachodu o wydatnych kościach policzkowych. Przypominała Indiankę, choć płynęła w niej wyłącznie norweska i irlandzka krew. Ludzie często brali ją za byłą tancerkę baletową, zwłaszcza kiedy mocno ściągała do tyłu sięgające ramion włosy. Jednak Brynn nigdy nie tańczyła profesjonalnie.

Jedynym ustępstwem na rzecz próżności było regulowanie i tlenienie brwi. Nie miała prawie żadnej skazy w wyglądzie. Jeśli nie liczyć odrobiny niesymetrycznej brody, wady niemal niewidocznej, zwłaszcza z profilu. Graham uważał, że taka niewielka niedoskonałość jedynie dodaje Brynn uroku, ale ona sama jej nie znosiła.

– Ręka nie jest złamana? – spytał Graham.

– Nie. Stracił tylko kawałek skóry. Dzieciaki w tym wieku szybko wracają do formy po urazach.

Zerknęła łakomie na garnek. Jej mąż przyrządzał bardzo smaczne makarony.

– Całe szczęście.

W kuchni zrobiło się gorąco. Graham Boyd – wysoki, dobrze zbudowany – podwinął rękawy, ukazując własne pamiątki po wypadkach: dwie nieduże blizny na umięśnionych ramionach. Na rękę miał zegarek z porysowaną tarczą, a na palcu nieciekawą obrączkę. Taką samą nosiła Brynn, obok pierścionka zaręczynowego, który dostała miesiąc przed ślubem.

Graham otworzył puszki z pomidorami i zmniejszył płomień. Cebulka skwierczała na patelni.

– Zmęczona?

– Trochę.

Wyszła z domu o piątej trzydzieści rano. Dużo wcześniej, niż zaczynała się jej służba, ponieważ chciała przedtem zajrzeć na miejsce wczorajszej interwencji. Zostali wezwani po południu do awantury domowej. Para mieszkała na osiedlu przyczep kempingowych. Nikogo nie aresztowali. Skończyło się na łzach, przeprosinach i uściskach kochanków. Brynn wolała się upewnić, że teatralny makijaż na twarzy kobiety nie skrywał siniaków, których nie chciała pokazać policji.

O szóstej rano wiedziała już, że nie. Dziewczyna po prostu kochała fluid.

Brynn zamierzała wrócić do domu wcześniej niż zwykle, o siedemnastej,

lecz zadzwoniła do niej koleżanka, technik medyczny.

– Nie denerwuj się, nic mu się nie stało... – usłyszała w słuchawce.

Dziesięć minut później była z synem na pogotowiu.

Zdjęła teraz koszulę od munduru.

– Brzydko pachnę.

Graham korzystał podczas gotowania ze wsparcia książek kucharskich. Było ich z pięćdziesiąt poukładanych na trzech półkach. Większość należała do Anny, która wprowadziła się do nich po wyjściu ze szpitala. Teściowa nie czuła się na tyle dobrze, żeby gotować, a żonę miał uzdolnioną w innym kierunku, więc ten obowiązek domowy postanowił wziąć na siebie.

– Niech to. Zapomniałem kupić ser – powiedział, przeszukując na próżno lodówkę. – Jak to się mogło stać?

Doprawił sos oregano.

– Jak ci minął dzień? – spytała Brynn.

Opowiedział, że pewien klient włączył system nawadniający, który od mrozu popękał w wielu miejscach. Nie zaskoczyło to nikogo poza właścicielem. Wrócił do domu i zastał ogródek w stanie katastrofy.

– Zrobiłeś duże postępy. – Wskazała płytki.

– Jakoś idzie. A czy sprawiedliwość dziś zatriumfowała?

Zmarszczyła brwi.

– Chodzi mi o Joeya i deskorolkę – wyjaśnił.

– Ach. Zabroniłam mu jeździć przez trzy dni.

Graham bez słowa wrócił do gotowania. Czyżby sugerował, że jest zbyt pobłażliwa?

– Z możliwością przedłużenia kary – dodała.

– Powinni w ogóle zabronić tego szaleństwa. Salta w powietrzu, zjeżdżanie po poręczach... Co to ma być?

– Jeździł na szkolnym podwórku. Są tam trzy schodki prowadzące na parking. Mówi, że wszyscy z nich skaczą.

– Powinien zakładać kask, tymczasem ciągle zostawia go w domu.

– To prawda. Rozmawiałam z nim o tym. Będzie nosić.

Zerknął w stronę schodów.

– A może ja też powinienem z nim porozmawiać? Jak facet z facetem?

– Myślę, że nie ma sensu go przytłaczać nadmiarem rozmów. Chyba zrozumiał i nie musimy się martwić.

Brynn sięgnęła po piwo i garść krakersów.

– Wybierasz się dziś na cotygodniowego pokera?

– Taki miałem plan.

Skinęła głową, patrząc, jak formuje pulpety.

– Skarbie! – rozległo się wołanie. – Jak tam nasz chłopiec?

– Cześć, mamó.

W progu stanęła Anna, siedemdziesięcioletnia matka Brynn. Jak zwykle była nienagannie ubrana. Dziś wybrała czarne spodnie i złotą bluzkę. Co czwartek chodziła do fryzjera, by pielęgnować krótką fryzurkę.

– Kilka siniaków i zadrapań, to wszystko.

– Zjechał po schodach na deskorolce – dodał Graham.

– Ojej!

– Z trzech stopni zjechał, nie po schodach. Wszystko w porządku. Już tego więcej nie robi. Wszyscy mamy na swoim koncie podobne błędy. To nic wielkiego.

– A ona co zbroiła, kiedy była mała? – spytał Graham teściową.

– Długo mogłabym opowiadać.

Ale tego nie zrobiła.

– Zorganizowałbym wspólny wypad na paintball lub coś podobnego. Żeby mógł się wyżyć w bezpiecznych warunkach – zaproponował Graham.

– Dobry pomysł.

– Lubisz spaghetti, Anno? – spytał, rwąc sałatę.

– Będę zachwycona wszystkim, co przygotujesz – zapewniła, biorąc z rąk zięcia kieliszek chardonnay.

Brynn przyglądała się mężowi, który wyjmował naczynia z szafki.

– A nie osiadł na nich pył, kiedy pracowałeś nad płytkami?

– Zabezpieczyłem folią.

Zawahał się i mimo wszystko opłukał talerze.

– Czy ktoś będzie miał dziś wieczorem czas, żeby mnie podwieźć do Rity? – poprosiła Anna. – Megan musi jechać po syna. Tylko na jakieś półtorej godziny. Obiecałam przejąć dyżur w łazience.

– Jak ona się czuje? – spytała Brynn.

– Niezbyt dobrze. – Anna i jej dobra przyjaciółka zostały zdiagnozowane w tym samym czasie. Leczenie Anny przyniosło rezultaty, Rita nie miała tyle szczęścia.

– Oczywiście, że cię zawiozę – obiecała Brynn. – O której chcesz jechać?

– Około siódmej.

Anna wróciła do salonu, który stanowił centrum życia rodzinnego w niewielkim domku Brynn na przedmieściach Humboldt. Zaczęły się

wieczorne wiadomości.

– Kolejna bomba. No, patrzcie tylko. Co się dzieje z tymi ludźmi...

Graham odebrał dzwoniący telefon.

– Cześć, Tom. Jak się masz?

Brynn odstawiła piwo i popatrzyła pytająco na męża.

– Tak, widziałem. Niezły mecz. Pewnie chcesz rozmawiać z moją żoną. Jest. Chwileczkę... Twój szef – szepnął, oddając jej słuchawkę i wracając do przyrządzania kolacji.

Szeryf spytał, jak się czuje Joey. Spodziewała się kolejnego wykładu na temat jazdy na deskorolce, ale nic takiego nie nastąpiło. Opowiedział jej o przerwany połączeniu znad jeziora Mondac. Słuchała uważnie, co jakiś czas kiwając głową.

– Ktoś to powinien sprawdzić. Ty masz najbliżej, Brynn.

– A Eric?

Graham podpalił gaz na kuchence.

– Wolałbym go nie wysłać. Wiesz dlaczego.

Graham zamieszał sos. Robił to z wielką pieczołowitością, choć większość składników pochodziła z puszki. Z salonu dochodził głos Katie Couric prowadzącej dziennik.

– Już lepiej. Więcej takich wiadomości – komentowała Anna.

Brynn walczyła ze sobą. W końcu podjęła decyzję.

– Chcę za to pół dnia wolnego. Dawaj adres.

Graham odwrócił gwałtownie głowę znad kuchenki.

Dahl oddał słuchawkę Toddowi Jacksonowi. Brynn zapisała sobie wskazówki.

– Coś niepokojącego dzieje się nad jeziorem Mondac – powiedziała do męża, zerkając na niedokończone piwo.

– No nie, skarbie.

– Przepraszam. Czuję się zobowiązana, bo wyszłam dziś wcześniej z pracy z powodu wypadku Joeya.

– Tom ci tego nie wypominał.

Zawahała się.

– To prawda, ale ja mam najbliżej.

– Słyszałem, że wspominałaś o Ericu.

– On sprawia kłopoty. Opowiadałam ci.

Eric Munce zaczytywał się w magazynach militarnych, nosił nadprogramową broń przy kostce i wolał robić naloty na laboratoria

metamfetaminowe niż łapać nietrzeźwych kierowców i pilnować, by dzieciaki wracały do domów przed dwudziestą drugą.

– Mam zadzwonić do Rity? – spytała Anna.

– Ja cię zawiozę – obiecał Graham.

– A co z twoim dzisiejszym pokerem? – Brynn zakorkowała niedokończone piwo.

– Nic – uśmiechnął się jej mąż. – Wolę zostać w domu, tym bardziej że Joey jest kontuzjowany.

– No to wy sobie jedzcie. I zostawcie naczynia w zlewie. Pozmywam za parę godzin, kiedy wrócę.

– Dobrze – odparł Graham. Wszyscy wiedzieli, że i tak on pozmywa.

Włożyła skórzaną kurtkę. Była lżejsza niż służbowe palto.

– Zatelefonuję, kiedy dotrę na miejsce. Dam znać, o której wrócę. Przepraszam, że musiałeś zrezygnować z pokera, Graham.

– Na razie – powiedział, nie odwracając się. Wrzucił makaron do gotującej się wody.

Na północ od Humboldt krajobraz tworzą pofalowane prostokąty pastwisk poprzedzielane niewysokimi ogrodzeniami, kamiennymi murkami i żywopłotami. Słońce opierało się leniwie o szczyty wzgórz na zachodzie, owce i krowy skąpane w jego promieniach wyglądały jak lśniące dekoracje. Co kilkaset metrów stały wabiki na turystów wskazujące drogę ku domowym serom, makowcom i orzechowcom, syropom orzechowym, lemoniadom i sosnowym meblom. Winnica oferowała zwiedzanie. Brynn McKenzie lubiła wino i mieszkała w Wisconsin od urodzenia, a nigdy nie degustowała lokalnych trunków.

Kilkanaście kilometrów za miastem miejsce sielankowych łąk zajęły drzewa i wzgórza, a czteropasmówka przeszła w dwupasmówkę. Wkrótce po obu stronach drogi nie było już nic prócz gęstego lasu. Gdzieś tam pojawiły się pierwsze pąki, lecz dominowała czerń i szarość nagich gałęzi. Sosny przełamywały tę szarość głęboką zielenią igieł, ale niektóre ich skupiska były uschnięte z powodu kwaśnych deszczy lub jakiejś zarazy.

Brynn rozpoznawała jodłę balsamiczną, jałowiec, cis, świerk, orzesznik, czarną wierzbę, dąb, klon i brzozę. Bliżej ziemi rosły skupiska turzycy, ostrożnia, starca jakubka i jeżyny. Wiosna – która spowodowała katastrofę w ogródku klienta Grahama – pobudziła do życia krokusy i żonkile.

Jej mąż był architektem zieleni, ale nie dzięki niemu poznała miejscową roślinność. Wiedzę o niej zdobyła w pracy. Domowe laboratoria do wytwarzania narkotyków powstawały jak grzyby po deszczu w wiejskich rejonach Ameryki. Policjanci, których praca przez długi czas koncentrowała się na pijanych kierowcach, stanęli przed nowym wyzwaniem. Likwidowanie tych laboratoriów wiązało się z wyprawami do dzikiej głuszy.

Brynn jako jedna z nielicznych w biurze szeryfa co roku brała udział w szkoleniu dla funkcjonariuszy organizowanym nieopodal Madison. W programie znajdowały się między innymi techniki zatrzymania. Uczyli ich także rozróżniać gatunki roślin, rozpoznawać, które są trujące i niebezpieczne, które mogą posłużyć za osłonę, a które uratować życie (tarcica liściasta chroni przed kulami wystrzelonymi z bliskiej odległości).

Glock kalibru dziewięć milimetrów uwierał ją w udo. W hondzie było mniej miejsca na akcesoria niż w policyjnym wozie. Rano będzie miała siniaki. Poprawiła się w fotelu i włączyła radio. Muzyka country, gadanie, prognoza pogody. Wyłączyła.

Z przeciwka nadjeżdżały ciężarówki i półciężarówki. Stopniowo robiło się

coraz bardziej pusto i wkrótce została sama na drodze, która pięła się w górę. Zbocza po obu stronach były skaliste. Obecność pałki szerokolistnej, trójliścia oraz srebrnej i czerwonej mozgi kanaryjskiej świadczyła o bliskości jeziora. Na moczarach stała nieruchomo czapla z dziobem i wzrokiem zwróconym wprost na Brynn.

Na zewnątrz było trzynaście stopni, ale sceneria sprawiała chłodne i ponure wrażenie. Włączyła światła, zadzwonił telefon komórkowy.

– Cześć, Tom.

– Jeszcze raz dziękuję, że się zgodziłaś.

– Nie ma sprawy.

– Poprosiłem Todda, żeby zrobił rozeznanie.

Dahl wyjaśnił, że nie można się dodzwonić na żaden z numerów komórkowych Feldmanów. W domku zapewne są tylko oni i ich przyjaciółka.

– Trzy osoby?

– Na to wygląda. Feldman pracuje w opiece społecznej, całkiem normalny facet. Za to jego żona, Emma... Słuchaj. Ona pracuje dla dużej kancelarii prawniczej w Milwaukee. Zdaje się, że wpadła na trop jakiegoś dużego przekrętu.

– Jakiego rodzaju?

– Nie znam szczegółów. Tylko tyle dowiedziałem się od kumpla z Milwaukee.

– A co dokładnie powiedział ten facet, który dzwonił?

– Tylko: „tu”.

– Przepraszam?

– T-U.

– To wszystko?

– Aha. Ale niewykluczone, że mamy coś poważnego. Todd rozmawiał z FBI.

– FBI jest w to wmieszane? Cóż... Grożono jej?

– Nic o tym nie wiedzą. Mój ojciec zwykł mawiać, że najgroźniejsi atakują bez ostrzeżenia.

Brynn poczuła niepokój, ale i miłe podniecenie. Najpoważniejsze przestępstwo w ciągu ostatniego miesiąca, z jakim miała do czynienia, to emocjonalnie rozchwiany nastolatek z kijem bejsbolowym wybijający szyby i terroryzujący klientów w markecie Southland. Zażegnała kryzys rozmową. Gdy patrzyła w jego błyszczące szaleństwem oczy, serce biło jej odrobinę

szybciej niż zwykle.

– Bądź ostrożna, Brynn. Przyjrzyj się posesji z daleka. Nie wchodź do środka od razu. Jeśli zauważysz cokolwiek podejrzanego, dzwoń i czekaj na posiłki.

– Oczywiście.

A pomyślała: W ostateczności, może. Odłożyła telefon na podstawkę pod kubek.

Przypomniała sobie, że jest spragniona i głodna. Wszystkie cztery restauracje, które mijalała po drodze, były nieczynne. Sprawdzi, co słychać nad jeziorem Mondac, i wróci do domu na spaghetti Grahama.

Nie wiedzieć czemu przypomniała sobie kolacje z Keithem. Jej pierwszy mąż również gotował. Prawie zawsze wieczorem, jeśli nie pracował na drugą zmianę.

Nacisnęła pedał gazu, porównując w myślach swoją hondę i radiowóz. To jak porównywać purée w proszku z młodymi pieczonymi ziemniaczkami, doszła do wniosku. Nie mogła przestać myśleć o jedzeniu.

O kurczę, jesteś ranny.

Sypialnia na dole w domu Feldmanów, zaciągnięte zasłony. Hart patrzy na lewy rękaw swojej brązowej flanelowej koszuli. Ciemny od krwi między łokciem a nadgarstkiem. On leży na łóżku, skórzana kurtka na podłodze.

– No, popatrz tylko.

Chudy Lewis dał spokój oczywistym denerwującym komentarzom, pobawił się przez chwilę kolczykiem z zielonym oczkiem i zaczął ostrożnie podwijać rękaw koszuli Harta.

Obaj zdjęli maskujące pończochy i rękawiczki.

– Uważaj, nie dotykaj – ostrzegł Hart.

Lewis z premedytacją zignorował ostrzeżenie.

– A to niespodzianka, Hart. Dziwka nas zaskoczyła. Tego się nie spodziewałem. Kim ona jest, do cholery?

– Nie wiem, Lewis – odparł cierpliwie Hart. – Skąd mam wiedzieć?

Przypomniał sobie rozmowę: „To będzie kaszka z mleczkiem, Hart. Prawie zero ryzyka. Domki obok są opuszczone. Tylko ich dwoje. Żadnych strażników w parku, żadnych glin w promieniu wielu kilometrów”.

„Uzbrojeni?”.

„Żartujesz? To mieszcuchy. Ona jest prawniczką, on pracownikiem socjalnym”.

Hart był czterdziestolatkiem o owalnej twarzy i czarnych niesfornych włosach sięgających za uszy. Wiecznie odgarniał je z twarzy. Lubił czapki, posiadał ich całą kolekcję. Czapki pomagają zniknąć w tłumie.

Popatrzył na ranę. Z czarnego otworu sączyła się strużka krwi, otoczka była żółto-fioletowa. Kula przeszła mięsień. Trzy centymetry w lewo i minęłaby go, trzy centymetry w prawo i strzaskałaby kość. Szczęście czy pech?

– Nie ma krwotoku – powiedział bardziej do siebie niż do Lewisa.

– To znaczy, że tętnica cała. – I dodał: – Przynies spirytus, kostkę mydła i coś do zabandażowania.

– Dobra.

Lewis oddalił się niespiesznie. Hart nie mógł zrozumieć, po co komukolwiek jaskrawy czerwono-niebieski celtycki krzyż wytatuowany na karku.

– Nie ma spirytusu! – zawołał Lewis z łazienki. – Ale w barku widziałem whisky.

– Weź wódkę. Whisky śmierdzi z daleka. Nie zapomnij o rękawiczkach.

To prawda, że wódka ma mniej intensywny zapach od whisky, lecz i tak było ją czuć w oddechu Lewisa, kiedy wrócił po kilku minutach. Hart odebrał od niego butelkę dłonią w rękawiczkę i polał ranę przezroczystym płynem. Aż zwinął się z bólu.

Jego wzrok padł na obraz wiszący na ścianie. Ryba robiąca salto w powietrzu z muchą w pyszczku. Co za bezguście, pomyślał.

– Tylko mi tu nie mdlej. – Lewis najwyraźniej miał dość kłopotów.

– Dobra, dobra... – Hartowi na chwilę pociemniało w oczach, lecz wziął głęboki oddech i poczuł się lepiej. Potarł ranę mydłem.

– Po co to robisz?

– Mydło wysusza chorą tkanekę i zatrzymuje krwawienie.

– Chrzanisz.

Hart sprawdził, czy może podnieść i opuścić rękę. Udało się bez obojętności bólu. Zaciśnął pięść. Dłoń nie była zbyt silna, ale sprawna.

– Parszywa dziwka – zaklął Lewis.

Hart nie zamierzał tracić na razie energii na złość. Był zadowolony, że nie dostał w głowę.

Stał sobie spokojnie w kuchni, drapiąc się w policzek przez materiał pończochy. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Zobaczył w lustrze odbicie młodej kobiety skradającej się od tyłu z wycelowaną w niego bronią.

W ostatniej chwili zdążył uskoczyć, nie od razu po postrzale poczuł ból. Zrewanżował się serią z własnej broni, kobieta uciekła. Lewis upuścił jedzenie, które znalazł w lodówce. On byłby następną ofiarą.

Po chwili usłyszeli strzały na zewnątrz. Dziewczyna przestrelała opony w fordzie i mercedesie, żeby nie mogli za nią pojechać.

– Byliśmy nieostrożni – powiedział złowieszczo Hart.

Miał do Lewisa pretensje. Chudzielec powinien być w salonie, nie w kuchni.

– Trafiłeś ją? – spytał Lewis.

– Nie.

Hartowi zawirowało w głowie. Przyłożył do skroni zimną lufę rewolweru. To go nieco uspokoiło.

– Kto to był, do diabła? – powtórzył Lewis.

Odpowiedź otrzymali po przeszukaniu niedużej torebki. W środku były kosmetyki, gotówka i karty kredytowe.

– Michelle – przeczytał Hart. – Ma na imię Michelle.

Został postrzelony przez jakąś Michelle.

Hart skrzywił się i poszedł zgasić światło w salonie. Ostrożnie uchylił drzwi i wyjrzał na podwórko. Nie było po niej śladu. Lewis ruszył do kuchni.

– Tam też wyłączę.

– Nie, tam nie. Zostaw. Zbyt wiele okien, żadnych zasłon. Będiesz łatwym celem.

– Cykor z ciebie. Tej mały już dawno nie ma.

Hart ponuro zerknął na swoją rękę, jakby chciał powiedzieć: „Naprawdę chcesz ryzykować?”. Lewis nie chciał. Wyjrzeni przez okno, ale nie dostrzegli niczego prócz drzew. Żadnych świateł ani postaci poruszających się w mroku. Rozległo się kumkanie żab, przeleciały dwa nietoperze.

– Szkoda, że nie znałem wcześniej tej sztuczki z mydłem – mówił Lewis. – Spoko jest. Kiedyś z braciakiem byliśmy w Green Bay. Pilnowaliśmy własnego nosa, po prostu się szwendaliśmy po okolicy, nic specjalnego. Poszedłem się odlać na tory i jakaś szuja sprzedała mi kosę w plecy. Bezdomny fajfus... Przeciął mi ciało do kości. Lało się ze mnie jak ze świni.

Hart zastanawiał się, po co Lewis mu to opowiada. Próbował się wyłączyć i nie słuchać.

– Nie byłem draniowi dłużny, możesz mi wierzyć. Nie zważałem na to, że krwawiłem. Cierpiał bardziej niż ja.

Hart ścisnął krawędzie rany i przestał zwracać uwagę na ból. Wyszedł pochylony, trzymając w ręku broń. Nie rozległy się strzały ani żadne odgłosy od strony krzewów. Lewis wyszedł za nim.

– Lafirynda uciekła, mówię ci. Już jest pewnie w połowie drogi do asfaltówki.

Hart spojrział z niezadowoleniem na samochód ukradziony wcześniej tego samego dnia.

– Popatrz tylko.

Oba auta miały po dwie przebite opony, a każdy inną średnicę kół, opona zapasowa z jednego nie będzie pasowała do drugiego.

– Cholera – zdenerwował się Lewis. – Będziemy musieli iść na piechotę.

Hart omiótł wzrokiem ścianę pogrążającego się w mroku lasu. Trudno sobie wyobrazić lepszą kryjówkę.

– Może uda ci się zakleić którąś dętkę – zaproponował.

– Nie jestem pieprzonym mechanikiem – zachnął się Lewis.

– Sam bym to zrobił. – Hart starał się zachować cierpliwość. – Ale mam

mały problem. – Spojrzał na swoją rękę.

Chudy pobawił się przez chwilę kolczykiem, po czym niechętnie podszedł do auta.

– A ty co będziesz robił?

Bezczelny, uznał Hart i ruszył tam, gdzie po raz ostatni widział Michelle.

Brynn McKenzie dzieliło od jeziora trzynaście kilometrów. Krajobraz wokół nie sprawiał przyjaznego wrażenia. Nie mijała żadnych gospodarstw, okolica była zalesiona i górzysta. Nagie skały wyglądały złowrogo.

Przejeżdżała przez Clausen, które poszczycić się mogło trzema stacjami benzynowymi (tylko jedną firmową), kilkoma sklepami – spożywczymi i z częściami samochodowymi – oraz złomowiskiem. Zwróciła uwagę na znak Subwaya, ale musiałaby zjechać pięć kilometrów. W oknie sklepu dostrzegła reklamę hot dogów, skusiłaby się, gdyby sklep był otwarty. Po drugiej stronie jezdnii znajdował się zrujnowany budynek w stylu Tudorów, z wybitymi szybami i bez dachu. Szyld z napisem WSZYSTKO DLA DZIEWCZĄT z pewnością kusił wielu nastolatków, ale był zbyt mocno i wysoko przymocowany, by stać się łatwym łupem.

Minąwszy ostatni bastion cywilizacji, Brynn wjechała w prawdziwą głuszę, gdzie nie było już nic prócz drzew, skał i brzydkich polan. Od czasu do czasu dało się dostrzec dym z komina jakiejś chatki albo przyczepy, większość stała daleko od drogi. Błyszczące szyby przypominały zaspane oczy. Gleba nie nadawała się pod uprawę, nieliczni mieszkańcy tych okolic dojeżdżali swoimi zardzewiałymi półciężarówkami do pracy. O ile ją mieli.

Przejechała kilka kilometrów, mijając jedynie trzy samochody osobowe i jedną ciężarówkę. Nikt nie jechał na jej pasie ani z przodu, ani z tyłu.

O osiemnastej czterdzieści przejechała obok drogowskazu na pole namiotowe parku stanowego Marquette. Szesnaście kilometrów, czynny od dwudziestego maja. Jezioro Mondac musiało być niedaleko.

LAKE VIEW
TEREN PRYWATNY
WSTĘP WZBRONIONY
POD GROŹBĄ KONSEKWENCJI PRAWNYCH
BRAK DOSTĘPU DO JEZIORA

Was też miło widzieć...

Skręciła w zwirową dróżkę, honda telepała się na nierównościach terenu. Brynn żałowała, że nie wzięła samochodu Grahama. Z tego, co mówił Todd Jackson, od głównej drogi do domku Feldmanów były dwa kilometry, a ich podjazd miał długość dwóch boisk futbolowych.

Powoli jechała tunelem z nagich gałęzi po dywanie z liści i igieł.

Dróżka stała się nieco szersza, a ściana drzew po prawej stronie nie przysłaniała już całego widoku i oczom Brynn ukazało się jezioro. Nigdy nie przepadała za wodą, znacznie lepiej czuła się na suchym lądzie. Spędzała z Keithem wakacje nad zatoką Missisipi, on lubił tam jeździć. Ona podczas takiego urlopu zajmowała się głównie czytaniem i organizowaniem rozrywek Joeyowi. Zabierała go na plażę i do wesołych miasteczek. Keith spędzał większość czasu w kasynie. Nie przepadała za tamtym miejscem, ale przynajmniej ludzie byli życzliwi, a plaże wyglądały zachęcająco. Tutejsze jeziora zdawały się nie mieć dna, woda była czarna, a brzeg kamienisty. Człowiek czuł się jak bezradna ofiara, łatwy łup dla węży i pijawek.

Przypomniała sobie ćwiczenia z kursu ratownictwa wodnego. Musiała zanurkować w jeziorze, żeby uratować tonącego manekina w dziurawej łodzi. Nie wspominała tego z przyjemnością.

Rozglądała się po okolicy w poszukiwaniu ewentualnych tonących, śladów wypadków samochodowych, pożarów.

Oraz nieproszonych gości.

Nie było jeszcze całkiem ciemno, wyłączyła światła, zwolniła znacznie, starając się jechać jak najciszej.

Minęła dwie posesje. Do starych, wielkich domostw prowadziły długie, kręte podjazdy otoczone drzewami. W oknach nie paliły się żadne światła. Sceneria wyglądała dość posępnie, jak z pierwszych klatek filmowych melodramatu, tuż przed retrospekcją ukazującą czasy przed tragedią.

Skromny domek Brynn, który po rozwodzie kupiła za swoją część podzielonego majątku, był co najmniej o połowę mniejszy niż te letnie rezydencje.

Między drzewami na wprost po lewej stronie ukazał się trzeci dom, należący do Feldmanów. Został zbudowany w tym samym stylu co dwa sąsiednie, był nieco większy. Z komina unosił się dym, większość okien pozostawała ciemna. Zza zasłon na tyłach domu i na drugim piętrze sączyła się niewyraźna poświata.

Dom zniknął za sosnowym zagajnikiem. Upewniła się, że broń jest na swoim miejscu, w razie gdyby musiała ją szybko wyciągnąć. Dawno temu nauczyła się zawsze sprawdzać. W zeszłym tygodniu załadowała magazynek trzynastoma nabojami. Uznała, że w powiecie Kennesha więcej jej się nie przyda. Ładowanie broni wymagało sporej siły w dłoniach.

Tom Dahl zalecał podwładnym, żeby co miesiąc chodzili na strzelnicę. Brynn chodziła co dwa tygodnie. Umiejętność rzadko się przydawała, lecz

uważała ją za ważną. Co drugi wtorek strzelała do tarczy. Brała udział w kilku strzelaninach, zwykle dotyczyło to pijaków lub samobójców. Wymiana ognia między żywymi ludźmi wydawała jej się chaotyczna, głośna i przerażająca. Najważniejsze było sprawne sięganie po broń i szybkość naciskania spustu.

W zeszłym tygodniu musiała zrezygnować ze strzelnicy z powodu bójki Joeya w szkole. Pojechała następnego dnia o szóstej rano i wyładowała złość na syna, wystrzelując pięćdziesiąt pocisków. Do wieczora bolał ją nadgarstek.

Zatrzymała samochód pięćdziesiąt metrów od podjazdu Feldmanów, płosząc stado pardw. Dalej zamierzała pójść pieszo.

Sięgnęła po telefon komórkowy, by wyłączyć dzwonek przed wejściem na teren posiadłości. Zadzwoił, zerknęła na wyświetlacz.

– Tom.

– Wiesz co, Brynn...

– Oho, początek nie wróży nic dobrego. Mów, co się stało.

Westchnął. Zirytowała ją ta zwłoka, a jeszcze bardziej wiadomości, których się spodziewała.

– Przepraszam, Brynn. Straciłaś czas.

– Dlaczego?

– Feldman zadzwonił ponownie.

– Zadzwoił?

– Poinformowano mnie w centrali. Wyjaśnił, że przez przypadek nacisnął automatyczne wybieranie. Od razu się rozłączył. Nie wiedział, że zdążył się wysłać sygnał.

– Och, Tom. – Skrzywiła się ze zniecierpliwieniem. Patrzyła na drozda dziobiącego ziemię obok lilii filadelfijskiej.

– Wiem, wiem.

– Jestem prawie na miejscu. Widzę dom.

– Szybko dojechałaś.

– To było zgłoszenie alarmowe.

– Dam ci cały dzień wolnego.

A kiedy znajdziesz na to czas? – westchnęła głęboko.

– Stawiasz mi dziś kolację. I nie ma mowy o Burger Kingu. Musi być w porządnej restauracji.

– Nie ma sprawy. Smacznego.

– Dobranoc, Tom.

Brynn zatelefonowała do Grahama, ale odezwała się poczta głosowa. Zostawiła wiadomość, że dostała pomyłkowe zgłoszenie. Rozłączyła się i spróbowała połączyć jeszcze raz. Tym razem od razu usłyszała nagranie z poczty głosowej. Nie zostawiła kolejnej wiadomości. Czyżby nie było go w domu? Może jednak poszedł grać w pokera.

Nie była zła, że przyjechała na próżno. W przyszłym tygodniu wybierała się na zaawansowany kurs negocjacji w sprawach dotyczących przemocy domowej. Będzie miała okazję poczytać podczas kolacji podręcznik, który niedawno odebrała. W domu byłoby to możliwe dopiero przed snem.

Musiała również przyznać sama przed sobą, że dobrze jej zrobi odpoczynek od Anny. Ominie ją obowiązek zawiezienia matki do Rity. Dziwnie było mieszkać z nią po tylu latach niezależności. Wróciły dawne emocje. Pamiętała spojrzenie, które rzuciła jej matka na powitanie, kiedy wróciła późno z pracy. Zapanowało po nim identyczne napięcie jak wtedy, gdy była nastolatką i wróciła do domu kilka godzin później, niż obiecała, ponieważ zatraciła się w skokach przez przeszkody. Żadnej kłótni ani wykładu. Po prostu pełne wyrzutu spojrzenie i uśmiech.

Nigdy się nie kłóciły. Anna nie miewała ataków złości ani huśtawek nastrojów. Była idealną babcią i to się bardzo liczyło dla Brynn. Jednak matki z córką nigdy nie łączyła ciepła relacja. Podczas trwania pierwszego małżeństwa Brynn Anna właściwie zniknęła z jej życia, pojawiła się dopiero po narodzinach Joeya.

Po rozwodzie i ponownym ślubie z mężczyzną, którego zaakceptowała jako zięcia, ponownie nawiązały ze sobą kontakt. Jeszcze rok temu Brynn miała nadzieję, że uda im się wreszcie do siebie zbliżyć. Nic z tego nie wyszło. Pozostały sobie tak samo obce jak dwadzieścia lat wcześniej. W przeciwieństwie do rodzeństwa nigdy nie miała z matką wiele wspólnego. Była aktywna i ciekawa świata. Anna z kolei wydawała się umęczona nieciekawą pracą – cztery godziny dziennie w agencji nieruchomości – i wychowywaniem trójki dzieci. Paleta rodzinnych rozrywek ograniczała się do szydełkowania, pogawędek o niczym i oglądania telewizji.

Nie przeszkadzało jej to, kiedy mieszkały oddzielnie, lecz matka wprowadziła się do niej po operacji i czas jakby się cofnął.

O tak, cieszyła się na ten samotny wieczór i darmową kolację. Co tam, zamówi nawet kieliszek wina.

Włączyła światła i zaczęła cofać. Nagle przypomniała sobie, że najbliższa stacja benzynowa znajduje się w Clausen. Dwadzieścia minut drogi.

Feldmanowie narobili zamieszania, niech jej przynajmniej pozwolą skorzystać z łazienki. Ruszyła w kierunku podjazdu, zastanawiając się, jaką długość ma boisko futbolowe.

Lewis siedział w kucki obok kradzionego forda. Ssał palec, który skaleczył o blachę, usiłując naprawić przebite opony. Obejrzał ranę i splunął krwią.

Fantastycznie, pomyślał Hart. Odciski palców i materiał genetyczny.

Sam wybrałem tego głupka, żeby dziś ze mną przyjechał.

– Znalazłeś ją? – spytał Lewis.

Hart wracał z obchodu posiadłości, pod jego stopami szeleściły suche liście. Zachowywał się najciszej, jak potrafił, wypatrując Michelle. Towarzyszyło mu niepokojące wrażenie, że jest obserwowany. Może uciekła, a może nie.

– Wokół jest sporo błota. Widziałem ślady, pewnie jej. Jakby poszła w kierunku szosy, a potem zawróciła. – Wskazał gęsty las i strome wzgórze za posiadłością. – Na pewno się tam ukrywa. Słyszałeś coś?

– Nie, ale ciarki mnie przechodzą. Ciągłe oglądam się przez ramię. Mówię ci, człowieku, załatwię zółzę. Wytropię i zastrzelę jak psa. Nieważne kim jest, gdzie mieszka. Zadarła z niewłaściwym gościem. Już nie żyje.

Strzeliła do mnie, pomyślał Hart. Popatrzył w stronę lasu.

– Mało brakowało, a mielibyśmy problem.

– Niemożliwe – odparował zjadliwie Lewis.

– Obejrzałem sobie jego telefon.

– Jego?

– Męża. Pamiętasz? Ten, który mu zabrałeś.

Lewis poczuł się atakowany. I słusznie.

– Udało mu się połączyć z biurem szeryfa.

– Najwyżej na sekundę.

– Na trzy. Wystarczyło.

– Cholera. – Lewis wstał.

– Chyba nic się nie stało. Zadzwoiłem, podając się za niego, i powiedziałem, że wybrałem numer pomyłkowo. Szeryf wysłał już radiowóz, ale miał go odwołać.

– Byłoby, kurwa, świetnie. Uwierzyli ci?

– Chyba tak.

– Chyba? – Teraz on przeszedł do ataku.

Hart zbył pytanie milczeniem.

– Potrafisz go naprawić? – Wskazał samochód.

– Nie – padła błyskawiczna odpowiedź.

Hart przyjrzał się badawczo wpólnikowi, który uśmiechał się złośliwie.

Zgodził się przyjąć zlecenie, nim znalazł kogoś do pomocy. Uruchomił kilka kontaktów w Milwaukee i dotarł do Lewisa. Umówili się na spotkanie, chłopak wydawał się w porządku. Sprawdził jego kartotekę, nie znalazł nic niepokojącego: aresztowania za narkotyki i kradzieże, kilka skarg. Chudzielec z wielkim kolczykiem w uchu i czerwono-niebieską ozdobą na karku byłby wystarczająco dobry na rutynową akcję. Tylko że sprawy się skomplikowały. Hart został ranny, nie mieli samochodu, a w lesie czaił się uzbrojony wróg. Nagle ważna okazała się znajomość zwyczajów, natury oraz umiejętności Comptona Lewisa.

Ocena nie wypadła pomyślnie.

Hart uznał, że powinien uważać. Postanowił zażegnać konflikt i odezwał się spokojnie:

– Nie masz rękawiczek.

Lewis podniósł do ust zraniony palec.

– Nie mogłem dobrze uchwycić klucza. Dziadostwo.

– Pewnie zechcesz teraz wszystko wytrzeć. – Hart wskazał łyżkę do opon.

Chudy zaśmiał się, jakby usłyszał, że trawa jest zielona.

Zapowiadała się ciekawa noc...

– Coś ci powiem, przyjacielu – mruknął Lewis. – Zestaw majsterkowicza na gówno się zdaje, kiedy w oponie jest dziura po kuli.

Hart popatrzył na puszkę szczeliwa klejącego do opon, prawdopodobnie rzuconą ze złością przez Lewisa. Na niej też musiały być odciski palców.

Do oczu Harta napłynęły łzy bólu. Zamrugnął szybko. Pracował w tej branży od czternastu lat i po raz pierwszy został ranny. Choć broń palna była jego narzędziem pracy, rzadko jej używał. Chyba że konkretnie za to mu płacili.

– Może u sąsiadów znajdziemy jakiś samochód?

– Na pewno nie zostawiliby tu wozu. To bez sensu. Poza tym spróbuj w dzisiejszych czasach uruchomić auto bez kluczyków. Trzeba mieć przy sobie komputer.

– Nie ma problemu. Potrafię. Ty nie?

Hart nie odpowiedział, wciąż bacznie rozglądał się wokół.

– Jakiś inny pomysł? – spytał Lewis.

– Zadzwoń do wypożyczalni.

– Cha, cha. Do wypożyczalni. Lepiej ruszajmy. Mamy do przejścia dobre parę kilometrów. Trzeba rozładować forda i zbierać się stąd.

Hart poszedł do garażu po papierowe ręczniki i płyn do szyb.

– A to po cholere? – Lewis roześmiał się drwiąco.
– Trzeba zmyć odciski. Samo przetarcie nie wystarczy. Gliny mają swoje sposoby, żeby odzyskać rozmazane ślady palców.

– Bzdura. Pierwsze słyszę.

– To prawda, czytałem o tym.

– Czytałeś? – powtórzył Lewis rozbawiony.

Hart zaczął spryskiwać płynem wszystkie przedmioty, których dotykał Lewis. On sam niczego nie dotykał bez rękawiczek, z wyjątkiem własnego ramienia.

– Super. Pranie też zrobisz?

Hart zwrócił głowę ku sąsiedniej posiadłości, nasłuchując.

– Jeszcze nie możemy odejść.

– Co ty pieprzysz?

– Musimy ją znaleźć.

– Ale... – Lewis krzywym uśmiechem skwitował beznadziejność przedsięwzięcia.

– Nie mamy wyboru. – Hart skończył zacieranie śladów i wyjął mapę. Znajdowali się w samym środku olbrzymiego leśnego pustkowia. Rozejrzał się, znów zerknął na mapę.

– Rozumiem, że chcesz z nią wyrównać rachunki za to, co ci zrobiła. Będzie na to czas.

– Nie chodzi o zemstę. Zemsta nic nie daje.

– Nie zgadzam się. Daje przyjemność. Odplącenie się temu parszywcowi za sprzedanie kosy było jednym z najpiękniejszych momentów w moim życiu.

Hart stłumił westchnienie.

– Zemsta jest nieważna. Po prostu musimy tę babę unieszkodliwić.

– O, w mordę – wyrwało się Lewisowi.

– Co się stało? – Hart spojrzał na niego z niepokojem.

Lewis trzymał się za ucho.

– Zgubiłem drugą część – wyjaśnił, schylając się i szukając w trawie.

– Czego?

– Kolczyka. – Ostrożnie schował szmaragd do kieszeni dzinsów.

O Matko Boska...

Hart zabrał latarki i zapasowe naboje z bagażnika forda. Począł, aż Lewis włożył rękawiczki, nim wręczył mu pudełko z amunicją.

– Za godzinę całkiem się ściemni. Wtedy szanse na jej wytropienie zmaleją

jeszcze bardziej. Ruszajmy.

Lewis stał bez ruchu. Patrzył na coś za plecami Harta i machinalnie bawił się pudełkiem. Po chwili schował naboje do kieszeni, odbezpieczył strzelbę i skinął brodą w kierunku podjazdu.

– Mamy towarzystwo, Hart.

Dom Feldmanów nie zrobił dobrego wrażenia na Brynn McKenzie. Uznała, że jest w nim coś złowieszczonego. Podczas gdy domy sąsiadów nadawały się na plan filmowy dramatu rodzinnego, posiadłość Emmy i Stevena wyglądała jak żywcem wyjęta z horroru na podstawie powieści Kinga. Pasjami oglądali je z Keithem.

Jedyny w okolicy trzypiętrowy budynek w stylu Tudorów. Biała oblicówka z pewnością pamiętała lepsze czasy. Brynn spodobał się duży ganek. Przypominał jej dom dzieciństwa w Eau Claire. Uwielbiała siadać wieczorami na huśtawce, słuchać śpiewu brata i jego gry na poobijanej gitarze. Siostra flirtowała ze swoim aktualnym chłopakiem. Rodzice rozmawiali, rozmawiali i rozmawiali... Dom, w którym zamieszkała po ślubie z Keithem, również miał spory, ładny ganek. Jej obecne miejsce zamieszkania było o wiele skromniejsze.

Spojrzała z uznaniem na ogród. Projekt i wykonanie musiało nie mało kosztować. Dom otaczały starannie skomponowane skupiska krzewów derenia, ligustru i mocno przyciętych drzewek lagerstroemii. Jej mąż zawsze doradzał swoim klientom, żeby nie okaleczali w ten sposób swoich mirtowców.

Zaparkowała na okrągłym placu przed domem. Dostrzegła przez okno poruszenie w środku, jakiś cień mignął za zasłoną. Wyszła z auta i wciągnęła w płuca chłodne, świeże powietrze pachnące kwiatami i dymem z kominka.

Jej uszy zarejestrowały swojskie kumkanie żab i gęganie przelatujących dzikich gęsi. Pokonała trzy stopnie prowadzące na ganek. Wyobraziła sobie Joeya zeskakującego na deskorolce.

Dobrze, że z nim porozmawiała. Na pewno będzie teraz nieco ostrożniejszy...

Miała na nogach wygodne i niemodne sznurowane półbuty, które stukały głucho o deski. Zadzwoiła do drzwi. Nikt nie otwierał.

Ponownie nacisnęła dzwonek. Zajrzała przez okno do salonu. Jedyny ruch, jaki zaobserwowała, to przyjemne migotanie płomieni w kominku. Zastukała głośno w szybę.

Kątem oka dostrzegła cień, ale tak jak i za pierwszym razem rzucał go ogień. Większość pomieszczeń była nieoświetlona, światło paliło się tylko w jednym pokoju na dole i w korytarzu na górze.

Może domownicy siedzieli w jadalni. W takim ogromnym domu z pewnością można nie usłyszeć dzwonka, pomyślała.

Z góry dobiegł gardłowy okrzyk. Spojrzała w szarzejące niebo. Dzielili je między sobą ptaki i ssaki: kaczki wracające na jezioro i kilka polujących nietoperzy. Uśmiechnęła się. Kiedy ponownie zajrzała przez okno, zauważyła coś dziwnego. Za fotelem leżał plecak i aktówka z wyrzuconą zawartością. Po podłodze wałały się dokumenty, książki i długopisy. Wyglądało to tak, jakby ktoś czegoś szukał.

Poczuła dziwny ucisk w żołądku. Przerwane połączenie z policją, pomyślała. Włamywacz odkrywa, że ofiara zawiadomiła policję, i telefonuje jeszcze raz, żeby zgłosić pomyłkę.

Brynn McKenzie sięgnęła po broń.

Obejrzała się przez ramię. Nie słyszała rozmowy ani kroków. Zaczęła się wycofywać do samochodu po telefon komórkowy. Nagle jej wzrok przyciągnęła lśniąca kałuża krwi w kuchni. Co robić? – pomyślała. Drżącą dłonią złapała za klamkę. Zamek był wyłamany. Wejść do środka czy wrócić po telefon? Krew wyglądała na świeżą. W domu znajdowały się trzy osoby. Ani śladu intruzów. Ktoś mógł być ranny, niekoniecznie martwy. Telefon poczeka.

Pchnęła drzwi i weszła do środka, rozglądając się na boki. Nie odezwała się, nie chciała ujawniać swojej obecności. Patrzyła tylko uważnie wokół, kręciło jej się w głowie.

Zajrzała do sypialni po lewej stronie, w której paliło się światło. Wzięła głęboki oddech i weszła do środka. Trzymała broń blisko siebie, żeby nikt nie mógł jej wyrwać. Zgodnie z instrukcjami Keitha zapamiętanymi ze szkolenia na temat technik operacyjnych. Poznali się na tym szkoleniu.

W sypialni nikogo nie było. Omiotła spojrzeniem zmiętą pościel i akcesoria do udzielania pierwszej pomocy na podłodze. Broda jej drżała, kiedy wchodziła do salonu, gdzie beztrąsko płonął ogień w kominku. Próbując zachowywać się jak najciszej, weszła na dywan i obeszała pusty plecak, aktówkę i rozsypane dokumenty. Były to głównie akta spraw prowadzonych przez prawniczkę.

Ruszyła dalej. Na progu kuchni stanęła jak wryta. Wpatrywała się w ciała dwojga młodych ludzi leżące na podłodze. Mieli na sobie eleganckie służbowe stroje ciemne od krwi. Oboje zginęli od strzałów w głowę. Kobieta miała również ranę na szyi. To z jej ciała wypłynęła kałuża krwi. Mężczyzna poślizgnął się i upadł podczas panicznej ucieczki. Świadczyła od tym smuga krwi. Jego żona odwróciła się przed śmiercią. Leżała na brzuchu z ręką wygiętą pod dziwnym kątem, jakby próbowała dotknąć rany na szyi.

Brynn zastanawiała się, gdzie jest druga kobieta. Czyżby udało jej się uciec? A może morderca zabrał ją na górę? Przypomniała sobie światło na piętrze. Czy sprawcy opuścili miejsce zbrodni? Odpowiedź na to pytanie przyszła chwilę później.

– Hart? – rozległ się szept. – W wozie nie ma kluczyków. Zabrała je.

Nie potrafiła dokładnie określić, skąd dochodził. Przywarła do ściany. Wytarła prawą dłoń o lewe ramię i mocno chwyciła rękojeść broni.

Po chwili usłyszała głos innego mężczyzny, zgadywała, że to właśnie Hart. Zwrócił się do niej stanowczym tonem:

– Proszę pani, wiemy, że pani tu jest. Proszę nam dać kluczyki do auta. Potrzebny nam tylko samochód. Nic pani nie zrobimy.

Uniosła broń lufą do góry. Pracowała w policji od piętnastu lat i cztery razy strzeliła do człowieka. Niezbyt wiele, niemniej większość funkcjonariuszy nie musi tego robić wcale w całej swojej karierze. To była część jej pracy, podobnie jak zatrzymywanie nietrzeźwych kierowców i pocieszanie maltretowanych żon. Czowała napięcie, przerażenie i dziwną satysfakcję.

– Proszę się nie bać! – wołał Hart. – Jeśli nam pani nie ufa, proszę po prostu rzucić kluczyki. Inaczej sami po nie przyjdziemy. Bardzo nam zależy na samochodzie.

Brynn nacisnęła kontakt w kuchni i zgasło światło. Ciemność rozjaśniał jedynie ogień z kominka i poświata z sypialni.

Usłyszała gorączkowe szepty. Spotkali się. Nadal nie wiedziała, gdzie są i ilu ich jest. Dwóch czy może więcej. Nie mogła oderwać wzroku od zwłok na podłodze. Zastanawiała się, gdzie jest przyjaciółka Feldmanów.

Hart odezwał się ponownie, wyjątkowo łagodnym tonem:

– Widziałaś tych ludzi w środku? Chyba nie chcesz, żeby spotkał cię ten sam los? Nie bądź głupia i daj kluczyki. Bardzo proszę.

Wiedziała, że zginie, jeśli się ujawni. Powinna im powiedzieć, że jest policjantką i że wezwała posiłki?

Nie, nie wyjdzie z ukrycia.

Wpatrywała się w ciemne okna, w których odbijało się wnętrze salonu. Wciągnęła gwałtownie powietrze na widok mężczyzny w drzwiach. Wślizgnął się ostrożnie do środka. Był wysoki, mocno zbudowany, długowłosy, ubrany w ciemną kurtkę i długie buty. Trzymał pistolet w... Na chwilę zbił ją z tropu odwrócony obraz. W prawej dłoni. Druga ręka była jakby bezwładna, chyba został ranny. Zniknął z jej pola widzenia, ale nadal

był w salonie.

Zesztywniała, ścisnęła gotową do strzału broń. Nie odrywała wzroku od odbicia w szybie.

Strzelaj, powiedziała sobie. Możesz zyskać przewagę jedynie przez zaskoczenie. Wykorzystaj swoją szansę. Facet jest w salonie, dzieli cię od niego najwyżej sześć metrów. Stań w progu, oddaj serię, potem skryj się za framugą. Możesz go zastrzelić. Zrób to. Teraz.

Ruszyła w kierunku salonu. Gwałtownie złapała oddech, słysząc za plecami wołanie. Dochodziło z jadalni.

– Słuchaj, paniusiu! Lepiej nas posłuchaj.

Zobaczyła chudego mężczyznę w wojskowej kurtce, z krótkimi jasnymi włosami, tatuażem na szyi i wrednym spojrzeniem. Wszedł przez drzwi balkonowe ze strzelbą podniesioną na wysokość ramienia.

Strzelili równocześnie. Ona oddała celniejszy strzał. Napastnik musiał się uchylić, Brynn nie. Policjantka trafiła w krzesło tuż obok Lewisa, Lewis w sufit. Posypał się biały tynk.

Wyczołgał się przez balkon.

– Hart! Ona ma spluwę.

Nie słyszała dokładnie jego słów, wciąż ogłuszona hukami wystrzałów. Zajrzała do salonu. Nie było w nim Harta. Zatrzymała się przed kuchennymi drzwiami. Nie potrafiła tak po prostu wyjść, skoro przyjaciółka Feldmanów mogła nadal przebywać w domu.

– Jestem z policji! – krzyknęła. – Halo! Czy ktoś tu jest? Na górze?

Cisza.

Zadrżała, patrząc w okno. Była pewna, że ktoś do niej celuje.

– Halo?

Żadnej odpowiedzi.

– Jest tu ktoś?

Najdłuższe dwadzieścia sekund w jej życiu.

Postanowiła się wycofać. Nikomu nie pomoże, jeżeli zginie. Trzeba wezwać pomoc. Wybiegła tylnymi drzwiami, sapiąc ze strachu i wysiłku. Nikogo nie zauważyła na podwórzu. Z kluczykami w lewej dłoni ruszyła do samochodu.

Zapadał zmierzch. W półmroku dostrzegła sylwetkę jednego z przestępców. Biegł odwrócony do niej plecami, pod osłonę krzewów. To był ten ranny, Hart. Nie zdążyła do niego strzelić.

Omiotła wzrokiem teren w poszukiwaniu drugiego mężczyzny, po czym

rzuciła się biegiem w stronę auta. Usłyszała szelest liści za sobą i natychmiast przypadła do ziemi. Rozległ się strzał z dubeltówki. Kula trafiła w forda. Brynn oddała dwa strzały w kierunku krzewów, łamiąc zasadę numer jeden, aby nigdy nie oddawać ognia w ciemno. Szczuplejszy mężczyzna zniknął za węglem domu.

Otworzyła samochód, ale nie wsiadła. Stała z bronią wymierzoną w miejsce, gdzie zniknął Hart. Stanowiła łatwy cel. Usiłowała uspokoić oddech i rękę.

No, dalej, dalej... Mam tylko dwie sekundy...

Hart podniósł się na nogi. Dzielili ich na tyle niewielka odległość, że dostrzegła zdumienie na jego twarzy. Nie spodziewał się, że będzie czekała. Z kolei Brynn zakładała, że on wyłoni się w innym miejscu. Nim zdążyła ponownie wycelować i strzelić trzy razy, zdołał się schować. Miała nadzieję, że jednak go trafiła. A teraz musiała uciekać.

Wskoczyła do wozu i skoncentrowała się na kluczykach i stacyjce. Nie rozglądała się na boki. Zapaliła silnik, przesunęła dźwignię zmiany biegów i nadepnęła pedał gazu. Samochód ruszył do tyłu. Obejrzała się. Ścigali ją obaj, nie trafiła Harta. Lewis oddał niecelny strzał.

– Panie Boże, ratuj – szepnęła. Nigdy nie potrzebowała boskiej pomocy tak bardzo, jak teraz.

Kilka razy uczestniczyła w kursie pościgów policyjnych. Często korzystała ze zdobytych umiejętności, łapiąc kierowców przekraczających prędkość lub ścigając przestępców na autostradzie. Tym razem znalazła się w odwrotnej sytuacji, to ona była ścigana. Nigdy nie przygotowywała się na coś podobnego. Jednak godziny ćwiczeń nie poszły na marne, wiedziała, co robić. Przez chwilę rozważała, czy zawrócić, czy też jechać dalej na wstecznym biegu. Nawet pięć sekund zwłoki mogło ją wiele kosztować. Nadal za nią biegli. Postanowiła jechać tyłem, póki się wystarczająco nie oddali.

Okazało się, że podjęła słuszną decyzję. Znajdowali się bliżej, niż sądziła. Kule uszkodziły przednią szybę. Docisnęła pedał gazu tak bardzo, jak to było możliwe, by nie stracić kontroli nad samochodem. Obserwowała drogę przez brudne boczne okno. Groziło jej uderzenie w drzewo albo skałę po prawej stronie drogi. Gdyby za bardzo zjechała w lewo, spadłaby ze skarpy do jeziora.

Zwolniła nieco, utrzymywała prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Skrzynia biegów wydała zgrzyt protestu, prawdopodobnie nie

wytrzyma długo takiego obciążenia. Będzie trzeba odwrócić samochód, a wąska dróżka uniemożliwiła taki manewr. Brynn postanowiła przejechać czterysta metrów i skorzystać z podjazdu sąsiedniej posiadłości, nie miała wyboru.

Bolał ją kark od ciągłego oglądania się przez ramię.

– Cholera – zakląła, widząc, że zniknął jej telefon komórkowy. Musieli go zabrać, kiedy szukali kluczyków. Zdała sobie sprawę, że wciąż ściska w dłoni broń. Trzymała palec na spuście. Odłożyła glocka na siedzenie.

Wyjrzała przez przednią szybę. Ani śladu napastników. Od podjazdu numer dwa dzieliło ją dwieście metrów. Przyspieszyła.

Obie szyby po stronie kierowcy rozprysły się na milion kawałków. Duży kawałek szkła przebił prawy policzek Brynn, straciła trzonowy ząb, zaczęła się dusić krwią i wybitym zębem. Oczy zaszyły jej łzami, nie widziała drogi.

Zdołała otrzeć oczy i wypluć ząb. Kierownica była śliska od krwi. Brynn nie zdołała jej obrócić przy skręcie. Samochód zaczął się toczyć w dół zbocza, do jeziora. Wyrzuciło ją z siedzenia, nie mogła dosięgnąć stopą hamulca. Auto zatrzymało się pionowo na półce skalnej dwa metry niżej. Pistolet uderzył ją w ucho. Leżała w poprzek na tylnych siedzeniach. Po chwili balansowania nad przepaścią honda wpadła do jeziora, wypełniając się od razu wodą. Oszołomiona Brynn wylądowała na koniec na podłodze pod przednim siedzeniem.

– Joey, Joey! – krzyczała rozdzierająco.

Do jej płuc zaczęła przedostawać się lodowata woda.

Mamy przerąbane – stwierdził Lewis. – Człowieku, ona była gliną.

– Nie panikuj.

– O czym ty, kurwa, gadasz, Hart? Ona była gliną. Pojmujesz? W lesie mogą ich być dziesiątki. Musimy się stąd ewakuować, przyjacielu. I to już!

Byli zdyszani od biegu. Teraz szli wolniejszym krokiem przez gęsty las w stronę miejsca, skąd spadł samochód po tym, jak Lewis oddał ogień do kobiety za kierownicą. Skradali się jak żołnierze na zwiadach. Nie mieli pewności, że Brynn nie czai się na nich wśród drzew. Pamiętali też o Michelle.

– Nie przyjechała radiowozem i nie miała na sobie munduru.

Lewis przejechał dłonią po twarzy.

– Nie widziałem, co miała pod kurtką. Byłem trochę zajęty. I nie panikuję.

– Założę się, że nie była na służbie. Przyjechała sprawdzić to wezwanie. Nie dotarła do niej wiadomość o fałszywym alarmie.

– Nie była na służbie, mówisz – zadrwił Lewis. – No popatrz, a mało brakowało i odstrzeliłaby ci łeb. – Powiedział to takim tonem, jakby podał koronny argument.

Tobie też mogła odstrzelić łeb, pomyślał Hart.

– Wielu gliniarzy nosi spluwy przez cały czas. Przepisy.

– Wiem. – Lewis patrzył na taflę jeziora. – Słyszałem huk uderzenia, ale nie jestem pewien czy potem był plusk.

– Ja nie słyszałem, żeby samochód wpadł do wody. Ta strzelba jest bardzo głośna. Nie używam takiego sprzętu.

– Powinieneś zacząć, chłopcze. Najlepsza broń. Bez dwóch zdań. Nie ma to jak dwururka. Kolesie sikają po nogach ze strachu.

Najlepsza broń.

Szli pochyleni i ostrożni. Hart stracił orientację w gęstym lesie. Widział dróżkę, ale nie miał pojęcia, w którym miejscu stoczyło się auto. Perspektywa zdawała się zmieniać z każdym krokiem.

Lewis przystanął i podrapał się w kark.

Hart spojrział na niego z uwagą.

– Trafiała cię?

– Nie. Jestem zdrów jak ryba. Uchyliłem się w porę. Mam szósty zmysł, zawsze wyczuję zbliżający się pocisk. Jak w „Matriksie”. Świetny film. Mam wszystkie części. Oglądałeś?

– Nie. – Hart nie miał pojęcia, o czym mowa.

– Rety. Nie wychodzisz zbyt często z domu, co?

Coś się poruszyło w pobliskich krzakach. Lewis podniósł strzelbę. Jakieś zwierzę – borsuk, kojot albo pies – przebiegło szybko po trawie. Lewis odbezpieczył broń.

– Nie, nie, nie... – zaprotestował Hart. – Hałas zdradzi, gdzie jesteśmy.

Poza tym nie strzela się bez potrzeby. Ani do zwierząt, ani do ludzi, pomyślał. Kogo ze sobą tu przywiozłem...

– Jak załatwimy gnoja, to już nas więcej nie przestraszy – wymamrotał Lewis.

Ty jesteś przestraszony, ja nie, pomyślał Hart. Rzucił kamieniem, by spłoszyć zwierzę. Odeszło niespiesznie, jakby ludzie niewarci byli uwagi. Hart przyjrzał się śladom łap pozostawionym w błocie. Nie wierzył w przesady, a teraz nasunęła mu się myśl, że te ślady mają ich przed czymś ostrzec. Znajdowali się na obcym terenie, w nie swoim świecie. To miejsce do mnie należy, zdawało się komunikować leśne stworzenie. Nic tu po was. Nie potraficie patrzeć tak, aby dostrzec to co ważne.

Po raz pierwszy tego dnia Hart poczuł ukłucie prawdziwego strachu. Nie bał się tak nawet wtedy, kiedy do niego strzelano.

– Jebany wilkołak. – Lewis wpatrywał się już w brzeg jeziora.

– Ona nie żyje. Na pewno. Wynośmy się stąd. Po tym, co się tam stało, rezygnuję z roboty. – Wskazał brodą dom Feldmanów. – To za bardzo popieprzone jak dla mnie. Złapiemy na szosie okazję i zlikwidujemy kierowcę. Za dwie godzinki będziemy z powrotem w mieście.

– Strzelił palcami.

– Chcę się przekonać, czy się przekąpała – rzekł Hart.

Lewis westchnął, zniecierpliwiony jak nastolatek. Podążył za Hartem. Ukradkiem i po cichu zbliżali się ku kamienistemu zboczowi, co jakiś czas przystając.

Młodszy mężczyzna przyglądał się ciemnej, pomarszczonej tafli jeziora.

– Nie podoba mi się to miejsce – oznajmił Lewis. – Jest złowieszcze.

Zachowywał się zbyt głośno. Hart z trudem zachowywał cierpliwość. Postanowił przejąć kontrolę nad sytuacją. Stąpał po kruchym lodzie.

– Niepotrzebnie się odzywałeś wtedy w domu. Mogłem ją podejść z nienacką od tyłu.

– A więc to moja wina, twoim zdaniem?

– Mówię tylko, że trzeba bardziej uważać. A w jadalni zagadałeś do niej, zamiast strzelać.

– Nie wiedziałem, że jest glina – bronił się Lewis, a jego oczy rzucały gniewne błyski. – Skąd mogłem wiedzieć? Zachowałem się jak należy, kolego.

Co za idiota, pomyślał Hart.

– Nienawidzę tego przekłętego miejsca – mruknął Lewis. Potarł szczecinę na głowie i pomacał się po uchu. Zmarszczył czoło, dopiero po chwili przypomniał sobie, co zrobił z kolczykiem. – Mam pomysł. Do szosy jest z półtora kilometra?

– Mniej więcej.

– Weźmy forda. Wymienimy przednie koło. Tylne zostawimy, jakie jest. Kapujesz? To wóz z napędem na przednie koła. Jakoś się dotelepiemy. Na szosie ktoś się zatrzyma, żeby nam pomóc. Załatwimy go tak, że nawet nie poczuje, i zabierzemy jego wóz. Wrócimy do domciu. Pojedziemy do Jake'a. Byłeś tam kiedyś?

– Nie – odpowiedział z roztargnieniem Hart, nie spuszczać wzroku z powierzchni wody.

Lewis jęknął.

– I ty nazywasz siebie rodowitym mieszkańcem Milwaukee! Najlepszy bar w mieście. – Zerknął na jezioro. – Myślę, że to było w tamtym miejscu. – Wskazał punkt odległy o jakieś pięćdziesiąt metrów na południe. – Hart, ona dostała w głowę. Nie żyje. Zginęła od kuli albo utonęła.

Może, pomyślał Hart.

Jednak wciąż miał przed oczyma obraz kobiety stojącej na podjeździe domu Feldmanów. Nie uciekła, nie wpadła w panikę. Stała dumnie, brązowe włosy miała ściągnięte do tyłu. Kluczyki do samochodu ścisnęła w jednej dłoni, w drugiej trzymała broń. Czekała na niego.

Oczywiście nie wykluczał, że mogła utonąć przygnieciona dwiema tonami blachy na dnie jeziora. Ale na pewno nie poddałaby się bez walki.

– Upewnijmy się, nim pojedziemy.

Kolejny jęk.

– Kilka minut nas nie zbawi – tłumaczył cierpliwie. – Rozdzielmy się. Ty przeszukaj prawą stronę ścieżki, ja przeszukam lewą. Jeśli kogoś zobaczysz, od razu strzelaj.

Na widok miny Lewisa powstrzymał się przed dodaniem, żeby nie gadał do ofiary.

– Zgoda? – spytał zamiast tego.

– Od razu strzelać. Tak jest, kapitanie. – Lewis zasalutował szyderczo.

Leżała z głową opartą o śliski od alg kamień, zanurzona po szyję w lodowatej wodzie. Szczękała zębami z zimna, bolał ją opuchnięty policzek, oko pulsowało. Z trudem chwytiała oddech.

Splunęła krwią pomieszaną z benzyną. Spróbowała wytrząsnąć wodę z uszu. Nie udało się, nadal słabo słyszała. Zaniepokoiła się, że ma przebity bębenek. Po chwili z lewego ucha pociekła jej woda i odzyskała słuch.

Wydostawszy się z wraku na dnie jeziora, usiłowała wypłynąć na powierzchnię, lecz przeszkadzało jej grube, ciężkie ubranie i buty. Chwytała się desperacko kamieni i z morderczym wysiłkiem powoli wspinała się ku górze. Wychyła na powierzchnię i łapczywie wciągnęła powietrze.

Musiała się spieszyć. Starła się bardzo, ale ciało się buntowało, ubranie ciągnęło w dół, ręce ześlizgiwały się z pokrytych mułem głazów i znów zniknęła pod wodą. Chwyciła się jakiegoś kamienia, podciągnęła na powierzchnię.

Widziała wszystko jak za mgłą, mięśnie odmawiały jej posłuszeństwa.

– Nie mam zamiaru tutaj umrzeć – mówiła sobie, zbierając wszystkie siły.

Wreszcie udało jej się wydostać na brzeg. Przeczłogała się przez szuwary, zgniłe liście i śmieci. Zimne powietrze doskwierało bardziej niż woda.

Będą jej szukać. Szybko zlokalizują miejsce, gdzie utonął samochód. Nie mogła sobie pozwolić na żadną zwłokę. Zaczęła iść na czworakach. Za wolno. Usiłowała wstać na nogi, co zakończyło się upadkiem. Mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Przestraszyła się, że złamała nogę, a nie czuje bólu z powodu zimna i szoku. Sprawdziła – kości wydawały się całe. Wstała, przez chwilę walczyła o utrzymanie równowagi, po czym pokuśtykała w kierunku Lake View Drive.

Cała twarz jej pulsowała z bólu. Dotknęła rany na policzku i odnalazła językiem miejsce po zębie. Skrzywiła się i splunęła krwią.

Moja biedna szczęka, pomyślała. Kilka lat temu przeszła serię zabiegów rekonstrukcyjnych po urazie. Czyżby cała praca chirurgów plastycznych poszła na marne? Zbierało jej się na płacz.

Pokonywała strome kamieniste zbocze, chwytając się gałęzi drzew. Przyświecał jej półksiężyc. Obejrzała się za siebie w nadziei, że znajdzie swoją broń. Glock wypadł z samochodu w czasie spadania. Leżał teraz gdzieś w ciemnych krzakach, znalezienie go było mało prawdopodobne.

Sięgnęła po kamień przypominający kształtem ostrze siekiery. Wpatrywała się w niego z błyskiem szaleństwa.

Przypomniała sobie wtedy własne słowa skierowane do syna. Zastała go

zdyszanego i zalanego krwią po bójce ze szkolnym kolegą Carlem Bedermierem. Obejrzała rany i kierując się wiedzą z kursu pierwszej pomocy, oświadczyła, że nic mu nie będzie.

– Kochanie, czasem trzeba walczyć, a czasem rozsądniej jest uciec. Zazwyczaj rozsądniej jest uciec – dodała.

Powinna zastosować się do własnych rad i biec co sił w nogach. Popatrzyła na kawałek granitu w dłoni, upuściła go i kontynuowała wspinaczkę. Prawie na samej górze omsknęła jej się stopa. Grad żwiru spadł na dół z hurgotem. Upadła na brzuch, wdychała zapach zbutwiałych liści i mokrych kamieni. Nikt nie przybiegł. Zapewne bandytów na jakiś czas ogłuszyły odgłosy strzelaniny. Postanowiła nie tracić czasu, by jak najlepiej to wykorzystać.

Wreszcie dotarła do ścieżki. Nikogo nie zauważyła, przebiegła prędko i wylądowała w rowie po drugiej stronie. Sapała ciężko. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na odpoczynek. Wspomniała pościg z zeszłego roku. Bart Pinchett w żółtym mustangu GT.

– Czemu się nie zatrzymałeś? – spytała go. – Musiałeś wiedzieć, że i tak cię złapiemy.

Uniósł brew w wyrazie zdumienia.

– Dopóki gnałem naprzód, byłem wolnym człowiekiem.

Wstała z kolan. Zaczęła się wspinać na porośnięte drzewami wzgórze, byle jak najdalej od ścieżki. Dotarła na polanę porośniętą wysoką żółtą i brązową trawą.

Na wprost rysowała się sylwetka domu. Lake View numer 2. Nadal pozostawał nieoświetlony. Pomodliła się, aby sąsiedzi Feldmanów mieli działający telefon. Rozejrzała się wokół. Nie dostrzegła niebezpieczeństwa. Potrząsnęła głową, pozbywając się reszty wody. Wtedy dopiero usłyszała wyraźny odgłos kroków.

Wciągnęła gwałtownie powietrze i rzuciła się do ucieczki. Zaczepiła stopą o gałąź i upadła boleśnie w krzaki obsypane jaskrawym żółtym kwieciem.

Wracali od Rity. Jej dom dzieliło od ich domu półtora kilometra. Graham miał wrażenie, że w Humboldt każde miejsce od każdego innego dzieli najwyżej półtora kilometra.

Zabrał ze sobą Joeya. Wolał nie zostawiać go samego w domu, mimo zapewnień chłopaka, że czuje się już zupełnie dobrze. Na pewno nie odrabiałby lekcji, tylko grał w gry komputerowe, gadał przez internet i wysyłał esemesy. Joey nie pałał entuzjazmem z powodu konieczności

pojechania po babcię, ale był w niezłym humorze. Siedział z tyłu i pisał wiadomość do kolegi. Albo do połowy szkoły.

Odebrali Annę i wrócili do domu. Joey od razu pobiegł na górę, pokonując po kilka stopni naraz.

– Lekcje! – zawołał Graham.

– Dobra.

Usłyszał dzwonek telefonu. Pomyślał, że to Brynn, ale numer na wyświetlaczu był mu nieznany.

– Słucham?

– Witam. Moje nazwisko brzmi Raditzky. Jestem opiekunem wychowawczym Joeya.

Gimnazjum zmieniło się od moich czasów, zadumał się Graham. Nie miałem żadnego opiekuna wychowawczego.

– Graham Boyd. Jestem mężem Brynn.

– Miło mi. Jak się pan miewa?

– Świetnie, dziękuję.

– Czy zastałem panią McKenzie?

– Niestety nie. Coś jej przekazać? A może sam mógłbym pomóc?

Miał silny instynkt opiekuńczy, który realizował między innymi w pracy, zajmując się roślinami. Jego pierwsza żona stanowczo nie widziała się w roli matki, zrezygnowała także z roli żony. A Graham zawsze marzył o własnych dzieciach. Miał świetną intuicję wychowawczą. Od razu wyczuł ostrzegawcze sygnały w tonie głosu pana Raditzky'ego.

– Czy wie pan, że Joey nie był dziś w szkole?

– Jak to? Sam go odwiozłem, bo Brynn musiała wyjść wcześniej do pracy.

– Dał mi dziś rano notatkę podpisaną przez panią McKenzie z informacją o planowanej wizycie lekarskiej. I wyszedł o dziesiątej. Sprawa wyszła na jaw, kiedy dowiedzieliśmy się o jego kontuzji. Sfałszował podpis.

Graham poczuł to samo co w zeszłym roku, kiedy w ogrodzie klienta wdepnął w gniazdo os. Szczęśliwy i beztroski cieszył się pogodnym dniem, kiedy nadszedł niespodziewany atak.

Zerknął w kierunku pokoju pasierba. Zza drzwi dochodziły stłumione odgłosy gry komputerowej.

Lekcje...

– Joey miał wypadek na autostradzie podczas jazdy na deskorolce. Uchwycił się ciężarówki stojącej na światłach.

– Nie wywrócił się na szkolnym podwórku?

- Nie, panie Boyd. Jedna z nauczycielek widziała go na Elden Street.
- Naprawdę na autostradzie?!

To była bardzo ruchliwa trasa dla ciężarówek między Eau Claire i Green Bay, na której mało kto stosował się do ograniczeń prędkości.

– Ciężarówka jechała sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, kiedy się puścił. Miał szczęście, że upadł na trawę i nie jechały za nim inne samochody. Inaczej już by nie żył. Mógł przecież wpaść na słup telefoniczny albo uderzyć w jakiś mur.

– Jezu!

– Ta sprawa wymaga państwa uwagi.

– Oczywiście, panie Raditzky. Przekażę wszystko żonie. Na pewno sama będzie chciała jeszcze z panem porozmawiać.

– Dziękuję, panie Boyd. Jak się czuje Joey?

– Dobrze. Ma tylko kilka zadrapań i otarć.

– Miał więcej szczęścia niż rozumu.

Graham nie dziwił się krytycznej uwadze pedagoga. Już miał się pożegnać, kiedy przypomniał sobie o czymś.

– Panie Raditzky, rozmawialiśmy właśnie wczoraj z żoną o tej bójce, w której Joey brał udział. – Wcale nie rozmawiali, nieco rozminął się z prawdą.

– Zastanawialiśmy się, czy były jakieś dalsze konsekwencje?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

– O której bójce pan mówi?

Chryste, a ile ich było? – zaniepokoił się Graham.

– Chodzi mi o tę zeszłej jesieni.

– A, tak. Poważna sprawa. Październik. Zawieszenie w prawach ucznia.

Wchodząc beztrąsko w gniazdo os... Brynn powiedziała, że na zabawie z okazji Halloween doszło do przepychanki, nic poważnego. Joey został przez parę dni w domu. Źle się czuł, wyjaśniła Brynn. To nie była prawda. Został zawieszony.

– Pani McKenzie poinformowała pana, że rodzice chłopca postanowili nie oddawać sprawy do sądu?

Do sądu? Co ten chłopak zrobił?

– Oczywiście. Martwiliśmy się o tego drugiego ucznia.

– Został przeniesiony. Miał problemy emocjonalne. Prześladował Joeya. Jednak nic nie usprawiedliwia tego, że państwa syn uciekł się do brutalnej przemocy fizycznej. Prawie złamał mu nos.

– Jasne. Po prostu byłem ciekaw.

– Mieliście dziś szczęście. Ta przygoda mogła się bardzo źle skończyć – powiedział z naganą wychowawca.

– Mieliśmy szczęście. – Grahama przeszył zimny dreszcz. O czym jeszcze nie wiedział?

Zwykła przepychanka, mówiła Brynn. Jak to między chłopcami w tym wieku. Joey poszedł na przyjęcie z okazji Halloween przebrany za zawodnika z Green Bay Packers, a ten drugi dzieciak okazał się kibicem Bearsów. Mały konflikt, nic wielkiego. Zatrzymam go przez parę dni w domu. I tak ma grypę.

– Cóż, dziękuję bardzo za troskę. Porozmawiamy z nim.

Po skończonej rozmowie Graham otworzył kolejne piwo. Upił trochę, po czym poszedł do kuchni pozmywać naczynia. Zmywanie go uspokajało. Nie cierpiał odkurzania ani ścierania kurzu. Irytowały go te zajęcia. Nie wiedział czemu. A zmywanie uwielbiał. Może z powodu kontaktu z wodą. Woda to dla architekta krajobrazu esencja życia.

W myślach przygotowywał się na poważną rozmowę z Joeyem. Ułożył w głowie kilka wersji, wszystkie uznał za sztuczne. Nie zamierzał prawić kazania, chciał nawiązać kontakt, porozmawiać. Żaden wykład nie odniesie skutku, nie zmieni myślenia dwunastolatka. Próbował sobie wyobrazić, jak siadają we dwóch do poważnej rozmowy. Nie potrafił. Postanowił dać spokój. Niech Brynn się tym zajmie. Na pewno tak będzie wołała.

Wypadek na autostradzie...

Graham wytarł ręce i wrócił do salonu. Usiadł na zielonej kanapie, niedaleko Anny.

– Brynn dzwoniła?

– Nie, ze szkoły.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Przykro mi, że nie pojechałeś dziś na pokera.

– Nie szkodzi.

– Cieszę się, że odwiedziłam Ritę – mówiła Anna, wracając do robótki na drutach. – Nie zostało jej wiele czasu. – Syknęła z dezaprobatą. – A ta jej córka! Sam widziałeś, prawda?

Od czasu do czasu niezwykle taktowna teściowa zaskakiwała go podobnymi bezkompromisowymi sądami. Nie miał pojęcia, na czym polegało przestępstwo córki Rity, lecz Anna najwyraźniej była o nim przekonana.

– Oczywiście – zgodził się.

Rzucili monetą. Anna wygrała i oglądali jakiś serial komediowy. Graham nie przejął się zbytnio, jego drużyna i tak miała kiepski sezon.

Z zarośli wyłoniła się rozgorączkowana dwudziestokilkuletnia kobieta o zmęczonej twarzy i zaczerwienionych od płaczu oczach. Krótkie ciemnorude włosy, które zazwyczaj pewnie tworzyły modną awangardową fryzurę, teraz były splątane i pełne liści, nie zakrywały zadrapania na czole. Cała się trzęsła, nie tylko z zimna.

To jej kroki wystraszyły Brynn.

– Jesteś przyjaciółką Feldmanów – szepnęła policjantka z ogromną ulgą, ciesząc się, że widzi ją żywą. – Z Chicago?

Dziewczyna skinęła głową, po czym spojrzała w głąb ciemniejącego lasu, jakby spodziewała się ujrzeć tuż przed sobą pościg.

– Nie wiem, co robić – powiedziała z szaleństwem w oczach.

Wydawała się bezradna jak dziecko, jej przerażenie chwyciło za serce.

– Na razie tu zostaniemy – zdecydowała Brynn.

Raz się walczy, raz ucieka...

A czasem trzeba się schować.

Brynn oszacowała wzrokiem nową znajomą. Koleżanka Feldmanów była bardzo modnie i kosztownie ubrana, w markowe dżinsy i kurtkę od znanego projektanta z mięciutkiej jak jedwab skóry wykończoną pięknym futrzanym kołnierzem. W jednym uchu miała trzy złote kolczyki w kształcie kół, w drugim dwa. Prócz tego po jednym diamencie. Na lewym nadgarstku lśniła brylantowa bransoletka, na prawym wysadzany klejnotami rolex. Trudno sobie wyobrazić większy kontrast na tle otaczającego je błota i szarości.

Wokół panowała cisza, jedynie wiatr poruszał gałęzmi i strącał liście. Ziębił Brynn, która miała mokre ubranie.

– Tam – powiedziała, wskazując kryjówkę.

Przezołgały się ku dziurze w ziemi za przewróconym dębem. Od drogi dzieliło ją pięćdziesiąt metrów, a od domu numer dwa sto pięćdziesiąt. Skryły się za zasłoną forsycji, turzycy i starca jakubka. Brynn obejrzała się na dom Feldmanów. Nigdzie ani śladu zabójców.

Nagle, jakby przebudziła się ze snu, młoda kobieta skupiła uwagę na służbowej koszuli Brynn.

– Jesteś z policji. Czy jest was więcej?

– Nie. Przyjechałam sama.

– Twoja twarz... Słyszałam strzały. Ciebie też postrzelili. Jak Steve'a i Emmę. – Głos jej się załamał. – Wezwałaś pomoc?

Brynn pokręciła przecząco głową.

- Masz telefon?
- Został w domu.

Brynn objęła się ramionami, bezskutecznie próbując się ogrzać. Pomyślała, że ta dziewczyna o ładnej twarzy w kształcie serca i długich, idealnie opiłowanych paznokciach nadawałaby się na okładkę magazynu na temat zdrowia i urody. Nawet nie chciała zgadywać, ile kosztowały jej rękawiczki. Nigdy nie czuła tak przejmującego chłodu. Trzęsa się cała. Jeśli natychmiast się nie ogrzeje, straci przytomność.

– Ten dom. – Dziewczyna wskazała posiadłość sąsiadów. – Miałam zamiar wezwać stamtąd pomoc. Chodźmy tam, zadzwonimy na policję i ogrzejemy się. Jest mi potwornie zimno.

– Jeszcze nie – odparła Brynn. Mówienie sprawiało jej ból. – Nie wiemy, gdzie są. Poczekajmy, aż się dowiemy. Oni też mogą tam pójść. Nie jesteś ranna?

– Boli mnie noga w kostce. Przewróciłam się.

Brynn miała doświadczenie z różnego rodzaju urazami. Odpięła włoskie kozaki i zbadała nogę przez czarne podkolanówki. Na szczęście nie była złamana, prawdopodobnie zwykłe skręcenie. Złota bransoletka na kostce młodej kobiety zapewne pokryłaby dwanaście rat za samochód Brynn i Grahama.

Przyjaciółka Feldmanów wpatrywała się w dom, zagryzając nerwowo wargę.

- Jak masz na imię?
- Michelle.
- Ja się nazywam Brynn McKenzie.
- Brynn?

Skinęła głową. Nikomu nie tłumaczyła, skąd pochodziło jej imię.

- Pracuję w biurze szeryfa. – Wyjaśniła, dlaczego przyjechała.
- Znasz napastników?
- Nie.

Brynn mówiła z coraz większym wysiłkiem.

– Muszę zdecydować, co dalej robić – szepnęła. – Opowiedz, co się wydarzyło.

– Spotkałam się z Emmą po pracy, pojechałyśmy po Steve’a, a potem tutaj. Byliśmy tu około piątej, wpół do szóstej. Poszłam na górę wziąć prysznic, usłyszałam huk na dole. Sądziłam, że kuchenka eksplodowała albo komuś spadło coś ciężkiego. Zbiegłam na dół i zobaczyłam dwóch mężczyzn. Oni

mnie nie zauważyli. Jeden z nich odłożył broń na stolik pod schodami. Wzięłam ją. Stali w kuchni, rozmawiali nad... nad zwłokami. Patrzyli w dół z takim wyrazem twarzy... – Zamknęła oczy. – Nie potrafię tego opisać. Jakby mówili: „No, dobra, zastrzeliliśmy ich. Nic wielkiego. Co teraz?”. – Głos jej się załamał. – Jeden z nich zajrzał do lodówki.

Brynn przez cały czas przeszukiwała wzrokiem las, słuchając relacji dziewczyny, która tłumiała łzy.

– Bez zastanowienia do nich podeszłam. Byłam otępiała. Ten z długimi włosami zaczął się odwracać w moją stronę. Wtedy nacisnęłam spust. Tak po prostu. Rozległ się straszny huk... Chyba nie trafiłam.

– Odniosłam wrażenie, że jeden z nich jest ranny. Właśnie ten z długimi włosami.

– Ciężko ranny?

– W rękę.

– Powinam była... Powinam była kazać im podnieść ręce do góry. Sama nie wiem. Zaczęli do mnie strzelać i straciłam głowę. Uciekłam. Nie miałam kluczyków do samochodu. – Na jej twarzy pojawił się wyraz niesmaku. – Zrobiłam coś bardzo głupiego... Przestrzeliłam opony w obawie, że za mną pojadą. Gdybym tego nie zrobiła, może by już odjechali... Idiotka ze mnie!

– Wszystko w porządku. Nikt nie myśli trzeźwo w takich chwilach. Nadal masz broń?

Błagam, myślała Brynn. Tak bardzo jej potrzebuję.

Michelle pokręciła przecząco głową.

– Zużyłam cały magazynek i wyrzuciłam ją w krzaki pod domem. Żeby nie mogli znaleźć. Potem uciekłam. Przecież jesteś policjantką. Ty powinnaś mieć broń.

– Miałam. Wypadła mi podczas wypadku.

Michelle ogarnęło niezdrowe pobudzenie, niemal euforia.

– Wiesz co? Widziałam kiedyś taki program, chyba na Discovery... Wydarzył się poważny wypadek samochodowy, ofiara straciła mnóstwo krwi, spędziła wiele dni sama w lesie. Powinna była umrzeć, ale coś się stało... Organizm sam z siebie zatrzymał krwotok. Lekarze zdołali ją uratować i...

Brynn miała już do czynienia z tego rodzaju reakcją pourazową. Wiedziała, że najlepiej powiedzieć prawdę.

– Przykro mi. Byłam tam, w kuchni. Widziałam ich. Niestety nie żyją.

Michelle jeszcze przez chwilę trzymała się ostatniego promyka nadziei.

Potem poddała się, pochyliła głowę.

– Czego oni od was chcieli? – Brynn skrzywiła się. Przygryzła język. Oczy zaszkliły jej się od łez. – Czy to napad rabunkowy?

– Nie wiem.

Trzęsła się coraz bardziej. Jej niepomalowane paznokcie miały ten sam kolor, co pociągnięte śliwkową emalią wypielęgnowane paznokcie Michelle.

– Poznałyście się z Emmą w pracy. Też jesteś prawniczką?

– Nie. Pracowałam jako asystentka w Milwaukee przez krótki czas, nim przeprowadziłam się do Chicago. Wtedy się poznałyśmy. To był tylko sposób na zarabianie. Tak naprawdę jestem aktorką.

– Rozmawiałyście o sprawach, które prowadziła Emma?

– Nie, raczej nie.

– Może wpadła na trop jakiejś afery.

Michelle zachłysnęła się powietrzem.

– To znaczy, że przyszli specjalnie, by nas zabić?

Brynn wzruszyła ramionami. Obróciła się nerwowo, słysząc trzask pękającej gałęzi. W odległości dwudziestu kroków leniwie przeszedł borsuk, na swój własny sposób sprawiał niezwykle dystyngowane wrażenie.

W Wisconsin nie brakowało tych zwierząt.

– Czy ktoś zacznie cię szukać po jakimś czasie nieobecności? – spytała Brynn.

– Mój mąż. Tylko że on jest teraz w podróży. Mieliśmy się zdzwonić rano. Dlatego przyjechałam tu z Emmą i Michelle. Nie chciałam spędzać weekendu sama.

– Patrz. – Brynn wskazała dom Feldmanów. Po trawniku tańczyły światła dwóch latarek. – Tam są. Biegnijmy do drugiego domu.

Lewis i Hart znaleźli ślady świadczące o tym, że policjantka wpadła do jeziora.

– Nie ma mowy, żeby przeżyła – uznał Lewis, wpatrując się z niesmakiem w toń, jakby spodziewał się, że lada moment wypełzną z niej potwory. – Ja stąd spadam. Chodź, Hart. Do Jake’a. Muszę się napić browara. Stawiasz pierwszą kolejkę, przyjacielu.

Wrócili do domu Feldmanów. Ogień w kominku się wypalił, Hart pogasił wszystkie światła. Schował do kieszeni poplamione swoją krwią rzeczy, których używał przy opatrywaniu rany. Nie zawracał sobie głowy zbieraniem łusek po nabojach. Obaj ładowali broń w rękawiczkach.

Wytarł wszystko, czego Lewis dotknął gołymi dłońmi.

– Zabierz to – powiedział z irytacją, wskazując na torebkę Michelle.

Lewis schował ją do kieszeni kurtki. Sięgnął do barku po wódkę.

– Kurde. Ale to dobre – zachwycił się, pociągając łyk z butelki.

Hart odmówił poczęstunku, chciał zachować jasność myślenia. Lewis potraktował jego niechęć jako krytykę picia alkoholu podczas pracy. Nie był daleki od prawdy. Przynajmniej nie zdjął rękawiczek, pomyślał Hart.

– Za bardzo się wszystkim przejmujesz. – Lewis się roześmiał.

– Wiem, co robię, mój drogi. Wiem, kto pracuje w takich dziurach.

Nie pozwoliłbym sobie na luz w Milwaukee czy St. Paul, ale tu gliniarze w niczym nie przypominają tych z seriali kryminalnych. I sprzęt mają kiepsciutki. Wiem, co wolno, a czego nie.

Wytarł szyjkę butelki rękawem przed odstawieniem jej na miejsce. Ten drobny gest udzielił Hartowi cennej wskazówki na temat charakteru Comptona Lewisa. Rozpoznał skłonność do agresji wynikającą z kompleksów. Widział ją u wielu mężczyzn, między innymi u własnego brata. Przejmowała władzę nad człowiekiem, jak elektryczna obroza kontroluje psa.

Wrócili na podwórze. Lewis zabrał się do wymieniaania przedniej opony w fordzie. Hart wyrzucał sobie krótkowzroczność, która doprowadziła do komplikacji. Powinien był zwrócić uwagę na sygnały ostrzegawcze. Nie znosił niekompetencji. Zwłaszcza u siebie. Kiedyś odwołał zlecenie w St. Louis, bo się zorientował, że „park”, przez który ofiara przechodziła w drodze z pracy do domu – rzekomo idealne miejsce na przeprowadzenie akcji – to plac zabaw pełen małych energicznych świadków. W trakcie przygotowań obejrzał to miejsce dwukrotnie, za każdym razem wcześniej rano, kiedy dzieci były jeszcze w szkole.

Rozejrzał się wokół. Nie wykluczał, że coś przegapił i zostawił po sobie obciążający dowód. Na szczęście Lewis prawdopodobnie się nie mylił: tutejsza policja to nie obsada „Zagadek kryminalnych”. Nie oglądał telewizji, ale mniej więcej się orientował, o co chodzi. Zaawansowana technologia i tak dalej.

Dręczyło go wspomnienie zwierzęcia, które pozostawiło po sobie ślady łap. Zupełnie nie zwracało uwagi na ludzi, którzy wkroczyli na jego terytorium. Teraz bezpośrednio zagrożenie stanowiły nie mikroskopy i komputery. Mieli do czynienia z czymś o wiele bardziej prymitywnym. Wstrząsnął nim dreszcz niepokoju.

Pracujący przy samochodzie Lewis zerknął na zegarek.

– Wrócimy do cywilizacji przed dziesiątą trzydzieści. Chłopie, już czuję w ustach smak piwka i hamburgera.

Nie ma alarmu – szepnęła Brynn, marszcząc brwi.

– Co? – Michelle nie dosłyszała.

– Nie mają alarmu – powtórzyła powoli Brynn.

Wygląd rezydencji świadczył o zamożności właścicieli. Czemu nie zabezpieczyli posesji?

Wybiła łokciem szybę w drzwiach, weszły do domu od kuchni. Brynn podbiegła do kuchenki i chciała włączyć palnik, żeby się ogrzać. Niestety gaz został odcięty. Nie miały czasu szukać zaworu. Pomodliła się w myślach o jakieś suche ubrania. W domu nie było dużo cieplej niż na zewnątrz, ale przynajmniej nie wiało.

Dotknęła ręką żuchwy. W zimne dni często ją bolała. Czasem się zastanawiała, czy ten ból nie pochodzi z jej wyobraźni.

– Nie mamy chwili do stracenia. Poszukajmy telefonu. Albo komputera, żeby wysłać wiadomość. – Joey wiecznie przesiadywał w sieci. Mogłaby mu wysłać list elektroniczny. Sformułowany tak, żeby się nie zdenerwował, ale zareagował natychmiast.

Już wiedziały, że nie uciekną samochodem. Garaż, do którego zajrzały, był pusty.

– Może znajdziemy jakąś broń. Co prawda na terenie parku polować nie wolno, ale niewykluczone, że coś mają. Choćby łuk.

– I strzały? – Michelle była przerażona perspektywą strzelania do człowieka. – Nie potrafiłabym go użyć.

Brynn bawiła się kiedyś w strzelanie z łuku na letnim obozie. Szybko sobie wszystko przypomni w razie konieczności. Pograżona we własnych myślach nie zauważyła odejścia dziewczyny, póki nie usłyszała, że Michelle rozpala w kominku.

– Nie – zaprotestowała Brynn, szcękając zębami.

– Czemu nie? Zaraz zamarznę, wszystko mnie boli z zimna.

Nieemożliwe, pomyślała Brynn z przekąsem.

– Dym może nas zdradzić.

– Jest ciemno. Nie zauważą.

– Nie możemy ryzykować.

Michelle z niechęcią wzruszyła ramionami.

W kominku nie paliło się na tyle długo, by już zdradzić ich obecność.

– Mamy mało czasu – ponaglała Brynn. Elektroniczny zegar wskazywał 8:21. – Telefon, komputer, broń. Migiem. Zanim zdecydują się tu przyjść.

Wokół panowała całkowita ciemność. Musiały szukać po omacku. Czuły ogromną frustrację na myśl, że ocalenie może się znajdować tuż- -tuż, a one go nie znajdują. Michelle poruszała się powoli i ostrożnie.

– Szybciej – popędzała ją Brynn.

– Boję się trafić na czarną wdowę. Wiem, że tu są. Znalazłam jedną w swoim pokoju w zeszłym roku, kiedy przyjechałam z wizytą do Steve’a i Emmy.

Akurat w ich sytuacji pająki stanowiły najmniejszy problem.

Przez dziesięć minut gorączkowo przetrząsały szuflady, szafy, kosze z papierami i osobistymi rzeczami gospodarzy. Brynn ucieszyła się na widok telefonu komórkowego. Okazało się jednak, że to stara nokia z uszkodzoną anteną i bez baterii. Nie udało się znaleźć ładowarki.

– Cholera. Szukaj dalej na dole, ja idę na górę.

Michelle skinęła niepewnie głową. Nie zachwycała jej perspektywa samotności. Pająki...

Przeszukanie piętrowego domu nie zaowocowało pożądanymi znaleziskami. Brynn wyjrzała przez okno i postanowiła zrezygnować z wyprawy na strych. Światła latarek nadal tańczyły wokół domu Feldmanów, lecz lada chwila mogły się zbliżyć.

Nie odważyła się włączyć światła, choć bardzo go potrzebowała. Kontynuowała przeszukiwanie pomieszczeń po omacku. Skoncentrowała się na głównej sypialni. Przetrasnęła szuflady i szafy. Znalazła suche ubranie. Zdjęła mokrą kurtkę i mundur, przebrała się w jak najciemniejsze rzeczy: granatowe spodnie, dwie męskie koszulki i grubą bluzę. Zmieniła też skarpetki. Nie udało jej się natomiast znaleźć butów na zmianę i mimo że stopy miała już całe w pęcherzach od chodzenia w przesiąkniętych wodą półbutach, musiała je włożyć z powrotem. Znalazła za to czarną kurtkę narciarską. Wreszcie było jej ciepło. Omal nie rozpląkała się z ulgi.

Przeszukała apteczkę w łazience. Wyczuła butelkę o kanciastych kształtach. Odkręciła ją i powąchała zawartość. Spirytus. Urwała kawałek papieru toaletowego i zdezynfekowała ranę na policzku. Jęknęła z bólu, z trudem udało jej się utrzymać na nogach. Potarła też policzek od wewnątrz. Zabolalo dziesięć razy bardziej. Pochyliła głowę w dół, żeby zapobiec omdleniu. Wzięła głęboki oddech.

– Już dobrze – szepnęła, kiedy ból zelżał. Schowała buteleczkę do kieszeni i zbiegła na dół.

– Znalazłaś coś? – spytała Michelle.

– Nie.

– Ja szukałam... ale bardzo się boję. Nie odważyłam się zejść do piwnicy.

Brynn zeszła na dół. Ponieważ w piwnicy nie było okien, zapaliła światło. Podziemna część budynku składała się z niezliczonych korytarzy i małych pomieszczeń, które świetnie nadawały się na kryjówki. Jednak nie było w niej nic, co pozwoliłoby skontaktować się ze światem zewnętrznym lub posłużyć do obrony przed napastnikami. Brynn wróciła do kuchni.

– Znalazłam to – szepnęła Michelle, pokazując zestaw noży kuchennych.

Brynn dotknęła kciukiem ostrza jednego z nich. Światła latarek nadal poruszały się w ogrodzie Feldmanów. Wpadła na pewien pomysł.

– Zdaje się, że gdzieś widziałam stół bilardowy.

– Chyba za jadalnią.

Szybko ruszyły w tamtym kierunku.

– Przyjechałam tu trasą numer osiemdziesiąt dwa, od wschodu. Za Clausen prawie nie widziałam siedzib ludzkich, jeśli nie liczyć kilku przyczep i drewnianych bud w oddali. Dziesiątki kilometrów i ani żywego ducha. Czy dalej na zachód są jakieś sklepy, stacja benzynowa? Budka telefoniczna?

– Nie wiem. Nigdy tamtędy nie jechałam.

Weszły do przestronnej bawialni, w której mieścił się barek, stół bilardowy i regały z tysiącami książek. Dekoder cyfrowy pod telewizorem wskazywał godzinę 8:42.

Brynn całkiem już się rozgrzała w suchym ubraniu. Przyszło jej na myśl, że to dziwne, iż całkiem zatraciła nawet wspomnienie przenikliwego chłodu. Pamiętała go na poziomie intelektualnym, ale nie potrafiła przywołać tamtego silnego odczucia.

Omiotła wzrokiem pomieszczenie. Patrzyła na pamiątki i trofea sportowe, butelki z trunkami, fotografie rodzinne, wieszak z kijami do bilardu, bile ułożone w trójkąt na środku zielonego sukna. Zaczęła przetrząsać szuflady regału. Nie znalazła ani pistoletu, ani telefonu.

– Poszukajmy mapy.

Zająły się przeglądaniem półek z książkami i stosów papierów. Nagle Michelle krzyknęła cicho. Brynn odwróciła się błyskawicznie.

– Ktoś jedzie!

Upadły na kolana pod oknem. Patrzyły na powoli oddalające się światła samochodu.

– Czy za Feldmanami jeszcze ktoś mieszka? – spytała Brynn. Wydawało jej się, że są tu tylko trzy domy.

– Nie wiem. Może to jakiś sąsiad. Albo policja! Wysłali za tobą radiowóz, a myśmy go nie zauważyły. Zdażymy go zatrzymać, jeśli pobiegniemy! Chodźmy! – Michelle zerwała się i pobiegła w stronę drzwi.

– Poczekaj! – powstrzymała ją Brynn ostrym szeptem.

– Za parę minut już ich nie będzie! Oszalałaś?! Nie ma na co czekać!

Brynn uniosła dłoń.

– Nie, Michelle. Przyjrzyj się.

W świetle księżycy mogły dostrzec teraz więcej szczegółów. Odjeżdżającym samochodem był należący do zabójców ford.

– O nie – wycedziła Michelle przez zęby. – Jakim cudem odjechali z podziurawionymi oponami?

– Przestrzeliłaś dwie. Wymienili przednią, a drugą ciągną za sobą. Widzisz, jak się kurzy?

– Chyba daleko tak nie zajadą?

– Wiele kilometrów, jeśli nie będą za bardzo szarżować.

Przez chwilę jeszcze patrzyły na auto oddalające się krętą drogą w upiornym czerwonym świetle reflektorów i smudze kurzu. Wkrótce zniknęło za drzewami.

Michelle westchnęła z ulgą.

– Odjechali... Teraz już wszystko będzie dobrze, prawda? Poczekamy na pomoc. Zapalmy w kominku, błagam. Muszę się rozgrzać.

– Zgoda. – Brynn wpatrywała się w zakręt, za którym zniknął samochód. – Możemy zapalić w kominku.

To był dobry strzał. Trafiłeś ją z dużej odległości – odezwał się Hart do siedzącego za kierownicą Lewisa. Samochód podskakiwał na wybojach.

Compton parsknął lekceważąco, ale nie zdołał ukryć zadowolenia z pochlebstwa.

– Chciałem ją załatwić. Dlatego celowałem wysoko, nie w opony. Wziąłem też pod uwagę siłę wiatru. I nie strzeliłem w opony, co? Widziałeś?

– Widziałem.

– Nieźle ją załatwiłem. Nie spodziewała się tego.

– Kto mógł się spodziewać?

– Hej, Hart? – odezwał się Lewis po chwili milczenia.

– Tak? – Hart wpatrywał się w otaczający ich leśny gąszcz.

– Nie powinienem był się odzywać. W sprawie tych kluczyków.

– Jakich kluczyków?

– No, wiesz... Kazałem tej policjantce je oddać. Wydałem nas... Miałeś rację. Dałem się ponieść emocjom. Mój brat twierdzi, że zawsze coś palnę, zanim pomyślę. Powinienem nad tym popracować.

– Nie wiedzieliśmy, że jest glina. Nie sposób zawsze nad wszystkim zapanować. Za to potem oddałeś świetny strzał.

Wnętrze samochodu wypełnił smród palonej gumy i rozgrzanego metalu. Hart spojrzał do tyłu.

– Cholera! – szepnął.

– Co tam widzisz?

– To chyba ona. Tak! Policjantka.

– Co?! Wylazła z jeziora? Kurwa mać! Gdzie jest?

– W tym drugim domu.

– Na pewno ci się nie przywidziało?

– Widziałem ją wyraźnie w oknie.

– Ja nawet nie mogę dojrzeć domu.

– Przez chwilę miałem widok między drzewami. Pewnie sądziła, że już odjechaliśmy, i wyjrzała. Człowieku, głupio z jej strony.

– Obie tam są?

– Nie wiem. Widziałem tylko policjantkę. – Zamilkł na moment. Lewis dalej jechał przed siebie. – Nie wiem, co robić. Całkiem nieźle sobie radzimy z tym jednym flakiem z tyłu.

– Mogło być gorzej – zgodził się Lewis.

– Za dziesięć minut dojechalibyśmy do głównej trasy. Marzę o tym, żeby stąd spieprzać jak najprędzej.

– Amen.

– Musielibyśmy sobie odpuścić zemstę. Omal mnie nie załatwiła, kula przeleciała kilka centymetrów od mojej głowy. Nie jestem tak dobry w unikach jak ty.

– Prawda – roześmiał się Lewis.

– Bezpieczniej byłoby się jej pozbyć. Zwłaszcza że zna moje nazwisko. – Hart wzruszył ramionami. – Sam nie wiem. Ty zdecyduj. Załatwić ją czy nie?

Lewis zastanawiał się przez moment, po czym uniósł stopę z gazu.

– Pewnie, że załatwić. Może są razem z tamtą drugą, Michelle... Jej bym chętnie przefasonował buźkę.

– Dobra, robimy to. – Hart rozejrzał się i wskazał podjazd koło domu z numerem jeden. – Jedź naokoło ze zgaszonymi światłami. Zajedziemy je od tyłu, w życiu się nie zorientują.

Lewis wyszczerzył się w uśmiechu.

– Czas na rewanż. Hart, ty skurczybyku. Wiedziałem, że cię na to stać.

Hart roześmiał się krótko i wyjął pistolet zza paska.

W rzeczywistości nie zobaczył nikogo w oknie. Podobnie jak Lewis, nie widział nawet samego domu. Instynkt podpowiadał mu, że policjantka tam się ukrywa. Wiedział, że przeżyła wypadek. Zauważył ślady stóp na brzegu jeziora. Musiała udać się do najbliższej kryjówki. Czyli do domu sąsiadów. Nie dzielił się z Lewisem swoimi przemyśleniami. Jego partner chciał jak najprędzej znaleźć się w Milwaukee. Dużo mówił na temat odnalezienia i zabicia kobiet, ale Hart wiedział, że to tylko groźby bez pokrycia. Nie będzie mu się chciało, kiedy poczuje się bezpiecznie. Aż do chwili, gdy przyjdą go aresztować w środku nocy. Wszelkie próby wywarcia na nim presji, żeby zostali i spróbowali zapolować na uciekinierki, zakończyłyby się buntem Lewisa oraz wielką kłótnią.

Hart nie potrzebował trzeciego wroga.

Postanowił wykorzystać kompleksy Lewisa. Zamanipulować nim komplementami i pozornym przekazaniem kontroli nad sytuacją.

Hart funkcjonował w swoim środowisku pod przydomkiem „Rzemieślnik”. W wolnym czasie lubił zajmować się stolarstwem. Świetnie posługiwał się różnymi narzędziami. Również psychologicznymi. Ani przez chwilę nie planował powrotu do miasta. Zamierzał zabić obie kobiety, nawet gdyby musiał je ścigać przez całą noc i następny dzień z policją depcząca mu po piętach.

Bardziej niż na śmierci Michelle zależało mu na policjantce. Po prostu nie mógł pozwolić jej żyć. Stanowiła zagrożenie. Nie potrafił o niej zapomnieć. Stała wyprostowana i czekała na niego. Wydawało mu się, że przez chwilę ujrzał błysk satysfakcji w jej oczach. Była jak myśliwy. Podobna do niego.

W porę padł na ziemię. Uratował go własny instynkt przetrwania. Oraz fakt, że przezornie nie wypuściła z ręki kluczyków do samochodu i celowała tylko jedną. Słyszał świst kuli przelatującej mu koło ucha. Znalazł się w tamtym momencie bliżej śmierci niż wtedy, kiedy został trafiony przez Michelle.

Poleciał Lewisowi, aby zaparkował pod numerem jeden, za kępą krzaków i zarośli. Wsiedli i ruszyli szybkim krokiem przez las w stronę domu numer dwa. Obeszli naokoło stertę suchych liści, żeby nie narobić hałasu. Jak długo było możliwe, zamierzali korzystać z osłony drzew.

Odwrócili się gwałtownie, słysząc za plecami chrzęst łamanej gałązki.

Lewis sięgnął nerwowo po strzelbę. Zobaczyli to samo zwierzę, które wystraszyło ich wcześniej. Pies, kojot, może wilk, zgadywał Hart. Nie wiedział, czy lasy Wisconsin zamieszkują wilki.

Czworonożny mieszkaniec lasu zachowywał bezpieczną odległość. Jedyne zagrożenie stanowił Lewis, który strzelając, zaalarmowałby osobę ukrywającą się w domu. Nie zrobił tego, a zwierzę zniknęło. Mężczyźni obserwowali dom przez długą chwilę. Nie zauważyli przez okna żadnego ruchu w środku. Hartowi wydało się, że słyszy głosy, lecz uznał, iż to poruszający suchymi liśćmi wiatr daje złudzenie, jakby ktoś mówił żałobnym tonem.

W środku nie paliło się żadne światło, panowała cisza i bezruch. Czyżby nie miał racji, zakładając, że policjantka schroniła się właśnie tutaj? Nagle zmrużył oczy i klepnął Lewisa w ramię. Z komina unosiła się cienka smuga dymu. Lewis wyszczerzył się w uśmiechu. Podeszli bliżej, skrywając się za krzakami jagód, które rozciągały się szerokim pasem od skraju lasu aż po samą werandę z tyłu domu. Hart trzymał swobodnie pistolet przy boku, z palcem tuż przy spuście. Lewis kurczowo ścisnął strzelbę.

Zatrzymali się przed drzwiami. Popatrzyli na wybitą szybę i ślady dwóch par stóp.

Lewis uniósł kciuk do góry. Zrzucił strzelbę na ramię i otworzył drzwi.

Hart uniósł dłoń w ostrzegawczym geście.

– Pamiętaj, że przynajmniej jedna z nich może mieć broń – szepnął. – I lepiej załóżmy, że się nas spodziewają.

Lewis uśmiechnął się pogardliwie, dając do zrozumienia, jak niskie ma mniemanie o przeciwnikach. Hart zrobił zniecierpliwiony grymas.

– Dobra – szepnął Lewis.

– I żadnych latarek.

Skinienie głowy.

Unieśli lufy broni na wysokość ramion i wkroczyli do środka. Promienie księżycy padały przez ogromne okna i oświetlały im drogę. Szybko przeszukiwali pierwsze piętro. Szufłady w kuchni zostały pootwierane. Zauważyli puste miejsca po nożach. Hart pochylił głowę i zaczął nasłuchiwać, dając znak ręką Lewisowi, żeby był cicho. Tak, to były kobiece głosy. Hart wskazał schody. Puls, nieco przyspieszony po wędrówce przez las, całkiem wrócił do normy.

Stanley Mankewitz jadał z żoną kolację w restauracji słynącej z serwowania najlepszej cielęciny w Milwaukee. Państwo Mankewitz mieli dylemat natury etycznej dotyczący jedzenia tego gatunku mięsa. Niemniej zdecydowali się przyjąć zaproszenie ważnego działacza.

Kelner polecał cielęcinę saltimbocca, cielęcinę marsala oraz makaron fettuccine z cielęciną po bolońsku. Mankewitz zamówił wołowy stek, a jego żona zdecydowała się na łososia. Ich gospodarz zamówił poszatowanego cielaczka.

Wznieśli toast włoskim winem Barbaresco o zdecydowanym smaku, które pochodziło z okolic Piedmontu. Podano pieczywo i sałatki.

Gospodarz wsunął rąbek serwetki za kołnierzyk koszuli. Gest mało elegancki, aczkolwiek praktyczny. Mankewitz nigdy nie krytykował rzeczy praktycznych. Był głodny i zmęczony. Pełnił funkcję przewodniczącego lokalnego związku zawodowego, niewykluczone, że najważniejszego związku po zachodniej stronie jeziora Michigan. Jego członkowie to twardzi i wymagający pracownicy mający równie twarde i wymagające pracodawców.

Życie Mankewitza nie należało do najłatwiejszych.

Człowiek, który wystąpił z zaproszeniem na kolację, należał do prezydium związku krajowego. Przyleciał specjalnie z New Jersey, żeby porozmawiać z Mankewitzem. Poczęstował go cygarem w sali konferencyjnej biura związkowego, gdzie obowiązywał bezwzględny zakaz palenia, po czym oświadczył, że dochodzenie ma się zakończyć szybko i pomyślnie.

– Gwarantuję, że tak się stanie – zapewnił Mankewitz.

– Gwarantuje pan – powiedział człowiek z New Jersey z taką samą gwałtownością, z jaką odgryzł czubek cygara.

Mankewitz obdarzył go uśmiechem sugerującym pewność siebie, której chwilowo nie posiadał. Był wściekły na głupka przybyłego z Newark tylko po to, żeby go zbesztać niczym surowy nauczyciel leniwego ucznia.

Zabrał się do jedzenia sałatki cesarskiej z anchois i sosem w osobnej miseczce. Kolacja miała charakter towarzyski, starali się poruszać tematy ogólne. Zaczęli od sportu, ale zważywszy na obecność przy stole kobiety, bardziej interesujący dla wszystkich okazał się temat ciekawych miejsc urlopowych. Człowiek z New Jersey zaproponował Mankewitzowi swoją porcję anchois. Ten odmówił z uśmiechem oraz tłumioną wściekłością. Postanowił, że jeśli kiedykolwiek będzie miał okazję zaszkodzić temu

głupcowi, z pewnością nie odmówi sobie przyjemności.

Kelner hałaśliwie sprzątnął ze stołu talerze po sałatkach. Do sali restauracyjnej wkroczył mężczyzna przed czterdziestką o krótkich kręconych włosach i twarzy poczciwego hobbita. Skinął głową kierownicze sali. Rozejrzał się po kiepsko oświetlonej stylizowanej na włoską restauracji prowadzonej przez Ukraińców, którzy zatrudniali głównie Arabów i mieszkańców Europy Wschodniej. Wreszcie wypatrzył Mankewitza – trudno było go przeoczyć dzięki budzącej zazdrość gęstwinie srebrnych włosów i imponującej wadze ponad stu kilogramów. Spotkali się wzrokiem. Tamten mężczyzna cofnął się za drzwi. Mankewitz napił się wina i otarł usta serwetką.

– Przepraszam na chwilę – powiedział, wstając.

Spotkał się z nim w korytarzu. Ruszyli ku pustym salom bankietowym obserwowani jedynie przez podobizny Deana Martina, Jamesa Gandolfini i Franka Sinatry. Wszystkie autografy i hasła zachwalające restaurację pod zdjęciami były napisane podejrzanie podobnymi charakterami pisma.

Zmęczony wędrówką przez długi korytarz Mankewitz przystanął.

– O co chodzi, detektywie?

Policjant się zawahał. Mankewitz uznał, że niepotrzebnie użył jego tytułu służbowego.

– Mamy kryzys.

– Co to znaczy? – spytał Mankewitz niezbyt przyjaźnie, był ogólnie poirytowany.

– Coś się wydarzyło w powiecie Kennesha – wyjaśnił policjant beznamiętnie.

– A gdzie to jest, u licha?

– Jakies dwie godziny jazdy stąd w kierunku północno-zachodnim. Tam, gdzie prawniczka prowadząca sprawę ma swój domek wypoczynkowy.

Sprawę. Przez duże S.

– Prawniczka z...

– Rozumiem. – Mankewitz wolał, aby nie padła nazwa kancelarii. Tym razem jemu zależało na dyskrecji. – Co się konkretnie wydarzyło? – Był szczerze zaniepokojony.

– Miejscowe biuro szeryfa odebrało telefon wykonany z komórki jej męża. Mamy na oku wszystkich graczy uwikłanych w tę sprawę.

– Słyszałem. Ale nie sądziłem, że do tego stopnia.

– System działa sprawnie.

Jak oni to robią? – zastanawiał się Mankewitz. Przez cholerną komputeryzację diabli wzięli prywatność.

– Telefon do szeryfa. Co dalej? – Mankewitz patrzył na uśmiechniętą twarz Deana Martina.

– Nikt nie wie, o co chodziło. Połączenie było bardzo krótkie, a potem zostało anulowane.

– Co to znaczy?

– Mąż prawniczki zadzwonił jeszcze raz i powiedział, że wybrał numer przez pomyłkę.

Mankewitz patrzył teraz na żonę gawędzącą beztrąsko z jakimś wysokim łąsiejącym facetem, który zatrzymał się przy ich stoliku. Drań skorzystał z jego nieobecności. Zdesperowany, oślizły, twarogłowy typ.

– Więc było wezwanie i go nie było – podsumował, wracając do rozmowy.

– Właśnie. Dlatego informacja nie poszła wyżej. Tylko ja wiem. Nagranie zostało gdzieś zakopane... Masz mi coś do powiedzenia, Stan?

Mankewitz spojrzał mu prosto w oczy.

– Absolutnie nic, Pat. Może wybuchł pożar? Kto wie? Albo mieli wypadek, włamanie...

– Nie zaryzykuję dla ciebie utraty pracy.

Ze względu na sumy regularnie wpływające na jego anonimowe konto powinien, zdaniem Mankewitza, zaryzykować wszystko.

Pochwycił spojrzenie żony, podano przystawki.

– Od początku ci powtarzam, że nie ma powodu do niepokoju – uciął rozmowę. – Umowa to umowa. Jesteś kryty.

– Nie rób nic głupiego, Stan.

– Co masz na myśli? Jedzenie w tym lokalu?

Gliniarz uśmiechnął się z przymusem.

– Nie może być aż takie złe. – Wskazał najbliższą fotografię.

– To była ulubiona restauracja Franka Sinatry.

Mankewitz chrząknął i udał się do męskiej toalety, po drodze wyjmując z kieszeni telefon komórkowy.

Na piętrze znajdowało się pięć pomieszczeń. Drzwi do nich były pozamykane. Dywan w korytarzu i plakaty na ścianach sprawiały wrażenie kupionych w hipermarkecie.

Hart i Lewis poruszali się z niesłychaną ostrożnością, powoli, przystając pod każdymi drzwiami. Wreszcie znaleźli te, zza których dobiegały kobiece

głosy. Lewis, ku radości Harta, był cichy i skupiony.

Kobiety najwyraźniej nie podejrzewały ich obecności w domu. Szmer głosów był niewyraźny, Hart i Lewis nie rozróżniali słów.

O czym, do diabła, mogły rozmawiać? Dziwne przymierze, dziwna noc.

Hartowi było wszystko jedno. Cieszył się z sukcesu. Zabicie dwóch istot ludzkich nic dla niego nie znaczyło. Podobnie jak satysfakcja z zemsty. Największą, niemal seksualną przyjemność odczuwał na myśl o pomyślnym zakończeniu pracy, której się podjął. Rezultatem miała być śmierć dwóch kobiet, tymczasem on odczuwał uniesienie, podobnie jak wtedy, kiedy nakładał ostatnią warstwę lakieru na własnoręcznie wykonaną szafkę lub przyprawiał omlet przyrządzony kochance na śniadanie.

Zdawał sobie sprawę, że te morderstwa zmieniają jego życie. Koledzy z pracy tej policjantki będą zdeterminowani, żeby schwycić jej zabójcę. Brał również pod uwagę, że rodzina ofiary postanowi działać na własną rękę.

Hart potrafił sobie poradzić w każdej sytuacji. Obmyśli jakiś plan, wykona go i wyeliminuje problem. Przyniesie mu to podobne zadowolenie, jak wystrzelenie pocisku, który zakończy życie policjantki.

Delikatnie nacisnął klamkę. Zamknięte na klucz. Rozmowa za drzwiami spokojnie toczyła się dalej. Hart wskazał na siebie. Lewis pochylił się nad jego uchem.

– Przecież jesteś ranny – szepnął.

– Przeżyję. Po wyłamaniu drzwi padnę na podłogę i będę strzelał, osłaniając cię. Potem ty je załatwisz.

– Myślisz, że są uzbrojone?

– Po co miałyby brać noże, gdyby miały pistolety? Musimy się jednak liczyć z tym, że jedna ma spluwę.

Lewis pokiwał głową i mocniej ścisnął strzelbę.

Z pomieszczenia nadal dobiegał odgłos swobodnej rozmowy.

Hart cofnął się o krok, zobaczył, że Lewis kiwa głową, natarł zdrowym bokiem na drzwi. Zamek odskoczył, ale coś je blokowało od środka. Hart uderzył się w głowę i zatoczył oszołomiony. Wejście zostało zabarykadowane. Kobiety umilkły. Hart ponownie natarł na drzwi. Ani drgnęły.

– Pomóż mi! – warknął na współnika. – Zablokowane. Pchaj.

Lewis zaparł się stopami o dywan, lecz jemu również się nie powiodło.

– Nic z tego. Są porządnie zabarykadowane.

Hart rozejrzał się, po czym wbiegł do sąsiedniej sypialni. Pospiesznie

przeszukał pokój. Przeszklone drzwi prowadziły na drewniany balkon. Z sypialni, w której ukrywały się kobiety, na ten sam balkon prowadziły identyczne drzwi. Nie mogły uciec tamtędy, nie było schodów. Z pewnością wciąż przebywały w pokoju.

Zawołał Lewisa. Razem wyszli na balkon. Okna pomieszczenia, do którego usiłowali się dostać, były zasłonięte i zamknięte. Niewykluczone, iż również zostały zabarykadowane.

Zastanawiał się, co robi policjantka. W którą stronę skierowała broń. Lewis się niecierpliwił, lecz Hart postanowił niczego nie przyspieszać. Wreszcie podjął decyzję.

– Ty idź pod drzwi, ja spróbuję wtargnąć oknem. Będę strzelał, to odwróci ich uwagę. Wtedy ty wejdiesz do akcji.

– Krzyżowy ogień.

– Tak. Nie musimy oszczędzać amunicji. Potem obaj wejdziemy drzwiami. Zgoda?

Lewis podszedł pochylony do drzwi balkonowych, wziął głęboki oddech i obejrzał się przez ramię. Hart rozbił okno i odsunął małą komodę, po czym się cofnął, czekając, aż kompan wedrze się przez drzwi i otworzy ogień. Sam oddał cztery serie, strzelając na oślep. Nie spodziewał się, że trafi, chciał tylko zmusić ofiary, by padły na ziemię, kiedy oni wejdą do środka.

– Teraz!

Sypialnia umeblowana była niepasującymi do siebie zabytkowymi meblami, na ścianach wisiały grafiki w stylu rustykalnym, szafki i kosze zapełniały książki oraz czasopisma. Ani śladu kobiet. Nie wyszły przez drzwi na korytarz, które nadal blokowała od środka potężna komoda. Hart wskazał dłonią szafę. Lewis otworzył ją i zaczął strzelać. Rozległ się ogłuszający huk. Hart zaczął się obawiać o swój słuch. Gdyby teraz ktoś podkradł się od tyłu, nic by nie usłyszał. Lewis strzelał przy każdej okazji.

Rozejrzał się dokładnie. Zatrzymał wzrok na zamkniętych drzwiach do łazienki. Z pewnością tam się ukryły. Dał znak kompanowi, żeby użył drugiego pistoletu. Srebrny sig-sauer nie robił aż tak wielkiego hałasu jak winchester. Lewis przeładował i odbezpieczył broń. Hart już miał otwierać drzwi kopniakiem. Nagle zamarł, przechylając głowę na bok.

– Zaczekaj – szepnął.

Wyjął szufladę z komody i rzucił nią w drzwi łazienki. Otworzyły się, ze środka buchnęły opary. Oczy obu mężczyzn zaczęły łzawić, zakasłali.

– Jezus, co to?!

- Amoniak – odparł Hart.
- Jak jakiś pieprzony gaz łzawiący.

Hart wstrzymał oddech i włączył światło w łazience. Coś podobnego! Kobiety zawiesiły nad drzwiami wiadro pełne amoniaku. Ktokolwiek wszedłby pierwszy, zostałby zmoczony do suchej nitki i oślepiiony. Na szczęście wszystko wylało się na podłogę.

- Dziwki zastawiły pułapkę.

Wyobraził sobie ból po zetknięciu chemikaliów ze skórą. Nie do zniesienia. Zatrzęsął drzwiami do łazienki i omiół wzrokiem sypialnię.

- Spójrz. – Westchnął. – Wcale ich tu nie było.

Kabel od telewizora został okręcony wokół nogi komody. Kiedy Hart pchnął drzwi, odsunął mebel o kilka centymetrów, co spowodowało wypadnięcie wtyczki z kontaktu. Wtedy włamywacze uznali, że kobiety przerwały rozmowę.

Hart podłączył telewizor. Na ekranie pojawił się kanał z telezakupami.

– Rozmawiające kobiety – szepnął Hart. – Żadnej muzyki. Same kobiece głosy. Nastawiły odbiornik i przeszły przez balkon do sąsiedniej sypialni. Dały nam zajęcie, żeby zyskać czas na ucieczkę.

– W takim razie czekały w lesie, obserwowały nas, a w tej chwili są w połowie drogi do szosy.

- Może.

A może jedynie chciały, żeby tak pomyśleli, w rzeczywistości zaś nadal ukrywają się w domu. Wcześniej zwrócił uwagę na ogromną piwnicę.

- Przeszukajmy wszystkie pomieszczenia – zdecydował.

Lewis schował pistolet do kieszeni i przygotował strzelbę.

- Nie ma sprawy. Ale potem stąd spadamy. – Zakaszłał.

Kiedy odsuwali komodę od drzwi, Hart zauważył stertę mokrych ubrań pod stołem. Policjantka musiała się przebrać po kąpieli w lodowatej wodzie. Przeszukał kieszenie. Były puste. Na przedzie koszuli znalazł czarny identyfikator z białymi literami: Brynn McKenzie.

Lubił znać tożsamość przeciwnika. Poznanie jej wynagrodziło mu gorczy rozczarowania, że dał się oszukać.

Zbliżały się do domu Feldmanów. Słyszały stłumiony huk wystrzałów. W powietrzu unosiła się intensywna woń dymu z komina oraz gnijących liści. Michelle miała zaciętą, urażoną minę. Poruszała się powoli, podpierając kijem bilardowym. Brynn ścisnęła jej ramię. Nie doczekała się żadnej reakcji.

– Chodź, musimy się pospieszyć.

Dziewczyna posłuchała, choć nie przestała się dąsać. Zachowywała się, jakby tylko ona była ofiarą. Brynn skojarzyła to z zachowaniem jej nastoletniego syna, który obrażał się, kiedy nalegała, żeby odrobił lekcje, nim usiądzie do komputera lub zacznie wysyłać wiadomości tekstowe do kolegów. Przypomniała sobie wcześniejszą dyskusję na temat rozpalenia w kominku. Zgodziła się tylko dlatego, że wpadła na pomysł zmylenia pościgu.

Dziewczyna – ze skręconą kostką i w szoku po stracie przyjaciół – błagała, żeby zostały w domu sąsiadów, choćby w pełnej pajaków piwnicy, i poczekały na policję. Zachowywała się jak obrażona księżniczka. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Brynn uważa, że mordercy zawrócą. A Brynn nie miała wątpliwości, iż chcieli je tylko zwieść, odjeżdżając w stronę szosy.

– Ale po co? – spierała się zapalczywie Michelle. – Przecież to bez sensu.

– To nie było zwyczajne włamanie – wyjaśniła Brynn. – Mamy do czynienia z zawodowymi zabójcami. Nie zostawią nas przy życiu. Mogłybyśmy ich zidentyfikować. Doprowadzić policję do zleceniodawcy. Mają więc podwójną motywację. Jeśli oni nie zabiją nas, sami zginą z rąk szefa.

Była pewna, że Hart nie odjedzie. Wydawał się pozbawiony emocji i całkowicie skupiony na celu, jakim było zabijanie. Przypominał chirurga, który całkowicie spokojnie opisał przebieg operacji, choć podczas tej operacji jej ojciec zmarł.

Nasunęło jej się jeszcze inne porównanie, które wywołało zimny dreszcz na plecach. Twarz Harta miała taki sam wyraz, jaki ujrzała na twarzy byłego męża, kiedy go przyłapała, jak chował w skrytce w sypialni broń, którą widziała po raz pierwszy w życiu. Zawahał się, nim odpowiedział na prośbę o wyjaśnienie. W końcu wyznał, że czasem zabiera się broń z miejsca przestępstwa, jeśli nie stanowi kluczowego dowodu w sprawie. Funkcjonariusze ją kolekcjonują.

– Tak po prostu – mówił Keith.

– To znaczy... to znaczy, że możecie ją potem podrzucić w jakieś inne miejsce? Na przykład jako dowód, że strzelaliście do podejrzanego w samoobronie?

Nie odpowiedział. Popatrzył na nią tak, jak Hart w tamtej chwili, kiedy do niej celował. W tym spojrzeniu oprócz groźby znajdowała się nutka podziwu. I wyzwanie. Niech wygra najlepszy...

Brynn zablokowała drzwi, nastawiła odbiornik telewizyjny na odpowiedni

program, okręciła kabel wokół nogi komody. Wylała zawartość butelki z amoniakiem na podłogę w łazience, obok postawiła wiadro. Chciała, by zabójcy pomyśleli, że zastawiła na nich pułapkę i omal nie oślepiła. A przecież nie zamierzała narażać bezpieczeństwa właścicieli domu ani ekipy ratunkowej.

Zabrały ze sobą broń. Każda niosła ze sobą kulę bilardową w skarpecie. Pomysł Brynn zainspirowany był południowoamerykańską bronią miotaną o nazwie bola. Pomagała kiedyś Joeyowi napisać referat o Argentynie. Schowały do kieszeni po jednym nożu. Brynn zrobiła coś w rodzaju włóczni, mocując taśmą nóż do końcówki bilardowego kija. Michelle niechętnie zgodziła się na zabranie broni, po usilnym naleganiu Brynn.

Pod osłoną drzew ruszyły ku domowi Feldmanów. Ostrożnie pokonywały podmokły grunt, korzystając z kłód i kamieni do przechodzenia przez rwące strumyki wpadające do jeziora.

Wreszcie dotarły na podwórko. Michelle z obawą patrzyła w stronę, skąd dochodziły strzały.

– Dlaczego tu wróciłyśmy? – wymamrotała. – Trzeba było pójść w przeciwną stronę, do szosy. Teraz oni nas od niej odgradzają.

– Nie pójdziemy do szosy.

– Co ty wygadujesz? Nie ma innego sposobu, żeby się stąd wydostać.

Brynn potrząsnęła głową.

– Jechałam tą trasą przez trzydzieści minut w godzinach szczytu. Mijały mnie tylko trzy samochody. Musiałybyśmy iść Bóg wie jak długo po otwartej przestrzeni. Bez trudu by nas złapali.

– Pójdziemy do któregoś z domów przy szosie. Na pewno jakiś jest. Zadzwoimy stamtąd na policję.

– Nie możemy tego zrobić – sprzeciwiła się Brynn. – Nie narażę nikogo na niebezpieczeństwo. Mordercy mogliby pójść naszym śladem.

Michelle milcząco wpatrywała się w dom przyjaciół.

– To przecież jakieś szaleństwo. Musimy uciekać.

– Uciekniemy. Tylko inaczej.

– Czemu przyjechałaś sama? – denerwowała się Michelle.

– Policja z Chicago nigdy nie zrobiłaby takiej głupoty, żeby wysłać jedną osobę.

Brynn zmrużyła oczy, patrząc ponad ramieniem dziewczyny. W domu numer dwa świeciły się latarki. Jedna na piętrze, druga na dole. Mordercy przeszukiwali dom. Szukali ich.

– Obserwuj, co się tam dzieje – poleciła Michelle. – Ja rozejrzę się w środku. Czy Steven miał pistolet?

– Skąd mam wiedzieć – prychnęła Michelle. – Ale to raczej nie w jego stylu.

– Gdzie twój telefon komórkowy?

– W torebce. Leży w kuchni.

Brynn spojrzała jej w oczy. Zobaczyła w nich smutek po stracie przyjaciół, ale także dziecinną irytację. Jakby pytały: „Dlaczego ja? To niesprawiedliwe”. Odwróciła się i weszła na ganek.

Nic – rozległ się szept w piwnicy.

Lewis przesuwiał promień latarki po ciemnym pomieszczeniu, które wydawało się wprost stworzone na kryjówkę. Było również ostatnim, gdzie mogły się ukrywać uciekinierki. Najwyraźniej nie było ich już w domu.

Hart zyskiwał coraz większą pewność siebie. Uznał, że kobiety nie są uzbrojone. W przeciwnym razie zaczęłyby się na nich i próbowały zastrzelić. Mimo wszystko nalegał, żeby korzystali z latarek, wolał nie zapalać świeceł.

W pewnej chwili dostrzegł kątem oka ruch. Bez wahania odwrócił się i oddał strzał. Okazało się, że to tylko szczur, którego cień przerastał go wielokrotnie. Zwierzę uciekło, a Hart poczuł złość na siebie. Zadziałał pod wpływem paniki, uraził się w zranione ramię i po raz kolejny na chwilę ich ogłuszył. Stracił zimną krew. Oczywiście, to zrozumiałe. Dostrzegł ruch i strzelił. Każdy by tak zareagował.

Nie lubił usprawiedliwień, zawsze czuł niesmak, kiedy się do nich uciekał. Jeśli spartaczyłeś mebel, to wyłącznie twoja wina. „Zmierz dwa razy, nim weźmiesz się do piłowania” – mawiał jego ojciec.

Przeszli do kuchni. Hart patrzył przez okno w ciemność, pod której osłoną skryły się uciekinierki.

– Straciliśmy czas, a one zyskały.

Smród amoniaku niósł się po całym domu.

– Gdzie one mogą być? – zastanawiał się Hart. – Gdzie ja bym poszedł na ich miejscu?

– Uciekłybyś przez las w stronę szosy?

– Pewnie tak. Nie ma innej drogi ucieczki. O tej porze nie ma ruchu, a one na pewno myślą, że uda im się zatrzymać jakiś samochód. To w ogóle nie jest ruchliwa droga. A one będą musiały iść przez nieosłonięty teren pobocza. Na mundurze Brynn znalazłem krew. Jest ranna. Nie może się szybko

poruszać. Z łatwością je znajdziemy.

Brynn McKenzie przeszukiwała dom Feldmanów. Nie mogła włączyć światła, więc była zdana na dotyk i światło księżyca. Nie znalazła ani broni, ani telefonu.

Torebka Michelle zniknęła. Więc mordercy znali teraz tożsamość i adres dziewczyny.

W kuchni ciała leżały w takich samych pozach, jak w chwili śmierci. Krew wokół mężczyzny porozlewała się w nieregularne orientalne wzory, a wokół kobiety tworzyła niemal idealne koło. Brynn po chwili wahania przeszukała kieszenie ofiar. Nie znalazła telefonu komórkowego. Sprawdziła płaszcze. Wróciła i popatrzyła na zabitych. Poczowała, że wypada coś powiedzieć, ale miała mało czasu i nie przychodziły jej do głowy odpowiednie słowa.

Mogli przywieźć ze sobą laptopy. Sprawdziła w teczce. Przejrzała akta opatrzone napisem POUFNE. Nie było między nimi żadnego urządzenia elektronicznego. W plecaku znalazła kilka czasopism, książkę w miękkiej okładce i butelkę wina.

Otarcia na stopach znów zaczęły ją szczytać. Świeże skarpetki nasiąkły wodą. Znalazła w pralni dwie pary gumofilców. Zmieniła skarpetki i włożyła buty o większym rozmiarze. Mniejsze zabrała dla Michelle. Znalazła również zapalniczkę, którą wsunęła do kieszeni.

Nagle za oknem rozległ się dźwięk alarmu samochodowego. Brynn zamarła z zaskoczenia.

– Pomocy! – usłyszała rozpaczliwe wołanie Michelle.

Wybiegła na zewnątrz z własnoręcznie zrobioną dzidą w dłoni, skierowaną ostrzem do przodu.

Michelle stała bez ruchu obok mercedesa z wybitą szybą. Miała szaleństwo w oczach. Brynn popatrzyła na sąsiedni dom. Światła latarek pogasły. Świetnie. Mordercy będą tu lada chwila.

– Przepraszam! – wołała Michelle. – Nie pomyślałam, nie pomyślałam...

Brynn otworzyła drzwi po stronie pasażera, nacisnęła guzik podnoszący maskę samochodu. Pilnie uczyła się wszystkiego na temat pojazdów mechanicznych, potrafiła je nie tylko prowadzić, ale i naprawiać. W powiecie Kennesha policjanci pracowali głównie na drogach. Przecięła odpowiedni kabel i wycie klaksonu ustało.

– Co zrobiłaś?

– Ja tylko... – Michelle jęknęła ze złością. – To nie moja wina!

Ciekawe czyja, pomyślała Brynn.

– Mam niski poziom cukru we krwi – tłumaczyła się dziewczyna. – Zrobiło mi się słabo. Przywiozłam ze sobą paczkę krakersów.

– Rzeczywiście leżały na tylnym siedzeniu. – Jeśli czegoś nie zjem w takiej chwili, czasem mdleję.

– W porządku – odparła Brynn.

Wcześniej zrezygnowała z przeszukania samochodu, bo pomyślała o alarmie. Błyskawicznie weszła do środka i podała Michelle ciastka. Zajrzała też do schowka na rękawiczki.

– Nic, co mogłoby nam pomóc – mruknęła.

– Gniewasz się – jęknęła irytująco dziewczyna. – Przecież przeprosiłam.

– W porządku. Musimy uciekać, i to szybko. Zaraz tu będą.

Podała Michelle buty, które znalazła w domu. Powinny pasować. Michelle miała teraz na nogach szykowne i eleganckie kozaczki na szpilkach. W sam raz do biura, lecz zupełnie nieodpowiednie na ucieczkę przez las.

Michelle bez słowa wpatrywała się w filcowe kalosze.

– No, rusz się.

– Moje są dobre.

– Wcale nie. Nie możesz w nich chodzić.

– Nie lubię nosić rzeczy innych ludzi. Brzydzę się.

Może miała na myśli rzeczy po nieboszczykach. Brynn zerknęła z niepokojem na sąsiedni dom. Nikogo nie zauważyła. Jeszcze nie.

– Przykro mi, Michelle. Wiem, że to nic przyjemnego. Nie masz jednak wyjścia. Szybko.

– W moich mi wygodnie.

– Nieprawda. Zmień buty. Masz skręconą kostkę.

Dorośla Michelle zachowywała się niczym zbuntowana ośmiolatka. Wygięła usta w podkówkę.

Brynn chwyciła ją za ramiona i potrząsnęła.

– Oni zaraz tu będą. Musimy uciekać. – W jej głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie. – Zakładaj te przeklęte buty. Natychmiast!

Dziewczyna wyrwała Brynn gumowce, oparła się o samochód i zaczęła zmieniać obuwie. Miała zaczerwienione oczy, usta jej drżały. Brynn pobiegła w stronę garażu. Zauważyła wcześniej, że stoi obok niego łódka przykryta brezentem. Podniosła ją na próbę. Była lekka, wykonana z włókna szklanego.

Do jeziora było za daleko, za to strumień, który wpadał wprost do głównego zbiornika, przepływał zaledwie kilkanaście metrów od domu.

Zabrała z garażu wiosła i kamizelki ratunkowe.

Michelle wpatrywała się w gumofilce z grymasem niezadowolenia. Wyglądała jak bogata pannica, która ma zamiar wnieść reklamację z powodu słabej jakości zakupu.

– Pomóż mi – ponagliła ją Brynn.

Dziewczyna spojrzała z niepokojem w stronę, skąd spodziewały się nadejścia morderców. Szybkim ruchem wsunęła do kieszeni paczkę krakersów i podbiegła. Wspólnymi siłami zataszczyły łódkę do strumienia.

Policjantka spojrzała na ścianę lasu, skąd lada chwila mieli wyłonić się złoczyńcy, i pchnęła łódkę w ciemny nurt.

Biegając, nabierali w płuca hausty zimnego, przesyconego zapachem gnijących liści powietrza.

Usłyszawszy wycie alarmu, Hart domyślił się natychmiast, iż pomylił się, zakładając, że kobiety spróbują przedostać się na szosę. Zakradły się do domu Feldmanów i włamały do samochodu, prawdopodobnie z nadzieją, że uda im się naprawić przebite opony. Nie pomyślały o alarmie. Od razu rzucili się w tamtą stronę, lecz napotkali liczne przeszkody w postaci szerokich strumieni i bagnistego gruntu. Hart zamierzał je pokonać, Lewis powstrzymał go słowami:

– Jeśli zmoczysz nogi, za chwilę będziesz je miał okropnie poobcierane.

O tym nie pomyślał, nie był typem sportowca. Wrócili na ścieżkę i pobiegli dłuższą drogą.

– Musimy być... ostrożni. – Hart miał zadyszkę. – To... może być zasadzka. – Bieganie wzmagало ból zranionego ramienia. Krzywił się co chwila.

– Zasadzka?

– Wciąż... martwi mnie myśl, że mogą mieć spluwę.

– Rozumiem. – Lewis odrobinę złagodniał.

W miarę zbliżania się do domu zwalniali coraz bardziej, trzymali się zacienionych miejsc. Hart szedł przodem. Lewis na szczęście milczał. Dzieciak się uczył. O ile trzydziestopięciolatka można nazwać dzieciakiem. Hart pomyślał o swoim bracie.

Zatrzymali się, ogarniając wzrokiem podwórze. Nie widzieli zbyt wiele w gęstej ciemności. Wokół latały nietoperze, coś przefrunęło Hartowi tuż obok głowy. Nigdy wcześniej nie widział latającej wiewiórki. Schował się za mercedesem. Zauważył wybitą szybę. Nie wiedział, gdzie są ścigane kobiety. Zauważył je Lewis. Obejrzał się przypadkiem.

– Hej, patrz.

Hart odwrócił głowę, spodziewając się ujrzeć Brynn McKenzie wyłaniającą się z chaszczki z bronią wycelowaną w jego skroń. Nic nie zobaczył.

– Na co mam patrzeć?

– Tam są! Na jeziorze!

Wreszcie dostrzegł niedużą łódź, niecałe sto metrów od brzegu. Płynęła bardzo powoli. Trudno było stwierdzić na pewno z takiej odległości, ale chyba znajdowały się w niej dwie osoby. Brynn i Michelle rzuciły wiosła i

padły na dno, by uniknąć pocisków. Prąd wodny nadal pchał je naprzód na środek jeziora.

– Alarm nie włączył się przypadkiem – stwierdził Lewis.

– Odwróciły naszą uwagę celowo.

Facet miał dobre oko. Hart nawet nie spojrząłby na jezioro. Po raz kolejny dał się nabrać. Podbiegli do brzegu.

– Strzelbą ich nie sięgnę – odezwał się rozczarowany Lewis.

– A pistoletem nie posługuję się najlepiej.

Za to Hart chodził na strzelnicę co najmniej raz w tygodniu. Wycelował powoli, w skupieniu. Woda potęgowała echo każdego wystrzału. Za pierwszym i drugim razem chybił. Pociski wylądowały w wodzie. Reszta trafiła w cel, wzbijając drzazgi. Zranił którąś z kobiet. Jedna z sylwetek upadła głową naprzód. Rozległ się przeciągły krzyk.

Oddał jeszcze kilka strzałów. Zawodzenie urwało się gwałtownie. Łódź przechyliła się, nabierając wody. Po chwili zaczęła tonąć. Załadował ponownie broń.

– Nie widzę żadnego ruchu! – krzyczał ogłuszony hukiem Lewis.

– Załatwiłeś je, Hart!

– Upewnijmy się. – Hart wskazał brodą małą łódkę przycumowaną na brzegu. – Umiesz wiosłować?

– Jasne.

– Nazbieraj trochę kamieni. Obciążymy zwłoki.

– Świetna robota, Hart. Szczerze. – Lewis zajął się przygotowaniami.

Hart nie był z siebie przesadnie dumny. Strzelanie uważał za podstawową umiejętność w swoim zawodzie. Przecież nie można być cieślą, nie wiedząc nic na temat obróbki drewna. Jego głowę zaprzętało teraz co innego. Praca dobiegła końca, ale należało przygotować się na jej konsekwencje. Nie łudził się, że śmierć tych kobiet nie pociągnie za sobą żadnych następstw.

Graham Boyd nie oglądał telewizji. Siedział pochylony do przodu na zielonej kanapie i wpatrywał się ze zmarszczonym czołem w pudełko z robótkami ręcznymi leżące na srebrno-białym zabytkowym stoliku obok telewizora. Zawierało niedokończony i jedyny projekt Brynn – sweterek dla siostrzenicy, a raczej kilka centymetrów jednego krzywego rękawa. Zarzuciła pracę kilka lat temu.

Anna podniosła głowę znad własnej robótki.

– Dam spokój na chwilę.

Graham popatrzył pytająco. Anna odłożyła niebieskie druty, wzięła do ręki pilota od telewizora i wyłączyła dźwięk. Jej zięć po raz kolejny dostrzegł rys zdecydowania maskowany nijakim uśmiechem.

– Możesz mi od razu powiedzieć, o co chodzi. I tak to z ciebie wydobędę prędzej czy później.

O czym ona, u licha, mówi? – pomyślał, odwracając wzrok. Wpatrywał się w jakieś głupoty na ekranie. Nie spuszczała z niego wzroku.

– Dzwonili ze szkoły. To przez ten telefon, prawda?

Zaczął mówić, przerwał w połowie zdania.

– Sprawa jest dość poważna – wyznał wreszcie.

– Domyślam się.

Opowiedział jej o przewinieniach Joeya: wagarach, oszustwie, niebezpiecznych ekscesach na deskorolce i zawieszeniu.

– Były jeszcze inne bójki. Nie odważyłem się drążyć tematu.

– Miałam przecucie. – Anna pokiwała głową.

– Naprawdę?

Wróciła do robienia na drutach.

– Co zrobisz?

Graham wzruszył ramionami.

– Zamierzałem z nim porozmawiać, ale chyba zostawię to Brynn.

– Bardzo się martwisz. Ani razu się nie roześmiałeś podczas „Drew Carey Show”.

– Skoro raz poszedł na wagary, mógł chodzić już wcześniej. Nie sądzisz?

– Z mojego doświadczenia z dziećmi wynika, że to bardzo prawdopodobne.

Anna wiedziała, co mówi. Wychowała troje dzieci. Starszy syn był nauczycielem, najmłodsza córka sprzedawała komputery. Mili, uprzejmi, przyjaźni ludzie. Zwyczajni. Brynn jedyna miała rys buntownika.

Anna McKenzie porzuciła arystokratyczną pozę, która służyła jej wyłącznie za kamuflaż.

– Chcę ci coś powiedzieć, Grahamie. Ten chłopak ma za mało dyscypliny. W ogóle się nie angażujesz w wychowanie go.

– Po tym, co przeszedł z Keithem, nie wiedziałem, na ile mogę sobie pozwolić.

– Nie obawiaj się. Dzięki Bogu, w niczym Keitha nie przypominasz.

– Brynn trzyma mnie na dystans. A ja nie nalegam. W końcu to jej syn. Nigdy nie ośmieliłbym się podważyć jej opinii.

– Joey jest nie tylko jej synem – przypomniała mu Anna. – Teraz ty również ponosisz za niego odpowiedzialność. Żeniąc się z Brynn, przyjąłeś dobrodziejstwo inwentarza. Łącznie ze wścibską staruszką.

Rozśmieszyła go.

– Wolę być ostrożny. Wiem, że Joey bardzo przeżył rozwód rodziców.

– To normalne. Takie życie. Co nie znaczy, że masz się z nim obchodzić jak z jajkiem.

– Pewnie masz rację.

– Tak. Idź do niego teraz. Świetnie się składa, że Brynn dostała niespodziewane wezwanie. Macie okazję porozmawiać tylko we dwóch.

– Nie wiem, co mu powiedzieć. Wszystko wydaje mi się głupie.

– Improvizuj. Jeśli coś wydaje ci się właściwe, prawdopodobnie takie jest. Zdaj się na intuicję. Ja tak postępowałam z moimi dziećmi. Czasem się sprawdzało, a czasem nie.

– Tak mi radzisz?

– Tak. Ktoś musi wziąć na siebie ciężar odpowiedzialności. On nie może. A Brynn... – Nie dokończyła zdania.

– Jeszcze jakieś rady?

Roześmiała się.

– Ty jesteś dorosły, on jest dzieckiem.

Niewątpliwie było to bardzo odkrywczе, jednak niewiele pomagało, zdaniem Grahama. Zauważyła jego zagubienie.

– Improvizuj – powtórzyła.

Wziął głęboki oddech, nim poszedł na górę. Schody skrzypiały pod jego ciężarem. Zapukał i wszedł do pokoju chłopca, nie czekając na pozwolenie. Nigdy wcześniej w ten sposób się nie zachował.

Joey siedział przy komputerze. Odwrócił głowę od monitora plazmowego. Miał na głowie czapkę włożoną do tyłu na przód, jak raper. Najwyraźniej rozmawiał, używając kamery internetowej. Grahamowi nie podobało się, że rozmówca mógł widzieć Joeya i pokój.

– Jak ci idzie odrabianie lekcji?

– Skończyłem.

Pisał, nie patrząc na klawiaturę. Ani na Grahama.

Ściany obwieszane były kadrami z „Paranoid Park” Gusa Van Santa. Głównym bohaterem obrazu jest nastoletni fan deskorolki, akcja rozgrywa się w Portland. Joey zapewne wydrukował sobie zdjęcia. To świetny film, ale dla dorosłych. Graham stanowczo zaprotestował przeciwko zabraniu na niego

chłopca, lecz on wpadł w taką obsesję, że wreszcie oboje z Brynn ustąpili. Musieli wyjść z kina po wyjątkowo drastycznej scenie. Graham z trudem powstrzymał się od powiedzenia: „A nie mówiłem?”.

– Kto to? – spytał Graham, zerkając na ekran.

– Kto?

– Z kim rozmawiasz?

– Z kolegą.

– Joey.

– Z Tonym.

Chłopiec nie spuszczał wzroku z monitora. Sekretarka Grahama potrafiła napisać sto dwadzieścia słów na minutę. Wyglądało na to, że Joey pisze o wiele szybciej.

– Kim jest Tony? – Miał nadzieję, że nie dorosłym mężczyzną.

– No wiesz, Tony Metzger, z mojej klasy. – Odpowiedź zawierała sugestie, że Graham go poznał, co było nieprawdą. – Obaj lubimy grać w Turbo Planet. On nie potrafi przejść na siódmy poziom, a ja doszedłem do ósmego. Pomagam mu.

– Już późno. Skończcie rozmowę na dziś.

Joey nie przestawał pisać. Albo się żegnał, albo postanowił zignorować ojczyzna i zapowiadała się kłótnia. Graham poczuł, że zaczynają mu się pocić dłonie. Potrafił bez mrugnięcia okiem zwolnić pracownika za kradzież, dać odpór włamywaczowi w biurze, przerywać bójkę na noże między personelem. W żadnej z wymienionych sytuacji nie był aż tak zdenerwowany jak teraz.

Chłopiec wyłączył komunikator i spojrzał pytająco na Grahama. Nie wyglądał na obrażonego.

– Jak twoja ręka?

– Dobrze.

Joey włączył grę elektroniczną. Naciskał przyciski z taką prędkością, że trudno było wyraźnie zobaczyć jego palce. Miał wiele zabawek elektronicznych: odtwarzacze MP3, iPody, telefon komórkowy, komputer. Chyba nie mógł narzekać na brak przyjaciół, lecz porozumiewał się z nimi głównie wirtualnie. Rzadko rozmawiali twarzą w twarz.

– Podać ci aspirynę?

– Nie, dziękuję.

Chłopiec nie przerywał gry. Na jego twarzy pojawił się wyraz podejrzliwości. Pierwszym pomysłem Grahama była manipulacja, nakłonienie dziecka podstępem do opowiedzenia, w jaki sposób się zranił. Po

zastanowieniu uznał, że woli szczerą rozmowę.

Joey się nie odzywał. Słysząc było jedynie dźwięki wciskanych klawiszy i ścieżkę dźwiękową gry. Graham uznał, iż nie ma na co czekać.

– Joey, chciałbym wiedzieć, czemu wagarujesz.

– Wagaruję?

– Dlaczego? Nie możesz się dogadać z nauczycielami? A może z kolegami?

– Nie wagaruję.

– Dzwonili ze szkoły. Masz dziś nieobecność.

– Nieprawda. – Nie przerywał gry.

– Myślę, że jednak prawda.

– Nie – odparł z całym przekonaniem chłopak.

Rozmowa nie zapowiadała się najłatwiej.

– Nigdy nie byłeś na wagarach?

– Nie wiem. Kiedyś źle się poczułem w drodze do szkoły i zawróciłem do domu. Mama była wtedy w pracy, nie mogłem się do niej dodzwonić.

– Mogłeś zatelefonować do mnie. Dotarcie z biura do domu zajmuje mi pięć minut. Do twojej szkoły – piętnaście. Zawsze mogę przyjechać.

– Ale nie możesz mnie zwolnić.

– Mogę. Twoja mama mnie upoważniła. – Czyżby zapomniała mu powiedzieć? – Wyłącz grę.

– Wyłączyć?

– Tak. Wyłącz.

– Jestem prawie...

– Daj spokój. Wyłącz.

Chłopak grał dalej.

– W takim razie ja wyłączę. – Graham wstał i sięgnął po wtyczkę. Joey popatrzył z niedowierzaniem.

– Nie! Skasujesz mi pamięć. Nie rób tego. Włączę pauzę.

Minęło dwadzieścia pełnych napięcia sekund, nim Joey spełnił obietnicę.

Graham usiadł na łóżku, niedaleko pasierba.

– Wiem, że rozmawiałeś już z mamą na temat dzisiejszego wypadku. Powiedziałaś jej o wagarach? – Zastanawiał się, czy Brynn wiedziała i ukryła to przed nim.

– Nie było żadnych wagarów.

– Rozmawiałem z panem Raditzkym. Twierdzi, że sfałszowałeś podpis mamy na zwolnieniu ze szkoły.

– Kłamie. – Chłopak uciekał wzrokiem gdzieś w bok.
– Po co miałby to robić?
– Bo mnie nie lubi.
– Nie odniosłem takiego wrażenia. Był wyraźnie zmartwiony.
– Nic nie rozumiesz – stwierdził Joey, jakby to przesądzało sprawę oraz stanowiło niezbity dowód jego niewinności. Patrzył tęsknie na ekran monitora.
– Pewna osoba widziała cię na Elden Street.
– Też kłamie. – Chłopak wydawał się zmieszany. – To Rad, prawda? Wymyślił to sobie.
– Nie wydaje mi się, Joey. Podobno jechałeś na deskorolce uczepony rozpędzonej ciężarówce.
Joey sięgnął po książkę i usiadł z impetem na łóżku obok ojczyma.
– Mama o niczym nie wie, prawda? – zapytał Graham.
Chwila ciszy.
– Nie. Bo to nieprawda.
– Nigdy tego nie robiłeś?
– Nigdy.
Graham poczuł nadciągającą falę bezsilności i rezygnacji. Intuicja...
– Gdzie twoja deskorolka?
Joey nie odpowiedział, zerknął tylko na ojczyma i wrócił do czytania.
– Gdzie? – powtórzył Graham z naciskiem.
– Nie wiem.
Graham otworzył szafę i znalazł deskę.
– Masz na nią szlaban przez miesiąc.
– Mama powiedziała, że dwa dni!
A twierdziła, że trzy.
– Miesiąc. Musisz też dać mi słowo, że więcej nie będziesz w ten sposób narażał swojego zdrowia i życia.
– Nic nie zrobiłem!
– Joey...
– To jakieś gówniane kłamstwa!
– Nie odzywaj się do mnie w ten sposób.
– Mama mi pozwala.
Doprawdy?
– A ja sobie nie życzę.
– Nie jesteś moim ojcem i nie będziesz mi rozkazywał!

Graham już miał zamiar wyjaśnić chłopcu, co to jest hierarchia, autorytet i role w rodzinie, jednak intuicja mu podpowiadała, że w ten sposób do niego nie dotrze. Postanowił skorzystać z innej drogi.

– Powiesz mi prawdę?

– Mówię prawdę. – Chłopiec zaczął płakać z wściekłości.

Serce Grahama biło jak szalone. Czyżby Joey był z nim szczery? To takie trudne. Usiłował zapanować nad głosem.

– Oboje z mamą bardzo cię kochamy. Zależy nam na twoim bezpieczeństwie.

– Nie kochacie mnie. Nikt mnie nie kocha. – Joey przestał płakać i skupił się całkowicie na książce.

Graham przysunął się bliżej.

– Rozmawiam z tobą dlatego, że się o ciebie troszczę. – Uśmiechnął się. – No już. Idź umyć zęby. Pora spać.

Chłopak nawet się nie poruszył. Jego wzrok gorączkowo błędził po słowach, których nawet nie widział.

Graham zabrał deskorolkę i wyszedł. Zszedł na dół, dzielnie walcząc z pokusą zawrócenia i przeproszenia chłopca, żeby tylko był szczęśliwy i się na niego nie gniewał. Schował deskę na pawlaczu w przedpokoju. Zdrowy rozsądek wziął górę.

Anna obserwowała zięcia z rozbawieniem.

– O której wróci Brynn?

– Powinna niedługo być – odparł, zerkając na zegarek. – Pewnie kupi sobie coś na kolację i zje w samochodzie.

– Nie powinna, to niebezpieczne. Wystarczy chwila nieuwagi, jeleń na drodze... albo niedźwiedź. Jamie Henderson omal nie zderzył się z niedźwiedziem w tamtych okolicach.

– Chyba coś słyszałem. Z dużym?

– Wystarczająco. Jak ci poszło?

– Nie najlepiej.

Patrzyła na niego z półuśmiechem. Bardzo go irytowała.

– To dobry początek.

– Raczej nie. – Przewrócił oczyma.

– Zaufaj mi. Czasem ważniejsza jest sama rozmowa niż jej treść. Zapamiętaj to sobie.

Po raz kolejny spróbował się dodzwonić do Brynn. Włączyła się skrzynka głosowa. Rzucił telefon na stolik i niewidzący wzrok wbił w telewizor.

Myślał o gnieździe os. O tym, jak zadowolony i niczego nieświadomy ściągnął sobie na głowę katastrofę w piękny letni dzień, podczas pracy w ogrodzie klienta. Zdał sobie sprawę, co zrobił, dopiero kiedy poczuł pierwsze żądło.

Czemu o tym myślał? Przecież to bez sensu, tłumaczył sobie. Sięgnął po pilota. Na górze trzasnęły drzwi.

Uciekinierki nie widziały już jeziora, zasłaniały je drzewa iglaste gęsto rosnące w części lasu, przez którą biegły.

Brynn postanowiła wykorzystać niefortunny wypadek z alarmem. Niech ścigający pomyślą, że celowo chciały ich wywieść w pole i skorzystać z ich nieuwagi, by przeprowić się przez jezioro. W rzeczywistości przepłynęły jedynie kawałek na drugą stronę strumienia, po czym ułożyły kamizelki ratunkowe w ten sposób, by udawały skulone sylwetki, i wypchnęły łódkę na jezioro. Następnie pobiegły tak szybko, jak na to pozwalała boląca noga Michelle, w kierunku przeciwnym do zabudowań, na północ, do parku stanowego Marquette.

Kiedy Brynn usłyszała strzały, krzyknęła przeciągle. Miała nadzieję, że ogłuszeni hukiem wystrzałów mężczyźni nie zorientują się, skąd dobiega krzyk. Nawet jeśli po jakimś czasie uświadomią sobie własną pomyłkę, one zyskają cenny czas.

- Zatrzymajmy się – poprosiła Michelle.
- Dlaczego? Boli cię noga?
- Oczywiście. Poczekajmy tutaj, oni zaraz sobie pójda.

Brynn zerknęła na krakersy, którymi zajadała się Michelle. Dziewczyna poczęstowała ją z ociąganiem. Policjantka zjadła łąpczywie garść ciastek.

- Nie możemy się zatrzymać. Idziemy dalej.
- Dokąd?
- Na północ.
- To znaczy dokąd? Czy na tej północy jest jakiś dom, telefon?
- Uciekamy jak najdalej od nich. Do rezerwatu.

Michelle zwolniła kroku.

- Rozejrzyj się. Splątana dzicz. Nie ma nawet ścieżek. I jest zimno.

Ma na sobie ciepłą kurtkę za dwa tysiące dolarów i narzeka, pomyślała Brynn.

- Parę kilometrów stąd jest leśniczówka.
- Parę kilometrów!
- Ciii...
- To absurdalny pomysł, żeby iść parę kilometrów przez tę głuszę.
- Wyglądasz na wysportowaną. Biegasz?
- Na bieżni w siłowni. Nie w terenie. Poza tym już się zgubiłam. W którą stronę miałybyśmy iść?
- Mniej więcej znam drogę.

- Przez las? Nie mogę!
- Nie mamy wyboru.
- Nic nie rozumiesz... Boję się węży.
- One boją się ciebie bardziej.

Michelle wyciągnęła przed siebie paczkę z resztką krakersów.

– Nie starczy nam jedzenia. Wiesz co to jest hipoglikemia? Ludzie myślą, że jakiś drobiazg, ale ja mogę zemdleć.

– Ściga nas para bezwzględnych morderców. Naprawdę nie przejmowałabym się w tej chwili węzami i niskim poziomem cukru we krwi.

– Nie mogę. – Dziewczyna stanęła w miejscu, całą sobą wyrażając bunt i przerażenie.

Brynn przypomniała sobie Joeya, który pierwszy raz szedł do szkoły. On również zaparł się piętami o chodnik i nie chciał zrobić ani kroku naprzód, stanowczo protestując przeciwko nowej sytuacji. Musiała go namawiać przez dwa dni, żeby choć spróbował.

– Robię zakupy w sklepach ze zdrową żywnością – tłumaczyła Michelle. – Chodzę na kawę do modnych lokali. To nie jest mój świat, to nie mój styl! Nie dam rady!

– Nie bój się. Jesteśmy w rezerwacie. Co sezon przyjeżdżają tu tysiące turystów.

– Ale chodzą wyznaczonymi szlakami.

– Znajdziemy jakiś.

– Możemy się zgubić. Widziałam w telewizji program o dwojgu ludziach, którzy zgubili drogę w lesie i zmarzli. Zjadły ich dzikie zwierzęta.

– My na pewno...

– Nie, nie chcę! Znajdźmy tutaj jakąś kryjówkę. Błagam.

– Michelle była bliska łez.

Brynn starała się nie zapominać, że ta biedna kobieta była świadkiem zamordowania przyjaciół i omal sama nie zginęła. Ta świadomość pomogła jej zachować cierpliwość.

– Nie, oni odkryją podstęp i z pewnością zrobią wszystko, żeby nas dopaść.

Michelle obejrzała się z lękiem.

– Zgoda? – naciskała Brynn.

Dziewczyna zjadła jeszcze trochę krakersów, a resztę schowała, nie poczęstowawszy Brynn. Skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Zgoda. Wygrałaś.

Rozpoczęły mozolną przeprawę wśród splątanych gałęzi. Poruszały się najszybciej, jak umiały, lecz musiały starannie wybierać drogę, w niektórych miejscach przedarcie się przez gąszcz zieleni byłoby niemożliwe nawet z pomocą maczet. Wybierały przejścia wśród drzew iglastych. Michelle dzielnie sobie radziła mimo utykania. Brynn mocno ścisnęła włócznię. Pewnie wyglądała nedorzecznie, ale ta broń dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Pokonały w ten sposób mniej więcej kilometr. Nagle Brynn usłyszała czyjś głos i odwróciła się gwałtownie. To tylko Michelle mruzczała coś pod nosem do siebie. Jej twarz wyglądała upiornie blado w księżycowej poświacie. Policjantka również miała zwyczaj prowadzenia rozmów sama ze sobą. Przeżyła śmierć ojca, przyjaciel padł ofiarą pijanego kierowcy, straciła męża. W trudnych chwilach mówiła do siebie, modląc się o siłę lub po prostu wyrzucając z siebie żal. Odkryła, że nie wie, czemu, słowa łagodzą ból. Mówiła do siebie, czekając na wyniki prześwietlenia Joeya. Nie pamiętała już, jakich słów użyła.

Musiały uważać na bajora porośnięte roślinnością. W pewnej chwili promień księżycy oświetlił kępę kaptownic purpurowych, ukazując ją oczom zaskoczonych Brynn. Była to roślina mięsożerna, o której „uczyła się”, pomagając Joeyowi w lekcjach. Żaby rechotały donośnie, pohukiwały sowy. Na szczęście komary jeszcze się nie pojawiły. Brynn miała „słodką krew” i latem nie wychodziła z domu, nie spryskawszy się uprzednio odpowiednim środkiem przeciw owadom.

– Dwa razy brałam udział w przeczesywaniu rezerwatu – odezwała się szeptem, uspokajając zarówno siebie, jak Michelle.

Zgłosiła się na ochotnika, aby wykorzystać zdobytą w pocie czoła wiedzę z niezwykle wyczerpującego i bolesnego kursu przetrwania, który stanowił dobrowolny dodatek do obowiązkowego szkolenia taktycznego.

Jedna z akcji zakończyła się niezwykle nieprzyjemnym odkryciem i trudnym wydobyciem zwłok. Brynn postanowiła to przemilczeć.

– Nie znam terenu zbyt dokładnie, ale ogólne pojęcie mam. Niedaleko stąd, jakieś dwa kilometry, powinien być szlak Jolieta. Słyszałaś o nim?

Michelle pokręciła przecząco głową, zapatrzona we własne stopy. Wytarła nos rękawem.

– Ścieżka doprowadzi nas prosto do leśniczówki. Jest zamknięta o tej porze roku, ale pewnie znajdziemy tam telefon albo broń.

Brynn miała również plan awaryjny na wypadek, gdyby nie mogły znaleźć leśniczówki albo dostać się do środka. Szlak turystyczny Jolieta

doprowadziły je dalej na północny wschód, do rzeki Snake.

– Pójdziemy wzdłuż rzeki, na wschód, do miasteczka Point of Rocks. To spora miejscowość znajdująca się po drugiej stronie parku stanowego. Są tam sklepy, skorzystamy z telefonu i znajdziemy kogoś, kto udzieli nam pomocy. Miejscowy komisariat może być nieczynny, ale poszukamy jakiegoś funkcjonariusza. Miałybyśmy do przejścia kilkanaście kilometrów wzdłuż rzeki, tyle że po równym terenie. Jest jeszcze inna możliwość. Przy rzece skręcić na zachód. Wspiąć się po skałach wąwozu na autostradę międzystanową. To bardzo ruchliwa trasa, tam kogoś zatrzymamy.

– Wspiąć się po ścianach wąwozu – mruknęła Michelle. – Mam lęk wysokości.

Podobnie jak Brynn, której jednak nie powstrzymał on przed uczynieniem zadość tradycji po ukończeniu szkoły policyjnej. Jak wszyscy absolwenci wykonała zadanie polegające na spuszczeniu się na linie wzdłuż klifu do czekającej na dole beczki piwa. Wspinaczka w wąwozie będzie niebezpieczna, ściany są bardzo strome, trzeba pokonać trzysta metrów. Właśnie w tamtej części parku znaleźli ciało młodego człowieka, który stracił grunt pod nogami i spadł. Nabił się na ostry konar drzewa. Koroner stwierdził, że umierał dwadzieścia minut. Brynn McKenzie po dziś dzień nie mogła zapomnieć koszmarnego widoku.

Szły wśród prastarych, gęsto rosnących drzew, w ciemności. Brynn starała się ułatwić Michelle wędrówkę, wybierając jak najłatwiejszą drogę ze względu na bolącą nogę dziewczyny. Często musiały zawracać, by obejść gęste pnącza i gałęzie. Czasem udawało im się przedrzeć. Omijały miejsca, gdzie nie widziały gruntu wśród splątanej roślinności, w obawie że trafią na zamaskowane urwisko lub głębokie oczko wodne.

Ani przez chwilę nie pozwalało im zapomnieć, że nie są jedynymi żywymi istotami w lesie. Przelatywały nietoperze, pohukiwały sowy. Brynn nastąpiła na kości jelenia. Któryś gnat uderzył ją w kolano. Odsunęła się od białego ogryzionego szkieletu. Michelle wpatrywała się w szczątki rozszerzonymi z przerażenia oczami.

– Chodźmy. To tylko kości – zbagatelizowała Brynn.

Po kilkunastu krokach dziewczyna nagle się zachwiała i uchwyciła gałęzi dla utrzymania równowagi. Skrzywiła twarz z bólu. Zdarła z ręki cieniutką rękawiczkę. Dwa kolce wbiły się w skórę przez materiał.

– Nic ci nie będzie – pocieszała ją Brynn. – To tylko jeżyna. Daj, obejrzę.

– Nie! Nie dotykaj.

Brynn oświetliła zapalniczką maleńkie ranki.

– Wyjmiemy kolce, żeby zapobiec zakażeniu. Za pięć minut zapomnisz o bólu.

Dziewczyna jęczała przejmująco, wpatrzona w rosnące plamki krwi po wyjęciu cierni. Brynn umoczyła rąbek skarpetki w alkoholu i przemyła skałeczenia. Po raz kolejny zwróciła uwagę na pociągnięte ciemną emalią piękne paznokcie.

Michelle wyjęła z kieszeni chusteczkę higieniczną i przycisnęła mocno. Po chwili krwawienie ustało niemal całkowicie.

– Miałaś rację. Już nie boli.

Podjęły na nowo wędrówkę. Brynn prowadziła. Musiały zachować czujność. Na szczęście mordercy nie mają pojęcia, gdzie poszły. Mogły przecież obrać każdy kierunek z wyjątkiem południowego. Aby dostać się do najbliższej szosy, musiałyby wyminąć Lewisa i Harta.

Brynn z każdym krokiem zyskiwała coraz większą pewność siebie. Ona, w przeciwieństwie do prześladowców, znała las, wiedziała, jak znaleźć szlak. Zabójcy zgubią się po dziesięciu minutach, nawet jeśli przez przypadek obiorą właściwy kierunek.

Tymczasem nad brzegiem jeziora, w pobliżu domu Feldmanów Hart porównywał trasę na mapie ze wskazaniem systemu nawigacji satelitarnej wbudowanego w jego komputer kieszonkowy.

– Szlak Jolietta – oznajmił po chwili.

– Co to takiego?

– Tam idą.

– Aha. Tak?

– Tak. – Uniósł do góry mapę. – Tu jesteśmy. – Pokazał, po czym przesunął palec ku północy. – Ta brązowa linia to szlak. Doprowadzi je wprost do leśniczówki.

Lewis spoglądał na jezioro.

– Muszę przyznać, że sprytnie to wymyśliły.

Hart nie zaprzeczył. Po dopłynięciu do łodzi odkryli, iż są tam jedynie kamizelki ratunkowe. Ten krzyk w odpowiednim momencie... Świetny pomysł. Ciekawe, która krzyczała. Mógł się założyć, że Brynn.

Rzadko stawał przed koniecznością przechytrzenia przeciwnika. Całkiem lubił wyzwania, lecz jeszcze bardziej lubił panowanie nad sytuacją. Wolał gry, których zwycięstwa był pewien. Na przykład obróbka drewna

hebanowego nie stanowiła łatwego zadania. Materiał łatwo się rozszczepiał. Można było stracić setki dolarów, marnując cenny surowiec, lecz poświęciwszy zajęciu wystarczająco czasu i uwagi, poznawszy zachowanie drewna, rezultat, który się osiągało, zapierał czasem dech w piersiach.

Jakiego rodzaju wyzwanie stanowiła Brynn McKenzie?

Zapach amoniaku.

Niespodziewany huk wystrzałów.

Heban, oczywiście.

Bołące ramię przypomniało mu o Michelle. Co z nią? To się okaże.

– Chcesz za nimi pójść? – Z ust Lewisa wydobyła się para.

– Tak.

– Muszę ci powiedzieć, że nie takie miałem plany.

Delikatnie powiedziane, pomyślał Hart.

– Wszystko stanęło na głowie – kontynuował Lewis. – Najpierw ta dziwka, przez którą jesteś ranny. Mnie też omal nie trafiła. Potem przyjechała gliniara... Ja albo ty mogliśmy stracić wzrok, gdybyśmy się złapali w pułapkę z amoniakiem. No i kula z jej pistoletu minęła mnie o włos.

Hart nie odpowiedział. Nie podchodził do sprawy tak osobiście jak współnik. Kobiety działały pod wpływem zwierzęcego instynktu przetrwania. Broniły się.

– I myślę sobie – mówił dalej Lewis – że najlepiej brać nogi za pas. To policjantka, Hart. Miejskowa. Czyli obeznana z terenem. Pewnie jest już w połowie drogi do tej leśniczówki. Na pewno jest tam telefon. Musimy uciekać. Wracajmy do Milwaukee. Ta Michelle nie jest idiotką. Nie zidentyfikuje nas. – Poklepał kieszeń, w której miał jej torebkę, a w niej wszystkie dane, łącznie z adresem zamieszkania.

– Policjantka nie przyjrzała nam się dokładnie. Wróćmy do planu A.

Szosa, samochód. Co ty na to?

– Kusząca propozycja – odparł kwaśno Hart. – Bardzo. Ale nie możemy z niej skorzystać.

– Jestem odmiennego zdania. – Lewis mówił łagodnie i spokojnie.

– Trzeba je załatwić.

– Dlaczego trzeba? Kto tak twierdzi? Pewnie uważasz, że tchórz mnie obleciał. Nic z tych rzeczy. Nocny pościg za dwiema laskami to dla mnie nic. W zeszłym roku obrobiłem bank w Madison.

– Bank? Ja nigdy nie napadłem na bank.

– Zgarnęliśmy pięćdziesiąt tysięcy.

– Całkiem nieźle.

Średni zysk z takiego napadu w skali krajowej wynosił trzy tysiące osiemset dolarów. Dziewięćdziesiąt siedem procent złodziei trafiło za kratki przed upływem tygodnia.

– Zgadza się. Jeden ze strażników zgrywał bohatera. Miał zapasową spluwę przy kostce.

– Policjant.

– Dokładnie to samo sobie pomyślałem. Wywiązała się strzelanina. Oślaniałem chłopaków. Nawet się nie pochylilem, stałem na linii strzału, trzymałem go przy ziemi. – Lewis roześmiał się, potrząsając głową. – Kierowca spanikował do tego stopnia, że upuścił kluczyki w śnieg. Szukał ich dobre parę minut. A ja trzymałem strażnika na dystans. Stałem wyprostowany nawet wtedy, kiedy musiałem przeładować broń i słyszałem odgłos nadciągających syren policyjnych. Udało nam się uciec. – Przerwał znacząco, dając Hartowi czas na zastanowienie. – Należy kierować się zdrowym rozsądkiem... Kiedy trzeba, walczysz. A czasem uciekasz. I kończysz sprawę innym razem. – Po raz kolejny klepnął się po kieszeni. – Nic dobrego nam z tego nie przyjdzie – powtórzył. – Sytuacja się zmieniła.

Ciszę przerwał zawodzący trel jakiegoś ptaka. Było zimno.

– Dla mnie nic się nie zmieniło. – Hart ukucnął i odgarnął włosy z czoła.

– Oczywiście, że się zmieniło. W chwili, kiedy do ciebie strzeliła, rozpętało się tam piekło. – Lewis skinął brodą w stronę domu Feldmanów.

– Mogliśmy to przewidzieć. Powinniśmy byli to przewidzieć. Gdy podejmujesz jakąś decyzję, bierzesz odpowiedzialność za konsekwencje. Podejmując się tej roboty, dokonaliśmy wyboru. Nie wszystko zawsze idzie zgodnie z planem. Ciesz się, że nie dostałeś w brzuch...

Albo w ramię.

– Nikt mnie nie zmusza, żebym żył, tak jak żyję. Ani ciebie. Wybraliśmy taką drogę i mamy obowiązki. Powinniśmy być przygotowani na wszelkie niespodzianki. Za każdym razem, kiedy przygotowuję się do skoku, biorę pod uwagę każdy szczegół. Dosłownie wszystko. Nic mnie nigdy nie zaskakuje. Sama robota zazwyczaj mnie nudzi. Zanim przechodzę do działania, mam już wszystko przemyślane setki razy. Tym razem przewidziałem dziewięćdziesiąt pięć procent. Powinienem był też przewidzieć pozostałe pięć. Na przykład, że Michelle poćwiczy na mnie strzelanie do celu.

– Chochlik – skomentował Lewis.

– Co takiego?

– Moja babka mawiała, że kiedy coś idzie nie po twojej myśli, czegoś nie dopatrzysz, to wina chochlika. To chyba postać z jakiejś książki dla dzieci, nie jestem pewien. Chochlik zawsze jest w pobliżu i czyha na okazję, żeby coś zbroić. Jak los czy Bóg. Tylko że los może ci sprzyjać. Zrządzeniem losu może okazać się wygrana w totka. Los może cię uchronić przed wejściem pod ciężarówkę na żółtym świetle. Bóg daje ci to, na co zasługujesz. A chochlik chce człowiekowi zaszkodzić. To on złożył nam dziś wizytę.

– Chochlik. – Hartowi spodobało się takie wytłumaczenie.

– Co z tego, że nie wzięłaś pod uwagę tych pięciu procent? Bywa. Trzeba przejść nad tym do porządku dziennego, zostawić za sobą. Nadal uważam, że powinniśmy odjechać.

Hart skrzywił się z bólu. Wstając, niechcący uraził postrzelone ramię. Popatrzył na taflę wody.

– Pozwól, że teraz ja opowiem ci pewną historię. O moim młodszym bracie.

– Masz brata? – Lewis przestał wpatrywać się w dom Feldmanów.

– Ja też. Dwóch.

– Nasi rodzice zmarli prawie w tym samym czasie. W pewnym stopniu pełniłem wobec niego rolę ojca. Ja miałem dwadzieścia pięć lat, mój brat dwadzieścia dwa. Już wtedy obaj byliśmy wciągnięci w ten fach. Mój brat dostał proste zlecenie. Miał odebrać i dostarczyć pieniądze. Tysiące ludzi robi to codziennie na całym świecie.

– Fakt – przyznał Lewis.

– Nie miałem akurat nic do roboty i wybrałem się z nim. Przejęliśmy forszę...

– To się działo w Milwaukee?

– Nie. W naszym rodzinnym Bostonie. Przejęliśmy forszę i mieliśmy zamiar ją przekazać dalej. Okazało się, że to była pułapka. Zostaliśmy wystawieni. Policja miała nas zgarnąć, znaleźć forszę i przypisać nam przeprowadzenie całej akcji, zabicie kilku osób.

– Zrobili z was kozły ofiarne.

– Tak. Wyczułem, co się święci, podeszliśmy na miejsce od tyłu i zobaczyliśmy zasadzkę. Daliśmy nogę. Kilka dni później załatwiłem cwaniaków. Wszystkich oprócz szefa, który podobno wyjechał do Meksyku.

– Tak się ciebie bał? – Lewis wyraźnie nie uwierzył.

– Szukałem go pół roku, potem przestałem. Wcale nie był w Meksyku.

Miał nas cały czas na oku. Pewnego dnia podszedł do mojego brata i strzelił mu w głowę.

– Cholera!

Hart zamilkł na chwilę.

– Widzisz, Lewis, to nie on zabił mojego brata. Ja to zrobiłem. Przez swoje lenistwo.

– Lenistwo?

– Tak. Zabiłem brata, bo zrezygnowałem z poszukiwań tej szumowiny.

– Szukałeś przez pół roku. To długo.

– Mogłem szukać i sześć lat, nieważne. Jeśli coś robisz, musisz się zaangażować na dwieście procent. Albo wcale. – Hart potrząsnął głową. – To moja sprawa. Zapomnij. Ja się podjąłem tej pracy. Byłoby mi miło, gdybyś został, ale nie obrażę się, jeśli wrócisz do Milwaukee. Jedź.

Lewis zaczął się bujać na gałęzi.

– Mogę zadać jedno pytanie?

– Wal.

– Co się stało z zabójcą twojego brata?

– Przez trzy dni jeszcze cieszył się życiem.

Po chwili namysłu Lewis się roześmiał.

– Chyba zwariowałem, ale zostaję z tobą.

– Tak?

– Na pewno zwariowałem.

– Dzięki. To wiele dla mnie znaczy.

Uścisnęli sobie dłonie. Hart wpisał dane do komputera kieszonkowego i już znali drogę.

– Polowanie czas zacząć.

James Jasons, trzydziestokilkuletni szczupły mężczyzna, przyglądał się z podziwem rozładunkowi statków, siedząc w wysłużonym szarym lexusie na przybrzeżnym parkingu nad jeziorem Milwaukee. Ramiona dźwigów podnosiły metalowe skrzynie, jakby to były zabawki, i układały równiutko na przyczepach ciężarówek. Wymagało to niezłej precyzji od operatorów. Skrzynie musiały ważyć ponad dwadzieścia ton.

Jasons cenił sobie ludzi, którzy coś potrafią. Niezależnie w jakiej dziedzinie.

Z hałasem przejechał pociąg towarowy. Otworzyły się drzwi starego budynku z cegieł i stanął w nich muskularny mężczyzna ubrany w wygniecione szare spodnie, sportową kurtkę i niebieską koszulę. Nie miał krawata. Zszedł po schodach i ruszył przez parking. Paul Morgan, kierownik działu prawnego firmy, przeważnie pracował po godzinach. Teraz kierował się do swojego mercedesa. Jasons wysiadł z zaparkowanego dwa miejsca dalej lexusa.

– Pan Morgan?

Mężczyzna odwrócił się i popatrzył w przestrzeń nad głową Jasonsa, który był od niego o kilkadziesiąt centymetrów niższy i o prawie pięćdziesiąt kilogramów lżejszy.

– Słucham.

– Nie znamy się jeszcze. Moje nazwisko James Jasons. Pracuję ze Stanleyem Mankewitzem. – Podał rozmówcy wizytówkę. Morgan zerknął na nią, po czym schował do kieszeni. Później wyrzucił.

– Wiem, że już późno, ale czy poświęci mi pan pięć minut?

Paul Morgan rozejrzał się wokoło. Na parkingu w piątkowy wieczór? Nacisnął przycisk otwierający samochód.

– Nie jestem zaskoczony, że Mankewitz nie miał odwagi zjawić się osobiście. – Usiadł za kierownicą, lecz zostawił otwarte drzwi. Zmierzył rozmówcę wzrokiem. Od stóp obutych w półbuty z miękkiej skóry o rozmiarze 36 po idealny węzeł pasiastego krawata. – Jest pan prawnikiem?

– Pracuję w dziale prawnym.

– Ach, tak. Student prawa?

– Tak.

– Jaka uczelnia?

– Yale.

Facet się skrzywił. Pewnie skończył jakąś prywatną szkołę, ale Jasons nie

miał zamiaru wdawać się w dyskusję na temat uniwersytetów.

– Mów, czego chce twój czcigodny pan, a potem spadaj – warknął Morgan.

– Oczywiście – zgodził się uprzejmie Jasons. – Pańska firma nie wspierała pana Mankewitza ani związku w tym trudnym dla nas czasie.

– Chodzi o dochodzenie federalne, na litość boską. Po cholere miałbym go wspierać?

– Pańscy pracownicy należą do związku.

– Takie ich prawo.

– Zdaje pan sobie sprawę, że nie przedstawiono żadnych konkretnych zarzutów? – Na twarzy Jasonsa zagościł przyjazny uśmiech.

– Kilku urzędników zajmuje się sprawdzaniem pogłosek.

– Urzędników? To przecież FBI, do cholery! Nie mam pojęcia, czego oczekujecie. Jesteśmy legalną firmą. Proszę spojrzeć. – Morgan wskazał jaskrawo oświetlone miejsce rozładunku. – Klienci wiedzą o naszych powiązaniach ze związkiem oraz o śledztwie dotyczącym Stanleya Mankewitza. Mogą nabrać podejrzeń, że jesteśmy zamieszani w działalność niezgodną z prawem.

– Proszę im wyjaśnić, że pan Mankewitz nie został o nic oskarżony. Każdy związek zawodowy był, jest lub będzie kiedyś obiektem śledztwa.

– To nam coś mówi o związkach zawodowych – mruknął Morgan.

– Bądź świadczy o tym, że niektórym osobom przeszkadza, kiedy szeregowi pracownicy domagają się swoich praw i godziwego wynagrodzenia za ciężką pracę – odparł gładko Jasons. Stał blisko Morgana, nie zważając na czosnkowy odór wydobywający się z jego ust. – A nawet gdyby pan Mankewitz okazał się winny, co jest mało prawdopodobne, jestem przekonany, iż pańscy klienci potrafią dokonać rozróżnienia między przywódcą a jego organizacją. Wszędzie może się trafić jakieś zgniłe jabłko. Co wcale nie umniejsza wartości pozostałych, ciężko pracujących ludzi.

– Ciężko pracujących... Panie Jason... Jasons? Z „s” na końcu? Nie rozumie pan, panie Jasons. Słyszał pan kiedyś o Homeland Security? Jesteśmy firmą rozładunkowo-przewozową. Wystarczy pogłoska, że robimy interesy z podejrzanymi ludźmi, a klienci pójdą do konkurencji w obawie przed wąglikiem w magazynach albo bombą atomową w którejś z paczek transportowanych w tym samym załadunku. Ciężko pracujący ludzie, na których panu tak zależy, stracą źródło utrzymania. Powtarzam zatem pytanie: Czego, u licha, oczekujecie?

– Jedyne pewnych informacji. Niczego nielegalnego, poufnego, niezręcznego. Kilku szczegółów technicznych. Spisałem je na kartce.

– Dłoń w rękawiczce podała Morganowi świstek papieru.

– Skoro to nic poufnego, sami sprawdźcie. – Papier upadł na mokry asfalt.

– Ojej...

Morgan przyjrzał się uważnie szczupłej twarzy Jasonsa. Roześmiał się serdecznie, przeczesując dłonią przerzedzone czarne włosy.

– Co to ma być? „Rodzina Soprano”? Zamiast Puliego albo Chrisa Mankewitz nasłał na mnie małego gnojka. Taki macie plan na wymuszenie? Będiesz marudził, póki się nie ugnę? – Wychylił się z samochodu, nie przestając się śmiać. – Położyłbym cię na łopatki jedną ręką. Odesłanie cię do szefa ze złamanym nosem wydaje mi się niemal zabawne.

– Rzeczywiście wygląda pan na silniejszego ode mnie, panie Morgan. Ostatni raz biłem się dwadzieścia lat temu na szkolnym boisku. Nieźle wtedy oberwałem.

– Szkoda zachodu. Co dalej? Dużi chłopcy z żelaznymi drągami? Myślicie, że mnie zastraszą?

– Ależ skąd. Nikt inny do pana nie przyjdzie. Tylko ja, tylko ten jeden raz. Z prośbą o pomoc. Jednorazową pomoc. Nikt więcej nie będzie pana nękał.

– Nie pomogę wam. Proszę się wynosić z mojego terenu.

– Dziękuję za poświęcony mi czas, panie Morgan – powiedział Jasons, odwracając się, by odejść. Nagle zmarszczył czoło, jakby coś sobie przypomniał. Gestem powstrzymał Morgana przed zamknięciem drzwi. – Och, jeszcze chwileczkę. Może na coś się panu przydam. Wie pan, co będzie jutro rano?

Paul Morgan skrzywił się ze zniecierpliwieniem.

– Co?

– Zaczynają remont na Hanover Street. W sobotę. Dziwne, prawda? O ósmej trzydzieści. Jeśli chce pan zdążyć do szkoły na dziesiątą, radzę wybrać inną trasę.

– Jak to? – szepnął Morgan. Zamarł w pół ruchu z ręką na klamce.

– Inaczej spóźni się pan na koncert. – Jasons przyjaźnie skinął głową. – Bardzo mnie wzrusza zaangażowanie rodziców w sprawy dzieci. Wielu dzieciakom tego brakuje. Jestem pewien, że mały Paul i Alice doceniają, jakie mają szczęście. Wiem, że włożyły bardzo wiele pracy w przygotowania. Zwłaszcza Alice. Codziennie po szkole zostawała na półtoragodzinne próby. Od trzeciej do czwartej trzydzieści. Byłem pod wrażeniem. Powinien pan

wiedzieć o tych robotach drogowych. Dobranoc, panie Morgan.

Jasons wrócił do swojego samochodu i uruchomił silnik. Spojrzał w boczne lusterko. Mercedes zniknął, kartka papieru również.

Pierwsze wieczorne zadanie zostało wykonane. Zostało jeszcze jedno. Postanowił od razu ruszyć w drogę. Od jeziora Mondac dzieliły go dwie godziny drogi.

Brynn i Michelle stapały po niepewnym podmokłym gruncie. Musiały być niezwykle ostrożne, ponieważ sterty liści maskowały głębokie bagniste doły. Policjantkę irytował ciągły przenikliwy rechot żab. Obawiała się, że nie usłyszy, kiedy ktoś się będzie zbliżał.

Od dziesięciu minut szły pogrążone w pełnym napięcia milczeniu. Pokonały wąwóz zarośnięty krzewami jeżyn, czosnkiem niedźwiedzim i dziesiątkami innych gatunków flory, których Brynn nie rozpoznawała. Z niemałym trudem wdrapały się na górę po drugiej stronie.

Nagle przewodniczka zdała sobie sprawę, iż nie ma pojęcia, gdzie się znajduje ani dokąd się udać. Zabłądziły.

Na płaskim terenie miała większe poczucie kierunku. Kierowała się pewnymi elementami topografii. Rozpoznawała wzniesienia, niezwykle kształt drzew, otuchy dodawała jej bliskość strumienia. Tutaj straciła z oczu punkty orientacyjne. Przypomniała sobie słowa instruktora z kursu taktyk operacyjnych, który tłumaczył, że po trzydziestu pięciu minutach w obcym terenie pozbawionym jakichkolwiek rozpoznawalnych oznaczeń człowiek staje się zupełnie dezorientowany. Brynn nie miała co do tego wątpliwości, ale przekonała się, iż zbyt wiele takich oznaczeń daje identyczny efekt.

– Nie chodziłaś nigdy z Feldmanami na piesze wędrówki?

– Nie – odrzekła nadąsana Michelle. – Do tej pory odwiedziłam ich tylko raz czy dwa.

Brynn rozejrzała się powoli wokół.

– Mówiłaś, że wiesz, którądy pójść – mruknęła dziewczyna.

– Tak mi się wydawało – odpowiedziała z rozdrażnieniem.

– Poszukaj mchu. Porasta drzewa od północy. Uczyli nas tego w podstawówce.

– To niezupełnie prawda. Mech rośnie tam, gdzie jest najwięcej wilgoci. Zazwyczaj rzeczywiście porasta pnie drzew i kamieni od północnej strony. Ale tylko na terenach, gdzie słońce ma dostęp od południa. W gęstym lesie znajdziesz go wszędzie. – Brynn wskazała ręką kierunek. – Spróbujmy tędy.

Wybrała drogę, która wydawała się najłatwiejsza. Michelle poszła za nią bez słowa, opierając się na lasce z drewna różanego. Po chwili Brynn przystanęła. Czuła się coraz bardziej zagubiona. Nie mogły iść na oślep. Wpadła na pewien pomysł.

– Masz jakąś igłę?

– Co?

– Igłę, pinezkę, agrafkę?

– Po co?

– Po prostu pytam.

Michelle przeszukała kieszenie.

– Nie.

Brynn sobie przypomniała, że ona ma. Wyjęła z portfela błyszczącą chromowaną odznakę. Z tyłu przyczepiona była agrafka. Czy to ma szansę zadziałać?

– Chodź. – Poprowadziła Michelle do pobliskiego strumienia. Ukucnęła i zaczęła rozgarniać gruby dywan liści. – Poszukaj kamieni wielkości grejpfruta.

– Kamieni?

– Szybko.

Dziewczyna z kwaśną miną ruszyła wzdłuż brzegu, zbierając kamienie, podczas gdy Brynn przygotowywała miejsce. Klęczała na lodowatej ziemi, rozbolały ją kolana. Wyjęła z kieszeni flakonik ze spirytusem, nóż oraz zapalniczkę. Położyła je przed sobą razem z odznaką.

Michelle przykuśtykała, niosąc pięć sporych kamieni. Brynn zapomniała wspomnieć, że potrzebuje tylko dwóch.

– Co robisz? – zapytała dziewczyna.

– Kompas. – Czytała o tym w podręczniku dołączonym do kursu survivalu. Grupie, w której była, nie pokazano, jak się go robi w praktyce. Musiała się zdać na zapamiętany tekst.

– Potrafisz?

– W teorii. Zobaczymy.

Instrukcje nie były szczególnie skomplikowane. Trzeba uderzyć młotkiem w igłę, żeby ją namagnetyzować. Potem kładzie się ją na kawałku drewna pływającego w naczyniu z wodą. Proste. Zamiast młotka użyje innego metalowego przedmiotu – ostrza noża. Położyła przed sobą kamień i zaczęła odczepiać zapinkę od odznaki. Okazała się zbyt mocno przymocowana.

– Niech to diabli!

– Spróbuj przystawić nóż i uderzyć kamieniem – poradziła Michelle.

Brynn odgięła igłę tak daleko, jak się dało, i położyła ją na kamieniu. Przyłożyła nóż i uderzyła drugim kamieniem. Nie przyniosło to żadnego efektu.

– Mocniej. – Michelle zaangażowała się w przedsięwzięcie.

Policjantka ponowiła próbę. Ostrze zostawiło niewielki ślad. Przytrzymywanie noża i odznaki jedną ręką stanowiło problem.

– Uderz – powiedziała, dając Michelle kamień.

Dziewczyna się przestraszyła.

– Mogę trafić w twoją dłoń.

– Nie mamy wyboru.

– Połamię ci palce.

– No już! Uderz z całej siły!

Michelle zaczerpnęła haust powietrza i wzięła zamach. Brynn nawet nie drgnęła. Dziewczynie udało się trafić w ostrze i odłamać igłę, która jednak poszybowała w powietrzu, po czym upadła w stertę liści.

– Niech to szlag! – krzyknęła Michelle, ruszając do przodu.

– Stój! – zawołała Brynn. Igła na pewno leżała na wierzchu sterty, lecz wystarczyło małe poruszenie, by spadła w sam środek i przepadła na zawsze.

– Musi leżeć na samej górze.

– Za ciemno. Nic nie widzę. Cholera!

– Ciii...! – upomniała Brynn. Nie wiedziały przecież, gdzie są ich prześladowcy.

– Potrzebna zapalniczka.

Nawet światło księżyca z trudem przedzierało się wśród gęstej roślinności. Znalezienie igły w tym świetle było niemożliwe. A płomień zapalniczki będzie widoczny na kilometr. Znów nie miały wyboru. Brynn podała Michelle zapalniczkę.

– Idź tam. – Wskazała przeciwległą stronę sterty. – Świeć przy samej ziemi.

– Już?

– Tak.

Płomień świecił jeszcze mocniej, niż Brynn się spodziewała. Zaczęła szukać. Dostrzegła coś błyszczącego. Podniosła małą gałązkę wysmarowaną ptasimi odchodami. Następnie kamień ze świecącymi drobinkami. Wreszcie ostrożnie podniosła igłę.

– Zgaś już.

Ciemność wydała się jeszcze bardziej nieprzenikniona niż wcześniej. Brynn poczuła się bardzo niepewnie na myśl, że mordercy mogliby podejść niezauważeni. Jedyne ostrzeżenie stanowiłyby szelest liści i trzask łamanych gałązek. Michelle przykucnęła.

– Pomóc ci?

– Nie teraz.

Dziewczyna usiadła po turecku i wyjęła z kieszeni krakersy. Poczęstowała Brynn, która przyjęła kilka, po czym zabrała się do pracy. Uderzała w igłę bokiem ostrza. Parę razy trafiła w palec, skrzywiła się z bólu, lecz nie przerwała pracy. Stukanie wydało jej się okropnie głośne. Kolejne pięć minut dłużyło się w nieskończoność.

– Spróbujmy. Potrzebuję jakiejś nici.

Użyły nitki z kurtki Brynn. Igła została przywiązana do patyczka. Policjantka opróżniła flaszkę ze spirytusu, napełniła ją do połowy wodą, wrzuciła patyk do środka i położyła butelkę na boku. Włączyły zapalniczkę i patrzyły na kawałek drewna, który powoli przesunął się w lewo.

– Działa! – Michelle uśmiechnęła się szczerze po raz pierwszy tego wieczoru. – Tylko który koniec wskazuje północ, a który południe?

– W tej okolicy grunt po zachodniej stronie jest wyższy. Czyli po lewej. – Zgasiły zapalniczkę, ich oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Brynn wskazała odległy szczyt wzgórza. – Tam jest północ. Idziemy.

Zakorkowała butelkę i wsunęła ją do kieszeni. Podniosła włócznię. Ruszyły w dalszą drogę, zatrzymując się co jakiś czas, żeby potwierdzić kierunek. Kierując się konsekwentnie na północ, nie mogły ominąć szlaku Joliet.

Brynn uznała, że to ciekawe, jak bardzo zrobienie kompasu umocniło jej pewność siebie. Najbardziej na świecie bała się utraty panowania nad sytuacją. A tego wieczoru je straciła. Wyczołgała się zmarznięta, przemoczona i bezradna z czarnej toni jeziora. Bez broni, bez telefonu. No a teraz, z włócznią w dłoni i kompasem w kieszeni czuła się jak superbohaterka z komiksu. Królowa Dżungli.

Hart nazywał to tańcem. Uważał się za doświadczonego mistrza tańca.

Miesiąc temu siedział w kawiarni. Nigdy nie umawiał się na spotkania w barach, trzeba zachować trzeźwy umysł. Podniósł głowę, słysząc nad sobą głos.

– Jak się masz, Hart?

Mocny uścisk dłoni.

– Dobrze. A ty?

– W porządku. Szukam kogoś do pracy. Zainteresowany?

– Może. Od dawna znasz Gordona Potts'a?

– Niezbyt długo.

– Jak się poznaliście? – pytał Hart.

– Przez wspólnego znajomego.

– Czyli?

– Freddy'ego Lancastera.

– Aha, przez Freddy'ego. Jak się miewa jego żona?

– Trudno powiedzieć. Zmarła dwa lata temu.

– Rzeczywiście. Zapomniałem. A jak mu się mieszka w St. Paul?

– W St. Paul? Freddy mieszka w Milwaukee.

– Ach, te luki w pamięci.

Taniec. Zawsze długo trwa. Trzeba wybadać, z kim się rozmawia.
Zminimalizować ryzyko wdepnięcia w pułapkę.

Dopiero po dwóch spotkaniach mogli przejść do szczegółów.

– To duża suma.

– Zgadza się. Jesteś zainteresowany, Hart?

– Mów dalej.

– Tu masz mapę terenu. Prywatna droga. Lake View Drive. Tutaj park
stanowy. Okolice niemal całkowicie wyludniona. A to plan domu.

– Ta droga jest żwirowa czy asfaltowa?

– Żwirowa... Podobno jesteś dobry. Jesteś dobry, Hart? Podobno jesteś
prawdziwym zawodowcem. Tak mówią.

– Kto?

– Ludzie.

– Dobrze mówią.

– Mogę ci zadać jedno pytanie?

– Tak.

– Jestem ciekaw, czemu wybrałeś taki zawód.

– Pasuje mi.

– Na to wygląda.

– No, dobrze. Jakie są zagrożenia?

– Co?

– Ryzyko. Ile osób, broni, odległość od posterunku policji? Czy sąsiednie
domy są zamieszkane?

– To będzie łatwizna, Hart. Ryzyko niemal zerowe. Sąsiednie domy puste. Tylko dwie osoby. Sami Feldmanowie. W parku nie będzie strażników, do najbliższego posterunku policji daleko.

– Mogą być uzbrojeni?

– Chyba żartujesz. Prowadzą wielkomiejski styl życia. Prawniczka i pracownik socjalny.

– Będą sami? Na pewno? To ważne.

– Mam potwierdzone informacje. Sami Feldmanowie...

Jasne, tylko ich dwoje, pomyślał z goryczą Hart. Bolała go rana postrzałowa.

Ominęli krzaki pokryte wielkimi kolcami. Zarośla wyglądały jak wyjęte żywcem z filmu science fiction.

Przynajmniej obrali właściwy kierunek. Potwierdził to kawałek zakrwawionej chusteczki znaleziony na ściółce. Krew była świeża, chusteczka została upuszczona najwyżej pół godziny wcześniej. Hart się rozejrzał. Kilka wzgórz i niewielki potok.

– Nieźle nam idzie. Bez księżycy byłoby trudniej. Ktoś nad nami czuwa.

Chochlik...

– Ktoś... Wierzysz w to? – Lewis zdawał się wierzyć.

Hart wręcz przeciwnie, lecz uznał, że nie czas na dyskusje teologiczne.

– Chciałbym nieco przyspieszyć. Na szlaku mogą zacząć biec. My też będziemy musieli.

– Biec?

– Tak. Na równym terenie będziemy mieli większe szanse niż one.

– Bo są kobietami?

– Tak. A jedna jest ranna. To ją spowolni.

Pochylili się nad mapą. Hart stłumił snop światła latarki rąbkiem koszuli.

– To wieża dymna?

– Co to takiego?

– Punkt widokowy. Strażnicy wypatrują z nich pożarów. Mogły tam pójść.

– Gdzie?

– Na tej krawędzi górskiej.

Wskazał konstrukcję oddaloną o osiemset metrów. Trudno było stwierdzić, czy to słup antenowy, czy wieża strażnicza.

– Może.

– Widzisz je gdzieś?

Gdy wzrok całkiem już przywykł do mroku, światło księżycy wystarczało,

by oświetlić drogę. Natomiast domniemana budka strażnicza znajdowała się wśród gęstych drzew, a dzielił ich od niej cienisty jar.

Kobiety mogły tam pójść w nadziei, że znajdą radio, a nawet broń. Po chwili namysłu Hart zdecydował się użyć latarki, licząc na to, że oddalające się kobiety nic nie zauważą. Odwrócili się gwałtownie, zaalarmowani szelestem liści. Napotkali spojrzenia trzech par czerwonych oczu.

– Szopy! – Lewis się roześmiał.

Zwierzęta były zaaferowane jakimś znaleziskiem. Błyszczało i szeleściło.

Spłoszyli szopy kamieniami. Uciekły z wściekłym sykiem.

Po chwili Hart i Lewis odkryli, że walczyły o jedzenie. Kawałki krakersów.

– Ich?

Hart podniósł kawałek i przełamał. Świeże. Obejrzał ziemię. Zostawiły ślady stóp i kolan. Poszły na północ.

– Baby. Zatrzymały się na piknik.

Hart nie sądził, żeby chodziło o odpoczynek. To nie pasowało do Brynn. Może któraś opatrywała ranę. Wyczuł zapach spirytusu. Teraz już mieli pewność, że poszły w stronę szlaku, a nie budki strażniczej.

– Tędy – oznajmił, zerknąwszy na urządzenie nawigacyjne.

– Uważaj – ostrzegł Lewis.

Hart zmrużył powieki. Księżyc schował się za gałęzią albo chmurą i otaczały ich egipskie ciemności. Minęła chwila, zanim dostrzegł wskazaną przez współnika roślinę.

– Co to?

– Trujący bluszcz. Niebezpieczny. Nie każdy jest uczulony. Indianie nie są.

– Nie ma na nich wpływu?

– Najmniejszego. Też możesz nie być uczulony, ale lepiej teraz nie sprawdzaj.

– Byłeś w harcerstwie? – spytał Hart.

– Zabawne, prawie zapomniałem. Tak. Właściwie byłem tylko na kilku obozach. Trujący bluszcz znam z doświadczenia. Brat mnie nim załatwił. Na zawsze to zapamiętam.

– Mówiłeś, że masz dwóch braci.

– Starszy mnie tak urządził. Mam jeszcze młodszego. Ja jestem ten średni.

– Wiedział, że to trujący bluszcz?

– Do dziś się zastanawiam.

– Musiałeś się niezle nacierpieć, Lewis.

– No. A przy okazji... przyjaciele nazywają mnie Comp. Ty też możesz.

– Dobra, Comp. Skąd takie imię?

– To nazwa miasteczka, w którym się urodziłem. Compton w stanie Minnesota. Moi rodzice uznali, że to świetny pomysł na imię. Brzmi dystyngowanie. – Parsknął śmiechem. – Tak jakby to pasowało do naszej rodziny. Ale tatko się starał, trzeba mu przyznać. A twoi rodzice oboje nie żyją?

– Tak.

– Przykro mi.

– To było dawno.

– I tak mi przykro.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Hart zerknął na zegarek. Zdecydował, że już czas.

Sięgnął po telefon. Włączył go i wyciszył dźwięk. Przejrzał listę połączeń przychodzących. Ostatnie, z domu, trwało osiemnaście sekund. Ktoś zostawił wiadomość. Telefon zawibrował i zaświecił. Hart dotknął ramienia kompana i przyłożył palec do ust. Lewis skinął głową. Hart odebrał telefon.

Graham poczuł przyspieszone bicie serca i dreszcz na karku, kiedy zamiast polecenia, żeby zostawił wiadomość, usłyszał sygnał, a potem ciche szcęknięcie.

– Brynn?

– Mówi funkcjonariusz Billings – odezwał się niski męski głos.

Graham zmarszczył brwi i zerknął na Annę.

– Halo? – rozległo się w słuchawce.

– Nazywam się Graham Boyd. Jestem mężem Brynn McKenzie.

– Ach tak, oczywiście. Pani McKenzie.

– Czy coś jej się stało? – spytał z lękiem Graham.

– Wszystko w porządku. Dała mi telefon do popilnowania.

Graham poczuł wielką ulgę.

– Cały wieczór próbuję się dodzwonić.

– Mamy tu problemy z zasięgiem. Pojawia się i znika. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że teraz się panu udało.

– Żona powinna już być w domu.

– O! – Funkcjonariusz Billings sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Mówiła, że pana powiadomiła.

– Tak. Że wraca do domu, bo to był fałszywy alarm.

– Miała zatelefonować jeszcze raz. Pewnie nie mogła się połączyć. Odkryliśmy, że to nie był fałszywy alarm, tylko brutalna awantura rodzinna. Mąż zgrywał spryciarza. Częsta praktyka. Policjantka McKenzie spisuje właśnie zeznania żony.

Graham uśmiechnął się z ulgą do Anny i pokiwał uspokajająco głową.

– Zostawiła mi telefon – mówił dalej Billings. – Nie chciała, żeby cokolwiek ją rozpraszało. Łagodzi sytuację. Jest w tym dobra. Dlatego szef prosił, żeby została. Proszę chwileczkę poczekać... Sierżancie? Gdzie jest Ralph? Dobrze. – Policjant wrócił do rozmowy. – Przepraszam pana.

– Nie wie pan, ile to jeszcze potrwa?

– Czekaemy na kogoś z komisji opieki nad dziećmi.

– Nad jeziorem Mondac?

– Niedaleko. Pewnie poczekamy jeszcze kilka godzin. Z dzieciakiem kiepsko. Facet spędzi przynajmniej jedną noc w areszcie.

– Kilka godzin?

– Tak, proszę pana. Przekażę żonie, żeby do pana zatelefonowała, kiedy skończy.

– Dobrze. Dziękuję.

– Nie ma za co.

– Dobranoc. – Graham odłożył słuchawkę.

Przekazał Annie, czego się dowiedział.

– Przemoc domowa?

– Poważna sprawa. Facet pójdzie do więzienia. – Graham usiadł na kanapie i utkwiał wzrok w ekranie telewizyjnym. – Dlaczego akurat ona się tym zajmuje?

Nie oczekiwał odpowiedzi. Anna popatrzyła na niego znad robótki

– ładnego szalika w trzech odcieniach błękitu.

– Wiesz o jej złamanej szczęce?

– W wypadku samochodowym. Tak – odparł zdziwiony.

Patrzyła mu prosto w oczy. Anna McKenzie zawsze patrzyła prosto w oczy.

– W wypadku samochodowym – powtórzyła powoli. – Nie powiedziała ci. Graham przeczuwał, że znów nadepnął na gniazdo os.

– Słucham.

– Keith ją uderzył. To on złamał jej szczękę.

– Co takiego?!

– Miała ją odrutowaną przez trzy tygodnie.

– Boże! To musiało być poważne złamanie.

– Keith to silny mężczyzna... Nie gniewaj się, że wolała ci o tym nie mówić. Prawie nikomu nie powiedziała. Wstydziała się.

– Mówiła, że był humorzasty. Nie wiedziałem, że ją bił.

– Humorzasty? To prawda. Jednak przede wszystkim nie panował nad agresją. Niektórzy są uzależnieni od alkoholu, inni od hazardu. On miewał napady szału. Widziałam kilka razy, jak stracił kontrolę nad sobą. Wyglądał strasznie.

– Co się wtedy działo?

– Tej nocy, kiedy ją uderzył? Pewnie jakiś drobiazg wyprowadził go z równowagi, jak zwykle. To właśnie było najbardziej przerażające. Wybuchął pod byle pretekstem. Może wyłączyli prąd przed meczem, w sklepie zabrakło ulubionego piwa albo Brynn wspomniała, że chce wrócić do pracy, kiedy Joey nieco podrośnie.

– Nic nie wiedziałem.

– Bardzo silnie reaguje na przypadki przemocy domowej.

– Często interweniuje w takich sprawach – przyznał Graham.

- Sądziłem, że Dahl ją posyła, bo woli, żeby zajmowała się nimi kobieta.
- Nie. Brynn sama się zgłasza.
- Co zrobiła? Po tym jak Keith ją uderzył?
- Nie został aresztowany, jeśli o to pytasz. Myślę, że martwiła się o Joeya.
- Czy to się powtórzyło?
- Nic mi o tym nie wiadomo.

Nie wyobrażał sobie, jak można uderzyć żonę. Nie wyobrażał sobie bicia kogokolwiek. Chyba że w samoobronie.

Przypominał sobie różne sytuacje z przeszłości. Często po przebudzeniu dotykała brody. Wielokrotnie. W nocy zrywała się z łona, z krzykiem. Bywała kapryśna i przewrażliwiona. Miała nadmierną potrzebę kontrolowania rzeczywistości... Wyobraził ją sobie siedzącą na kanapie, jak wpatrzona w ekran telewizyjny przesuwa palcem po nierównej linii brody. Albo podczas kolacji.

– Czy wiedziała, co to za sprawa, zanim pojechała i zgłosiła się na ochotnika?

– To bez znaczenia, Grahamie.

Anna wróciła do przerwanej pracy.

Przystawały co kilkaset metrów, żeby spojrzeć na kompas. Nie dałyby sobie bez niego rady. Zaskakująco często zbaczały z właściwego kierunku.

– Gdzie się nauczyłaś, jak zrobić kompas? – spytała Michelle.

– Pomagając dzieciom odrobić pracę domową? Masz dzieci?

– Na szkoleniu dla policji. Ale mam syna. – Próbowала sobie wyobrazić Joeya w roli młodego naukowca. Rozbawiło ją to.

– Ile ma lat? – Michelle się ożywiła.

– Dwanaście.

– Uwielbiam dzieci. Jak ma na imię?

– Joseph.

– Biblijne imię.

– Chyba tak. Nazwaliśmy go tak na cześć wuja jego ojca.

– Jest grzeczny?

– O tak... choć czasem pakuje się w kłopoty. Ostatnio miał wypadek na deskorolce, i kilka razy brał udział w bójkach.

Michelle słuchała z zainteresowaniem i współczuciem.

– Wy nie macie dzieci? – spytała Brynn.

– Jeszcze nie. Jesteśmy dość zajęci.

– Pracujesz jako aktorka?

– Na razie dostaję drobne zlecenia. Reklamy, przedstawienia w domach kultury. Chyba będę miała angaż w teatrze komediowym Second City. Oddzwonili do mnie. Wybieram się też na przesłuchanie do roli w musicalu „Wicked”.

Brynn słuchała z uwagą opowieści na temat zawodowych planów i wyborów dziewczyny. W jej ocenie Michelle była dyletantką, która nie potrafi się zaangażować do końca w jeden projekt. Szuka najłatwiejszej drogi. Po nieudanych próbach napisania sztuki teatralnej zdecydowała, że kocha kino niezależne. Miała nadzieję na nawiązanie kontaktów w Los Angeles.

Szły teraz pod górę. Milczały, ponieważ brakowało im tchu.

Brynn pomyślała, że powinny już być niedaleko szlaku Joliet. Nie miała pojęcia, z jaką prędkością idą wśród gęstej roślinności, którą rozgarniają ramionami. Po kolejnych piętnastu minutach marszu zatrzymały się na niewielkiej polanie, żeby zerknąć na kompas. Szły we właściwym kierunku.

– Zgaś zapalniczkę.

Czekały przez chwilę, aż oczy przywykną do ciemności. Nagle usłyszały za plecami głośny trzask łamanej gałęzi. Michelle wciągnęła ze świstem powietrze. Przykucnęły, szykując się do ucieczki, były napięte jak struny. Brynn schowała kompas i chwyciła włócznię. Kolejna złamana gałązka, odgłos kroków... Zmrużyła oczy, rana na policzku bardzo bolała. Nic nie zobaczyła.

– Co to by...

– Ciii...!

Ktoś krążył wokół nich. Kolejny trzask. A potem cisza. Po chwili usłyszały szelest rozgarnianych liści po lewej stronie. Odwróciły się gwałtownie w tamtą stronę. Ujrzały zarys postaci kiwającej się w przód i w tył.

Nie była to ludzka postać. Patrzyły na zwierzę wielkości owczarka niemieckiego. Ono również wpatrywało się w nie z napięciem. Michelle jęknęła ze strachu i chwyciła Brynn za ramię.

Czyżby to była puma? Podobno ostatnią zabito w Wisconsin sto lat temu, lecz co roku pojawiały się doniesienia, że jakąś widziano. Można też było spotkać kojota. Zazwyczaj omijały ludzi. Jednak czasem zdarzały się przypadki pogryzienia przez osobniki chore na wściekliznę. Równie dobrze mógł to być ryś.

Nie, za duży na rysia, stwierdziła po chwili Brynn. To z pewnością wilk, uznała. Próbowano wprowadzić na nowo ten gatunek zwierząt na teren stanu. Nie wiedziała, czy są niebezpieczne dla ludzi, ale sam wygląd pyska o dziwnie ludzkich rysach przyprawiał ją o gęsią skórkę. Obawiała się, że podeszły zbyt blisko jego siedziby i stanowiły zagrożenie dla młodych. Matka walcząca w obronie swego miotu to najbardziej niebezpieczny przeciwnik. Dowiedziała się tego od Keitha, który był zapalonym myśliwym. Ogarnęła ją wściekłość. Nie potrzebowały kolejnego wroga. Chwyła włócznię i ruszyła w stronę zwierzęcia.

– Co ty robisz? Nie zostawiaj mnie! – zaprotestowała Michelle.

Nie okazuj wahania, upomniała się Brynn w myślach. Oczy drapieznika błysnęły w świetle księżyca. Przyspieszyła kroku, szła zgarbiona. Zwierzę się wycofało, nie spuszczając z nich wzroku, i po chwili zniknęło w ciemności. Brynn zawróciła.

– Jezu Chryste! – szepnęła Michelle, wpatrując się w nią z niedowierzaniem.

– Już dobrze.

– Jak się czujesz? – Dziewczyna najwyraźniej bardziej przestraszyła się swojej towarzyski niż dzikiego zwierzęcia.

– Dlaczego pytasz?

– Wydawałaś... wydawałaś taki dziwny odgłos. Jakbyś miała trudności z oddychaniem.

– Odgłos?

– Jakby warkot. Przestraszyłaś mnie.

– Warkot? – Brynn zdawała sobie sprawę, że oddychała ciężko przez zaciśnięte zęby, ale nie miała pojęcia, że z jej gardła wydobywa się złowrogi pomruk. Istna Królowa Dżungli, pomyślała zażenowana i roześmiała się niepewnie.

Dotarły do doliny. Skąły i drzewa wzdłuż krawędzi porastały pnącza, a na dnie rozpościł się dywan z trującego bluszczu. Nie brakowało też podmokłych dołów i różnych gatunków grzybów. Z trudem przedostały się na drugą stronę. Wyczerpane stanęły na szlaku, czyli wąskiej, zarośniętej i zaniedbanej po zimie dróżce, która wydawała się królewskim traktem w porównaniu z torem przeszkód, jakim szły do tej pory.

– To już? – spytała Michelle.

Odpowiedzi udzielił im wielki drewniany znak wiszący nieopodal.

PERKINSTOWN 103 KM
DULUTH 300 KM

SZLAK JOLIETA
UWAGA, POŻARY LASÓW

Dużo czasu zyskaliśmy? – spytał Lewis, nawiązując do rozmowy z mężem Brynn.

– Trudno powiedzieć.

Pokonywali kilometry lasu, co jakiś czas dostosowując kierunek marszu do wytycznych urządzenia nawigacyjnego i mapy.

– Specjalnie włączyłeś jej telefon?

– Tak. – Zaraz po skończeniu rozmowy Hart wyjął baterię z aparatu telefonicznego, żeby policja nie mogła ich namierzyć. – Czekałem na to połączenie. Chciałem faceta przetrzymać, a potem uspokoić. Pójdzie spać i zacznie się martwić dopiero nad ranem, kiedy się ocknie w pustym łóżku. Do tego czasu obie panie będą już martwe i pogrzebane.

– Uwierzył ci?

– Jestem niemal pewien.

Mężczyzna, którego poślubiła Brynn McKenzie, na pewno był trzeźwy. Miał niski głos i kulturalny sposób wysławiania się. Hart wspominał każdy szczegół rozmowy, zastanawiając się, czy zawierała informacje mogące mu pomóc w polowaniu. Ta policjantka go intrygowała. Nosila inne nazwisko niż mąż. Nie dziwił się, że została przy panińskim.

Graham... Mężczyzna, z którym sypiała i dzieliła życie. Skąd pochodził? Był konserwatystą czy liberałem? Czy wyznawał jakąś religię? Czym się zajmował? Harta zastanowiła wyraźnie wyczuwalna ulga w jego głosie. Niewątpliwa ulga... I coś jeszcze.

Szkoda, że nie miał okazji się lepiej przyjrzeć tej McKenzie. Z pewnością była niebrzydka. Kasztanowe włosy związane z tyłu. Ładna figura. Przypomnił sobie oczy pod zmarszczonymi brwiami. Napotkał jej spojrzenie na podwórzu Feldmanów, kiedy celowała do niego z pistoletu.

Zabił sześć osób. Trzy z nich patrzyły podobnie. Nie odwracał wzroku od ofiar, nie miał powodu, nic dla niego nie znaczyły. Tylko dilerka narkotyków płakała przed śmiercią.

„Nie rób tego”.

Nie odpowiedział.

„Dogadajmy się”.

Ukradła komuś pieniądze czy oszukiwała na jakości towaru? Nie był zainteresowany. Zawarł umowę i zamierzał jej dotrzymać. Był profesjonalistą, więc strzelił, patrząc jej prosto w oczy.

Brynn strzelała, patrząc mu w oczy. Jak profesjonalistka.

Głos Lewisa wyrwał go z zamyślenia.

– Tak? – spytał Hart z napięciem.

– Obaj pochodzimy z Milwaukee. Jak to możliwe, że pracujemy razem po raz pierwszy?

– Nie wiem.

– Często pracujesz na terenie miasta?

– Nie. To niezbyt bezpieczne.

– Gdzie mieszkasz?

– W południowej części.

– Od strony Kenoshy?

– Niedaleko.

– Ta okolica bardzo się rozbudowuje. – Lewis zatrzymał się nagle.

– Popatrz. Jakiś drogowskaz.

– Gdzie?

– Tam. Na prawo.

Podeszli ostrożnie. Hart niechętnie wrócił do rzeczywistości.

Latem 1673 roku Louis Joliet, dwudziestosiedmioletni filozof, oraz Fr. Jacques Marquette, trzydziestopięcioletni jezuita, przebyli stan Wisconsin, zmierzając ku rzece Missisipi. Joliet, któremu szlak długości 737 km zawdzięcza nazwę, w rzeczywistości go nie przeszedł. Mężczyźni podróżowali głównie drogą wodną. Szlak Joliet powstał później, z myślą o handlarzach futer oraz podróżnikach. Dziś służy turystom oraz miłośnikom przyrody.

Hart porównał wskazania nawigatora GPS z mapą.

– Którędy one mogły pójść?

– Na pewno w prawo. Kilka kilometrów stąd jest leśniczówka.

Lewis krytycznie przyjrzał się zarośniętej ścieżce.

– Coś nie tak?

– Kiepski ten szlak.

Hart skwitował stwierdzenie uśmiechem, któremu Lewis zawtórował.

Dwie kobiety nieustępliwie kontynuowały wędrowkę. Jedna podpierała się laską z drewna różanego, druga włócznią. W kieszeniach miały noże oraz improwizowaną broń miotaną.

Idąc szlakiem turystycznym, Brynn wspominała czasy, kiedy z upodobaniem jeździła konno. Minęło kilka lat od czasu, kiedy ostatni raz siedziała na końskim grzbiecie. Uwielbiała galopować w lasku pod Humboldt. Kiedyś brała udział w konkursach skoków. Podczas jednego z takich konkursów miała okazję podziwiać pokaz przygotowany przez oficerów policji. Nawiązała rozmowę z jednym z nich. O dziwo, tamto doświadczenie nie wzbudziło w niej fascynacji sztuką ujeżdżania koni, lecz pracą w policji. Kilka lat później odkryła, że zawód, który wybrała, dostarcza jej podobnych wrażeń jak nieudany skok na grzbiecie półtonowego zwierzęcia. Może jeszcze kiedyś będzie miała okazję pokłusować na jakimś wierzchowcu.

Po drodze miały plansze z napisami, które przypominały im, iż na co dzień park nie jest straszliwym labiryntem, ale miejscem aktywnego odpoczynku. Napisy zawierały ciekawostki historyczne, przestrzegały również o zagrożeniach. Do największych należały pożary, strome urwiska oraz plagi ekologiczne.

UWAGA! SZMARAGDOWY KORNIK JESIONOWY!
Przestrzega się przed zakupem drewna w Clausen. Jeśli znaleźliście się państwo w posiadaniu drewna opałowego rozprowadzanego przez firmę Henderson, prosimy o natychmiastowe jego zużycie, ponieważ składowanie naraża las na inwazję szmaragdowego kornika jesionowego.

Jeden z potężnych dębów dosłużył się własnej tabliczki. Może był największy lub najstarszy – turyści uwielbiają wszystko co „naj”. Dla Brynn drzewo stanowiło po prostu świetną kryjówkę. Weszły właśnie na część szlaku w wielu miejscach nieosłoniętą drzewami. Co prawda, mogły zboczyć ze szlaku i pójść przez zarośla, ale wtedy by szły znacznie wolniej.

Tutaj było mnóstwo latających wiewiórek, cicho przelatujących nietoperzy oraz nieco głośniejszych puchaczy. Kilka razy rozległ się rozpaczliwy trzepot skrzydeł i pisk świadczący o zakończonym sukcesem polowaniu jakiegoś drapieznika.

Michelle na razie nieźle sobie radziła. Uraz kostki nie był aż tak poważny. Brynn miała doświadczenie w tych sprawach – związane z pracą oraz opieką nad synem. Wiedziała, kiedy wzywać na pomoc lekarza, a kiedy wesprzeć chorego dobrym słowem. Niepokoił ją natomiast stan psychiczny dziewczyny. Pozostawała w tyle. W pewnej chwili przystanąła i popatrzyła niechętnie na strome zbocze.

- Chodźmy – ponagliła Brynn.
- Muszę odpocząć.
- Jeszcze kawałek. Zasłużmy sobie na odpoczynek.
- Już teraz jestem zmęczona. Bardzo. Wspominałam przecież o problemach z cukrem we krwi. – Dziewczyna odskoczyła na widok biegnącego niedużego stworzenia. – Co to było?
- Nornica albo mysz. Nieszkodliwe.
- Mogłoby się wspiąć po nogawce.

Nie twojej, pomyślała Brynn spoglądając krytycznie na jej obcisłe dżinsy.

Wcześniejszy dobry nastrój Michelle ulotnił się bez śladu. Zachowywała się jak małe dziecko, które nie spało po południu.

– Chodź – namawiała ją cierpliwie Brynn. – Im dalej idziemy, tym bliżej jesteśmy domu. Nie możemy się tu zatrzymać.

Były na polanie, świetnie widoczne w promieniach księżyca. Michelle wydeła usta i posłusznie zaczęła się wspinać pod górę. Na szczycie

wzniesienia Brynn poczuła woń rozmarynu. Ze łzami w oczach przypomniała sobie wielkanocną pieczeń baranią, którą usiłowała przygotować na rodzinny obiad tak niedawno. Minęła plataninę dziwnych drzew jakby rodem z Tolkiena.

Z każdym krokiem coraz bardziej bolała ją rana na policzku. Dotknęła ręką twarzy i wzięła głęboki oddech. Przez całą głowę i szyję przepłynęła fala bólu. Opuchlizna rosła. Czy nie wda się zakażenie? Czy zostanie okropna blizna? Brynn pomyślała o operacji plastycznej i rozbawiła ją własna próżność. Powinna zadbać o zwiększenie szans na przeżycie, nim zajmie się zamartwianiem o własną reprezentacyjność podczas sobotniej wyprawy do kina.

Miała nawyk dotykania dołka w brodzie. Zawstydziała się, kiedy Graham ją kiedyś na tym przyłapał, ale jej powiedział, że to bardzo seksowne.

Natrętne myśli o przeszłości zaczynały ją już irytować. Od lat nie wracała do wspomnień o byłym mężu z taką intensywnością. Myślała też wiele o Grahamie i Joeyu, a przecież powinna się całkowicie skupić na ucieczce. Przypomniała sobie banalną sentencję o życiu przebiegającym przed oczyma tuż przed śmiercią. Skup się, do cholery! – skarciła się w myślach.

Skręciły w lewo. Brynn obejrzała się i spojrzała w dół. Zobaczyła sylwetkę przemykającą się od drzewa do drzewa.

– Co to? – spytała, chwyciwszy Michelle za ramię.

Nasunęło jej się skojarzenie ze snajperem szukającym dogodnego miejsca, z którego mógłby oddać strzał

– Na ziemię! – zdecydowała.

Ukucnęły obie i przeczesywały wzrokiem okolice. Przy bezchmurnym niebie widoczność była dość dobra, by oddać celny strzał. Z tej odległości nie musiały obawiać się strzelby Lewisa, ale Hart używał pistoletu. Dziewięćmilimetrowa kula dosięgłaby je bez trudu. Hart był świetnym strzelcem. Brynn zmrużyła oczy. Nagle parsknęła śmiechem.

– To tylko nasz znajomy – powiedziała, wstając. – Albo znajomy naszego znajomego.

Sylwetka skradająca się od drzewa do drzewa miała cztery łapy. Wilk, uznała Brynn. Choć zazwyczaj poruszały się w sforach, ten najwyraźniej był samotnikiem. Czyżby je śledził? Może jednak nie odstraszyła go skutecznie. Zwierzę nagle znieruchomiało i odwróciło łeb, po czym jakby rozplynęło się w powietrzu.

– Widziałas? Czyżby prawdziwy wilkołak? ... – Uśmiech na ustach Brynn

zamarł. – Nie... O nie!

Tym samym szlakiem w odległości około ośmiuset metrów szybko podążało w ich kierunku dwóch mężczyzn. Jeden niósł na ramieniu strzelbę. Po chwili zniknęli za zasłoną drzew.

– To oni – szepnęła Michelle. – Jakim cudem nas znaleźli?

– Pech. Mieli do wyboru kilkanaście możliwości i na nasze nieszczęście wybrali właściwą. Uciekajmy!

Pobiegły co sił w nogach.

– Myślałam, że zrezygnują z pościgu – wysapała Michelle. – Dlaczego to robią? – spytała żałośnie łamiącym się głosem.

Hart, odpowiedziała w myślach Brynn. Przez niego.

Ścieżka prowadziła w prawo, na wschód. Ich oczom ukazał się skąpany w świetle księżyca widok skalistych wzgórz i głębokich szczelin pomiędzy nimi. Między pniami drzew dostrzegały kamienne urwiska o nierównych brzegach.

– Popatrz. Tam.

Za chwilę miały dotrzeć do rozstaju dróg. Druga ścieżka była węższa niż szlak Joliet. Prowadziła w lewo pod górę na strome wzgórze, za którym rozciągała się spowita mrokiem dolina. Brynn ruszyła naprzód. Michelle co chwila oglądała się trwożnie za siebie. Trzymała dłoń w kieszeni, w której spoczywał nóż. Jego dotyk dodawał jej otuchy.

Zatrzymały się na przecięciu dwóch ścieżek. Była tam ławka i pusty kosz na śmieci. Nic więcej, żadnego telefonu. Okolica nie prezentowała się najlepiej po ciężkiej zimie. Szlak Joliet prowadzi w dół i skręcał w prawo, na północny wschód. Przy mniejszej ścieżce umieszczono drogowy znak.

JEZIORO APEX 1,7 KM
TRAPPER GROVE 3 KM
LEŚNICZÓWKA UMSTEAD 3,5 KM

Brynn podeszła do ogrodzenia przy urwisku i spojrzała w dół.

– Tam, na dole. – Wskazała dłonią. – Widzisz budynek? To leśniczówka.

– Daleko. Nie widzę świateł.

– Nikogo tam nie ma.

Droga wyznaczoną ścieżką była ponad dwukrotnie dłuższa niż skrót przez dolinę. Prowadziła do jeziora Apex, przez Trapper Grove i dopiero do leśniczówki.

Brynn mgliście pamiętała siedzibę strażników leśnych, która służyła za policyjną bazę podczas jednego z poszukiwań. Co roku zamykali ją na zimę.

– Jest za to telefon. Nie wiem, czy podłączony. I chyba gablotka z bronią. Nie możemy pójść ścieżką. Za daleko. Nie zdążymy.

– Może nie pójda za nami, tylko szlakiem Jolieta.

Brynn zastanawiała się przez chwilę.

– Prawdopodobnie domyślą się, że chcemy dojść do leśniczówki. – Podeszła do znaku UWAGA! URWISKO i spojrzała w dół, w ciemną otchłań. Musiała prędko zdecydować. Za piętnaście minut mordercy je dogonią.

– Bardzo stromo? – spytała Michelle.

Brynn dostrzegła wąską półkę skalną kilka metrów niżej.

– Myślę, że da się zejść – szepnęła. – Chociaż nie będzie to łatwe.

Jeśli uda im się zejść, bez trudu dotrą do leśniczówki. Nie miały pewności, że znajdą tam broń albo telefon. Dostanie się do środka nie powinno stanowić problemu. Brynn nie powstrzymają żadne zabezpieczenia, kiedy już znajdzie się przy budynku.

– Nienawidzę wysokości – szepnęła Michelle.

W tej kwestii Brynn doskonale ją rozumiała.

– Spróbujemy? – spytała dziewczyna drżącym głosem.

Brynn chwyciła długą gałąź i zaczęła badać teren w dole.

Szli bardzo szybko, od czasu do czasu biegli. Nagle Lewis złapał się za bok i oparł o drzewo.

– Źle się czujesz?

– Nie. W zeszłym tygodniu rzuciłem palenie. – Wciągnął głęboko powietrze. – Właściwie miesiąc temu, ale w zeszłym tygodniu jednego wypaliłem. Potem rzuciłem na dobre. Ale skutki zostają. Palisz?

Hart rozglądał się bacznie na boki. Skrzywił się pod wpływem nagłego bólu w ramieniu.

– Nie.

Był już niemal pewien, że ścigane kobiety nie mają broni, ale niepokoiło go zwierzę kręcące się w pobliżu. Jakiś wilk albo pies. Ludzie są przewidywalni. Znał ludzką naturę w jej najbardziej ekstremalnych przejawach. Zwierzęta rządziły się zupełnie innymi prawami. Przypomniał sobie odcisk łapy w pobliżu domu Feldmanów przypominający, że trafili do nieznanego im świata. Byli obcy.

Westchnął głęboko i oparł się o drzewo. Zabójcy spojrzeli sobie w oczy i wymienili uśmiechy.

– Od lat tyle nie biegałem – wyznał Hart. – A sądziłem, że jestem w nie najgorszej formie.

– Ćwiczysz?

Ćwiczył regularnie – praca wymagała sprawności fizycznej i siły – ale głównie podnosił ciężary. Nie uprawiał aerobiku, a to by się teraz przydało. Rzadko ścigał kogokolwiek i nie zamierzał nigdy przed nikim uciekać.

– Nie uprawiam joggingu.

– Ja też nie. W mojej rodzinie nie chadza się do klubów fitness. Ale pracowałem na budowie. Dla Gastona przy tej wieży niedaleko jeziora.

– Nie znam.

– Gaston Construction. Wielka wieża koło autostrady. Pracowałem przy elementach betonowych, potem dodali szklane. Taka robota pomaga utrzymać się w formie. Znasz się na robotach budowlanych?

– Trochę na hydraulice. Trzymam się z daleka od elektryczności i nie mam cierpliwości do prac malarskich.

– Aha.

– Najbardziej lubię stolarkę.

– Framugi?

– Raczej meble.

– Robisz meble?

– Proste rzeczy.

– Na przykład krzesła albo stoły?

– Tak. I regały. Odpoczywam przy tym.

– Kiedyś zrobiłem łóżko dla babci – pochwalił się Lewis.

– Łóżko? Chodźmy już dalej. Skąd pomysł?

– Zaczęło jej odbijać na starość. Alzheimer czy coś takiego. Nie wiem dokładnie. Może po prostu wariowała ze starości. Chodziła po domu, śpiewając kolędy przez cały rok. Bez przerwy... Dekorowała dom, moja matka zdejmowała świąteczne dekoracje, babka znów je wyciągała.

Hart przyspieszył kroku.

– Powiedzmy, że była dość ekscentryczna. Pewnego dnia zaczęła szukać łoża małżeńskiego, które dzieliła z dziadkiem. Wyrzuciliśmy je kilka lat wcześniej, ale ona upierała się, że jest gdzieś w domu. Chodziła i szukała. Zrobiło mi się jej żal. Wyciągnąłem stare zdjęcia i spróbowałem odtworzyć wyrko. Nie całkiem mi wyszło, ale wyglądało podobnie. Myślę, że sprawiłem

jej przyjemność.

– Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. A ty nie tylko pościeliłeś, ale i zbudowałeś dla niej łóżko.

– Chyba tak. – Lewis się roześmiał.

– Dlaczego zszedłeś na złą drogę, Comp? Mógłbyś zarabiać uczciwie.

– Nie zarobiłbym tyle.

– Dużo zarabiasz?

– Więcej niż na budowie. Moja matka jest teraz w domu starców. Płacimy wspólnie z braćmi. Chcę płacić tyle samo co oni.

Lewis popatrzył badawczo na Harta. Nie zadał kolejnego pytania o jego rodzinę.

– Jestem dobry w tym fachu. Sprawdziłeś moje referencje. Ludzie mi ufają.

– Tak. Dlatego zaprosiłem cię do współpracy.

– Banki, kasy, przekazy, ochrona... Mam kontakty w całej okolicy. A ty, Hart? Czemu siedzisz w tym gównianym interesie?

– Nie lubię pracować na cudzy rachunek. I nie potrafię usiedzieć długo w jednym miejscu.

– Myślisz, że one się gdzieś tu schowały? – spytał Lewis, rozglądając się wokół.

Hart miał przeczucie, że nie. Znajdował pewne podobieństwo między sobą a Brynn. A on za wszelką cenę by szedł naprzód. Wszystko, byleby się nie chować.

– Nie – powiedział Lewisowi. – Cały czas są w ruchu. Widziałem ślady stóp.

Lewis się roześmiał. Hart przestał zwracać uwagę na jego irytujące komentarze.

– Jesteś jak ostatni Mohikanin. Świetny film... Założę się, że lubisz polować.

– Nie, nigdy nie polowałem.

– Nie gadaj! Naprawdę?

– Tak. Ty polujesz?

Lewis uwielbiał polowania, choć dawno nie brał w żadnym udziału.

– Też by ci się spodobało. Nieźle sobie radzisz w lesie.

– Akurat, wielki las. Jesteśmy w Wisconsin. W parku stanowym. Wystarczy odrobina rozsądku, żeby sobie tu poradzić.

– A ja uważam, że masz talent.

Do czego? – miał zamiar spytać Hart, ale słowa zamarły mu na ustach, bo usłyszał kobiecy krzyk. Rozpaczliwe wołanie o pomoc. Stłumione, lecz wyraźne. Niezbyt daleko, kilkaset metrów przed nimi. Po chwili usłyszeli kolejne. Nie dało się rozróżnić słów.

– To ludzki głos? – zapytał Hart.

– Nie wiem.

– Chodźmy.

Pobiegli, ale starali się zachować ostrożność. Głowy trzymali nisko, na wypadek gdyby ktoś do nich strzelał.

– Uważaj. Nie ufam im. Już kilka razy nas oszukały, pamiętaj. Może próbują nas celowo zwabić. Nawet jeśli nie mają pistoletów, z pewnością mają noże.

Przystanęli przy rozwidleniu dróg. Strzałka wskazywała ścieżkę biegnącą wokół niewielkiego jeziora, prowadzącą do leśniczówki. Za leśniczówką ścieżka przechodziła w dwupasmową drogę wiodącą wprost na autostradę.

Hart dał znak Lewisowi, żeby przeszukał zarośla.

– Widzisz coś?

– Nie.

Nasłuchiwali. Żadnych głosów ani krzyków. Tylko wiatr poruszający liśćmi.

Nagle Lewis dotknął ramienia Harta i wskazał drewniane ogrodzenie z tabliczką UWAGA! URWISKO.

– Tamto drzewo, Hart.

– Które?

Wreszcie dostrzegł złamaną gałąź tuż nad przepaścią.

– To też może być pułapka – szepnął Hart. – Idź w te zarośla na prawo.

– Dobra.

– Ja podejść do krawędzi i się rozejrzeć. Narobię trochę hałasu, żeby dać im bodziec do ucieczki.

– A ja będę strzelał, jeśli kogoś zobaczę. – Lewis wyszczerzył się w uśmiechu. – I będę siedział cicho. – Po raz pierwszy tego wieczoru sprawiał wrażenie pewnego siebie.

Hart nabrał do niego zaufania.

– Dobra. Podkradnij się niepostrzeżenie.

Lewis zajął pozycję. Hart powoli i ostrożnie ruszył przed siebie z bronią gotową do strzału. Podszedł do urwiska. Na dole zobaczył budynek leśniczówki. Zbadał połamaną gałąź. Włączył latarkę. Jezu Chryste,

pomyślał. Odłożył broń, zawołał Lewisa.

– Co jest?

– Sam zobacz. Próbowaliśmy zejść na dół po ścianie skalnej, ale się nie udało.

Na półce skalnej, kilka metrów niżej, leżała odłamana gałąź w kałuży świeżej krwi.

– Człowieku! – zawołał Lewis. – Nieźle walnęła. Założę się, że złamała nogę. Mnóstwo krwi.

– Musiały schodzić dalej. Nie mogły zawrócić w takim stanie. A może znalazły jakąś jaskinię i tam się schowały.

– Musimy iść za nimi – zawyrokował Lewis. – Jak podczas prawdziwego polowania. Trzeba podążać śladem rannego zwierzęcia, póki się go nie znajdzie. Bez względu na wszystko. Mogę zejść pierwszy.

Hart uniósł brew.

– Jest stromo i wysoko.

– Pracowałem na budowie. Chadzałem po rusztowaniu na wysokości trzydziestego piętra, jakby to był chodnik.

Nie. Coś się tu nie zgadza, pomyślał Graham Boyd, podrywając się nagle z kanapy. Minął Annę, która teraz wzięła się do szydełkowania. Znajdowała spokój i przyjemność w tego typu zajęciach. Graham poszedł do kuchni. Jego wzrok spoczął na zdjęciu przedstawiającym Brynn w wieku lat kilkunastu. Siedziała na grzbiecie konia, na którym miała za chwilę wygrać młodzieżowe zawody w skokach przez przeszkody. Przytuliła policzek do szyi zwierzęcia i klepała je po karku. Patrzyła jednak gdzie indziej. Pewnie na konkurencję.

Sięgnął po książkę telefoniczną i zerknął na mapę. Miasta najbliższej jeziora Mondac to Clausen i Point of Rocks. W Clausen był magistrat, a w Point of Rocks posterunek straży gminnej. Najpierw zatelefonował do magistratu. Przekierowano go do urzędu miasta, gdzie zgłosiła się automatyczna sekretarka. Posterunek w Point of Rocks był nieczynny. Na automatyczną sekretarkę nagrano wiadomość, aby nagle przypadki zgłaszać do biura szeryfa okręgowego lub skontaktować się z komendą stanową policji.

„Dziękujemy za telefon i życzymy miłego dnia”.

Jak cholerna policja może mieć wolne?

Joey wyszedł ze swojego pokoju i zniknął w łazience. Po chwili stanął na szczycie schodów. Jeszcze się nie przebrał do snu.

– O której mama wróci?

– Niedługo.

– Dzwoniłeś do niej?

– Była zajęta. Nie mogła podejść. Zgaś światło i idź spać.

Chłopak wrócił do swojego pokoju. Grahamowi zdawało się, że słyszy dźwięki gry komputerowej.

– Gdzie ona jest? – odezwała się Anna. – Zaczynam się martwić.

– Nie wiem. Policjant, z którym rozmawiałem, twierdził, że to jakaś rutynowa sprawa. Coś mi się jednak nie podoba.

– Co takiego?

– Po co oddała komuś swój telefon? To do niej niepodobne. Za bardzo lubi rządzić.

Anna była jedyną osobą, z którą potrafił rozmawiać na poważne tematy, nie obawiając się, że ją urazi. Z Brynn i jej synem było mu trudniej.

Teściowa zmarszczyła brwi, ale po chwili się uśmiechnęła.

– Masz rację. Taka już jest moja córka.

Sięgnął po słuchawkę aparatu stacjonarnego.

– Detektyw Munce.

– Eric? Mówi Graham.
– Hej, co tam?
– Jest szeryf?
– Nie. Przeważnie kończy pracę o siódmej.
– Brynn pojechała nad Mondac w sprawie jakiegoś zgłoszenia alarmowego.
– Tak. Słyszałem.
– I jeszcze nie wróciła.
Długa cisza.
– Co?! To tylko czterdzieści minut od was.
– Jej telefon odebrał jakiś inny policjant. Powiedział, że to przemoc domowa i czekają na kogoś z opieki społecznej do dzieciaka.
Chwila milczenia.
– Nic o tym nie wiem. Z kim rozmawiałeś?
– Nie pamiętam. Zdaje się, że przedstawił się jako Billings.
– U nas nie pracuje nikt o tym nazwisku. Czekaj... – Graham usłyszał stłumiony szmer rozmowy. Potarł oczy. Brynn była na nogach od piątej rano. On wstał o piątej trzydzieści. – Już ci mówię. Facet, od którego pochodziło wezwanie, zatelefonował jeszcze raz i przeprosił za pomyłkę. Brynn została powiadomiona, miała wracać. To było koło siódmej.
– Wiem. Billings twierdził, że okazało się inaczej. Chodziło o awanturę domową. Brynn została poproszona o zajęcie się sprawą. Może spotkała kogoś z innego komisariatu?
– Możliwe, ale to raczej nie jest sprawa dla zwykłego patrolu.
Grahamowi ciarki przeszły po plecach.
– Eric, coś się musiało stać.
– Skontaktuję się z szeryfem i zaraz do ciebie oddzwonię.
Graham odłożył słuchawkę. Nerwowo przemierzał kuchnię. Przyjrzał się świeżo przyklejonym płytkom, ułożył stertę rachunków. Przesunął palcem po zakurzonej, starym telewizorze. Słuchał dźwięków gry komputerowej dochodzących z góry.
Zdenerwował się, że Joey go nie słucha. Postanowił przedłużyć zakaz jazdy na deskorolce do końca roku szkolnego. Nie wiedział, czy kieruje nim gniew, czy instynkt wychowawczy. Zadzwoił telefon.
– Tak?
– Graham? Mówi Tom Dahl. Właśnie rozmawiałem z Erikiem. Sprawdziliśmy w biurze policji stanowej. Nikt nie odebrał zgłoszenia z

okolic jeziora Mondac. Ani z Clausen, ani z Point of Rocks. Telefonowaliśmy nawet do Henderson.

Zniecierpliwiony Graham jeszcze raz powtórzył rozmowę z mężczyzną, który odebrał telefon Brynn.

– Nazywał się Billings.

W słuchawce zaległa cisza.

– Tak nazywa się również ulica prowadząca z Clausen do parku stanowego – mruknął Dahl.

Łatwo mogła przyjść na myśl komuś, kto chciałby podać fałszywe nazwisko. Graham zaczął się pocić ze zdenerwowania.

– Jej telefon znów nie odpowiada. Bardzo się martwię, Tom.

– Co się stało?! – zawołał Joey.

Graham popatrzył do góry. Chłopiec stał w połowie schodów, przysłuchiwał się rozmowie.

– Co z mamą?

– Nic. Wszystko dobrze. Wracaj do łóżka.

– Nie. Coś się stało.

Graham stracił cierpliwość.

– Do pokoju! Już!

Pasierb popatrzył mu zimno prosto w oczy, po czym udał się na górę, tupiąc demonstracyjnie.

Anna stanęła w drzwiach, dostrzegła grymas na twarzy zięcia.

– Co? – spytała szeptem.

– Rozmawiam z szeryfem – wyjaśnił i rzekł do słuchawki:

– Co robimy, Tom?

– Nie denerwuj się. Wyślę ludzi. Pewnie zepsuł jej się samochód i nie ma zasięgu.

– W takim razie z kim rozmawiałem?

Kolejna chwila ciszy.

– Już tam jedziemy.

Zdyszana, spocona Michelle oparła się na lasce, za którą służył jej kij bilardowy. Brynn stała obok. Ukrywały się w zaroślach, wokół unosił się zapach uryny. Nadal znajdowały się na głównym szlaku, niecały kilometr od ścieżki prowadzącej ku leśniczówce. Cały ten dystans pokonały tak szybko, jak potrafiły.

Przez chwilę obserwowały snop światła latarki, po czym ruszyły prędko w

dalszą drogę.

Mężczyźni dali się nabrać na inscenizację wymyśloną przez Brynn, której kluczowe elementy stanowiły krzyk, złamana gałąź i jej własna krew na półce skalnej. Zejdą po ścianie urwiska na sam dół albo pójdą ścieżką do leśniczówki, podczas gdy Brynn i Michelle zyskają dodatkową godzinę na ucieczkę, nim podstęp wyjdzie na jaw.

Decyzja nie została podjęta pod wpływem lęku wysokości obu kobiet. Brynn uznała, że zejście na dół i przedarcie się przez gąszcz roślinności zajmie im zbyt wiele czasu. Nie zdążyłyby pokonać nawet połowy drogi do leśniczówki. Złamała gałąź, pozorując wypadek, i zeszła na półkę skalną. Wzięła głęboki oddech i rozcięła nożem skórę na głowie. Jako policjantka i matka dwunastolatka, wiedziała co nieco na temat urazów głowy. Skaleczenia nie były bolesne, za to obficie krwawiły. Rozsmarowała krew i wróciła na górę. Pobiegly szlakiem Joliet.

Światło latarki wciąż przeświecało przez gałęzie drzew. Brynn po raz ostatni obejrzała się za siebie. Za zakrętem straciły możliwość śledzenia poczynań prześladowców.

– Boli cię rana na głowie? – spytała Michelle. Przepełniała ją wdzięczność, gdyż żywiła przekonanie, iż Brynn zrezygnowała z pierwotnego planu ze względu na jej lęk wysokości. Brynn zapewniła, że czuje się dobrze.

Michelle zaczęła snuć chaotyczną opowieść o tym, jak została uderzona w głowę przez koleżankę na szkolnym boisku. Ubrudziła sobie nową sukienkę, krwawiła obficie. Bardziej się przejęła zniszczoną sukienką niż raną.

– Dziewczynki bywają bardziej agresywne od chłopaków.

Brynn nie zaprzeczyła. Udzielała pogadanek wychowawczych w liceach. Nawet w niewielkim Humboldt pojawiały się problemy z młodzieżowymi gangami. Odepchnęła wspomnienie zdyszanego i zakrwawionego syna po jednej ze szkolnych bijatyk.

Przerwała nienaturalny potok słów Michelle. Zatrzymała się i rozejrzała wokół.

– Powinnyśmy zejść ze szlaku i poszukać rzeki.

– Koniecznie? Mamy niezłe tempo.

Brynn wyjaśniła, że szlak prowadzi jedynie głębiej w las. Od najbliższego miasteczka dzieliło je ponad dwadzieścia kilometrów, gdyby wybrały tę drogę.

– Muszę spojrzeć na kompas. – Położyła flaszkę na ziemi. – Tędy. Niedaleko. Jakies trzy kilometry. Może mniej. – Schowała kompas do

kieszeni.

Znajdowały się na niewielkim wzniesieniu, skąd znów mogły zobaczyć światło latarki. Zabójcy najwyraźniej nadal zmierzali do leśniczówki. Wcześniej czy później zorientują się, że popełnili błąd, ale dla Brynn i Michelle cenna była każda minuta opóźnienia pościgu.

Brynn znalazła przerwę w gąszczu, przez którą wśliznęła się do lasu. Michelle podążyła za nią z obrażoną miną.

Pędzili z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nie włączyli migacza ani syreny. Nie widzieli potrzeby. O tej porze prawie nie było ruchu. A samobójczych zapędów dzikich mieszkańców lasu i tak by nie powstrzymali. Szeryf Tom Dahl żywił przekonanie, iż jeleni przychodzi na świat bez mózgu.

Radiowóz prowadził Peter Gibbs. Dahl zajmował siedzenie pasażera. Za nimi podążał jeszcze jeden wóz policyjny, prowadzony przez Erica Munce'a. Razem z nim jechał Howie Prescott, szanowany policjant o imponującej posturze i ogolonej na łyso głowie.

Żaden z podwładnych, do których dzwonił, nie odmówił pomocy Brynn McKenzie. Dahl wybrał trzy osoby. Uznał, że tyle wystarczy. Odbył rozmowę telefoniczną z Brindle'em, agentem FBI z Milwaukee, na temat Emmy Feldman. Zastał go w domu. Mimo późnej pory agent był bardzo pomocny i szczerze zainteresowany sprawą.

– Zaczęło się niewinnie. Zajęła się stroną prawną pewnej dużej korporacyjnej transakcji. Przy tej okazji odkryła pewne nieprawidłowości w kilku firmach. Pewien anonimowy informator twierdzi, że przewodniczący miejscowego związku zawodowego, Stanley Mankewitz, sprzedaje fałszywe zielone karty.

– Ile może na tym zarabiać?

– Nie w tym rzecz. Nie bierze pieniędzy. Wymaga jedynie gwarancji, że dana osoba zatrudni się w zakładzie zatrudniającym niezrzeszony personel i nakłoni współpracowników, aby wstąpili do związku. Członków przybywa, a Mankewitz się bogaci.

Sprytnie, pomyślał Dahl.

– Wszczęliśmy śledztwo w tej sprawie.

– Facet jest winny?

– Na razie nie mamy dowodów. Jest przebiegły, stara szkoła, dopuszcza do siebie niewiele osób, a te trzymają gęby na kłódkę. To straszna gnida, proszę

wybaczyć łacinę. Jest winny. A my mamy słabe podstawy. Wystarczy, że stracimy jedyne go świadka w wypadku lub w tak zwanym przypadkowym napadzie rabunkowym, który wymknął się spod kontroli, i będzie po sprawie.

– A prawniczka wybrała się na wypoczynek na odludzie. Grozi jej niebezpieczeństwo.

– Właśnie. Policja z Milwaukee powinna była jej przydzielić ochronę. Wielkie niedopatrzenie.

Zaczyna się szukanie winnego i wskazywanie palcami, pomyślał Dahl. Szybko. Okazuje się, że praca policji wszędzie wygląda tak samo.

– Szybciej – odezwał się.

– Słucham? – zdziwił się rozmówca.

– Mówiłem do kierowcy... Mąż Brynn McKenzie telefonował na jej numer komórkowy. Odebrał mężczyzna, który podawał się za detektywa. Nie udało nam się potwierdzić jego tożsamości w żadnej z okolicznych placówek.

– Rozumiem pana zdenerwowanie. Gdzie to się odbywa?

– Nad jeziorem Mondac.

– Nie znam tych okolic.

– Przylega do parku stanowego Marquette.

– Spróbuję się dowiedzieć od detektywa prowadzącego kontakty z informatorami, czy zatrudniono ostatnio jakiegoś zawodowca od brudnej roboty.

Zawodowca! – zachnął się w myślach Dahl.

– Będę wdzięczny, agencji Brindle.

– Potrzebuje pan pomocy?

– Jeszcze nie. Najpierw sam sprawdzę, co się dzieje.

– Rozumiem. Proszę się ze mną kontaktować, kiedy zmieni pan zdanie. Będziemy do dyspozycji, szeryfie. Ten Mankewitz ma sporo na sumieniu.

Dahl podziękował i rozłączył się.

– Ile jeszcze? – mruknął do kierowcy.

– Pół godziny...

– No nie – zachnął się zniecierpliwiony. Potarł bliznę na nodze.

– Wiem, szeryfie. Nie możemy szybciej. Wystarczy jelen na drodze i po nas. Eric się z nami zderzy. Powinien utrzymywać większą odległość.

Od dwudziestu minut szły przez las. Zbaczały z trasy tylko, by omijać najbardziej splątane zarośla, kolczaste krzewy oraz sterty liści, pod którymi mogły się kryć wilcze doły albo niebezpieczne bagna. Stromy teren

przysparzał im nieco trudności. Potknięcie mogło się skończyć długim upadkiem oraz lądowaniem na kamieniach lub w cierniach.

Prześladowcy prawdopodobnie już zeszli w dół urwiska. Brynn miała nadzieję, że nie znalazłszy ciała, będą kontynuować wędrówkę aż do leśniczówki. Może minąć nawet czterdzieści minut, nim odkryją podstęp i wznowią pościg szlakiem Jolieta.

Zatrzymały się, by odczytać kierunek na kompasie. Udało im się nie zboczyć z kursu, nadal podążały na północ. Brynn po raz pierwszy pomyślała, że może im się udać. Przeżyją. Niedługo dotrą do rzeki. Tam zdecydują, czy obrać drogę na południe, wzdłuż brzegu, do Point of Rocks, czy też zdecydować się na krótszą, ale bardziej wyczerpującą i niebezpieczną trasę – po ścianie wąwozu. Prześladował ją obraz turysty, którego znaleźli nadzianego na konar drzewa. Brygada ratunkowa musiała użyć piły łańcuchowej, żeby zabrać ciało. Brynn czekała z pozostałymi na funkcjonariusza, który poszedł po piłę. Wrócił po godzinie.

Zmrużyła oczy, wyteżając wzrok. W oddali coś błysnęło srebrzyście. Czyżby rzeka? Po chwili okazało się, że to tylko łąn trawy połyskującej w poświacie księżyca. Niesamowity widok. Zastanawiała się, co to za gatunek trawy. Graham bez wątplenia by wiedział. Ale nie chciała teraz rozmyślać o mężu.

Przestraszyło ją pohukiwanie sowy. Zadrzała. Po chwili rozległo się wycie. Czyżby wilk prześladował je równie uparcie, jak zabójcy Feldmanów?

Michelle spojrzała w stronę źródła dźwięku i zamarła. Krzyknęła.

– Nie, Michelle! – szepnęła ochryple Brynn. – To tylko...

– Oni, to oni! – Dziewczyna wskazywała coś palcem.

Brynn spojrzała w ciemność. Widziała jedynie cienie. Warstwy cieni o różnych kształtach. Niektóre ruchome, inne nie.

– Gdzie?

– Tam!

Wreszcie i ona dostrzegła mężczyznę stojącego za krzakiem kilkadziesiąt metrów od nich. Jednak nie udało jej się wywieść ich w pole. Mocniej chwyciła włócznię.

– Padnij! – zawołała do Michelle.

Jednak młoda kobieta nie słuchała, oślepiąca falą furii i szaleństwa.

– Wy dranie! – wrzeszczała. – Nienawidzę was!

– Michelle, błagam, bądź cicho. Musimy uciekać. Szybko!

Dziewczyna zachowywała się, jakby była w transie. Odrzuciła kij, którym

się podpieraała, i wyjęła z kieszeni broń wykonaną z kuli bilardowej. Brynn przytrzymała ją za kołnierz skórzanej kurtki. Została mocno odepchnięta, pośliznęła się na mokrych liściach i spadła w dół zbocza. Twarz Michelle była wykrzywiona wściekłością. Nacierała na mężczyznę z nożem w jednej dłoni i improwizowaną bolą w drugiej. Poruszała się błyskawicznie mimo utykania.

– Nie, Michelle, nie! Oni mają pistolety!

Pozostawała głucha na prośby. Rzuciła kulą, która ominęła głowę mężczyzny o centymetr. Nie poruszył się. Michelle nie zrezygnowała z ataku. Brynn walczyła ze sobą. Pomoc Michelle oznaczała samobójstwo. Do diabła z tym! – pomyślała i ruszyła w ślad za dziewczyną. Trzymała nisko głowę.

– Stój, Michelle!

Lada moment strzeli. To musiał być Hart. Stał nieruchomo, czekając na najdogodniejszy moment. Michelle biegła wprost na niego. Nie mógł chybić. Jednak nie padł ani jeden wystrzał. Brynn zorientowała się dlaczego i powoli zwalniała, aż wreszcie przystanąła. Dziewczyna atakowała złamane drzewo kształtem przypominające człowieka.

– Nienawidzę cię! – piszczała rozdzierająco.

Nagle zdała sobie sprawę z pomyłki. Zatrzymała się zdyszana i wpatrywała z niedowierzaniem w pień z dwiema gałęziami. Upadła ze szlochom na kolana, ukryła twarz w dłoniach. Z jej gardła wydobył się upiorny skowyt. Zabrzmiał równie strasznie, co żałośnie.

Do tej pory płakała ze strachu i bólu. Przerazenie musiało wreszcie znaleźć ujście. Teraz bez reszty poddała się rozpacz. Brynn ruszyła w jej stronę, ale się zawahała.

– Michelle, już dobrze. Chodź...

– Zostaw mnie w spokoju! – zawodziła Michelle.

– Proszę cię. Błagam, bądź cicho... Już dobrze.

– Nie, nie jest dobrze! Nic nie jest dobrze.

– Chodźmy dalej. Już niedaleko.

– Nic mnie to nie obchodzi. Idź sama...

– Nie zostawię cię.

Dziewczyna zaczęła się kiwać w przód i w tył. Policjantka usiadła przy niej. Zrozumiała, że coś jeszcze gnębi Michelle.

– O co chodzi?

Michelle spojrzała z roztargnieniem na nóż i schowała go.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Słucham.

– To moja wina, że Steve i Emma nie żyją.

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo jestem rozpuszczonym bachorem! – krzyknęła. – O Boże...

Brynn obejrzała się za siebie. Kilka minut. Czowała, że to ważne. Mogły sobie pozwolić na kilkuminutowe opóźnienie. Pościg był daleko.

– Słucham cię.

– Mój mąż... Mój mąż mnie zdradza.

– Co takiego?

Michelle uśmiechnęła się z przymusem.

– Spotyka się z inną kobietą. Powiedziałam, że jest w podróży służbowej. To prawda. Ale nie sam.

– Współczuję.

– Moja koleżanka pracuje w biurze podróży, z którym współpracuje jego firma. Wymusiłam na niej informację. Pojechał z jakąś kobietą.

– Może to koleżanka z pracy.

– Nie. Wynajęli jeden pokój.

– Och...

– Byłam wściekła i zrozpaczona. Nie mogłam zostać sama! Po prostu nie mogłam. Namówiłam Steve'a i Emmę na ten wyjazd. Chciałam się im wyzalić, usłyszeć, że to nie moja wina. Że mój mąż jest draniem i po naszym rozwodzie będą się trzymać od niego z daleka, bo są moimi przyjaciółmi... A teraz nie żyją, bo nie potrafiłam zachować się jak dorosła.

– Nie zginęli przez ciebie. – Brynn rozejrzała się. Nie zobaczyła ani prześladowców, ani ich maskotki, szarego wilka. Pomogła dziewczynie wstać. – Chodź. Będziemy rozmawiać po drodze.

Michelle nie protestowała. Odszukały jej laskę i ruszyły w dalszą wędrowną ku rzece.

– Od jak dawna jesteście małżeństwem?

– Sześć lat. – Głos jej się załamał. – Michael był jak najlepszy przyjaciel. Szczodry i pełen uroku. Wszystko wydawało się idealne. Bardzo się o mnie troszczył. Wiesz, co jest najgorsze? Jego też straciłam przez to, że jestem zepsutą małą dziewczynką. – Roześmiała się sarkastycznie. – Jest bankierem. Dobrze zarabia. Po ślubie zrezygnowałam z pracy. Nie prosił mnie. Sama chciałam. Postanowiłam pójść do szkoły aktorskiej.

Michelle najwyraźniej postawiła nieostrożnie stopę i uraziła skręconą kostkę. Skrzywiła się z bólu.

– Powiedziała ci, że jestem aktorką – mówiła dalej. – Bzdura. Jestem dwudziestodwuletnią studentką wydziału aktorskiego. W dodatku kiepską. Brałam udział w dwóch reklamach lokalnej stacji telewizyjnej jako statystka. W Second City mnie odrzucili. Życie upływa mi na obiadkach z przyjaciółkami, grze w tenisa, wizytach w klubie odnowy biologicznej i na siłowni. Potrafię tylko wydawać pieniądze, robić zakupy i dbać o kondycję.

Brynn musiała przyznać, że Michelle bardzo dobrze dbała o kondycję. Nosła rozmiar 36.

– Stałam się... nikim. Nie mieliśmy o czym rozmawiać, kiedy Michael wracał po pracy do domu. Sprawami domowymi zajmowała się służba. Nawet o nich nic nie wiedziałam. Znudził się mną i przestał kochać.

W pracy policjanta przydaje się umiejętność oceny stanu psychicznego ludzi. Nie tylko przestępców, ale również świadków oraz ofiar. Brynn nie uważała się za ekspertkę, jednak podzieliła się z Michelle własną oceną sytuacji.

– Wina nie leży tylko po twojej stronie – powiedziała szczerze.

– Nigdy tak nie jest.

– Jestem do niczego...

– Nieprawda.

Rzeczywiście uważała Michelle za nieco rozpieszczoną i zbyt przywiązaną do luksusu. Ale sądziła też, że tragiczne wydarzenia tej nocy odnoszą ciekawy skutek i stanowią dla niej lekcję. Dziewczyna ma szansę się przekonać, że jest o wiele silniejsza, niż jej się wydawało. Brynn otoczyła ją ramieniem.

– Powinnaś zrozumieć jedno. To, że namówiłaś ich do przyjazdu tutaj, jest bez znaczenia. Steve i Emma zostali zamordowani przez płatnych morderców. Ktoś ich wynajął i wcześniej czy później wywiązałiby się z umowy. Jeśli nie dziś, to w przyszłym tygodniu. Nie miałaś z tym nic wspólnego.

– Tak sądzisz?

– Tak.

Michelle nie wyglądała na przekonaną. Poczucie winy nie mija tak łatwo. Wydawała się jednak odrobinę podniesiona na duchu.

– Chciałabym cofnąć czas.

Wielu ludzi powtarza to codziennie, pomyślała Brynn.

– Żałuję, że straciłam panowanie nad sobą – westchnęła dziewczyna. – Niepotrzebnie krzyczałam.

– Nie martw się. Są daleko. Mało prawdopodobne, że cię usłyszeli.

Graham Boyd usłyszał dźwięk uruchamianego silnika. Spojrzał z niedowierzaniem na teściową. Sprawdził, czy ma kluczyki w kieszeni.

– Ktoś kradnie samochód.

Nie miał pojęcia, jakim cudem. W serialach telewizyjnych złodzieje łączyli jakieś kable. Nie sądził, aby to było możliwe. Po chwili zrozumiał. Zniknęły zapasowe kluczyki, które zazwyczaj wisały na haczyku na drzwiach kuchennych.

– Chryste, tylko nie to! Nie teraz!

– Dzwonię do szeryfa.

– Nie! – krzyknął Graham, wybiegając na zewnątrz. – Nie trzeba.

Podczas cofania samochód uderzył w falistą blachę szopy ogrodowej. Rozległ się głośny huk, ale na karoserii nie został ślad, szopa również nie została uszkodzona.

Graham stanął przed maską, machając rękoma, po czym podszedł do otwartej szyby po stronie kierowcy.

– Wyłącz silnik i wysiądź z samochodu.

– Nie.

– W tej chwili, Joey.

– Jadę po mamę. Nie powstrzymasz mnie.

– Wysiadaj natychmiast.

– Nie.

– Tom Dahl już po nią pojechał. Wszystko będzie w porządku.

– Cały czas to powtarzasz! A skąd możesz wiedzieć?

Celna uwaga, pomyślał Graham.

Popatrzył w roziskrzone oczy chłopaka i na jego dłonie ściskające kurczowo kierownicę. Joey był wysoki jak na swój wiek, ale bardzo szczupły. W wielkiej półciężarówce sprawiał wrażenie bardzo małego.

– Jadę.

Wciąż miał trudności z wyprowadzeniem samochodu z podjazdu na ulicę. Tym razem uderzył w kosz na śmieci. Nie poddawał się jednak.

– Przestań, Joey. Nie wiemy nawet, gdzie jej szukać. – Nie powinien wdawać się w dyskusję, podpowiadał mu instynkt. Musi zachować autorytet.

– Nad jeziorem Mondac.

– Zgaś silnik. Wysiadaj.

Wahał się przed sięgnięciem do stacyjki po kluczyki. Jeden z jego pracowników miał poważny wypadek, bo sięgnął przez okno do środka

ruszającego samochodu. Człowiek ma małe szanse w starciu z dwiema tonami stali z dodatkiem benzyny.

Zerknął na siedzenie pasażera. Z przerażeniem zobaczył, że chłopak zabrał ze sobą śrutówkę. Skąd ją miał?! Brynn nie pozwoliła mu na kupno strzelby.

– Natychmiast wysiadaj! Nie pomożesz mamie w ten sposób. Niedługo wróci i będzie wściekła, jeśli cię nie zastanie w domu.

– Ojczym po raz kolejny okazał słabość i zaczął słowną przepychankę.

– Nie wróci. Coś się stało. Wiem, że coś się stało.

Chłopak zdjął stopę z hamulca, samochód ruszył naprzód. Graham, niewiele myśląc, zabiegł mu drogę i położył ręce na masce.

– Graham! – zawołała Anna. – Nie wszczynaj wojny.

Tymczasem Graham uznał, że najwyższy czas na konfrontację.

– Wysiadaj z tego samochodu!

– Jadę odszukać mamę!

Graham Boyd zdawał sobie sprawę, że ryzykuje życie. Stopa pasierba mogła ześlizgnąć się z hamulca, a samochód od roku wymagał przeglądu.

– Nigdzie nie pojedziesz. Zgaś silnik, powtarzam po raz ostatni.

Jego ojciec używał tego sformułowania, kiedy kazał mu odrobić pracę domową lub wyrzucić śmieci. Na małego Grahama zawsze działało.

– Jadę!

Samochód pojechał kilkanaście centymetrów do przodu. Graham wciągnął ze świstem powietrze, ale wiedział, że jeśli odejdzie, przegra. Nie zdążyłby odskoczyć na czas, gdyby chłopiec nacisnął mocniej pedał gazu.

– Ty się nigdzie nie wybierasz! – Joey wpadł we wściekłość.

– Mam rację?

Miał ochotę wytłumaczyć chłopakowi, że nie do niego należy ratowanie matki. Powinien zostawić sprawę w rękach ludzi, którzy się na tym znają.

– Wyjdź z samochodu – odezwał się spokojnie, świadom, że jego życie wisi na włosku.

– Pojedziesz po nią? – Chłopak mruknął coś jeszcze. Graham usłyszał tylko jedno słowo: „tchórz”.

– Joey...

– Złaź z drogi! – krzyknął chłopak dziko. Jego oczy rzucały iskry. Przez chwilę Graham był przekonany, że go przejedzie. Minęła cała wieczność, nim Joey wysiadł obrażony z samochodu.

– Zostaw. – Ojczym powstrzymał go przed zabraniem strzelby i położył mu dłonie na ramionach. – Chodź – powiedział łagodnie.

– Zrobimy sobie...

Chłopak go odtrącił i bez słowa poszedł do domu. Nawet nie spojrzał na stojącą na ganku babkę.

Im dalej na północ, tym bardziej zmieniało się ukształtowanie terenu i las był rzadszy. Często napotykały polany i formacje skalne. Nie odzywały się do siebie od jakiegoś czasu.

– Mój mąż też – odezwała się niespodziewanie Brynn.

Nie mogła uwierzyć, że to powiedziała.

Michelle popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– Twój mąż?

Brynn odetchnęła głęboko.

– Graham też ma romans.

– Boże, przykro mi. Jesteście w separacji? Rozwodzicie się?

– Nie – odparła dopiero po chwili. – On nie wie, że ja wiem.

Zaczęła żałować, że się odezwała. To jakiś absurd, myślała. Zamknij się i skup na marszu. Jednak rozpaczliwie chciała komuś o tym opowiedzieć. Do tej pory utrzymywała wszystko w tajemnicy. Nawet przed matką oraz najlepszymi przyjaciółkami, Katie i Kim.

Nagle, pod wpływem silnego stresu, poczuła gotowość zrzucenia z serca ciężaru, który ją przygniatał od dawna. Przed tą obcą kobietą. Naprawdę chyba wolałaby usłyszeć kilka zdawkowych słów pocieszenia. Jednak Michelle okazała szczerze zainteresowanie.

– Możesz mi opowiedzieć więcej?

Brynn usiłowała uporządkować myśli.

– Mój pierwszy mąż był policjantem. Może o nim słyszałaś. Keith Marshall.

Michelle nie rozpoznała nazwiska.

– Poznaliśmy się na szkoleniu w Madison... – Brynn przypomniała sobie pierwsze spotkanie z barczystym wysokim mężczyzną. Keith rzucił jej przeciągłe spojrzenie zza biurka świadczące o tym, iż uznał ją za atrakcyjną. Jednak prawdziwe zainteresowanie objawił dopiero, kiedy prowadzący zajęcia psycholog pochwalił ją za idealnie przeprowadzone negocjacje w sprawie uwolnienia fikcyjnych zakładników. A jeszcze większą uwagą obdarzył ją po tym, jak zwyciężyła w konkursie przeładowywania broni.

– Romantyczna historia – stwierdziła Michelle.

Brynn również tak uważała.

Po szkoleniu umówili się na kawę. Rozmawiali o pracy prowincjonalnego policjanta i romansowaniu w małych miasteczkach. Spytała, czy dobrze się czuje, bo zauważyła, że w pewnym momencie skrzywił się z bólu. Właśnie wrócił od lekarza, wyjaśnił. Rana postrzałowa po udanym uwolnieniu prawdziwych zakładników. Nie zginął nikt prócz porywaczy.

Słyszała o nieudanym napadzie na bank. Dwóch uzbrojonych narkomanów przetrzymywało obsługę i klientów oddziału Piny Grove Service. Nie było szans na bezpieczną akcję snajpera. Keith podszedł pod frontowe drzwi, nawet się nie schylił. Jednego trafił w głowę, drugi próbował ukryć się za stanowiskiem kasjerskim. Jego też zabił.

Niezbyt poważna rana Keitha prędko się zagoiła. Dostał naganę za działanie samowolne i lekkomyślne. To była czysta formalność, ponieważ nikt nie miał do niego prawdziwych pretensji. Został ulubieńcem mediów.

Brynn poprosiła, żeby jej opowiedział wszystko ze szczegółami. Była oczarowana. Później stwierdziła, iż jej fascynacja nie była zdrowa. Na pierwszą randkę poszli do kina na film grozy, a później zjedli kolację w meksykańskiej restauracji. Rozmawiali o broni, kamizelkach kuloodpornych i pościgach samochodowych. Pobrali się po jedenastu miesiącach od pierwszego spotkania.

– Wyszłaś za mąż za Bruce’a Willisa?

Brynn skinęła głową.

– Mój terapeuta twierdzi, że ja poślubiłam własnego ojca...

– Michelle się skrzywiła. – Co było dalej?

Brynn powstrzymała się przed dotknięciem podbródka. Nie zdołała odepchnąć niechcianych wspomnień. Twarz Keitha na przemian przybierała wyraz wściekłości i zaskoczenia. Złapał się za pierś, zatoczył do tyłu. Byli w jasno oświetlonej kuchni, w której śmierdziało prochem strzelniczym z jej pistoletu.

– Brynn? – odezwała się cicho dziewczyna. – Co się stało?

– Nie ułożyło nam się... – szepnęła policjantka. – Zostałam sama z synem. Pracowałam. Zamieszkała z nami moja matka, pomagała mi w opiece na Joeyem. Spełniałam się zawodowo, nie planowałam kolejnego małżeństwa. Parę lat później poznałam Grahama. Kupowałam od niego jakieś kwiatki ogrodowe. Nie przyjęły się, poszłam dokupić więcej. Wyjaśnił, dlaczego nie wyrosły za pierwszym razem, i zaprosił mnie na randkę. Przyjęłam zaproszenie. Spodobało mi się jego poczucie humoru. Lubił dzieci, ale nie miał ich z pierwszą żoną. Spotykaliśmy się przez jakiś czas, było miło.

Oświadczył się. Powiedziałam tak.

– Miło.

– Naprawdę miło. Żadnych kłótni, wspólne wieczory.

– Ale...?

Brynn zrobiła kwaśną minę. Dotknęła podbródka.

– Zaczęłam zostawać coraz dłużej w pracy, przyjmowałam trudniejsze zlecenia. Dużo wezwań do sprawców przemocy domowej. Kiedy nie pracowałam, spędzałam dużo czasu z synem... Miał problemy w szkole. To powszechne wśród dzieci przedstawicieli prawa. Słyszałaś o tym?

Michelle pokręciła przecząco głową.

– Według statystyk sprawiają więcej problemów wychowawczych niż ich rówieśnicy. Joey wdaje się w bójki. Wyczynia niebezpieczne akrobacje na deskorolce. Podczas gdy ja skupiałam się na pracy oraz wychowaniu syna, mój mąż zaczął regularnie grywać w pokera.

– Tak naprawdę nie chodził na pokera?

– Owszem, czasem tak. Niekiedy wychodził wcześniej, a w inne wieczory w ogóle się nie pojawiał.

Z radością spełniła prośbę Toma Dahla, żeby sprawdziła, co się dzieje nad jeziorem Mondac. Wiedziała, że pokrzyżuje Grahamowi plany. Udaremni schadzkę. Nie odbierał telefonu, kiedy dzwoniła do niego z samochodu. Czyżby mimo wszystko pojechał na spotkanie z tamtą kobietą? – zastanawiała się.

– Jesteś pewna? – spytała Michelle.

– Ktoś ich widział razem.

– Zaufana osoba?

– Raczej tak. Ja.

Przejeżdżała w godzinach pracy obok motelu Albemarle, wtedy ich zobaczyła. Pod miastem. Wysoka blondynka z uśmiechem kiwała głową. Miała ładny uśmiech. Graham mówił coś ze spuszczoną głową. Powiedział Brynn, że będzie w odległym o trzydzieści kilometrów Lancaster, gdzie dostał zlecenie. Podczas kolacji opowiedział jej ze szczegółami o podróży do uroczonego miasteczka, spotkaniu z klientem i wrażeniach na temat jego ogrodu. Patrzył jej prosto w oczy. Brynn wiedziała z doświadczenia, że kłamcy zazwyczaj bombardują rozmówcę zbyt wieloma szczegółami. Zastanawiała się, czy scena, której była świadkiem, miała miejsce przed wejściem do motelu czy po wyjściu z niego.

– Co mu powiedziałaś?

– Nic.

– Jak to?

– Właściwie nie wiem czemu. Chyba ze względu na syna. Kolejny rozwód mógłby nim wstrząsnąć. A Graham to dobry człowiek.

– Poza tym, że kłamca – stwierdziła Michelle ponuro.

Brynn zmusiła się do uśmiechu.

– To nie tylko jego wina. Naprawdę. Jestem lepszą policjantką niż żoną.

– Ludzie powinni przed ślubem zdawać jakiś egzamin.

Brynn poczuła się przez chwilę, jakby grała w filmie. Komедii romantycznej o siostrach, które spotkały się po latach. Jedna płaowała się w miejskim luksusie, druga wybrała proste życie na wsi. Wybrały się razem w podróż, by odkryć, że w głębi serc więcej je łączy, niż dzieli.

Michelle się zatrzymała.

– Uważaj – ostrzegła, wskazując w lewo. – Tam jest urwisko.

Ominęły je. Brynn zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy prowadzi Michelle. A ona z zadowoleniem się na to godzi.

Mamy je!

Compton Lewis dotknął zdrowego ramienia Harta i wskazał przerwę między drzewami. Trzysta metrów przed nimi szły dwie osoby w ciemnych ubraniach. Widzieli ich plecy w świetle księżyca. Jedna utykała, podpierając się laską.

Hart pokiwał głową, serce zabiło mu szybciej. Były bardzo blisko i niczego się nie spodziewały. Zbliżali się do swoich ofiar.

Chochlik znów próbował pokrzyżować im plany. Stojąc nad krawędzią urwiska i patrząc na ślady krwi, Hart walczył z wątpliwościami. Czy kobiety rzeczywiście zeszły na dół, by spróbować dotrzeć do leśniczówki, czy zostały na szlaku Jolietta?

Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że to kolejny podstęp Brynn. Gdyby któraś rzeczywiście została ranna, spróbowałyby zamaskować krew ziemią albo liśćmi. Zostawiły czerwoną kałużę specjalnie, żeby skłonić ich do wizyty w leśniczówce.

Hart postanowił obrócić podstęp policjantki przeciwko kobietom. Niech myślą, że im się udało. Będą iść wolniej i stracą czujność. Na wypadek, gdyby mogły ją zobaczyć, poświęcił jedną z latarek. Przywiązał ją do gałęzi na linie zrobionej z pociętej koszulki Lewisa. Wiatr huśtał zapaloną latarką. Z daleka kobiety mogły odnieść wrażenie, że ich prześladowcy schodzą w dół urwiska. Hart był z siebie bardzo zadowolony.

Podążyli dalej szlakiem Jolietta, choć tak naprawdę nie wiedzieli co dalej. Według wskazań nawigacji satelitarnej szlak ciągnął się dalej w głąb lasu przez trzydzieści kilometrów. Nie wybrałyby takiej drogi. Mogły pójść na zachód, czyli zejść po lewej stronie ścieżki i odszukać drogę prowadzącą ku autostradzie. Mogły też obrać kierunek północny, kierując się ku rzece Snake, a stamtąd na zachód do autostrady międzystanowej lub na wschód, ku miasteczku o nazwie Point of Rocks.

Krzyk Michelle znacznie ułatwił decyzję. Hart wiedział, że tym razem nie był udawany. Nie mogły wiedzieć, że je usłyszą. Sądziły, że mają znaczną przewagę. Zabójcy ruszyli przez las w kierunku, skąd dobiegał wrzask. Szli powoli i ostrożnie, by nie narobić hałasu, nie pokaleczyć się o cierniste krzewy i nie spaść z zamaskowanego urwiska.

Nie wiedzieli, w którym miejscu splątanego gąszczu szukać ofiar, póki nie znaleźli wskazówki. Zauważył ją Lewis. Niewielki biały kształt w morzu czerni. Zbliżyli się ostrożnie. Po Brynn spodziewali się już wszystkiego.

Chochlik...

– Oślaniaj mnie. Sprawdzę, co to jest. Nie strzelaj z byle powodu, bo zdradzisz im naszą pozycję.

Lewis pokiwał głową. Hart zbliżył się do przedmiotu. Dotknął go długim kijem. Rozejrzał się wokół. Jego współnik również. Dał znak, że wszystko w porządku. Hart schylił się i podniósł znalezisko.

– Skarpetka z kulą bilardową w środku.

– Ich?

– Na pewno. Czysta i sucha.

– Cholera! Coś takiego może strzaskać kość. Zamierzały tego użyć na nas? Brynn, pomyślał Hart.

– Słucham? – odezwał się Lewis.

Hart pytająco uniósł brew do góry.

– Nie dosłyszałem, co mówiłeś.

– Nic nie mówiłem.

Czyżbym wypowiedział na głos imię policjantki? – zaniepokoił się.

Poszli dalej w kierunku północnym, a teraz wyraźnie widzieli przed sobą plecy obu kobiet. Znajdowali się bezpośrednio za nimi na stosunkowo płaskim terenie porośniętym głównie dębami, klonami i brzoźami. Kilkaset metrów dalej rozciągała się polana. Po prawej stronie był skalisty brzeg jakiegoś małego jeziora otoczonego gęstym lasem iglastym. Po lewej stronie wznosiły się skały. Niektóre porośnięte drzewami, niektóre upstrzone krzewami, inne całkiem nagie.

Hart ukucnął, dając Lewisowi znak, by zrobił to samo.

– Tu się rozdzielimy – wyjaśnił. – Ty je zajdziesz od lewej. W tamtym miejscu. Widzisz polanę?

– Tak.

– Dam ci znak. Pomacham skarpetką. Wtedy zaczniesz strzelać, a one padną na ziemię. Ja podejść od tyłu i dokończę robotę.

– Co zrobimy z ciałami? Nie możemy ich zostawić, bo zwierzaki rozniosą części po całym parku. Mnóstwo materiału dowodowego.

– Zakopujemy.

– Ziemia jest jeszcze zamarznięta. Czym wykopujemy dół? – Lewis rozejrzał się i wskazał jezioro. – Tam je wrzucimy, obciążone kamieniami. Założę się, że nikt tu nie przychodzi. Nic ciekawego.

– Zgoda.

– Nie trafię obu naraz. Druga zdąży się schować. Trzeba będzie ją potem

wytropić. Którą mam załatwić?

Hart przyglądał się niczego nieświadomym kobietom. Szły przez park niczym turystki.

– Ty bierz Michelle, ja zajmę się Brynn.

– Z przyjemnością.

Lewis był wyraźnie zadowolony.

Biała półciężarówka jechała z prędkością prawie stu kilometrów na godzinę. Za kierownicą siedział Graham Boyd. Jego jedyne towarzystwo stanowiły azalie, których nie zdążył rozładować. Nie zabrał wiatrówki Joeya. Schował strzelbę do szafy, razem z deskorolką. Po kłótni przed domem poszedł porozmawiać z chłopcem, ale on wolał udawać, że śpi.

– Joey – szepnął Graham. W pewnym sensie poczuł ulgę, nie doczekawszy się odpowiedzi. Nie miał pomysłu na tę rozmowę. Po prostu nienawidził nierozwiązanych konfliktów i towarzyszącego im napięcia emocjonalnego.

Wpadł na pomysł skonfiskowania komputera na jakiś czas. Wstrzymał się z decyzją, ponieważ nie chciał podejmować jej w gniewie. Był odpowiedzialnym dorosłym. Po pięciu minutach znów sprawdził, czy światło w pokoju chłopca jest zgaszone.

– Martwię się, Grahamie – powiedziała Anna.

Po raz kolejny popatrzył na fotografię swojej żony w toczku i stroju jeździeckim. Wszedł kuchennymi drzwiami z butelką zimnego piwa w dłoni. Stał na małej drewnianej werandzie, którą sam zbudował, i popatrzył na połówkę księżycy. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy z zamiarem zatelefonowania do Brynn. Zawahał się na myśl, że znów odbierze nieznanego, a on nie będzie w stanie zachować zimnej krwi. Jeśli go wystraszy, tamten mężczyzna może skrzywdzić Brynn i uciec. Schował telefon do kieszeni i podlał piwem pobliskie drzewko.

Po powrocie do salonu czekała go niespodzianka. Joey zszedł na dół w pidżamie. Leżał skulony na kanapie z głową wtuloną w kolana babci. Anna śpiewała cicho. Popatrzyła na zięcia, który wskazał najpierw na siebie, potem na drzwi.

– Na pewno chcesz to zrobić? – szepnęła.

Nie, pomyślał, lecz skinął głową.

– Ja zostanę tu na posterunku. Uważaj na siebie, bardzo cię proszę.

Odpalił kapryśny silnik i ruszył, wzbijając tumany kurzu.

Znów sięgnął po telefon i zaczął wpisywać numer. Sandry oczywiście nie

było w spisie telefonów. Po chwili zmienił zdanie, postanowił do niej nie dzwonić. Wsunął aparat z powrotem do kieszeni. Rozmawiał z nią już wcześniej, ukradkiem, kiedy Anna wyszła do łazienki. Musiał odwołać spotkanie. Nie wiedziałby, co jej teraz powiedzieć, nawet gdyby odebrała. Wolał się skupić na prowadzeniu samochodu. Znacznie przekroczył limit dozwolonej prędkości, nie zważając na policję drogową. Nie miał pojęcia, jak się zachować po dotarciu na miejsce. Pozostawało dla niego zagadką, dlaczego w ogóle tam jedzie.

Marzył, by położyć się w świeżej pościeli z ręką na brzuchu żony i ustach przy jej ramieniu. Porozmawiać o tym, jak im minął dzień, o przyjęciu w piątek, aparacie na zęby ich dziecka, szkolnych ocenach i racie kredytu, aż usną. Najwyraźniej jego marzenie w najbliższym czasie się nie spełni. Nacisnął mocniej pedał gazu.

Tam! – szepnęła z przejściem Brynn, wskazując ręką kierunek. – Widzisz?
– Co takiego?

Przykucnęły pod drzewem. Ziemia pachniała krokusami i rozkładem. W oddali rysowała się srebrna wstęga rzeki. Ich lina ratunkowa.

– Rzeka. Snake.

Ruszyły w dalszą drogę i rzekę przesłoniły drzewa. Brynn rozglądała się wokół, próbując nie zboczyć z właściwego kierunku. Nagle znieruchomiała.

– Jezu – szepnęła ze strachem. Schyliła się.

Zobaczyła współnika Harta, mężczyznę ze strzelbą. Znajdował się niecałe dwieście metrów od nich, nadchodził od strony skał.

– To przeze mnie... – odezwała się przerażona Michelle. – Przez mój cholerny napad hysterii! – Na jej twarzy malowała się pogarda do samej siebie. – Usłyszeli mnie!

Mała rozkapryszona dziewczynka...

– Nie. Nie zdążyliby nas tak szybko dogonić, gdyby nabrali się na podstęp. Powiesili na czymś latarkę, żeby nas zmylić.

I udało im się. Hartowi się udało, pomyślała Brynn. Właśnie, gdzie on był? Przypomniała sobie wykład z ostatniego szkolenia na temat taktyk operacyjnych. O podchodzeniu do przeciwnika z dwóch stron. Nie należało podchodzić z przeciwnych kierunków, ponieważ zachodziło ryzyko postrzelenia kogoś z własnej drużyny. Hart zbliżył się od tyłu. Nie widziała go jeszcze, ale wiedziała, że jest za nimi. Zamierzali je zastrzelić.

Znajdowały się na płaskim terenie, zmierzały ku polanie. Tam nie

musiałyby walczyć ze splątaną roślinnością, mogłyby iść po trawie. Po prawej stronie znajdowało się skaliste wzniesienie, a za nim koryto potoku. Światło księżyca tam nie docierało. Będą mogły się schować. Wskazała drogę Michelle.

– Tam. Do tamtego żlebu. Jak szybko potrafisz.

Chowały się za pniami drzew i krzakami. Zbiegały w dół zbocza, coraz to się ślizgając. Michelle prowadziła. W połowie drogi Brynn zaplątała się w jakieś pnącze i upadła. Ześlizgnęła się po mokrych liściach, wpadła na Michelle. Obie potoczyły się w dół. Brynn rozpaczliwie starała się utrzymać ostrze włóczni na bezpieczną odległość. Wylądowały w płytkim korycie potoku. Ostrze noża, który Brynn miała w kieszeni, przebiło materiał kurtki, ale nie dotknęło ciała. Michelle leżała na plecach, nerwowo klepiąc się po brzuchu. Policjantka przeraziła się, że dziewczyna nadziała się na własny nóż.

– Co się stało? – wysapała.

Michelle znalazła nóż, najwyraźniej nie zrobiła sobie krzywdy. Brynn usiadła powoli. Podniosła włócznię. Rozejrzała się i dostrzegła wgłębienie w suchym korycie. Schowały się za głazami i kępą krzewów.

– Zobacz – odezwała się Michelle, wskazując mężczyznę ze strzelbą, który biegł w ich kierunku. Liście poruszane wiatrem robiły nieco hałasu, a mimo to musiał coś usłyszeć. Patrzył wprost na miejsce, gdzie upadły. Po chwili rozejrzał się na boki i zniknął w gęstwinie drzew po północnej stronie.

– Jak twoja kostka?

– Dobrze. Upadłam na drugą nogę.

Żaden z prześladowców nie znajdował się w ich polu widzenia. Michelle powiedziała coś, czego Brynn nie usłyszała, pogrążona w myślach. Próbowwała odgadnąć, dokąd poszedł kompan Harta. Podjęła decyzję i oceniła teren.

– Rozdzielimy się. Ty pochyl głowę i idź tam. Zostań w korycie potoku. Widzisz tamto wgłębienie? Schowaj się w nim i przykryj liśćmi.

– Co zamierzasz? – spytała Michelle, otwierając szeroko oczy.

– Widzisz? – ponagliła stanowczo Brynn.

– Pójdiesz za nim, prawda?

Czasem się walczy, a czasem ucieka... Brynn skinęła głową.

– Idę z tobą – stwierdziła dziewczyna. – Chcę pomóc.

– Zostając, bardziej mi pomożesz.

Michelle zrobiła oburzoną minę, ale po chwili się rozchmurzyła.

- Nie martwię się, że złamię paznokiec, jeśli o to ci chodzi.
 - Pozwól mi wykonywać moją pracę. Ty się ukryj. Jeśli cię znajdą i będziesz musiała uciekać... – Brynn wskazała nieduże jezioro. – Tam będzie nasz punkt zbiorczy. Na brzegu, przy tamtych głazach.
 - Co to znaczy punkt zbiorczy?
 - Miejsce, w którym spotykają się żołnierze, kiedy muszą się rozdzielić. Zapamiętałam z „Cienkiej czerwonej linii”.
- Michelle poszła do kryjówki.

Charles Gandy, brodaty, szczupły, po trzydziestce, ubrany w nieprzemakalną wiatrówkę, stał obok przyczepy kempingowej zaparkowanej w lasach parku stanowego Marquette niedaleko zrujnowanej leśniczówki, w której od lat nikt nie mieszkał. Przyczepa była poobijana i oklejona naklejkami podkreślającymi znaczenie ekologii oraz świadczącymi o takich osiągnięciach właścicieli pojazdu, jak udział w wyprawie rowerowej przez przełęcz Snoqualmie czy pieszy rajd przez Appalachy.

– Słyszałeś coś jeszcze, kochanie? – spytała Susan, krągła kobieta o prostych jasnobrązowych włosach. Była o kilka lat starsza od Gandy’ego. Nosiała wisior w kształcie egipskiego krzyża, dwie bransoletki przyjaźni z muliny oraz ślubną obrączkę.

- Nie.
- Co to było?
- Zabrzmiało jak krzyk.
- Wiem. Kiedy wraca Rudy?
- Lada chwila – odparł Charles, zerkając w ciemność.
- Tatusiu!

W progu stanęła jego dziewięcioletnia pasierbica ubrana w koszulkę z krótkim rękawem, krótką dżinsową spódniczkę i stare tenisówki.

- Amy, powinnaś już kłaść się spać.
- Pomagam mamusi. Kazała mi.

Gandy był rozkojarzony.

- Skoro tak, to w porządku. Ale wejdź do środka, bo zmarzniesz.

Mała dziewczynka o jasnych włosach zniknęła za drzwiami przyczepy. Gandy wszedł do środka drugimi drzwiami. Znalazł starą strzelbę i ją naładował.

- Co robisz, kochanie?
- Muszę sprawdzić.

– Ale strażnicy leśni...

– Nie o tej porze roku i nie tutaj. Zamknij porządnie drzwi, pozastaniaj okna i nie otwieraj nikomu poza mną i Rudym.

– Dobrze, kochanie. Uważaj na siebie.

Susan weszła po schodkach do przyczepy. Zaryglowała drzwi i zaciemniła okna. Przyczepa stała się niewidoczna z daleka. Cichy pomruk generatora był prawie niesłyszalny wśród szumu wiatru.

Charles Gandy zapiął kurtkę, zarzucił strzelbę na ramię i włożył szarą wełnianą czapkę, którą dostał od Susan na urodziny. Ruszył wąską ścieżką łączącą się ze szlakiem Jolieta.

Skierował się najpierw na południe, potem na wschód. Biwakowali w okolicy od czterech dni, większość tego czasu Charles spędził na pieszych wędrówkach. Nieźle poznał teren, wiedział, gdzie są ścieżki wydeptane przez jelenie i ludzi. Szedł powoli i ostrożnie. Nie wiedział, kogo może spotkać. Krzyk, który słyszał, mogło wydać zwierzę albo człowiek. Trzasnęły łamane gałązki. Przykucnął i omiół wzrokiem najbliższe otoczenie. Dźwięki dobiegały z bliska.

Może to moja wybujała wyobraźnia, pomyślał.

Jego wątpliwości rozwiał widok kobiety przebiegającej ukradkiem od drzewa do drzewa. Trzymała coś w dłoni. Mocniej chwycił rękojeść strzelby. Co robiła w nieczynnym parku stanowym późną nocą? Czemu krzyczała? Poczł pulsowanie w skroniach. Instykt podpowiadał mu powrót do obozu i natychmiastową ucieczkę. Jednak rozum ostrzegał: przyciągniesz uwagę, jeśli uruchomisz silnik.

Kobieta zachowywała się jak żołnierz podczas misji zwiadowczej. Była ubrana w zwykłą kurtkę, nie w mundur strażników leśnych. Intuicja podpowiadała mu, że stanowi zagrożenie. Skryła się za wielką kępą jeżyn. Gandy ruszył w jej stronę, pokonując strach. Przystanął w miejscu, gdzie teren gwałtownie się obniżał, zszedł, przytrzymując się gałęzi. Podeszedł do miejsca, w którym po raz ostatni widział kobietę. Rozejrzał się wokół. Nie było jej. Po chwili dostrzegł ją kilka metrów dalej, skrytą w cieniu i przyczajoną do skoku niczym lwica czekająca na gazelę. Cicho odbezpieczył broń. Poruszał się, jakby szedł po polu minowym, omijając liście i gałęzie. Sam poczuł się jak żołnierz. Nie odpowiadała mu taka rola.

Kristen Brynn McKenzie skryła się za pniem dębu. Ścisnęła kurczowo swoją włócznię zrobioną z noża przymocowanego do kija bilardowego.

Starła się oddychać jak najciszej, przez otwarte usta. Wspięła się z powrotem na wzgórze.

Miała mokre od potu dłonie, choć straszliwie marzła bez kurtki i spodni. Wypchała je liśćmi i zostawiła jako przynętę obok kępy jeżyn. Udało się. Wspólnik Harta zbliżał się powoli i ostrożnie. Cieszyła się, że jest sam. Poradzę sobie z jednym, myślała.

Zaryzykowała wystawienie się na strzał. Pokazała mu się na chwilę, by zniknąć za kępą jeżyn. Zdjęła ubranie i zostawiła je na ziemi. Wyglądało jak ludzka sylwetka. Zsunęła się po zboczu, by wejść z powrotem w innym miejscu i ukryć się za drzewem. Miała nadzieję, że sztuczka podziała. Tak też się stało. Zaczął podchodzić do kukły.

Brynn siedziała wsłuchana w odgłos jego kroków. Miała wyostrome wszystkie zmysły. Ostrze włóczni trzymała blisko twarzy, w najgłębszym cieniu. Gdyby błysnęło w świetle księżyca, zdradziłoby jej kryjówkę. To był nowy, jeszcze nieużywany nóż. Miał służyć do krojenia wołowiny i kurczaka, a stanie się narzędziem do zabicia człowieka, pomyślała Brynn i zdała sobie sprawę, że nie bardzo się tym przejmuje. Mocniejszy podmuch wiatru zaszeleścił liśćmi, nie potrafiła już rozróżnić wśród szumu kroków mężczyzny. Minęła długa wypełniona strachem chwila, nim znów je usłyszała. Nadal zbliżał się wprost do przynęty. Po drodze będzie musiał minąć drzewo, za którym się ukryła. Był coraz bliżej. Poszukała wzrokiem Harta. Jeszcze nie nadchodził. Jego wspólnik przeszedł obok Brynn, widziała jego plecy. Zmienił wojskową kurtkę na zwykłą, którą prawdopodobnie ukradł z któregoś z domów. Włożył też czapkę, ukrywając pod nią jasne, krótko ostrzyżone włosy.

Uznała, że nadszedł odpowiedni moment. Poczła spokój i zarazem euforię. Taki stan zazwyczaj pojawiał się niespodziewanie. Na przykład podczas trudnego skoku na grzbiecie wierzchowca albo szaleńczego pościgu za podejrzanym. Podobnie czuła się też tamtego lata w Biloxi, kiedy z Keithem rozdzielali dwóch walczących na śmierć i życie nastolatków.

Czas walczyć...

Postanowiła rzucić w niego bolą, po czym wbić mu ostrze w plecy i zabrać strzelbę. Potem poczeka, Hart przybiegnie, słysząc krzyk kumpla. Trafiła przeciwnika w skroń. Z krzykiem upuścił strzelbę. Brynn rzuciła się w jego kierunku, nie zważając na własny ból. Nie była policjantką, żoną ani matką. Zamieniła się w dziką wilczycę walczącą o przetrwanie. Biegła z włócznią wycelowaną wprost w niego, powstrzymując dziki skowyt.

Rozpłynęły się w powietrzu.

Niech to diabli, pomyślał Hart. Szedł ku polanie, cały czas mając na oku Lewisa. W pewnej chwili coś z prawej strony zwróciło uwagę chłopaka. Podbiegł tam, ale najwyraźniej nic nie zobaczył, ponieważ wrócił do przerwanej wędrówki. Po kobietach nie było śladu.

Czyżby nas zauważyły? – zastanawiał się Hart. Dokąd poszły? Nie miały wielu możliwości. Na polanie z całą pewnością ich nie było. Może chowały się wśród otaczających ją drzew. Albo zeszyły po stromym zboczu i poszły w głąb parku, na wschód. Dotarłyby z powrotem na szlak Jolietta po długiej, uciążliwej wędrówce przez gęsty las.

Wreszcie uznał, że Brynn prawdopodobnie wybrała ucieczkę przez koryto wyschniętego potoku. Ominęła polanę, wybierając trudniejszą, ale bezpieczniejszą drogę. Miała instynkt samozachowawczy dzikiego zwierzęcia. Przewidziała jego ruch.

Lewis rozejrzał się bezradnie i uniósł ręce, dając Hartowi do zrozumienia, iż stracili z oczu cel. Hart dał znak, że zaraz do niego dołączy.

Gdzie ona jest?

Brynn przystanęła i rozejrzała się wokół siebie. W jednej dłoni trzymała strzelbę, w drugiej włócznię. Zabłądziła. Całą uwagę skupiła na przeciwniku, nie przyglądając się pokonywanej trasie, odkąd się rozstały. Miała nadzieję, że Michelle nie poszła jeszcze w umówione miejsce nad jeziorem. Było dalej, niż myślała, a jej zależało na czasie. Wreszcie dostrzegła znajomą konfigurację drzew. Zbiegła w dół, zatrzymała się gwałtownie za wielkim głazem.

Michelle sięgnęła do kieszeni po nóż. Jej oczy błyszczały dzikością. Po chwili odetchnęła z ulgą.

– Chryste, Brynn. Przestraszyłaś mnie.

– Ciii. Oni gdzieś tu są.

– Co się stało? – spytała szeptem dziewczyna. – Skąd masz strzelbę?

– Chodź. Szybko. Zraniłam kogoś.

– Jednego z nich? – Twarz Michelle rozjaśniła się nadzieją.

– Nie. – Brynn się skrzywiła. – Kogoś innego. Tędy.

Poprowadziła ją w miejsce, gdzie siedział brodaty mężczyzna. Trzymał głowę między kolanami i próbował zatamować upływ krwi z naderwanego ucha.

Brynn wyjaśniła, że uderzyła go kulą bilardową. Nie zginął tylko dlatego,

że usłyszał odgłos kroków policjantki nacierającej na niego z włócznią. Obejrzał się w porę, by mogła dostrzec jego twarz. Zdała sobie sprawę z pomyłki. Była napompowana adrenaliną, myślała, że są w parku same z prześladowcami. Przegapiła różnicę w budowie między mężczyzną, którego zaatakowała, a zabójcami oraz fakt, iż miał inny rodzaj broni palnej. Po serdecznych przeprosinach wyjęła odznakę, poprosiła o dowód tożsamości i zarekwirowała strzelbę.

Nazywał się Charles Gandy. Przyjechał z rodziną i przyjaciółmi przyczepą kempingową. Rozłożyli obóz w pobliżu.

– Może pan chodzić? – Brynn pragnęła jak najszybciej dotrzeć do przyczepy.

– Pewnie. Nie jest ze mną tak źle.

Trzymał przy uchu skarpetkę, w której wcześniej była kula. Krwawienie ustępowało. Brynn nie martwiła się teraz ewentualnymi konsekwencjami sądowymi swojej pomyłki. Oddałaby mu wszystkie pieniądze świata za nieopisaną ulgę, jaką poczuła, słysząc, że niedaleko znajduje się środek lokomocji. W dłoniach ścisnęła upragnioną broń palną.

Stała na straży, podczas gdy Michelle pomagała Gandy'emu wstać.

– Pani też jest ranna? – spytał, widząc kij, którym się podpierała.

– To nic poważnego – odparła z roztargnieniem, rozglądając się niespokojne wokół.

– Spieszmy się – powiedziała Brynn. – Proszę prowadzić.

Gandy poruszał się pewnie po okolicy, jakby ją dobrze znał. Znajdował ścieżki, z których istnienia Brynn nie zdawała sobie sprawy. Poruszali się niemal bezszelestnie, omijając gałęzie i szeleszczące liście. Minęli wyschnięty potok, okrążyli polanę. Teren wznosił się do góry. Podążali na północ. Michelle utykała, podpierając się włócznią Brynn, ale starała się nie opóźnić marszu. Brynn szła na końcu. Ścisnęła mocno strzelbę i często oglądała się za siebie. Przystanęli, chowając się za wielkim granitowym głazem. Gandy dotknął ramienia Brynn, pokazując jej coś bez słowa. Serce w niej zamarło. Po drugiej stronie długiego jaru znajdowała się naga krawędź skalna. Stało tam dwóch ludzi.

– Przed nimi uciekacie? – spytał szeptem Gandy.

Policjantka potwierdziła skinieniem.

– Zastrzel ich – szepnęła Michelle.

Popatrzyła na nią.

– Strzelaj – powtórzyła dziewczyna, otwierając szeroko oczy.

Brynn spuściła wzrok na trzymaną w rękę strzelbę. Nie zareagowała. Michelle zwróciła się w stronę Gandy'ego.

– Na mnie nie licz – powiedział. – Pracuję w sklepie z żywnością ekologiczną.

– Sama to zrobię. Podaj mi broń.

– Nie. Jesteś cywilem. To byłoby morderstwo. Nie poszłabyś pewnie siedzieć, ale i tak miałabyś nieprzyjemności.

Dwaj mężczyźni byli oddaleni o mniej więcej sto metrów, a strzelba myśliwska Gandy'ego nie miała celownika optycznego. Brynn wiele wiedziała na temat broni myśliwskiej. Była to wiedza zdobyta głównie na szkoleniach policyjnych. Kilka razy brała udział w polowaniu. Zrezygnowała kilka lat temu po przygodzie w Minnesocie. Keitha i ją zaatakował dzik. Brynn musiała go zabić dwoma szybkimi strzałami, ponieważ mąż właśnie przeładowywał broń. Postanowiła nie polować nigdy więcej. Nie powodował nią strach, poczuła nawet wstydliwą satysfakcję z odebrania życia zwierzęciu, którego jedynym przewinieniem było bronienie własnego terytorium.

Wycelowwała. Jeszcze kilka minut wcześniej nie wahała się przed zaatakowaniem współnika Harta ostrzem włóczni. Natomiast czuła opór przed strzelaniem z ukrycia, jak snajper. Musiała prędko podjąć decyzję. Mierząc, wzięła pod uwagę trajektorię lotu kuli. Nie potrafiła odgadnąć, jaki wpływ będzie miał wiatr, ponieważ jego siła i kierunek zmieniały się co chwilę. Musiała liczyć na łut szczęścia. Odciągnęła bezpiecznik, powoli naciskała spust. Nigdy nie należy naciskać go od razu do oporu. Nagle Hart odłączył się od współnika, jakby coś zauważył. Wyciągnął przed siebie ramię, wskazując kierunek.

– Jest pani pewna? – zaniepokoił się Gandy. – To na pewno oni?

– Tak – syknęła Michelle. – To oni. Strzelaj!

Po zastanowieniu Brynn postanowiła najpierw zastrzelić mężczyznę ze strzelbą. Nie zdążyła. Zabójcy zaczęli schodzić w dół jaru.

– Nie! – zawołała Michelle. – Strzelaj!

Jednak po chwili nie było już do kogo. Brynn spuściła głowę. Czemu się zawahała?

– Czas na nas – odezwał się Gandy. – Idą tu.

Brynn unikała wzroku Michelle. Rozpieszczona gwiazdeczka wykazała się większą samokontrolą niż policjantka. Powinnam była strzelać od razu, ganiła się w myślach. Zabezpieczyła broń i spojrzała po raz ostatni w otchłań,

gdzie zniknęli mordercy. Ruszyła w ślad za pozostałymi.

– Obozowisko nie jest daleko – mówił Gandy. – Mój przyjaciel zabrał samochód i pojechał do sklepu. Powinien już wrócić i będziemy mogli od razu odjechać.

– Kto jest z panem? – spytała Michelle.

– Moja żona, pasierbica i dwójka przyjaciół.

– Pasierbica?

– Amy. Ma dziewięć lat. – Gandy dotknął ucha i popatrzył na dłoń. Krwawienie ustało.

– Jest tutaj? – Brynn zmarszczyła brwi.

– Są ferie. Czy coś się stało? – zaniepokoił się, widząc jej minę.

– Nie wiedziałam, że jest z wami dziecko – powiedziała cicho.

– Nie ściągacie na nas kłopotów. Właściwie dobrze, że się spotkaliśmy. Kto wie, co by z nami zrobili, gdyby przypadkiem nas znaleźli, niczego nieświadomych.

– Macie telefon? – Michelle powtórzyła jedno z pierwszych pytań Brynn.

– Już mówiłem koleżance. Nie jestem zwolennikiem telefonów komórkowych. Ale mamy jeden w przyczepie. – Zwrócił się do Brynn: – Dysponujecie helikopterem? Mogłaby pani szybko ściągnąć posiłki.

– Tylko do użytku medycznego.

Myślała o tym, że wystawia na niebezpieczeństwo rodzinę z dzieckiem. A tak bardzo chciała tego uniknąć. Jar został daleko w tyle. Brynn zapamięta go jako miejsce swojej klęski. Była na siebie wściekła za tamten moment wahania.

– Czego oni od was chcą?

– Zamordowali moich przyjaciół – odparła Michelle. – Jestem świadkiem.

– O mój Boże!

– Włamanie do domu letniskowego nad jeziorem Mondac – dodała Brynn.

– Dziś?

Michelle potwierdziła skinieniem.

– Strasznie mi przykro. Ja... – Gandy nie wiedział, co powiedzieć.

– A pani próbowała ich schwytać? – zadał pytanie Brynn.

– Dostaliśmy wezwanie. Nie wiedziałam, w jakiej sprawie. Dotarłam na miejsce po zdarzeniu. Straciłam samochód i broń. Uciekłyśmy.

– Gdzie jest to jezioro Mondac?

– Jakies dziesięć kilometrów stąd na południe. Zamierzałyśmy dotrzeć do rzeki Snake, kiedy nas dogonili. Musiałyśmy zboczyć z trasy. Daleko jeszcze

do obozowiska?

– Niedaleko.

Chmura przesłoniła księżyc i stracili widoczność. Przystanęli na moment, po czym Gandy poprowadził je dalej przez las. Skręcili w prawo. Weszli na mniejszą ścieżkę. Nim ruszyli dalej, zamaskowali ją gałęziami.

– Idealnie – stwierdziła Michelle. – W życiu jej nie zauważą.

Spadał poziom adrenaliny. Brynn zadrżała. Chłód przeszywał ją do szpiku kości, mimo że znów była kompletnie ubrana.

– Zatrzymaliście się na polu biwakowym? – Nie dotarła w tamte rejony podczas akcji poszukiwawczych.

– Nie. Na terenie porzuconej i zaniedbanej leśniczówki. Sprawia wrażenie, jakby od lat nie tknęła jej ludzka stopa. Trochę jak z koszmaru sennego. Temat na powieść Stephena Kinga. „Nawiedzona leśniczówka”.

– Jak daleko stąd do drogi dojazdowej?

Gandy się zastanowił.

– Jest piaszczysta droga, która ciągnie się przez jakieś półtora kilometra. Prowadzi do głównej na terenie parku. Stamtąd do szosy jeszcze jakieś sześć kilometrów. To najkrótsza trasa. Proszę się nie martwić, za dwadzieścia minut będziemy na autostradzie.

Gdzie? – mruknął Hart.

Obaj przeczesywali wyschnięte koryto potoku.

– Patrz na to – powiedział Lewis, wpatrując się w błotnistą ziemię.

– Na co? Nic nie widzę.

Lewis zdjął marynarkę. Pod jej osłoną zapalił zapalniczkę. W jej świetle oczom Harta ukazały się odciski ludzkich stóp.

– Myślisz, że są świeże?

– Na to wygląda. Kto, u diabła, jest z nimi? Jasna cholera, jeśli to jakiś glina, ma przy sobie telefon albo radio.

Compton zgasił zapalniczkę, włożył kurtkę i podniósł strzelbę.

– Żaden samotny gliniarz raczej nie zapuściłby się w te strony nocą.

– Racja.

– Więc kto to może być?

– Poza sezonem obozowicze się tu nie kręcą. Może strażnik leśny? Lepiej szybko ich znajdziemy. – Hart poszedł kawałek dalej i przykucnął nad kolejnymi śladami. – Tamtędy poszli. – Wskazał szczyt wzniesienia. – Widzisz ścieżkę?

– No.

Hart uchwycił się spróchniałego konaru drzewa, żeby stanąć na nogi. Gałąź się ułamała, obozujący w niej półmetrowy grzechotnik zaatakował bezszelestnie i uciekł. Hart nawet nie zdążył krzyknąć ze strachu.

Zdjął rękawiczkę i zobaczył dwie małe ranki po wewnętrznej stronie nadgarstka. Jeden kieł przebił żyłę. Bliski omdlenia, zastanawiał się, czy umrze. Usiadł na ziemi. Lewis zapalił zapalniczkę i przyjrzał się ranie po ukąszeniu.

– Mam wysać jad? – spytał Hart. – Widziałem to w jakimś filmie.

– Nic ci nie będzie. Lepiej nie wysysaj. Jad dotrze do serca razem ze śliną jeszcze szybciej.

Hart zaczął dyszeć ze zdenerwowania.

– Zachowaj spokój. – Lewis jeszcze raz dokładnie obejrzał ranę.

– Im mniej się denerwujesz, tym lepiej dla ciebie.

– Przypalisz to?

– Nie. Spokojnie.

Zgasił zapalniczkę. Wyjął z kieszeni nabój do strzelby, rozciął go.

– Wyciągnij drugą rękę. – Wytrząsnął Hartowi na dłoń proch strzelniczy. – Napluj na to.

– Napluć?

– Rób, co mówię.

Hart splunął na rękę.

– Jeszcze. Proch ma być mokry. – Lewis z szelmowskim uśmiechem wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

– Prawie rzuciłem palenie w zeszłym tygodniu. – Wytrząsnął tytoń z trzech cameli, wysypał go na rękę współnikowi. – Wymieszaj.

Hart uznał, że to głupota, ale ponieważ coraz bardziej kręciło mu się w głowie, nie miał siły protestować. Lewis odciął kawałek swojej koszuli.

– Połóż breję na ranie, ja obwiążę.

Po nałożeniu opatrunku pomógł mu założyć rękawiczkę.

– Nic ci nie będzie. Trochę poszczypie.

– Nic mi nie będzie? Właśnie ukąsił mnie grzechotnik.

– To nie było bardzo jadowite ukąszenie.

– Słucham?

– To był grzechotniczek pospolity. Ten gatunek kontroluje wydalanie jadu. Nie mają go wiele, więc muszą oszczędzać na polowania. Nie używają go zwykle do obrony. Tylko straszą przeciwnika.

– Trzeba mu przyznać, że mnie skubaniec nieźle przestraszył. Nawet nie słyszałem grzechotania.

– Słyszać je tylko, kiedy wyczuwają niebezpieczeństwo. A on był równie zaskoczony jak ty.

– Niezupełnie – mruknął Hart. – Mnie jest słabo.

– Dostałeś dawkę jadu, przez jakiś czas możesz się czuć niewyraźnie. Ale gdyby ukąszenie było naprawdę niebezpieczne, ręka by ci już spuchła dziesięć razy bardziej i darłbyś się wniebogłosey. Albo zgasł jak przepalona żarówka. Wiem, że powinniśmy iść dalej, ale ty musisz jeszcze posiedzieć z dziesięć minut.

Hart nigdy w życiu tak się nie bał, choć brał udział w walkach wręcz i strzelaninach. Bez broni stawiał czoło uzbrojonemu przeciwnikowi i wygrywał. To nie był jego świat. Wziął głęboki wdech i wolno wypuścił powietrze.

– Chyba jestem na haju. – Zaczynało mu się to nawet podobać. Ranka już nie szczypała. – Skąd tyle wiesz, Comp?

– Jeździłem z tatą na polowania. Kiedyś przytrafiło mu się to samo, co tobie. Wyjaśnił mi krok po kroku, jak mam mu pomóc. Doszedł do siebie i sprął mnie za to, że nie uważałem i spłoszyłem węża.

Zapadła cisza. Hart nabrał ochoty na łyk czegoś mocniejszego. Pożałował, że Lewis nie zabrał ze sobą alkoholu.

– Twój ojciec nadal żyje? – spytał. Przypomniawszy sobie, że matka Comptona mieszka w domu starców.

– Tak.

– Często go widzisz?

– Nie. Tak jakoś wyszło. – Lewis wyszczerzył zęby w uśmiechu. Milczał przez jakiś czas. Potem sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Wpatrywali się w dziką głuszę leśną i nasłuchiwali.

– Tak sobie myślę, Hart...

– Aha?

– Stanowimy niezły zespół. Kiedy już z nimi skończymy, moglibyśmy znów współpracować. Z moimi kontaktami i twoim myśleniem będziemy niepokonani. Dzisiaj po prostu prześladuje nas pech. Wszystko stało się tak szybko.

– Zbyt szybko. – Delikatnie mówiąc, dodał w myślach.

– Mam znajomości w Kenoshy. Są do zgarnięcia pieniążki. Z Illinois i Chicago. Co ty na to?

– Słucham dalej.

– Czy nazwa Benton Plastics coś ci mówi?

– Nie.

– To za miastem. Ogromna firma na Haversham Road. Rozsyłają towar na cały świat. Przed wypłatami podjeżdża tam wielka ciężarówka z forszą. Strażnik to obibok i palant. Moglibyśmy w pewien piękny piątkowy poranek zgarnąć ze trzydzieści tysięcy. Wchodzisz?

Hart kiwał głową.

– Zrobię dokładne rozpoznanie – mówił dalej Lewis. Odruchowo poklepał się po kieszeni, szukając papierosów, choć nie miał zamiaru palić. – Jestem świetnym słuchaczem. Ludzie lubią mi się zwierzać. Kiedyś gadałem z jednym facetem o pierdołach i padło imię jego psa. Buchnąłem gościowi kartę bankomatową. Zgadnij, jaki miał PIN? Wyczyściłem mu konto dzięki zwykłej pogawędce.

– Dobra robota.

– Jaka jest twoja decyzja?

– Wiesz co, Comp? Podoba mi się twój pomysł.

– Serio?

– Zaplanujemy wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Nie tak jak tym

razem.

– Będziemy przygotowani na sto dziesięć procent.

– Właśnie. Dobra, już odpocząłem. Mamy sprawę do załatwienia. Nasze dziewczęta pewnie już dzwonią po kawalerię.

– Dobrze się czujesz?

– Nie, psze pana – szepnął Hart ze śmiechem. – Dostałem kulkę i właśnie ukąsił mnie grzechotnik. Ach, zapomniałem o prysznicu z amoniaku, którego cudem unikałem. Wcale nie czuję się dobrze. Ale co robić?

Ruszyli podjętym tropem. Hart wyciągnął rękę, w którą ukąsił go wąż. Już nie bolała.

– Jak działa ten proch z tytoniem?

– Moim zdaniem tylko pomaga się uspokoić.

Hart odetchnął z zadowoleniem.

– Nie ma to jak świeże wiejskie powietrze. Szczęście zaczyna nam dopisywać, Comp. Chodźmy tędy. Ścieżka. Chochlik przeszedł na naszą stronę.

Tam, w tym wgłębieniu.

Dotarli do dużej przyczepy. Obok stała zaparkowana furgonetka. Przyjaciół Gandy'ego wrócił z wyprawy na zakupy.

– Umieram z zimna – poskarżyła się Michelle.

– Może pani usiąść blisko grzejnika – uśmiechnął się Gandy.

– Świetnie. Nigdy nie było mi tak zimno. Nawet kiedy jeździłam na nartach w Kolorado. Zresztą tam w każdej chwili mogłam pójść do pokoju. To trochę co innego.

Weszli na kolejną, prowadzącą w dół ścieżkę. Pojazdy stały zaparkowane na zapuszczonym parkingu. Leśniczówkę prawie już wchłonął las.

Brynn zatrzymała się i odwróciła gwałtownie, uniosła broń.

– O co chodzi, Brynn? – spytała Michelle.

Gandy zrobił krok naprzód, omiatając wzrokiem gąszcz.

– Co się stało? – szepnął.

– Na ziemię – poradziła policjantka. – Usłyszałam jakiś hałas po prawej stronie. Widać coś?

Ukucnął, nie przestając wpatrywać się w mrok. Brynn przykucnęła po drugiej stronie ścieżki i pociągnęła za sobą Michelle. Przysunęła usta do ozdobionego brylantowym kolczykiem ucha. Poczowała zapach potu i drogich perfum.

– Mamy kłopoty, Michelle – szepnęła. – Ani słowa. Nie zadawaj pytań.
Pamiętasz punkt zbiórki?

Dziewczyna zamarła. Skinęła głową dopiero po chwili.

– Biegnij tam na mój znak. Jakby cię gonił sam diabeł. Zabierz włóczę.

– Ale...

Brynn ją uciszyła gestem.

– I co? – zwróciła się normalnym tonem do Gandy'ego.

– Nic nie widzę.

Brynn odciągnęła bezpiecznik strzelby i wymierzyła lufę w zaskoczonego brodacza.

– Co pani robi?

– Biegnij, Michelle, biegnij!

Gandy postąpił krok, ale zatrzymał się, widząc minę policjantki.

– Uciekaj! – krzyczała. – Spotkamy się tam, gdzie ci mówiłam.

Dziewczyna zawahała się jedynie przez sekundę, po czym zawróciła w górę ścieżki i zniknęła w mroku.

– Co się tu dzieje, do czorta? – Gandy wytrzeszczył oczy.

– Na kolana, ręce za głowę.

– To jakiś absurd.

– Kto...

Nie zdołała dokończyć zdania, bo została mocno pociągnięta za kołnierz. Zatoczyła się do tyłu. Jakaś kobieta o imponującej posturze, prostych włosach i oczach ciskających błyskawice uderzyła ją w brzuch kijem do ogłuszania ryb. Brynn wypuściła z rąk strzelbę, upadła na kolana i zwymiotowała. Nieznajoma zabrała broń.

– Co to za jedna? – warknęła.

Gandy podniósł policjantkę, przeszukał i znalazł nóż. Uderzył ją pięścią w twarz, otwierając ranę na policzku. Krzyknęła z bólu. Mocno odepchnęła napastnika, po czym usiłowała odzyskać strzelbę. Złapał ją od tyłu ramieniem za szyję.

– Nie ruszaj się.

Brynn z rezygnacją rozluźniła mięśnie. Gandy poluzował chwyt. Wtedy z całej siły nadepnęła mu na stopę.

– Pieprzona dziwka! – zawył.

– Koniec zabawy, złotko – powiedziała nieznajoma olbrzymka, celując do niej ze strzelby. – Nic ci nie jest? – spytała Gandy'ego.

– A jak ci się wydaje? – warknął, zerkając w górę ścieżki. – Była jeszcze

jedna. Zwiąła.

– Co to za jedna? Siksa od Fletchera?

Gandy chwycił Brynn za kołnierz i włosy.

– Skąd wiedziałaś? Gadaj, skąd wiedziałaś?

Nie miała zamiaru mu tłumaczyć, że wyczuła znajomy zapach propanu, chloru i amoniaku. Przyczepa kempingowa spełniała funkcję przenośnego laboratorium do produkcji metamfetaminy.

– Wejźmy do środka – powiedziała olbrzymka, rozglądając się na boki. – Trzeba powiedzieć Rudy’emu. Wkurzy się.

Gandy pociągnął Brynn za sobą.

– Odezwij się choćby słowem, a nie dożyjesz kolejnej godziny – wycedził.

– To ty za dużo gadasz – padła cięta riposta, za którą policjantka otrzymała kolejny cios w twarz.

W przyczepie panował zaduch, bród i bałagan. Wszędzie leżały talerze z resztkami jedzenia, puszki po piwie, sterty ubrań i śmieci.

Na dwóch gazowych kuchenkach stało sześć metalowych garnków. Pod ścianą piętrzyły się kanistry z bezwodnym amoniakiem. W rogu znajdował się warsztat do otwierania baterii litowych. Nie brakowało też wielkich stosów zapalek.

Gandy wepchnął Brynn do środka, rzucił nóż na stół.

– Kogo przywlokłeś? – zapytał wychudzony, roztrzęsiony młodzieniec o tłustych włosach w koszulce Aerosmith i bardzo brudnych dżinsach. Nie golił się od dawna i miał czarne paznokcie. Drugi mężczyzna był nieco tęższy, ubrany w ogrodniczki.

Gruba kobieta, która zaatakowała Brynn, odezwała się do dziewczynki w sfatygowanej koszulce i poplamionej dżinsowej spódnicy:

– Jeszcze nie skończyłaś. Rób dalej.

Dziewięcioletnia Amy popatrzyła na gościa, po czym wróciła do pakowania gotowego narkotyku.

– Co jej się stało w gębę? – odezwał się kościsty chłopak. – Cała jest opuchnięta.

Ten w ogrodniczkach uciszył go i kazał Gandy’emu opowiadać.

– To glina, Rudy.

– Akurat. W takim stroju i w takim stanie? Musi być z ekipy Fletchera.

– Widziałem jej odznakę.

– Niech mnie licho. Policja? Nie mam ochoty znów przenosić straganu.

Cholera. Za dużo roboty w to włożyłem.

– Posiłki są w drodze – mruknęła Brynn.

– Zamknij mordę – powiedział Gandy bez przekonania. Nie chciało mu się po raz kolejny podnosić na nią ręki.

Chudzielec podrapał się w guz po speedzie na ramieniu. Pozostała trójka nie wyglądała na narkomanów. Brynn uznała, że to czyni z nich silniejszych przeciwników. Będą na trzeźwo chronić siebie i źródło dochodów. Znajdą Michelle i zabiją je obie. Gandy bez oporów pokazał jej swój dowód tożsamości, bo już w pierwszej chwili podjął decyzję o zlikwidowaniu intruza.

– Mamusiu...

Kobieta klepnęła się dwa razy mocno po udzie, najwyraźniej dając sygnał córce, aby była cicho. Dziewczynka od razu umilkła. Brynn poczuła wściekłość oraz ogromny smutek.

Matka Amy miała żółte paznokcie palacza. Najwyraźniej przyszła jej ochota na papierosa, a zapalenie go w laboratorium równałoby się wysadzeniu go w powietrze.

– Sama jest? – zapytał Rudy.

– Nie. Druga zwała. Twierdzą, że ściga je dwóch facetów. Widziałem ich. Nie wiem, co jest grane. Podobno jakieś włamanie nad jeziorem Mondac. To dziesięć kilometrów...

– Wiem, gdzie to jest. – Rudy podszedł do Brynn, obejrzał jej ranę. – Zasadzka – zawyrokował. – Fletcher do nich zadzwonił. Albo ta jego dziwka. Nie miał jaj, żeby tu przyjść osobiście.

– No, nie wiem – odezwał się z powątpiewaniem Gandy. – Jak nas znalazł? Zatarliśmy wszystkie ślady.

W oczach Rudy'ego pojawił się błysk szaleństwa. Przybliżył wykrzywioną wściekłością twarz do twarzy Brynn.

– Gadaj, dziwko! No, już! Co tu robisz? Dla kogo pracujesz?

Brynn miała doświadczenie w kontaktach z ludźmi zaburzonymi emocjonalnie. Rudy stracił panowanie nad złością. Przed jej oczyma pojawiła się twarz Keitha tuż przed tym, jak złamał jej szczękę. Serce biło jej bardzo szybko. Próbowwała coś powiedzieć.

– Kim jesteś?! – wrzasnęła, wyciągając pistolet zza paska. Przyłożył zimną lufę do jej szyi.

– Nie – szepnęła Brynn, unikając jego szalonego wzroku. Po chwili udało jej się zapanować nad głosem i powiedziała: – W każdej chwili mogą się tu

zjawić samochody policyjne.

– O nie... – zaniepokoiła się tęga kobieta. Upuściła na ladę kij do ogłuszania ryb.

– Nic z tych rzeczy! – Gandy się roześmiał. – Uciekała z pieprzoną włócznią w rękę przed jakimiś gnojkami, którzy włamali się do czyjegoś domku letniskowego. Mówiła prawdę. Nie będzie żadnych posiłków. Aha, dowiedziałem się jeszcze, że w okręgu jest helikopter, ale nie używają go do interwencji, tylko jako karetki w nagłych wypadkach. Mamy odpowiedź na jedno z naszych pytań. – Uśmiechnął się do Brynn. – Dzięki, złotko.

– To prawda – odparła spokojnie. Wciąż miała problemy z oddychaniem po ciosie w brzuch i bolała ją szczęka. – Nie brałyśmy udziału w operacji antynarkotykowej, ale policję obowiązują pewne przepisy. Jeśli funkcjonariusz nie zamelduje się po upływie określonego czasu, wysyła się wsparcie. – Popatrzyła na Gandy'ego wyzywająco.

– Wsparcie taktyczne.

Rudy zamyślił się, przygryzł dolną wargę. Odłożył pistolet.

– To tylko kwestia czasu – mówiła dalej Brynn. – Nie pogarszajcie swojej sytuacji. Jestem już bardzo spóźniona.

– To park stanowy – odezwała się kobieta. – Nie będą go przeszukiwać.

Rudy uśmiechnął się szyderczo.

– A niby dlaczego nie, Susan? Możesz podać jakiś powód? Chryste, ależ z ciebie idiotka... Tak dobrze nam szło, a teraz mamy przesrane. Dociera to do ciebie? Pojmujesz, jak bardzo mamy przesrane?

– Oczywiście, Rudy. Rozumiem – zapewniła pospiesznie Susan, odwracając wzrok. Popędziła gestem dziecko, żeby pracowało szybciej.

– Zostaje jeszcze tamtych dwóch – zauważył Gandy. – Faceci, którzy je ścigają, mogą być od Fletchera. Przynajmniej jeden ma broń. Widziałem.

– Któryś z nich jest Latynosem? Albo czarnym? – Rudy zwrócił się do Brynn.

Nie odpowiedziała. Rudy popatrzył na Gandy'ego.

– Nie wiem – odparł brodacz. – Widziałem ich z daleka, było ciemno.

– I tak macie kłopoty – wtrąciła się Brynn. – Możemy...

– Zamknij jadaczkę. Wierzysz jej? Że to jacyś włamywacze?

– Nie wiem – powtórzył Gandy. – Jeśli kłamie, to wyjątkowo dobrze.

– Byłeś świadkiem, jak ktoś do nich strzelał?

– Nie. Ona chciała strzelić do tamtych... – Gandy zmarszczył czoło. – Miała okazję i nie zrobiła tego. Dziwnie to wyglądało. Może próbowała mnie

nabrać. Nie wiem.

– Dałeś jej swoją broń?

– A co miałem zrobić? Odmówić, usprawiedliwiając się, że rodzina czeka na mnie w obozowisku z partią prochów do pakowania? Mogłem odzyskać strzelbę w każdej chwili.

– Nie strzeliła do nich?

– Nie. Rozmyśliła się.

– Dlaczego? – Rudy przysunął się do Brynn.

Nie wiem, pomyślała, patrząc prosto w szkliste oczy grubasa.

Mała Amy nadal pakowała w kącie biały proszek w foliowe torebki. Pracowała bardzo ciężko, a było już późno.

Rudy wyrwał taśmę klejącą z rąk dziewczynki, wykręcił ręce Brynn za plecy i skleił je w nadgarstkach. Pchnął ją ku Gandy'emu.

– Nie mogę się teraz nią zajmować. Pojedzie z nami. – Zerknął na kotły. – Trzeba wszystko schłodzić i zapakować na podróż. Cholerne marnotrawstwo.

Olbrzymka i chudy mężczyzna odłączyli Kuchenki, po czym zaczęli pakować towar.

– Amy, szybciej! – jęknęła matka. – Co z tobą?

– Spać mi się chce.

– Żadnych wymówek. Prześpisz się, jak ruszymy.

– Gdzie Chester? – spytało dziecko.

– To twoja lalka. Powinnaś jej lepiej pilnować.

Rudy podał strzelbę chłopakowi.

– Idź na zwiady, Henry. Nie strzelaj, jeśli nie będziesz w stanie załatwić wszystkich. Nie chcemy, żeby wezwali pomoc. Najlepiej w ogóle nie strzelaj. Jak kogoś zobaczysz, wracaj.

– Dobrze, Rudy, ale... Nie zostawisz mnie chyba?

– Jazda – warknął pogardliwie Rudy.

Gandy chwycił Brynn za ramię, mocno szarpnął. Wyprowadził ją brutalnie z przyczepy i wepchnął do furgonetki pełnej ubrań, walizek, śmieci, czasopism, zabawek oraz buteleczek z roztworami chemicznymi. Oplótł linę wokół jej skrepowanych nadgarstków i przywiązał do pasów mocujących.

– Drogi zostaną zablokowane – ostrzegła Brynn. – Policja stanowa używa helikopterów. Nie przedostaniecie się. Radzę nie wykorzystywać mnie jako zakładniczki. To się nigdy nie udaje. Zastrzelą cię, zanim mnie zabijesz albo potem. Nie lubimy tej drugiej wersji, ale jeśli nie ma wyboru... Tak zostaliśmy wyszkoleni.

- W takiej chwili zebrało ci się na przechwałki? – Roześmiał się.
 - Możemy zawrzeć umowę. Tylko my dwoje. Zadzwoń do mojego biura. Dogadamy się.
 - Tylko ze mną?
 - Z tobą.
 - Dlaczego ze mną? Bo myję ręce? Bo nie robię błędów gramatycznych? Bo mam na przyczepie naklejki propagujące ekologiczny styl życia, więc może naprawdę zależy mi na środowisku? Co oznacza, że można się ze mną dogadać?
- Właśnie, pomyślała Brynn.
- Jest z wami dziecko. Pomyśl chociaż o niej.
 - Nie mój dzieciak. Obracam tylko jej mamuszkę.
- Zatrzasnął drzwi.

James Jasons postanowił odłączyć nawigację satelitarną, zanim zbliży się do jeziora Mondac. Nie było to takie łatwe, jak się mogło wydawać. Miał specjalny wyłącznik. Satelity, serwery... Mogą narobić człowiekowi kłopotów.

Brak nawigacji satelitarnej oznaczał większe bezpieczeństwo, ale także większe trudności ze znalezieniem restauracji. Wreszcie dostrzegł szyld McDonalda. Podjechał pod okienko i zamówił dwa zwykłe hamburgery, jabłko oraz dietetyczną coca-colę.

Jechał szybko, lecz starał się za bardzo nie przekraczać dozwolonej prędkości. Wyglądał na typowego przedsiębiorcę. Był elegancko ubrany i sympatyczny. Wolał jednak nie rozmawiać z policją. Nawet przy rutynowym zatrzymaniu czasem wpisywali dane do systemu.

Dziś zależało mu na czasie. Przygotował się na ewentualne spotkanie z patrolem drogowym. Błyskawicznie zmieniłby wtedy stację radiową z jazzowej na katolicką. Miał również w pogotowiu podobiznę Chrystusa i naklejkę antyaborcyjną. Może dostanie mandat, ale nie przeszukają samochodu. Bardzo mu zależało na tym, aby go nie przeszukali. Jadł, zastanawiając się, co słyhać u Paula Morgana.

W dziewięciu przypadkach na dziesięć wystarczyło dotknąć czulego punktu ofiary. Nie trzeba było uderzać ani dźgać. Wystarczyło musnąć.

Jasons zachichotał, gdy przypomniał sobie:

„Zamiast Puliego albo Chrisa Mankewitz nasłał na mnie krzepkiego małego gnojka. Taki macie plan na wymuszenie? Będziesz marudził, póki się

nie ugnę?”.

Zadzwoił jego telefon satelitarny. To był wykonany na zamówienie aparat sieci Iridium. Sygnał został rozproszony za pomocą dwóch oddzielnych programów odpornych na wszelkie sztuczki zwiadowcze. Prawdopodobnie nawet słynny Wywiad Elektroniczny Echelon nie byłby w stanie go przechwycić.

Jasons przełknął kęs i odebrał połączenie.

– Tak?

– Spotkanie chyba dobrze ci poszło. – Mankewitz się nie przedstawił. Nie było pewności, czy Echelon rzeczywiście nie poradziłby sobie z podwójnym rozproszeniem sygnału.

– Cieszę się.

– Już dostaliśmy obietnicę współpracy.

Morgan jednak zmądrzał. Ciekawe, czy informacje od niego okażą się przydatne, zastanawiał się Jasons. Możliwe, że ryzykowali na próżno. Cóż, takie jest życie.

– Co do twojej wycieczki...

– Tak?

– Dostałem wiadomość od krewnego.

Mowa była o okrągłutkim kędzierzawym policjancie z Milwaukee, który podobał się Jasonsowi. Gliniarz był na garnuszku szefa związku.

– I...?

– Szykuje się impreza.

Niedobrze.

– Serio? Kto jest zaproszony?

– Nikt z bliskiej rodziny. Głównie miejscowi. Ci ze wschodniego wybrzeża też zastanawiają się nad przyjazdem.

Czyli żadnej policji z Milwaukee, tylko lokalni funkcjonariusze i możliwe, że FBI. Jasons poczuł niepokój.

– Będzie tłok.

– Możliwe.

– A z jakiej okazji ta impreza?

– Nie wiem.

Co się tam, u diabła, dzieje? – zastanawiał się Jasons.

– Nadal uważasz, że powinienem tam jechać?

Tak naprawdę pytanie brzmiało: „Czy nadal uważasz, że chcę tam jechać?”.

– Pewnie, odprężysz się, zabawisz. Ostatnio ciężko pracujesz. Dobrze ci zrobi taki relaks.

W wolnym tłumaczeniu: „Bierz się do roboty i rozwiąż problem”.

– W takim razie jadę, nie mam daleko – odparł bez wahania Jasons.

– Jestem ciekaw innych gości.

– Baw się dobrze – powiedział Mankewitz z duszą na ramieniu.

Jasons napił się coli i ugryzł jabłko. Było kwaśne. W zestawie dostał też jogurt, ale mu nie posmakował. Zastanawiał go pełen szacunku ton Mankewitza. Za każdym razem, kiedy z nim rozmawiał, odnosił wrażenie, że przewodniczący traktuje go jak istotę z innej planety i odnosi się do niego niemal z lękiem.

Stan Mankewitz, jeden z najbardziej wpływowych ludzi w okolicy – od Minnesoty po Michigan – czuł się niepewnie w towarzystwie szczupłego chłopaka o miłym uśmiechu, który ważył o połowę mniej niż on. Jasons, choć szczyił się dyplomem prawnika z Yale i zajmował stanowisko w dziale prawnym związku, formalnie nie pracował dla Mankewitza. Był niezależnym „specjalistą do spraw kontaktów z pracownikami”. Posiadał własny budżet i zatrudniał, kogo chciał. Mógł dysponować pieniędzmi w celach korzystnych dla związku i jego przewodniczącego, omijając niewygodne formalności.

Istniała między nimi znacząca różnica stylów życia. Mankewitz nie był głupi. Nie zatrudniłby kogoś do takiej pracy bez szczegółowego sprawdzenia. Wiedział, że Jasons mieszka sam w ładnym domku nad jeziorem. Że jego matka zajmuje przyjemne mieszkanie przylegające do domu syna, a jego długoletni towarzysz życia, Robert, mieszka we wspaniałej rezydencji, również nieopodal jeziora. Robert odnosił sukcesy jako inżynier, pasjonował się kulturystyką, a także podzielał zainteresowanie Jasonsa hokejem, winiarstwem oraz muzyką. Zamierzali się pobrać w przyszłym roku i wyjechać w podróż poślubną do Meksyku.

Jasons doceniał pracowitość Mankewitza. On również zawsze odrabiał pracę domową na temat ludzi, z którymi się spotykał służbowo.

„Zwłaszcza Alice – powiedział do Morgana. – Codziennie po szkole zostawała na półtoragodzinne próby. Od trzeciej do czwartej trzydzieści. Byłem pod wrażeniem”.

Mankewitza nie obchodziło prywatne życie Jasonsa. Natomiast jego związek zawodowy zrzeszał głównie mężczyzn pracujących fizycznie, którzy bez wątplenia nie potrzebowaliby wymówki, żeby sprać Jamesa Jasonsa oraz Roberta na kwaśne jabłko. Wystarczyłoby kilka piw i sprzyjająca atmosfera.

Witajcie w dwudziestym pierwszym wieku.

Jasons zapakował resztę jedzenia do torby.

Minął drogowskaz na Clausen, od zjazdu nad jezioro dzieliło go kilkanaście kilometrów. Od dawna nie mijał żadnego pojazdu, odważył się mocniej nacisnąć pedał gazu. Przełączył radio na stację katolicką, postanowił jej posłuchać dla rozrywki.

Henry ścisnął w dłoni ciężką strzelbę, idąc zgodnie ze wskazówkami Rudy'ego. Wyjął z kieszeni foliową torebkę, firkę oraz zapalniczkę. Zawahał się i schował je z powrotem. Chuchnął w dłonie, po czym ruszył naprzód, drapiąc się po pokrytym bliznami przedramieniu.

Przystanął w miejscu, gdzie węższa ścieżka łączyła się z szerszą, którą chodzili do jeziora po wodę. Stał tam przez pięć minut, rozglądając się na boki spod zmrużonych powiek. Nikogo nie zobaczył. Oparł strzelbę o pień drzewa, by ponownie sięgnąć do kieszeni po paczuszkę z amfetaminą. Z ciemności wyłoniła się sylwetka mężczyzny. Henry dostał cios kolbą strzelby w twarz, głowa odskoczyła mu do tyłu, wyrócił oczami i upadł. Z jego gardła wydobyło się bulgotanie. Ręce młóciły na oślep powietrze, kolana podskakiwały. Po kolejnym ciosie przestał podrygiwać tak gwałtownie. Potem znieruchomiał.

Hart zamarł w bezruchu, słysząc, że ktoś się zbliża. Mocniej uchwycił strzelbę. Uspokoił się na widok Lewisa, schylił się, przyłożył rękę do szyi leżącego.

– Trup. Wiesz, że technicy policyjni mogą wziąć odciski palców zostawione na czyjejś skórze?

– Nie wiedziałem. Naprawdę?

– Tak. – Hart włożył rękawiczki. – Co tam?

– Zapakowali Brynn do samochodu. Miała ręce zawiązane z tyłu.

– Wpadły wprost w przyjazne ramiona producentów amfy. – Hart się roześmiał. – Fortuna jest dziś kapryśna w stosunku do każdego. My mieliśmy niespodziewaną wizytę policji, a one odwiedziły przyczepę pełną kryminalistów. Jest sama w tym samochodzie?

– Nie widziałem nikogo innego. Ale nie mogłem podejść zbyt blisko.

– Gdzie się podziała Michelle?

– Nie mam pojęcia.

Hart rozmontował strzelbę i rozrzucił części w różnych kierunkach.

Znacznie lepiej posługiwał się krótszą bronią. Strzelba wymuszała kilkusekundowe odstępy między wystrzałami. W magazynku glocka mieściło się piętnaście pocisków. Cicho zbliżyli się do przyczepy.

– Ile osób w środku? – spytał szeptem.

– Nie widziałem wyraźnie. Na pewno jeszcze jeden facet oprócz tego, który wepchnął ją do samochodu. I kobieta.

Przyjrzał się uważnie Lewisowi, który nerwowo ugniatał rękojeść strzelby. Wydawał się przestraszony.

– Comp, musimy to zrobić.

– Jasne.

– Wiem, co myślisz. Oni nic nam nie zrobili. Ale to ćpuny, Comp. Za rok i tak byliby martwi. Przedawkowaliby, spłonęli w pożarze albo zostali zastrzeleni za wtargnięcie na cudzy teren. Tak będzie szybciej, lepiej dla nich. Dopadniemy Brynn, znajdziemy Michelle i możemy wracać do domu.

Lewis popatrzył na samochód.

– Potrzebujemy planu – ciągnął dalej. – Mamy do czynienia z zawodowcami, są uzbrojeni. Nie wiadomo, czy mąż Brynn kupił moją historyjkę. Nawet jeśli tak, mogli przysłać jeszcze jeden wóz. Ot, tak sobie. Musimy założyć, że w domu Feldmanów już są gliny. Mogą usłyszeć wystrzały, dźwięk bardzo się niesie na takim pustkowiu. Trzeba to załatwić naprawdę szybko.

– Się wie.

– Masz zapalniczkę?

– Zawsze ją noszę. Na wypadek gdyby jakaś dama przy barze poprosiła o ogień. – Lewisowi głos się załamał, zadając kłam beztrudnej pozie.

– Jesteś bardzo uprzejmy. Zwłaszcza że sam nie palisz. – Hart się uśmiechnął. – Dobra. Podejdź do przyczepy od prawej strony. Tam, gdzie nie ma drzwi. Poszukaj czegoś gumowego albo z plastiku. Jeśli nie znajdziesz, podpal liście. Nie chcę dużego pożaru, który mógłby przyciągnąć uwagę z daleka. Wystarczy trochę dymu. Wpadną w panikę, bo mają tam propan i amoniak. Pobiegną do samochodu. A kiedy to zrobią... Zgoda?

Lewis pokiwał głową.

– Zabezpiecz tylne drzwi, ja biorę frontowe. Masz naładowaną broń?

– Tak.

Hart sprawdził swoją. Upewnił się, że ma na wierzchu zapasowy magazynek, żeby błyskawicznie przeładować.

– Trzymaj na wierzchu pistolet – poradził Lewisowi.

Wspólnik wyjął pistolet z kieszeni kurtki i wsunął za pasek. Hart spostrzegł, że jego uwagi już nie spotykają się z lekceważeniem, jak wcześniej.

– Ale z nas rewolwerowcy! – Lewis roześmiał się z przymusem.

– Idź powoli, zachowuj się cicho. Wznieć pożar, dym ich wywabi. Zaczynj strzelać, dopiero kiedy wyjdą wszyscy. Nie chcemy przecież wchodzić po nikogo do środka. Doliczyłeś się trzech osób, tak?

– No. Teraz mi się przypomniało, że ta kobieta w pewnej chwili odwróciła się i coś powiedziała. Nie patrzyła na żadnego z facetów. Może być ktoś jeszcze.

– Dobra. Zakładamy, że jest ich czworo.

Sznur, którym Gandy przywiązał Brynn, był gruby i nylonowy. Mocny, ale za to śliski. Zdołała się z niego wyplątać. Nie potrafiła sobie poradzić z taśmą krępującą ręce z tyłu, nie mogła otworzyć tylnych drzwi. Ruszyła do przodu, potknęła się i uderzyła głową w deskę rozdzielczą. Kiedy doszła do siebie, otworzyła schowek na rękawiczki. Nie znalazła w nim nic prócz papierów.

Opadła na przednie siedzenie, oddychając ciężko. Bardzo bolały ją mięśnie brzucha. Bezskutecznie usiłowała dosięgnąć guzika odblokowującego drzwi. Omiotła wzrokiem wnętrze samochodu. Śmieci, pudełka, reklamówki. Żadnej broni, narzędzi czy telefonu. Zamknęła oczy z rezygnacją. Nagle ciszę rozdarł kobiecy krzyk.

– Michelle – szepnęła. Pomyślała, że ją złapali. Obróciła się, ale nic nie zobaczyła przez brudne szyby po bokach. Popatrzyła we wsteczne lustro. W powietrzu unosił się dym. W takich laboratoriach często wybuchały pożary. Wpadła w panikę na myśl o małej dziewczynce zamkniętej w środku.

– Nie! Błagam, nie! – Głos należał do matki Amy.

Rozległ się huk wystrzałów. Pięc, a potem przerwa. Na ponowne załadowanie broni. Kolejne strzały.

Czyjś przenikliwy pisk. Mężczyzny? Kobiety? Dziecka? Jeszcze jeden strzał i cisza.

Brynn modliła się, żeby dziewczynka przeżyła. Zobaczyła w lusterku jakiś ruch. Postać z pistoletem obeszła przyczepę wokół, dokładnie przyglądając się okolicznym zaroślom. Potem skierowała się do samochodu, w którym siedziała Brynn.

Usiłowała znaleźć cokolwiek, co pomogłoby jej rozerwać taśmę. Zahaczyła o dźwignię biegów i zaczęła poruszać rękoma. Jej wysiłek okazał

się daremny. Wyjrzała na zewnątrz. Mężczyzna patrzył wprost na samochód.

Na kuchennej podłodze leżała martwa kobieta w stroju biurowym. Sprawiała wrażenie, jakby właśnie zdjęła buty, radośnie szykując się na wypoczynek. Miała około trzydziestu lat. Druga ofiara była dobrze zbudowanym mężczyzną mniej więcej w tym samym wieku. Denat miał młodzieżową fryzurę i sympatyczną twarz. Wokół było mnóstwo krwi.

Szeryf Tom Dahl był twardym policjantem, jednak ten widok go poruszył. Większość wypadków śmiertelnych w okręgu Kennesha wydarza się pod gołym niebem i zazwyczaj nie są to morderstwa. Zdarzają się przypadki zamarczenia bezdomnych, kolizje drogowe ze skutkiem śmiertelnym, wypadki na budowie oraz sportowcy przegrywający z siłami natury. Nie było mu łatwo patrzeć na dwójkę młodych ludzi brutalnie zamordowanych we własnym domu. Nie mógł oderwać wzroku od ich wypiełgnowanych dłoni. Większość tutejszych nieboszczyków miała zaczerwienione ręce o zgrubiałej skórze.

Na domiar złego podwładna, którą darzył sekretną miłością ojcowską – zarezerwowaną dla córki, której nigdy nie miał – przepadła bez śladu. W całym domu były dziury po pociskach. Westchnął głęboko.

Eric Munce zszedł na dół. To zamiast niego przysłał Brynn. Jego twarz będzie mu już zawsze przypominała o podjętej decyzji.

– Przyjaciółka?

– Nie ma jej.

Pierwsza dobra wiadomość. Spodziewał się, że jej zwłoki – być może noszące ślady gwałtu lub tortur – znajdą w sypialni na górze.

– Zabrali ją ze sobą – zgadywał Munce. – Albo ukrywa się gdzieś razem z Brynn.

Dahl pomodlił się w myślach, aby tak było.

Dostał wiadomość od agenta specjalnego Brindle'a, że FBI ma zamiar przysłać tutaj kilku swoich ludzi. Podjęli decyzję, dowiedziawszy się o śmierci Emmy Feldman, koronnego świadka w sprawie przeciwko Stanowi Mankewitzowi. Komendant policji stanowej cierpiący na przerost ambicji również był już w drodze. Nie ucieszy się na spotkanie z federalnymi. Natomiast Dahl cenił sobie towarzystwo. Żaden przestępca jeszcze nigdy nie zyskał na tym, że ścigało go zbyt wielu dobrych gliniarzy. Cóż, prawie nigdy.

Policja stanowa wysłała własną ekipę techniczną. Dahl polecił swoim ludziom, żeby zostawili dla niej nienaruszone dowody. Niemniej należało

dokładnie obejrzeć dom w poszukiwaniu wskazówek dotyczących miejsca pobytu Brynn oraz przyjaciółki Feldmanów.

Odkrycie znaczących śladów nie zajęło im wiele czasu. Szyby popękane od kul, ślady strzelaniny w środku i na zewnątrz, odciski butów należących do dwóch mężczyzn. Buty od munduru Brynn znaleźli w domu. Gość Feldmanów porzucił eleganckie kozaczki na podjeździe, obok mercedesa będącego własnością ofiar. Obie kobiety włożyły praktyczne obuwie do pieszych wędrowek. Jedna z nich była ranna. Powłóczyła nogą i podpierała się laską lub kulą.

Mercedes stał zaparkowany pod drzwiami garażu. Miał przestrzelone dwie opony, wybite okno i podniesioną maskę. Kabel od akumulatora był przerwany. Na żwirze znajdowały się ślady opon dwóch innych pojazdów. Wszystko wskazywało na to, że jeden ruszył gwałtownie, a drugi powoli, wlokąc za sobą przebitą dętkę.

Kawałki układanki nie pasowały do siebie. Niezły bajzel, podsumował Dahl, stając przy kominku w salonie. Gdzie się podziała Brynn?

Jego uwagę przyciągnął pewien szczegół.

– Kto wyciągnął pocisk?

Eric Munce popatrzył we wskazane miejsce.

– Nie ja.

Po co ktoś wyjął jeden pocisk, zostawiając inne? Prawdopodobnie znajdował się na nim jego materiał genetyczny. Ten człowiek został postrzelony. Ale jego zachowanie świadczyło o zawodowstwie. Większość przestępców w okolicy nawet nie wiedziała, co to jest materiał genetyczny.

Płatny zabójca. Do zabicia Emmy Feldman wynajęto dwóch ludzi. Zastrzelili też jej męża. Pewnie zaskoczyła ich obecność trzeciej osoby. Przyjaciółki Feldmanów. Nie było jej tutaj, kiedy wtargnęli do środka. Brała prysznic na górze albo poszła na spacer. Niewykluczone, że to Brynn ich przyłapała i zraniła jednego. Ranny wyłuskał zakrwawiony pocisk ze ściany. Co wydarzyło się potem? Porzucili gdzieś swój samochód i przesiedli się do auta Brynn? Pojmali obie kobiety? Włożyły wygodniejsze buty i uciekły w las? Czy jeszcze żyją?

Howie Prescott poszedł sprawdzić teren sąsiedniej posesji. Prowadziły tam odcisnięte w błocie ślady butów. Prescott był najlepszym myśliwym w departamencie. Wszyscy jego koledzy się zastanawiali, jakim cudem ważący sto dwadzieścia kilogramów mężczyzna jest w stanie bezszelestnie podejść zwierzynę.

– Znalazłeś coś, Howie?

– Nie, szefie. Ciemno tutaj.

– Szukaj dalej. – Szeryf zwrócił się do Erica Munce’a, który gładził pieszczotliwie rękojeść pistoletu. – Trzeba ściągnąć grupę poszukiwawczą. Dużo uzbrojonych ludzi. Żadnych ochotników z ulicy.

Funkcjonariusz pospieszył do radiowozu, żeby skontaktować się z centralą. Dahl wyszedł na podwórze, popatrzył w stronę spowitego mrokiem jeziora.

– Mówi Pete – rozległ się głos z jego radia.

– Słucham cię.

– Jestem na podjeździe domu numer jeden. Jeszcze nie wchodziłem do środka. – Pete mówił bez tchu. – Właśnie minęła mnie biała ciężarówka. Jedzie w twoją stronę.

– Kto prowadzi?

– Nie widziałem.

– Dzięki. Przeszukaj dom i daj mi znać, jeśli coś znajdziesz.

– Nie ma sprawy.

– Będziemy mieli gości – poinformował Dahl Munce’a. Powiadomił także Prescottta.

Pojazd podjeżdżał bardzo wolno. Dahl i Munce trzymali broń w pogotowiu. Okazała się niepotrzebna, choć przyjazd Grahama Boyda nieco skomplikował sytuację. Mąż Brynn podszedł wprost do szeryfa.

– Nie znaleźliśmy jej jeszcze, Grahamie.

– Sam sprawdzę – powiedział postawny mężczyzna łamiącym się głosem.

– Nie mogę się na to zgodzić. Nie wpuszczę cię na miejsce zbrodni. Są ofiary, zginęło dwoje ludzi.

– Gdzie ona jest? – spytał Graham, z trudem panując nad sobą.

Szeryf odprowadził go na bok.

– Brynn uciekła razem z przyjaciółką gospodarzy. Takie wyciągnęliśmy wnioski.

– Dokąd?

– Nie możemy tego stwierdzić. Posłałem po grupę poszukiwawczą.

– Matko Boska!

– Nie przeszkadzaj nam w pracy. Wiem, że ci ciężko. Muszę cię jednak prosić, żebyś wrócił do domu.

Z radia rozległy się trzaski, a po chwili głos:

– Szeryfie, tu Howie. Przeszukałem brzeg i coś znalazłem.

- Tak?
- Wygląda na to, że jakiś samochód wpadł do jeziora.
- Wygląda? – zdenerwował się szeryf. – Czy wpadł? Mów po ludzku.

Milczenie.

- Wpadł.
 - Gdzie?
 - Właśnie daję panu znaki latarką.
- Trzysta metrów dalej zobaczyli światło.

- Jakiego koloru?! – krzyknął Graham.

Po chwili wahania Dahl powtórzył pytanie.

- Jest zderzak – odpowiedział Prescott. – Ciemnoczerwony.
- Cholera! – Boyd ruszył biegiem.
- Szlag by to trafił na miejscu – wycedził Dahl.

Munce usiadł za kierownicą, szeryf na siedzeniu pasażera. Zatrzymali się, zabrali Grahama i ruszyli dalej do miejsca, gdzie czekał Prescott. Ślady hamowania, pył z poduszki powietrznej, zdrapania na kamieniach i szczątki samochodu – odłamki szkła oraz czerwonego plastiku pochodzącego ze świateł – a także plama oleju nie pozostawiały wątpliwości. Auto zjechało z drogi, uderzyło o półkę skalną i runęło do wody.

- Chryste! – jęknął Graham.

Do kogo należał samochód i kto w nim był? Albo, co gorsza, nadal jest.

– Nie mamy pewności, czy to jej wóz, Grahamie. A nawet jeśli... Nie musiała spać razem z nim.

Graham zaczął schodzić w dół po kamieniach.

- Nie! – powstrzymał go Dahl. – Nie wiemy, gdzie są sprawcy.

– Zwrócił się do Munce'a: – Powiadom policję stanową. Potrzebujemy nurka i podnośnika. Na zachodni brzeg jeziora Mondac. Niech sprawdzą głębokość... Grahamie, to również jest miejsce przestępstwa. Możesz zniszczyć dowody.

Graham wyłowił coś przy brzegu i upadł na kolana ze spuszczoną głową. Dahl powstrzymał się przed kolejnym komentarzem.

- Mam po niego iść? – zaproponował Munce.

- Nie. Daj mu chwilę.

Szeryf sam zaczął ostrożnie schodzić ku wodzie, nie zważając na ból chorej nogi.

Na dole Graham bez słowa wręczył mu atlas z mapą drogową okręgu. Na okładce widniało wypisane flamastrem nazwisko jego żony. Przez chwilę

wyglądało na to, że Boyd zamierza rzucić się do przeszukiwania jeziora. Dahl zbierał siły na powstrzymanie go, jednak nie okazało się to konieczne. Wysoki mężczyzna zwiesił ramiona i wpatrywał się w smolistą taflę wody.

Zatrzeszczało radio.

– Szeryfie, tu Pete. Wszedłem do domu numer jeden. Nikogo nie ma, drzwi były zamknięte. Ale za rezydencją stoi porzucony samochód.

– Porzucony?

– Niedawno. Sprawdziłem już. Został skradziony kilka dni temu w Milwaukee. Rocznik i model się zgadzają. Tablice zostały zmienione. Ma dwie dziury z boku karoserii i w tylnej oponie.

Samochód, który opuścił podjazd Feldmanów. Dahl z całego serca zapragnął, żeby Graham był teraz gdzie indziej. Nie miał jednak czasu do stracenia.

– Zajrzyj do bagażnika.

– Już to zrobiłem. Pusty.

Dzięki Bogu.

– Brak śladów włamania do domu?

– Brak. Sprawdziłem. Mogli rozpracować zamek.

– Nieważne. Sprawdź ten bliżej Feldmanów. Dwójkę.

– Tak jest.

– Idź z nim – polecił szeryf Prescottowi.

Otyły mężczyzna skinął głową i oddalił się. Nastąpiła długa cisza. Graham potarł powieki, znów spojrział na jezioro.

– Nie sądzę, żeby było bardzo głębokie. Mogła się wydostać.

– Jestem tego pewien.

– Nie wierzysz w to, prawda? Sądzisz, że ona nie żyje. A ja ci mówię, że żyje.

– Wcale się z tobą nie spieram. Jest twarda.

– Trzeba przeszukać okolicę.

– Przeszukamy.

– Natychmiast! Ściągnij tu brygadę stanową.

– Już jadą. Wezwałem ich.

– FBI też powinno się włączyć.

– Oni też już jadą.

Pod środkowy dom podjechał radiowóz prowadzony przez Gibbsa. Dahl modlił się, aby u sąsiadów nie znaleziono zwłok żadnej z kobiet.

– Wracaj do domu, Grahamie. Joey cię potrzebuje.

- Mamy coś, szeryfie – odezwał się przez radio przejęty Gibbs.
- Mów.
- Ślady włamania. Dziury po pociskach w oknach na górze.
- Zostań na miejscu. Poczekaj na Erica. – Szeryf skinął głową młodemu funkcjonariuszowi, który tylko na to czekał.
- W środku chyba nikogo nie ma – mówił Gibbs.
- Zostań na zewnątrz.
- Tak jest.
- Eric wejdzie razem z tobą. Zachowajcie ostrożność. Nie mamy pewności, że sprawcy opuścili dom.

Graham odwrócił się do szeryfa plecami. Dokładnie przyglądał się linii brzegowej jeziora. Dahl wpatrywał się w dom, wstrzymując oddech, w każdej chwili spodziewając się odgłosów strzelaniny. Po dziesięciu minutach zatrzeszczało radio. Nikt się nie odezwał. Nie mógł skontaktować się ze swoimi ludźmi, nie narażając ich na niebezpieczeństwo. Zdradziłby ich pozycję przestępcom, jeśli ukrywali się jeszcze w domu. Oczekiwanie zdawało się ciągnąć w nieskończoność.

– Dom jest czysty – odezwał się wreszcie Eric Munce. – Byli tu. Są ślady strzelaniny, ale żadnych ciał. Jednak znaleźliśmy coś dziwnego.

- Dziwnego? To mi nic nie mówi. Wyrażaj się konkretnie.
- Cała łazienka na górze pływa w amoniaku. Cuchnie jak w koszu na niemowlęce pieluchy.

– Amoniak.

– Mamy także mundur Brynn. Wszystkie jej ubrania.

Graham zdrętwiał.

– Przemoczone i ubłocone. Otwarte szuflady komody i szafa. Prawdopodobnie przebrała się przed ucieczką.

Dahl widział, że Graham przymyka oczy z ulgą.

– Szeryfie, tu Howie. Jestem na podwórzu. Widzę ślady obuwia. Przypuszczalnie zostawione przez dwie kobiety. Prowadzą przez las za domem Feldmanów i urywają się nad strumieniem.

– Przyjąłem. – Dahl objął ramieniem męża Brynn i doprowadził go do samochodu. – Twoja żona wydostała się z zatopionego wraku. Ma wszelkie predyspozycje, żeby przetrwać. Wiem, co mówię, Grahamie. Sam podpisywałem jej zgodę na te wszystkie szkolenia. Tak często na nie jeździ, że nazywają ją za plecami kujonem. Tylko nic jej nie mów. Chodź, podwożę cię do twojego auta. Obaj jesteśmy za starzy na bieganie.

Hart zajął do samochodu. Upewniwszy się, że Brynn ma skrępowane ręce, odłożył pistolet, po czym zaczął przeszukiwać stertę śmieci na podłodze z przodu i z tyłu auta.

– Co się stało z dziewczynką? – spytała policjantka.

– Nic. Jest cała.

– Została w przyczepie? Przecież wybuchł pożar.

– Nie. Falszywy alarm. Chcieliśmy tylko ich wywabić na zewnątrz.

Brynn uwierzyła, dym się przerzedzał.

Hart znalazł butelkę wybielacza. Zalał płynem zakrwawione rękawiczki oraz kluczyki. Wylał też trochę na dziurę po kuli w skórzanej kurtce. Wstrzymał oddech z bólu. Oczy Brynn zapiekły od oparów chloru. Zamrugała. On także.

– Ech, ci narkomani... Trzeba z nimi uważać. – Zabrzmiało to jak przeprosiny. Hart przyjrzał się kobiecie. Zmarszczył czoło, zatrzymując wzrok na opuchniętym policzku.

– Mówisz prawdę? Dziewczynka żyje?

– Dzieciak? Już ci mówiłem, nic jej nie zrobiliśmy. Zabiliśmy matkę. I pozostałych... Zostawili małą w środku, kiedy przestraszyli się pożaru. Sami wybiegli. Możliwe, że chcieli po prostu ugasić ogień. Albo zostawili ją na pewną śmierć.

Brynn zmierzyła mordercę wzrokiem. Twarz o grubych rysach, szare oczy, długie ciemne i przesuszone włosy. Niezdrowa cera. Ona też miała kiedyś trądzik. Był jej młodzieńczą zморą. Problemy skórne się skończyły, dopiero kiedy poszła na studia. Trudno go nazwać przystojnym, pomyślała. Ale jego pewność siebie może robić wrażenie.

– Brynn – powiedział przeciągle.

Przez chwilę zastanawiała się, skąd zna jej imię. Czyżby Gandy powiedział mu przed śmiercią? Potem przypomniała sobie o plakietce na porzuconym mundurze.

– Hart.

Pokiwał głową z wymuszonym uśmiechem.

– Kolega ma za długi język.

– A on jak się nazywa?

Nadal się uśmiechał.

– Gdzie dziewczynka?

– W swoim pokoju, w przyczepie. Leży w łóżku z jakąś lalką o imieniu

Chester. Znalazłem ją dla niej. A może to królik. Nie jestem pewien.

– Zostawiliście ją tam samą?! – zdenerwowała się. – Może wyjść na zewnątrz i zobaczyć zwłoki matki.

– Bez obaw. Kolega właśnie wynosi wszystkich do lasu. Powiedziałem małej, żeby nie wychodziła. Nad ranem będzie tu więcej glin niż w Akademii Policyjnej. Znajdą ją.

– Ona nie żyje, co? Ją też zamordowaliście.

Wyraźnie poczuł urazę, że go o to podejrzewa.

– Nie strzeliłem do niej. Leży w swoim łóżku. Z Chesterem.

Brynn się uspokoiła.

– Jak się w to wpakowałaś? – zapytał. – Spotkałaś w lesie tego brodacza, miałaś zatelefonować z przyczepy, a okazało się, że to fabryka amfy?

– Za późno się zorientowałam.

– Wyczułaś amoniak?

– Amoniak. Chlor. Gaz.

– Ja też się w ten sposób dowiedziałem. Smród dotarł aż nad jeziorko.

– Wiatr musiał zmienić kierunek. Ja poczułam, kiedy już byliśmy niemal na miejscu.

Hart przeciągnął się leniwie.

– Uff, co za noc! Założę się, że nieczęsto macie okazję przeżywać takie przygody tu w... jak się właściwie nazywa okręg?

– Kennesha.

Znów popatrzył na jej przestrelony policzek. Wiedziała, że Hart się zastanawia, ile ona zniesie, nim wyda Michelle. Nie miała najmniejszego zamiaru nikogo wydawać. I modliła się, by tak pozostało.

– Gdzie twoja koleżanka? – spytał, jakby czytając w jej myślach.

– Nie wiem. – Przypomniała sobie, że znaleźli torebkę Michelle. Znali jej nazwisko oraz adres.

Hart poruszył się nieostrożnie, twarz wykrzywił mu grymas bólu.

– Co to za imię: Brynn?

– Norweskie.

Pokiwał głową.

– Cóż, wracając do Michelle... Nie mówisz mi prawdy. Wiesz, gdzie jest.

– Sprawiał wrażenie urażonego. – Rozmawiałem dziś z kimś przez telefon.

– Z kim?

– Z twoim mężem.

Nie odpowiadała przez chwilę, pomyślała, że Hart kłamie. Mieli jednak jej

telefon komórkowy. Gdyby Graham zatelefonował, mogli odebrać połączenie.

– Podąłem się za twojego kolegę z pracy. Powiedziałem, że mamy opóźnienie. Zdaje się, że uwierzył. Nikt ci nie spieszy na ratunek. Nie chcę ci robić złudnych nadziei. Po telefonie także cię nie namierzają. Wyjąłem baterię. Gdzie Michelle?

Patrzyła mu w oczy zdziwiona, z jaką łatwością jej to przychodzi.

– Zamordowałeś jej przyjaciół. Mam ci powiedzieć, gdzie jest, żebyś ją także zabił?

– Aha. – Pokiwał głową. – Więc Michelle była przyjaciółką rodziny. To ją wpędziło w kłopoty. – Roześmiał się. – Znalazła się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze. O nas wszystkich można tak powiedzieć.

– Musimy pogadać, co dalej.

– Założę się, że to twój pierwszy raz. Mój także.

– O czym ty mówisz?

– O grze, którą ze sobą prowadzimy. Ty blefujesz, ja blefuję. Jak w pokerze.

Poker...

– Kolega opowiedział mi pewną historyjkę. Słyszał ją od babki czy od matki... nie pamiętam. Jest taka mitologiczna albo bajkowa postać, chochlik. Cały czas ściąga ludziom na głowę kłopoty. Nadałem ci taki przydomek, Brynn. Nieźle wymyśliłaś z tym telewizorem i amoniakiem nad drzwiami. Czekał... Tak naprawdę nie powiesiłaś wiadra, co? Nie chciałaś oślepić kogoś z kolegów z policji albo straży. Zabawne... Świadomość, że nie zastawiłaś na nas pułapki, niczym tchórz, poprawia moje zdanie na twój temat.

Brynn nie zaszczyciła go odpowiedzią.

– Potem ta łódka. Krew na skale.

– I wasza krótka wycieczka trójkołowym samochodem – dodała Brynn.

– Nie dałaś się nabrać, co?

– Ani ty. Przecież jesteś tutaj. Znalazłeś mnie.

– Skaleczyłaś się specjalnie, żeby rozlać krew?

– Nie noszę przy sobie butelki z ketchupem. – Pochyliła głowę, pokazując rozcięcie. – Zmyliłeś mnie tą latarką. Jak to zrobiłeś? Powiesiłeś ją na sznurku?

– Tak. Zrobionym z koszulki kolegi. Miałem wątpliwą przyjemność obejrzenia jego wytatuowanego torsu. Przywiązałem latarkę do gałęzi

drzewa, żeby się bujała na wietrze.

– Ale jak nas znaleźliście?

– Mam komputer kieszonkowy.

Pokręciła głową ze smutnym uśmiechem. Hart miał nawigację satelitarną, a ona kompas własnej produkcji... który działał równie dobrze.

– Szeryf nie chce nam takich kupić.

– Domyśliłem się, że pójdziecie szlakiem Jolieta. Potem na północ. I do międzystanowej albo Point of Rocks.

– Zdecydowałam się na międzystanową. Bliżej. Duży ruch. Chociaż trudna wspinaczka.

– Jakim cudem nie zabłądziłyście?

– Mam świetne wyczucie kierunku. – Przyjrzała mu się wnikliwie.

– Po co to robisz? Nie masz szans.

– Oj, Brynn, przestań, oboje jesteśmy na to za sprytni.

– Zaledwie niecałe dwa procent morderców unika kary. Zazwyczaj kiedy ofiara ginie w porachunkach gangsterskich albo podejrzanych jest tylu, że nie można się połapać. Policja nie spocznie, póki cię nie złapie. Nie bądź idiotą, Hart.

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie – obruszył się. – Stosujesz tanie chwyt. Ja traktuję cię z szacunkiem.

Rzeczywiście, pomyślała.

Rozmasował zranione ramię. Zauważyła, że kula przeszła bokiem, omijając kość i tętnicę.

– Mamy dziwną pracę – zadumał się.

– Nie porównuj mojej pracy z tym, co ty robisz – zachnęła się.

– Dlaczego nie...? Weźmy dzisiejszą noc. Oboje znaleźliśmy się tu, żeby wykonać jakieś zadanie. Mamy jednakowe cele. Wyeliminować przeciwnika i wydostać się z tego przeklętego lasu w jednym kawałku. Wszystko jedno, kto płaci tobie, a kto mnie. Nieważne, jak się tu znaleźliśmy. Liczy się to, że tu jesteśmy.

Nie potrafiła powstrzymać śmiechu. Przyjął to, jakby przyznała mu rację.

– Nie sądzisz, że warto? – mówił z przejęciem, patrząc jej prosto w oczy. – Mimo całego tego syfu. Wszystkiego, co dziś poszło nie tak. Ja myślę, że warto. Nie zamieniłbym swojego życia na żadne inne. Popatrz na całą resztę świata – to żywe trupy. Martwi w środku. Wściekają się na różne rzeczy, które nie dotyczą ich osobiście. Widzą je tylko w telewizji. Siedzą na tyłku. Chodzą do pracy, wracają do domu, gadają o rzeczach, które ich nie

obchodzą i o których nie mają pojęcia... Jakim cudem nie umierają z nudów? Ja potrzebuję czegoś więcej. Ty nie, Brynn? – Rozmasował szyję zdrową ręką. – Powiedz mi, gdzie ona jest. Proszę. Inaczej będzie źle.

– A pozwolisz mi odejść?

– Nie – powiedział po chwili milczenia. – Nie mogę. Ale mam twój numer telefonu. Wiem, że masz męża. Przypuszczalnie masz też dzieci. Mogę ci obiecać, że będą bezpieczne.

– Hart to imię czy nazwisko?

Pokręcił głową, patrząc na nią spod zmarszczonych brwi.

– Nieważne. Hart, jesteś aresztowany. – Wyrecytowała mu jego prawa, od początku do końca. Od dawna znała formułkę na pamięć. Nigdy nie korzystała ze ściągawki.

– Aresztujesz mnie?

– Zrozumiałeś swoje prawa?

– Na pewno wiesz, gdzie ona jest – powiedział z rozbawieniem.

– Ustaliliście miejsce spotkania. Ja bym tak zrobił.

Sam przerwał ciszę, która zapanowała po jego słowach.

– Życie jest dziwne, co? Wszystko idzie świetnie. Masz plan, znasz wszystkie szczegóły. Dowiadujesz się wszystkiego o ludziach. Prosta droga, łatwy odwrót. Załatwiasz wszystko, jak trzeba, odwracasz uwagę, kogo trzeba. A potem wystarczy małe potknięcie. Zbyt wiele razy przystajesz na czerwonym świetle, łapiesz gumę albo stoisz w korku, bo na drodze był wypadek. Stuknięty strażnik, którego swędzi ręka, żeby wypróbować nowiutką soplówkę, przychodzi do pracy dziesięć minut przed czasem. Obudził się, nim zadzwonił budzik, bo dwie przecznice dalej zaczął ujadać pies, który zobaczył wiewiórkę...

Mówił coraz ciszej. Ułożył dłonie w piramidkę, skrzywił się lekko, poruszając lewym ramieniem.

– Cały twój misterny plan leży. A przecież musiał się udać. Właśnie to się nam dziś obojgu przytrafiło, Brynn.

– Pomóż mi oswobodzić ręce i oddaj broń.

– Naprawdę myślisz, że pozwolę się aresztować?

– Nie słuchałeś. Już cię aresztowałam.

Przeciągnął się.

– Już nie te lata. – Rozmasował lewe ramię. – Od jak dawna jesteś mężatką?

Nie odpowiedziała. Zerknęła mimowolnie na jego dłoń w rękawicze.

– Ja się nie nadaję do żeniaczki. A tobie odpowiada małżeńskie życie, Brynn? No, daj spokój. Przecież Michelle jest dla ciebie obca.

– Moim obowiązkiem jest ją chronić.

– Praca tyle dla ciebie znaczy?

Brynn cynicznie uniosła brew. Zaboląło.

– Znasz odpowiedź.

Zaczął coś mówić, ale zmienił zdanie. Przechylił głowę na znak, że rozumie.

– Może i rozmawiałeś z moim mężem, ale go nie znasz. Na pewno już wszczął alarm. Nie chodzi spać po wieczornych wiadomościach.

– Kłamiesz, Brynn. – Wydawał się rozczarowany.

Westchnęła głęboko.

– Możliwe – zgodziła się niespodziewanie dla samej siebie. – Już nie będę. Niewykluczone, że Graham się położył. Ale co noc budzi się o czwartej i korzysta z łazienki. Zawsze. Zobaczy, że mnie nie ma, i pierwsze co robi, to poinformuje mojego przełożonego. A on powiadomi policję stanową. Masz jeszcze trochę czasu. Niewiele. Nie zdążysz wydobyć ode mnie informacji o Michelle. I to jest szczerą prawdą.

– Dobra, zrobimy tak... – Zamilkł.

– Chciałeś skłamać, co? – roześmiała się Brynn.

– Tak. – Wyszczерzył się w uśmiechu.

– Nakarmić mnie złudną nadzieją?

– No. Jakoś nie mogłem. – Rozłożył mapę. Włączył światło. Znalazł miejsce, w którym się znajdowali. – Gdzie ona jest, Brynn?

Zerknęła na małą niebieską plamkę jeziora.

– Nie powiem ci.

Pokręcił głową.

– Nie uderzę cię. To by było nieeleganckie. Twoja rodzina jest bezpieczna.

– Wiem o tym.

Sięgnął po pistolet.

– Ale... Sama rozumiesz.

Ma opory przed zastrzeleniem mnie, pomyślała ze zdziwieniem. Niemniej zrobi to. Poczwała dziwaczny posmak zwycięstwa. Jednocześnie zdawała sobie sprawę z przegranej. Nie chodziło o to, że umrze. Raczej o to, że zostawi po sobie bałagan.

Zapadła niezręczna cisza. Jak pod koniec pierwszej randki.

– Hart, masz jeszcze szansę. Ostatnią.

Tylko parsknął śmiechem.

– Nie żartuję. Zadzwoń na policję. Poproszę prokuratora o łagodny wymiar kary. Szczerść za szczerść, Hart.

Spuścił głowę, z roztargnieniem gładził kciukiem rękojeść broni.

– Poddasz się? – nalegała.

– Wiesz, że nie mogę.

Popatrzyli na siebie, wymieniając smutne uśmiechy.

Hart zmarszczył brwi wyglądając przez okno.

– Co u...?

Furgonetka zaczęła zjeżdżać w dół zbocza. Nabierała prędkości.

Nim wsiadł do samochodu, Brynn zdążyła przesunąć dźwignię biegów i przycisnęła stopą hamulec. Uniosła stopę, kiedy stało się jasne, że Hart nie zamierza się poddać. Ruszyli naprzód, staranowali barierkę okalającą parking i zaczęli się toczyć w dół stromego porośniętego krzakami zbocza.

– O Jezusie! – mruknął Hart.

Zamierzał przejąć kierownicę i chwycić dźwignię zmiany biegów. Brynn uderzyła go bokiem w chore ramię. Krzyknął z bólu.

Staczali się coraz szybciej, uderzając o głązy. Samochód przechylił się na lewą stronę i przewrócił na bok. Szyba po stronie pasażera eksplodowała do wewnątrz. Brynn uderzyła głową o pierś Harta. Toczyli się w dół zbocza w nieskończoność.

Tom Dahl podwiózł Grahama do jego ciężarówki zaparkowanej pod domem Feldmanów. Chwilę później, wzniecając kłęby pyłu, podjechały dwa wozy policji stanowej. Wysiadło z nich sześciu funkcjonariuszy. Boyd z powagą uściśnął szeryfowi dłoń i odszedł do swojego auta, wydając po drodze z kieszeni telefon komórkowy. Dahl podszedł do Arlena Tannera, komendanta nocnej zmiany policji stanowej Wisconsin. Dahl współpracował z tym tęgim wężem od wielu lat. Wyjaśnił mu sytuację.

– Brygada techniczna dotrze tu za pół godziny – powiedział Arlen.

– Mamy zatem akcję ratunkową?

– Zgadza się. Przyjedzie grupa z Humboldt, sześciu ludzi z Gardener... Okręg Barlow także przyśle kilku swoich.

– Wyciągnąłem z łóżek naszych dwóch nurków. Już jadą.

– Nie wiem, czy będą potrzebni. Podejrzewamy, że nasza funkcjonariuszka wydostała się z wraku i uciekła do lasu razem z przyjaciółką ofiar. Mordercy z całą pewnością ruszyli ich tropem.

Zadzwoił telefon komórkowy szeryfa. Na wyświetlaczu pojawił się numer sieci stacjonarnej z kodem kierunkowym Kenoshy. Zmarszczył czoło. Po chwili wahania postanowił odebrać.

– Szeryf Dahl.

– Szeryfie, mówi Andrew Sheridan... – oznajmił ktoś ponurym głosem. Sprawiał wrażenie przekonanego, że Dahl go zna.

– Słucham? – spytał niepewnie szeryf.

– Pracowałem dla Emmy Feldman. Właśnie się dowiedziałem.

Tom Dahl po odkryciu śmierci Feldmanów telefonował do kancelarii prawniczej Emmy. Tego typu wieści szybko się rozchodzą. Zwłaszcza w tym środowisku.

– Współczuję straty koleżanki.

– Dziękuję.

Rozmawiali przez chwilę, ale Dahl nie mógł ujawnić zbyt wielu informacji.

– Szeryfie, to trudny czas dla wszystkich. – Sheridan przeszedł do konkretów. – Muszę zadać pytanie na temat akt, które Emma miała przy sobie. Bo miała, prawda?

– Tak.

– Czy będą potrzebne jako materiał dowodowy?

– Tak, musimy je zatrzymać. Ktoś je przeglądał.

– Co?! Kto?

Dahl zerknął przepaszająco na Tannera.

– Minutkę – szepnął. – Nie wiemy, proszę pana – powiedział do słuchawki.

– Nie dostaniemy ich z powrotem?

– Nie od razu.

– Kiedy?

– Trudno mi w tej chwili powiedzieć.

– Mogę prosić o zabezpieczenie akt?

– Dowody trzymamy pod kluczem, proszę pana.

– Nie miałem zamiaru nikogo urazić – powiedział Sheridan z wahaniem. – Zależy nam na zachowaniu poufności danych. Rozumie pan.

Dahl nie rozumiał.

– Dopilnujemy, żeby nic im się nie stało – zapewnił.

– Dziękuję bardzo. Proszę mnie zawiadomić, gdybym mógł w czymkolwiek pomóc.

Możesz. Pozwól mi pracować, pomyślał szeryf i się rozłączył. Był zirytowany, lecz tak naprawdę nie miał pretensji. To, że człowiek martwi się o sprawy praktyczne, nie znaczy, że nie przeżywa śmierci koleżanki. Sheridan, podobnie jak szeryf, wykonywał swoją pracę.

- Kolejni goście, szeryfie – usłyszeli przez radio.
- Brygada ratunkowa? Hołownik?
- Nie. Samochód osobowy.
- Numer?
- Z Wisconsin. Tylko tyle zdążyłem zauważyć.
- Dobra.

Sedan zwolnił i skręcił w stronę domu numer trzy. Światła reflektorów rozjaśniły okolicę. Szeryf zatrzymał auto, machając latarką. Dał znak kierowcy, żeby wysiadł. Trzydziestokilkuletni mężczyzna o wyglądzie przedsiębiorcy rozglądał się z niepokojem.

- Co się stało? Co się tu dzieje?

Tanner zostawił sprawę Dahlowi.

– Proszę się wylegitymować. Pana nazwisko?
– Ari Paskell. – Przybysz podał dokument komendantowi, który przekazał go jednemu z funkcjonariuszy do sprawdzenia. – Proszę mi powiedzieć, o co chodzi.

- Co pana tu sprowadza?

– Co mnie sprowadza? Przyjechałem do Emmy i Steve’a! Nic nie rozumiem. Cały wieczór próbowałem się do nich dodzwonić.

- Skąd pan ich zna?

– Przyjaźnię się ze Steve’em. Pracowaliśmy kiedyś razem. Zaprosił mnie. Czy coś im się stało?

Dahl zerknął na Grahama, który wpatrywał się w las. Nie znoszę tej części swojej roboty, pomyślał. Funkcjonariusz, który sprawdzał dokumenty, dał znak, że wszystko w porządku.

- Bardzo mi przykro – powiedział szeryf. – Popołniono zbrodnię.

– O mój Boże! Nie! To jakaś pomyłka. Rozmawiałem ze Steve’em po południu.

- Niestety nie ma mowy o pomyłce.

– Nie – szepnął Ari Paskell. – Przecież... nie, to pomyłka! – Zbladł jeszcze bardziej. Wydawał się bliski hysterii. Nawet najtwardsi ludzie nie radzili sobie w takich sytuacjach, a on nie wyglądał na twardziela.

- Przykro mi.

– Ale to niemożliwe. – Miał szeroko otwarte oczy, ręce mu się trzęsły. – Przywiozłem ich ulubione piwo. I świeże kiełbaski. Takie, jakie zawsze razem jemy. – Głos mu się załamał. – Kupiłem kilka godzin temu w... – Zwiesił głowę. – Jest pan pewien? – spytał zrezygnowany.

– Przykro mi.

Paskell oparł się o maskę samochodu. Nie odzywał się, tylko patrzył na dom. Zapewne wspominał spędzone wspólnie z przyjaciółmi miłe chwile, które już się nie powtórzą.

Pojawił się Munce.

– Co się stało? – wyszeptał Paskell. – Kto ich zabił?

– Jeszcze nie wiemy, panie Paskell.

– Dlaczego ktoś miałby chcieć ich obrabować? Nie byli zamożni.

– Czy zna pan nazwisko drugiego gościa? To kobieta, mieszka w Chicago, pracowała kiedyś z Emmą.

– Nie. Wspominali, że zaprosili jeszcze kogoś, ale nie wiem kogo.

– Proszę wracać do domu. Albo wynająć pokój w motelu, jeśli nie jest pan w stanie prowadzić. Najbliższy jest tuż za Clausen. Nic tu teraz po panu.

Paskell nie słuchał. Zmarszczył czoło, jakby coś sobie przypominał.

– To głupie... Nasunęła mi się pewna myśl.

Dahl słuchał z uwagą. Sugestie świadków często rzeczywiście bywały niezbyt rozsądne, ale czasem pomagały ująć mordercę.

– Proszę powiedzieć.

– Rozmawiałem ze Steve'em jesienią na temat pewnego przykrego zajścia. Któryś z okolicznych mieszkańców, otyły mężczyzna, zrobił mu awanturę w sklepie, twierdząc, że Steve zarysował mu auto na parkingu. Facet wpadł w szal, pojechał za nim do domu, groził.

– Zna pan szczegóły?

– Nie. Wiem tylko tyle, że był miejscowy i ważył grubo ponad sto kilogramów.

– Nie pasuje do profilu podejrzanych. – Munce pokręcił głową, zerkając na Dahla. – Żaden z nich aż tyle nie ważył. Ślady stóp na to nie wskazują. Może nazwisko? Rysopis?

– Nie rozwijaliśmy tego tematu. Po prostu opowiedział mi, jak bardzo się wystraszył. Rzeczywiście wyglądał na poruszonego. Trudno się dziwić. Ten człowiek pojechał za nim pod sam dom. Skoro w morderstwie brała udział więcej niż jedna osoba... Może nasłał znajomych, którzy napadli na Emmę i Stevena, podczas gdy on czekał w samochodzie.

Dahl wiedział, że potencjalnie niebezpieczne konflikty na parkingach zdarzają się często i rzadko doprowadzają do takich tragedii.

– Poproszę o pana numer telefonu, panie Paskell. Na wypadek gdybyśmy mieli do pana dodatkowe pytania.

Paskell popatrzył na zakupy leżące w samochodzie. Przypuszczalnie wkrótce zostaną wyrzucone. W złości czy rozpacz? Ten człowiek pod pozorami łagodności miał w sobie coś z furiata.

– Proszę pana?

Nie usłyszał, Dahl powtórzył prośbę.

– Mój numer. Tak, dobrze. – Podał go szeryfowi.

Tanner pogładził wąsy i spojrzał porozumiewawczo na szeryfa. Krzepki komendant zdawał się mówić: „Trudna ta nasza robota, co?”.

– Może pan prowadzić? – spytał Dahl.

– Jeszcze kilka minut. – Paskell patrzył na dom. – Jeszcze chwilę.

– Oczywiście. Nie musi się pan spieszyć.

Twarz młodego biznesmena była nieprzenikniona. Wyjął telefon komórkowy i bawił się nim przez chwilę, opóźniając moment powiadomienia znajomych. Dahl zostawił go samego z tym trudnym zadaniem.

Prescott i Gibbs otaczali miejsce zbrodni taśmą policyjną. Munce zameldował przełożonemu, że trzech funkcjonariuszy, którzy poszli śladem dwóch kobiet, zgubiło trop w lesie.

– Co sądzisz o tej historii z miejscowym grubasem? – spytał Tanner.

– Prawdopodobnie bez związku. Ale musimy brać ją pod uwagę. Potrzebuję mapy. Czy ktoś ma mapę? I reflektor?

Nie dysponowali reflektorami. Przeszli na ganek, gdzie paliła się zewnętrzna lampa. Jeden z funkcjonariuszy odstawił krzesła i rozłożył dużą mapę okolic na stoliku do kawy. Domy letniskowe nie zostały uwzględnione, ale Lake View Drive oznaczono wąską żółtą linią. Dróżka sąsiadowała z jeziorem, po drugiej stronie była ogromna masa zieleni oznaczająca park stanowy Marquette. Na terenie parku znajdowały się wzniesienia, szlaki, stanowiska strażnicze, parkingi oraz kilka atrakcji krajobrazowych: Natural Bridge, Devil's Deep oraz przełom rzeki Snake. Setki tysięcy hektarów lasu. Dahl spojrzał na swój poobijany zegarek.

– Założmy, że od morderstwa minęło około pięciu, sześciu godzin. Jak daleko Brynn i ta druga kobieta mogły przez ten czas odejść? W tym gąszczu, w ciemności? Niezbyt daleko.

– Znalazłem coś obok garażu, szeryfie – oznajmił Prescott, podchodząc

powoli.

Policjanci z Wisconsin popatrzyli krytycznie na masywną posturę Howiego. Skinął im głową na powitanie bez śladu zakłopotania na dwudziestosiedmioletnim obliczu.

– Co takiego?

– Brezent. Prawdopodobnie była pod nim łódka albo kajak. Ślady sugerujące, że jakaś osoba ciągnęła coś dużego w stronę brzegu strumienia, który wpada do jeziora.

– Odciski stóp?

– Trudno powiedzieć. Teren porośnięty trawą. Żwir. Wgniecenia w trawie wyglądają na świeże. Zajrzałem do garażu. Tylko jedna kamizelka ratunkowa, żadnych wiosł. Założę się, że zabrały łódkę.

Dahl przyjrzał się mapie.

– Nie widzę więcej strumieni ani rzek wpadających do jeziora. Mogły przepłynąć na drugą stronę, ale dalej musiałyby iść piechotą.

– Zmieniły buty – przypomniał Munce.

Graham jeszcze nie odjechał. Wbił wzrok w czarną ścianę lasu.

– Potrzebujemy twojej pomocy – powiedział Dahl.

Szeryf przedstawił męża Brynn. Nowo poznani funkcjonariusze wyrazili swoje współczucie. Tom Dahl przedstawił Grahamowi wnioski, do jakich doszli na podstawie analizy śladów.

– Brynn raczej nie popłynęłaby łódką – pokręcił głową.

– Dlaczego?

– Boi się wody.

– W takiej sytuacji mogła nie zważać na lęki – zauważył komendant Arlen Tanner.

– Popłynęłaby wyłącznie, gdyby nie było innego wyjścia.

– Dobrze zna park? – spytał szeryf.

– Część. Przed wyjazdem studiowała mapę. Zawsze się w ten sposób przygotowuje. Była tu kilka razy z pierwszym mężem. Nigdy ze mną.

– Jakiś czas temu braliśmy udział w akcji poszukiwawczej – dodał Munce.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie? – zapytał z wyrzutem.

– Byłem w pobliżu.

– Sądziłem, że jesteś zajęty sprawą tamtej kradzieży.

– Nie, nie. Myślałem, że wiesz. To była pomyłka. Mogłem przyjechać.

Dahl z uwagą przyglądał się mapie.

– Przebrała się w suche ubrania, spotkała przyjaciółkę Feldmanów, wróciły

na miejsce zbrodni, zmieniły buty i uciekły. Tylko w którą stronę?

Tanner upierał się, że przepłynęły jezioro.

– Możliwe, że ukrywają się po drugiej stronie. A jeśli nie zabrały łódki, mogą być tam. – Wskazał strome wzgórze za domem pokryte gęsto roślinnością.

– Ja bym obstawiał szosę numer 682 – rzekł jeden z policjantów.

– Kilka godzin drogi, ale mogło im się udać złapać okazję albo znaleźć drzwi, do których mogłyby zapukać.

Dahl się z nim zgadzał. W przeciwieństwie do Grahama.

– Nie sądzę, żeby się na to zdecydowała, jeśli zabójcy nadal kręcili się w pobliżu.

– To najkrótsza droga po pomoc – powiedział szeryf.

– Brynn nie naraziłaby na niebezpieczeństwo żadnej rodziny, pukając do jej drzwi, kiedy czuła oddech morderców na karku. Biegłaby przed siebie, nie chowałaby się.

– Czemu nie? – zainteresował się Tanner.

– To nie w jej stylu.

– Nie wiem, Grahamie – odezwał się Tom Dahl. – Załóżmy, że nie zapukałaby do niczyich drzwi... ale samochód mogła zatrzymać.

– Dużo ich mijales po drodze? Ja jeden. I setkę jeleni. Ona doskonale wie, jak bezludna jest ta okolica.

– A co twoim zdaniem zrobiła? – spytał Munce.

– Poszła w sam środek parku.

– Zdawała sobie sprawę, że o tej porze roku nie ma tam strażników leśnych.

– Ale są telefony.

– Odłączone poza sezonem.

– A budki telefoniczne?

– Możliwe. Nie wiem.

– Mam nawet wątpliwości, czy poszłaby do leśniczówki. Raczej kierowałby się na międzystanową. – Graham zastukał palcem w mapę, wskazując most nad przełomem rzeki Snake.

Arlen Tanner popatrzył na mapę.

– Z całym szacunkiem, panie Boyd, to kawał drogi. Łatwo zabłądzić. Ludzie czasem przez tydzień nie mogą znaleźć wyjścia. Tysiące hektarów lasu. Trudny teren. Jaskinie, urwiska, bagna...

– Właśnie dlatego. Im trudniej dla pościgu, tym lepiej dla niej.

Do rozmowy wtrącił się jeden z policjantów z komendy stanowej. Był wysoki i muskularny, wyglądał na komandosa.

– To kilkanaście kilometrów stąd. Nie prowadzi tam żaden ze szlaków. A przełom to jedno z najniebezpieczniejszych miejsc na terenie parku.

– Z całym szacunkiem – oświadczył Tanner – uważam, że ukrywają się w pobliżu albo zawróciły ku szosie. Tak nakazuje logika.

– Zgadzam się z Arlenem – poparł go Dahl. – Ja też ją znam, ale nie sądzę, żeby ktokolwiek wybrał taką opcję. Trudno byłoby nie zabłądzić nawet za dnia, mając do dyspozycji mapę i nawigację satelitarną. Skoncentrujmy poszukiwania na najbliższej okolicy i szosie.

– Wyślij przynajmniej kilku policjantów do parku i w okolice przełomu rzeki, Tom – nalegał Graham.

– Mamy za mało ludzi. Nie mogę korzystać z pomocy cywili, kiedy po lesie grasują mordercy. Wszyscy poszukiwacze muszą być uzbrojeni i przeszkoleni. Jedź do domu. Uspokój Joeya. On cię potrzebuje. Mówię to jako ojciec, nie gliniarz... Obiecuję, że zostaniesz powiadomiony pierwszy, kiedy tylko się czegoś dowiemy.

Eric Munce odprowadził Boyda do jego samochodu. Dahl został na ganku i patrzył na zamieszanie przed sobą: światła, funkcjonariusze, radiowozy, karetka czekająca na zwłoki. Paskell podszedł do Grahama i Munce'a. Mężczyźni uścisnęli sobie nawzajem dłonie, przekazując wyrazy współczucia. Szeryf wrócił do studiowania mapy i planowania poszukiwań. Zmówił w myślach krótką modlitwę za Brynn.

Spod maski samochodu zaczął unosić się dym lub para. Brynn leżała na plecach, oddychając ciężko i próbując ustalić źródła bólu. W filmach samochody zawsze wybuchają zaraz po wypadku, myślała. W rzeczywistości – nigdy. Widziała ponad sto wypadków drogowych. Pięć samochodów spłonęło doszczętnie, ale nie nastąpił wybuch.

Co nie znaczy, że zamierzała zostać w aucie dłużej, niż musiała. Wyczołgała się przez dziurę po przedniej szybie. Ze skrępowanymi z tyłu rękoma poruszała się jak gąsienica. Oddalała się od wraku, boleśnie zważając o kawałki szkła i kamienie. Zabrała ze sobą mapę Harta, trzymała ją z tyłu, zwiniętą w kulkę.

Odczołgała się kilka metrów od samochodu. Wylądował na boku u stóp stromego wzgórza. To, że stoczył się bokiem, przypuszczalnie ocaliło jej życie. Gdyby spadł przodem, wylecieliby przez przednią szybę i zostali

zmiżdżeni przez obijający się o kamienie pojazd. Niewykluczone, że przeżyła dzięki Hartowi. Przypomniała sobie zapach wody kolońskiej, dymu i wybielacza, który poczuła, uderzając o jego pierś.

Bolały ją różne części ciała, jednak wszystkie ważne organy i kończyny wydawały się sprawne. Nie mogła użyć rąk, aby to potwierdzić. Najbardziej wciąż bolała rana na policzku i miejsce po straconym zębie. Od ramion w górę przeszywał ją pulsujący ból.

Nie widziała Harta, lecz słyszała głos nawołującego go współnika. Niewątpliwie usłyszała huk, choć zapewne nie widział wypadku. Widok zasłaniały mu wysokie zarośla. Brynn popatrzyła w górę. Ujrzała słabe światło płonące w przyczepie, która wydawała się bardzo odległa.

Samochód leżał niedaleko krawędzi dziesięciometrowego urwiska, pod którym pienił się rwący potok. Brynn uznała, że skoro nogi ma całe, nie ma przeszkód, żeby wstała. Tymczasem okazało się, iż ze skrępowanymi rękoma to wcale nie takie łatwe.

Użyła niecenzuralnego słowa, które wypowiedziała zaledwie kilkanaście razy w życiu. Wreszcie udało jej się uklęknąć, a potem wstać. Wsunęła mapę za pasek z tyłu i rozejrzała się w poszukiwaniu Harta. Leżał na plecach po drugiej stronie samochodu. Wypadł, jak to się zwykle dzieje, kiedy ofiara wypadku nie jest przypięta pasami. Widziała wiele takich sytuacji. Ludzie często uderzali o drzewa lub znaki drogowe niczym szmaciane lalki. Hart miał zamknięte oczy, ale się poruszał. Pistolet znajdował się kilka metrów od niego. Postanowiła kopnąć broń na bezpieczną odległość, a potem podnieść.

Nagle usłyszała szloch. Odwróciła się i zobaczyła małą blondynkę w brudnej białej koszulce i dżinsowej spódniczce. Dziewczynka zbiegała na dół, tuląc do piersi jakąś maskotkę. Prawdopodobnie przestraszyła się współnika Harta i uciekła z przyczepy. Brynn stała pomiędzy nią a Hartem, który zaczynał odzyskiwać przytomność, choć wciąż miał zamknięte oczy. Zaciskał dłonie w pięści i pojękiwał. Dziecko biegło na oślep, z buzią zalaną łzami. Groził mu upadek z urwiska.

– Amy! Zatrzymaj się!

Mała nie usłyszała albo nie zwróciła uwagi na jej słowa. Hart próbował usiąść. Rozglądał się. Jeszcze ich nie zauważył. Brynn bardzo potrzebowała broni, lecz musiała z niej zrezygnować. Podbiegła do dziewczynki. Udało jej się ją zatrzymać metr przed krawędzią, upadając boleśnie na kolana i zagradzając drogę. Prerażone dziecko stanęło w miejscu.

– Już dobrze, kochanie. Poznajesz mnie? W porządku. Uważaj, bo

spadniesz. Odejźmy tam, w krzaki.

– Gdzie mamusia?

– Nie wiem, Amy. Ja jestem przy tobie. Wszystko będzie dobrze.

– Słyszałam...

– Chodź ze mną.

Hart nie mógł się podnieść i wciąż ich nie widział.

– Hart! – dobiegało wołanie ze szczytu wzgórza. Brynn zobaczyła postać mężczyzny, który współpracował z Hartem.

– Chodź, Amy. Nie podoba mi się to urwisko.

– Gdzie moja mamusia? – spytała płaczliwie dziewczynka.

– Pomogę ci ją znaleźć. – Brynn nie była z siebie dumna, ale nie miała wyboru. Musiała skłamać.

Mała się uspokoiła. Brynn ukryła się razem z nią za kępą zarośli i wysokiej trawy.

– Nie mogę ci pomóc szukać ze skrupowanymi rękoma. Umiesz je oswobodzić? Są sklezione taśmą, której używałaś do zaklejania torebek.

– Rudy ci je zakleił.

– Tak. Dla żartu.

– Chyba nie. On często robi różne takie rzeczy.

– To boli. Pomożesz mi?

– Tak, dobrze. Nie lubię Rudy’ego. Czasem mi się przygląda, kiedy myśli, że śpię.

Serce Brynn zakołatało w piersi.

– Nie musisz już bać się Rudy’ego. Jestem policjantką

– Naprawdę? Jak te panie w „Aniołkach Charliego”?

– Dokładnie tak, Amy.

– Jesteś starsza. – Amy zaczęła odklejać taśmę. – Skąd wiesz, jak mam na imię?

– Twój tato mi powiedział.

– On nie jest moim tatą.

– Charlie mi powiedział.

Dziewczynce wreszcie udało się odwinąć taśmę po kilku nieudanych próbach.

– Po co Rudy to zrobił?

– Chciał mnie skrzywdzić. – Brynn rozmasowała oswobodzone ręce. Miała łokieć odarty ze skóry, ale poza tym nie odniosła w wypadku poważniejszych obrażeń. Schowała bezcenną mapę do kieszeni kurtki.

– Nic nie mów, Amy. Są tu inni ludzie. Nie chcemy, żeby nas usłyszeli.
– Widziałam ich. Jeden z nich chyba coś zrobił mamusi.
– Nie bój się. Nie pozwolę, żeby ciebie ktoś skrzywdził. Pomilczymy teraz trochę razem, zgoda?

– Tak.

Podkradły się bliżej polany. Brynn wyjrzała ostrożnie. Harta nie było, broń także znikła.

Graham Boyd szybko oddalał się od luksusowych domów wypoczynkowych nad jeziorem, w którym spoczywał wrak samochodu jego żony. W jednym z domów leżały zwłoki dwojga ludzi, w sąsiednim znaleziono mokre ubrania Brynn. Usiłował przestać o tym myśleć i nie potrafił. Miał plany, żeby spędzić wieczór z Sandrą, a potem wstąpić na szybkiego drinka do JJ'a. Mówiąc potem Brynn, iż był na partyjce pokera, nie minąłby się z prawdą. Wszystko się zmieniło... Przeżywał najgorszy z możliwych koszmarów.

Popatrzył w lusterko wsteczne. Doganiał go radiowóz. Strzałka prędkościomierza wskazywała sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Zjechał na pobocze, ścisnął kurczowo kierownicę, opierając o nią głowę. Po kilku minutach w szybę zapukał umundurowany policjant. Graham zaczerpnął głęboki oddech i wysiadł z auta. Uścisnął dłoń Erica Munce'a.

– Dzięki. Z całego serca. Wiedziałem, że zrozumiesz. Nikt inny nie zadał sobie trudu.

– Ufam twojej ocenie sytuacji, choć sam bym na to nie wpadł.

Graham zasunął kurtkę, zabrał z samochodu latarkę i nóż do cięcia kwiatów.

– Mogę się mylić. Jednak wszystko mi mówi, że Brynn poszłaby właśnie tą drogą.

– A łódka?

– Wykorzystała ją, żeby zmylić pościg. Ona nie znosi wody.

Jeziora ani oceany to nie jej środowisko, pomyślał. Nie próbował tłumaczyć Munce'owi, że jego żona ma problem z nadmierną potrzebą panowania nad sytuacją.

– Obyś miał rację, Grahamie... Chciałbym dostać tych bydlaków w swoje ręce – wycedził Munce. Oczy mu błyszczały.

Wyglądał bardziej na żołnierza niż policjanta. Miał okrągłą twarz, wąskie jasne oczy i jasne włosy.

– Byłeś kiedyś w wojsku? – zapytał Graham.

– W gwardii narodowej. Nigdy nie uczestniczyłem w prawdziwej akcji. – Eric Munce wzruszył ramionami. – Widziałeś na mapie leśniczówkę? Tę niedaleko jeziora Apex. Może tam poszła?

– Nie mówię, że na pewno nie. Jednak uważam, że wybrałyby trudniejszą trasę. To wyrównałoby szanse między nią a pościgiem. Na szlaku mężczyźni poruszaliby się szybciej. W lesie ona byłaby górą. A Brynn lubi być górą.

– Gra w karty z tą kobietą to musi być piekło.

– Nie grywamy w karty – powiedział z roztargnieniem Graham, studiując mapę.

Popatrzył na ciemną ścianę lasu. Minał ich pędzący samochód. Do tej pory jedyny. Żadnego innego nie było na horyzoncie.

– Dobry byłby z ciebie glina.

– Ze mnie? – roześmiał się ponuro. – Skąd, panie władzo.

– Postukał palcem w mapę. – Tu mamy szlak Jolieta. W tym miejscu zeszła ze ścieżki. Kieruje się w stronę rzeki, a potem pójdzie brzegiem i wdrapie się po ścianie wąwozu na autostradę międzystanową.

Munce popatrzył na strome wzgórze, którego zbocze ginęło w leśnym gąszczu.

– Byłeś tam kiedyś? Nie tak łatwo wspiąć się po ścianie tego wąwozu.

– Kiedy byłem młodszy, urządzaliśmy sobie czasem piesze wycieczki ze znajomymi po parku. Ale nie w tym rejonie.

Graham namawiał Joeya na wspólną wyprawę kilka razy w zeszłym roku. Zawsze spotykał się z lekceważącą odmową. Żałował, że bardziej nie nalegał. Chłopakowi z pewnością by się tu spodobało.

Munce powiedział, że zna okolicę. Brał udział w akcji poszukiwawczej razem z Brynn. Zakończyła się znalezieniem zwłok pół kilometra od miejsca, w którym się znajdowali.

– Kojarzę jakieś ścieżki wydeptane przez wędrowców i wspinaczy. Miejscami teren jest równy, ale jest też mnóstwo urwisk. Niektóre kilkunastometrowe. Można zejść prosto w przepaść. Trzeba bardzo uważać, gdzie się stawia stopy.

Graham pokiwał głową.

– Będą się starały trzymać w pobliżu rzeki. Przynajmniej na tyle, żeby słyszeć szum wody, który pomoże im zachować właściwy kierunek. Co oznacza, że interesuje nas stumetrowy pas wybrzeża w kierunku wąwozu. Tam powinniśmy pójść. Nie możemy ich wołać, bo usłyszą nas zabójcy...

Musimy się co jakiś czas zatrzymywać i rozglądać. Możemy odzywać się szepem. Szeryf mówił, że ściga je dwóch mężczyzn?

– Tak wynika ze śladów.

Graham zerknął na strzelbę leżącą na przednim siedzeniu radiowozu.

– Nie mam broni.

– Nie mogę ci dać. Mógłbym stracić robotę.

– Aha.

– Trzymaj się mnie. Zająłem drugie miejsce w konkursie strzelania do celu.

Munce zabrał strzelbę i sześć pocisków. Podeszli na skraj lasu i popatrzyli w dół stoku porośniętego drzewami i pokrytego gładzi. Po lewej stronie kilkadziesiąt metrów w dół kamiennej ściany pieniała się rwąca rzeka. Głazy, pnie drzew i mały zbiornik zaporowy, na którego dnie znajdował się dziwny odpływ, gdzie znikają śmieci i liście, nie stanowiły realnych przeszkód na drodze żywiołu.

– Wygląda jak autostrada wodna do piekła.

– Dzięki, Eric. Będziesz miał przeze mnie kłopoty?

– Szeryf wysłał nas na poszukiwania. Powiedziałem, że przeschukam teren na północy. Nie wspomniałem, jak daleko.

– Tom to dobry facet, ale mam przecucie, że myli się w tej sprawie. Znam swoją żonę.

Ruszyli przez gęste zarośla. Ściółkę porastały pnącza, które utrudniały chodzenie. Z ulgą powitali zmianę w postaci iglastego dywanu. Szum rzeki stawał się coraz głośniejszy.

– Trzeba się przygotować. – Munce splunął na ręce, wziął garść ziemi i wymazał twarz błotem. Graham poczuł się głupio, ale poszedł za jego przykładem.

– Dobrze. Zaczynamy. – Munce przygotował strzelbę i ruszył przodem przez niemal litą ścianę zieleni.

– Eric – szepnął Graham. – Tak z ciekawości... To Brynn cię pokonała?

– Pokonała?

– W zawodach strzelniczych. Mówiłeś, że zająłeś drugie miejsce.

– Ach. Nie, Dobbie Masters. Chłopak wyszedł z brzucha mamy ze spluwą w rękę. Powiem ci jednak, że chociaż Brynn nie jest najlepsza w strzelaniu, to najszybciej przeładowuje broń. A podczas strzelaniny ta umiejętność przydaje się najbardziej. Możesz mi wierzyć.

James Jasons skończył jeść zimnego hamburgera. Potrzebował nieco kalorii. Pokonywał autostradę międzystanową, zerkając od czasu do czasu na mały monitor przy desce rozdzielczej.

Znajdował się półtora kilometra od celu, który od dziesięciu minut nie zmieniał położenia. Jasons był zadowolony ze swojego występu. Podał się za pogrążonego w żałobie przyjaciela Feldmanów. Posiadał cztery tożsamości potwierdzone prawem jazdy oraz dokumentami rejestracyjnymi samochodu. Posługiwał się między innymi nazwiskiem Ariego Paskella. Stanley Mankewitz nie szastał pieniędzmi, jednak zapewniał wszystko, aby jego pracownicy byli wydajni.

Jasonsowi udało się zdobyć wiele cennych informacji. Celowo zwlekał z odjazdem, udając, że zbiera siły. Zmyślił historyjkę na temat rozmowy ze Stevenem, dzięki której się dowiedział, iż zbrodni dokonało dwóch mężczyzn. Żaden z nich nie ważył ponad sto kilogramów. Chciał również skierować podejrzenia policji na lokalną społeczność, aby odwrócić uwagę od powiązań ze sprawą z Milwaukee. Nie potrafił stwierdzić, czy mu się udało.

Podśluchał strzępki rozmowy dające mu niezłe pojęcie na temat stanu wiedzy policji. Udawał, że rozmawia przez telefon, więc nikt nie zwracał na niego uwagi. Nie uważał szeryfa za prowincjonalnego tępaka, mimo że bez trudu wyprowadził go w pole. Naprawdę inteligentni ludzie zawsze szukają najprostszego i najbardziej wiarygodnego wyjaśnienia sytuacji. Nikt by nie podejrzewał zrozpaczonego przyjaciela pana domu, który podjechał dobrym samochodem i wylegitymował się fachowo podrobionym dowodem tożsamości, odjechał zaś na tyle wcześniej, że nie dał nikomu czasu na zastanawianie się nad jego przedłużającą się obecnością.

Nie miał zresztą żadnego powodu, żeby zostać dłużej, ponieważ jego dalsze poczynania nie miały nic wspólnego ze śledztwem prowadzonym przez policję. Skupił się na mężu policjantki, która uciekła do lasu przed zabójcami Emmy Feldman. Zauważył, że przeprowadził ukradkową rozmowę z Erikiem Munce'em. Planowali niezależną akcję poszukiwawczą w tajemnicy przed szeryfem, wywnioskował.

Dahl dobrze znał swoich współpracowników, zasady logiki oraz ludzką naturę. Podobnie jak wszyscy utalentowani policjanci. Jednak nie miał dostępu do informacji, jakie można zdobyć, wyłącznie dzieląc z kimś życie i sypialnię. Jasons wiedział o tym choćby z doświadczeń z własnego związku z Robertem. Dlatego nie miał wątpliwości, iż Munce i Boyd doprowadzą go do

policjantki o imieniu Brynn oraz przyjaciółki Feldmanów, a zarazem świadka morderstwa. Dzięki nim dotrze do mężczyzn, których usiłował zachować przy życiu dzisiejszej nocy.

Pod domem nad jeziorem Mondac Graham uściskał „Paskellowi” dłoń i złożył wyrazy współczucia. Jasons życzył poszukiwań zakończonych sukcesem. Graham odszedł, żeby porozmawiać z Munce’em. Policjant spuścił głowę i zastanawiał się przez chwilę, rozważając słowa Boyda, nim odpowiedział. Obaj popatrzyli na zegarki. Równie dobrze mogliby ogłosić swoje zamiary przez megafon.

Tymczasem okazało się, iż wszyscy inni zajęci byli swoimi zadaniami i porozumienie między Erikiem a Grahamem pozostało niezauważone. Jasons postanowił spytać o wskazówki dotyczące dalszej drogi, ale by dotrzeć do najbliższego funkcjonariusza, musiał minąć samochód Boyda. Przy tej okazji upuścił do środka przedmiot, który przypominał kawałek drewna, lecz zawierał urządzenie do lokalizacji używane głównie przez myśliwych. Przyczepiają je do obroży psów, by szybciej odnaleźć zwierzęta, które w ferworze polowania za bardzo się oddalą.

Jasons korzystał z wielu technicznych gadżetów godnych najlepszego szpiega. Przekonał się, że urządzenie zaprojektowane dla myśliwych, sprzedawane po pięćset dolarów za sztukę, znacznie lepiej spełnia swoją funkcję niż dziesięciokrotnie droższe wyposażenie sił bezpieczeństwa.

Nucił pod nosem, zbliżając się do mostu nad Snake. Minął radiowóz i białą ciężarówkę do połowy ukryte w krzakach na poboczu szosy. To tutaj zmierzali policjantka McKenzie oraz zabójcy. Jasons przejechał przez most nad wąwozem. Począł, aż zostanie sam na autostradzie, po czym zawrócił, przecinając pas zieleni rozdzielający drogę na dwie części. Znowu pokonał most. Zatrzymał się wśród drzew po drugiej stronie szosy w miejscu, gdzie stał zaparkowany radiowóz oraz samochód Grahama Boyda.

Wyszedł z samochodu, przeciągnął się i otworzył bagażnik. Zmienił płaszcz na wiatrówkę, a półbuty na kalosze. Przewiesił przez ramię płócienną torbę. Przepuścił rozpędzonego TIR-a, przeszedł przez ulicę i zniknął w lesie.

Jeziro było znacznie mniejsze niż Mondac. Brynn położyła palec na ustach. Amy pokiwała główką. Brynn dała jej swoją ciemną bluzę. Dziewczynka miała odkryte i blade nogi, ale nie wyglądała na przemarznąętą. Przestała pytać o mamę i posłusznie szła obok Brynn, ściskając Chestera – wypchane stworzenie nieokreślonego gatunku.

Patrząc na jezioro, Brynn przypomniała sobie radość na widok Charlesa Gandy'ego. Sądziła, że spotkała sprzymierzeńca. Dostęp do broni i samochodu. Okazało się, iż los z niej zakpił. Straciła nawet swoją włóczę. Czuła się wyczerpana.

Ukucnęła, pociągając za sobą dziewczynkę. Przeszukiwała wzrokiem teren. Coś poruszyło się w krzakach. Zdrętwiała. Amy popatrzyła na nią czujnie. To mógł być Hart albo wilk, który podążał śladem mężczyzn. Brynn odetchnęła z ulgą na widok Michelle. Dziewczyna kryła się w zaroślach. Wyglądała, jakby czaiła się na ofiarę. W jednej dłoni trzymała włóczę, w drugiej nóż. Czekwała na atak, gotowa do obrony. Ruszyły w jej stronę.

– Michelle! To ja – szepnęła Brynn.

Podeszła bliżej i stanęła w poświacie księżyca.

– Brynn! – ucieszyła się Michelle. Schowała nóż do kieszeni i podbiegła. Zatrzymała się na widok Amy chowającej się za plecami policjantki.

Kobiety się uściśniły. Michelle przykucnęła i objęła Amy.

– Kto to?

Amy uwolniła się z nadmiernie serdecznego uścisku.

– Przedstawiam ci Amy. Pójdziemy razem. – Brynn potrząsnęła głową, dając znak Michelle, aby na razie nie zadawała pytań.

– Jesteś śliczna! A to kto?

– Chester.

– Też piękny.

Dziewczynka była przygnębiona. Wyczuwała atmosferę zagrożenia, choć nie rozumiała przyczyn. Nie wiedziała, co spotkało jej matkę i pozostałych ludzi z przyczepy.

Księżyc chylił się ku zachodowi, ściemniało się. Dorosłe kobiety przerażało to bardziej niż Amy, która była przyzwyczajona do znacznie realniejszych niebezpieczeństw i nie bała się ciemności. Zamrugła na widok przelatującej wiewiórki. Jej twarz pozostała bez wyrazu.

– Słyszałam strzały – powiedziała Michelle. – Nasi przyjaciele...?

– Nadal z nami. Jeden jest ranny, ale wciąż na chodzie.

– Możliwe, że będą chcieli do nas dołączyć.

– Chodźmy już. W kierunku rzeki. Za trzy kwadranse do godziny powinniśmy być na autostradzie. Wdrapiemy się po ścianie skalnej.

– Podobno jest łatwiejsza droga.

– Ale znacznie dłuższa. Hart sądzi, że ją wybierzemy.

– Rozmawiałaś z nim? – zdziwiła się Michelle.

– Tak.

– Serio? Jak do tego doszło?

Brynn opowiedziała jej w skrócie.

– O matko! Mogłaś zginąć.

On również, pomyślała Brynn.

– Co mówił?

– Niewiele. Za to ja powiedziałam mu, że idziemy na autostradę. Będzie nas szukał na trasie do Point of Rocks.

– Zastosowałaś odwróconą psychologię.

– Ano tak. – Brynn sięgnęła po mapę.

– Skąd masz?

– Ukradłam naszemu przyjacielowi.

Michelle się roześmiała.

Brynn odnalazła na mapie miejsce, w którym się znajdowały. Nie potrzebowała kompasu. Mapa była na tyle dokładna, że dało się odczytywać kierunek na podstawie ukształtowania terenu.

– Ja chcę do mamy – odezwała się mała.

Policjantka ostrzegawczo pokręciła głową, zerkając na Michelle.

– Kochanie, najpierw musimy się stąd wydostać, żeby ją znaleźć – zwróciła się do dziewczynki. – Lubisz piesze wycieczki?

– Chyba tak.

– A potem będziemy się wspinać.

– Jak po ścianie wspinaczkowej? Mamy taką niedaleko szkoły. Charlie obiecał, że pójdzie tam kiedyś ze mną, ale nie dotrzymał słowa.

– Dokładnie jak po ścianie. Tylko jeszcze fajniej.

– Pobawimy się w Dorę Podróżniczkę i małą Boots – dodała Michelle.

– Nie oglądałam tego już dawno – powiedziała dziewczynka.

– Mama i Charlie wolą inne programy.

Brynn wolała nie pytać jakie.

– Chodźmy więc! – zawołała entuzjastycznie. – Daj mi nóż – zwróciła się do Michelle. – Ty zatrzymaj włócznię. Możesz się nią podpierać.

Michelle roześmiała się, podając jej namiastkę broni.

– Czy wyglądam równie strasznie jak ty? – spytała.

– Wątpię. Niedawno miałam drugi wypadek samochodowy. Nie prześcigniesz mnie. Chociaż nie prezentujesz się kwitnąco. Nie wychodziłabym tak na twoim miejscu na zakupy do miasta.

Michelle ścisnęła ją za rękę i ruszyły przed siebie.

Znajdowały się o wiele bliżej rzeki, niż sądziły. Szły przez najgęściejsze zarośla i co chwila rozglądały się z obawą. Marsz trwał pół godziny. Brynn wolała nie łudzić się nadzieją, iż jej plan zadziałał i Hart ruszył w przeciwnym kierunku. Z ukrycia omiotły wzrokiem brzeg rzeki. Nikogo nie dostrzegły.

– Zaczekajcie. – Brynn poszła naprzód z nożem w garści. Zanurzyła twarz w lodowatej wodzie, która uśmierzyła ból. Napiła się łapczywie. Zorientowała się, że jest odwodniona. Upewniwszy się, iż nic im nie zagraża, dała znak Amy i Michelle, żeby podeszły. One również były spragnione. Brynn popatrzyła w górę, w kierunku autostrady. Miały do pokonania półtora kilometra stromizny.

– Chryste! – szepnęła Michelle, podążając za wzrokiem koleżanki. Podeszły do stóp ściany. Michelle zatrzymała się, wskazując ślady, które zostawiły na mokrej ziemi.

– Nie rzucają się w oczy – uznała Brynn.

– O ile ktoś nie ma latarki.

– Słuszna uwaga.

Michelle ułamała kilka gałęzi i zamiotła ślady. Oddychała głośno. Nie zwracała uwagi na bolącą nogę. Brynn miała przed sobą zupełnie inną kobietę niż rozpieszczona przyszła gwiazdka, którą poznała. Niektórzy ludzie załamywali się pod wpływem stresu, inni odnajdywali w sobie nieznane pokłady siły. Pomyliła się, zaliczając Michelle do pierwszej kategorii. Dziewczyna stanowiła silne wsparcie.

Amy ziewnęła.

– Spać mi się chce.

– Wiem, kochanie – powiedziała Michelle. – Niedługo będziemy mogły się położyć. Mogę schować Chestera do kieszeni?

– Tylko zapnij ją, żeby nie wypadł.

– Ma się rozumieć.

– Ale nie do końca, żeby się nie udusił.

Taka dziecinna jak na swój wiek, pomyślała ze smutkiem Brynn.

Michelle schowała maskotkę do kieszeni i rozpoczęły wspinaczkę. W oddali mignęły światła przejeżdżającej ciężarówki.

Tymczasem Graham i Munce schodzili na dół. Za ich plecami z hałasem przejechała ciężarówka. Nie odzywali się do siebie skupieni na równomiernym oddechu i utrzymaniu równowagi. W dole huczała rozbijająca się o kamienie woda. Architekt zieleni poczuł się nieswojo w otoczeniu dzikiej przyrody. Zdał sobie sprawę z ogromnej różnicy pomiędzy ozdabianiem ogrodów a obcowaniem z naturą. Tutaj rośliny nie służyły do dekoracji. One dyktowały warunki, a ludzie musieli się podporządkować.

Rośliny były niebezpieczne. Przechodzili po cienkiej kłodzie nad dywanem trującego bluszczu, na który Graham miał uczulenie. Gdyby pędy dotknęły jego twarzy, spuchłby tak, że nic by nie widział. Nawet martwa ściółka bywała zdradliwa. Munce cudem uniknął upadku, pośliznąwszy się na śliskich liściach. Nie wspominając o tym, że złamana gałąź czy poruszenie suchymi liśćmi mogły zwrócić uwagę zabójców.

Udało im się znaleźć kilka ścieżek, które jednak kończyły się po jakimś czasie. Często nad kilkumetrowym urwiskiem. Schodzili po kolei, przekazując sobie strzelbę. Zostawili szosę międzystanową sto metrów za sobą. Munce wydawał polecenia na migi, co Grahamowi wydawało się równie niedorzeczne, jak zamaskowane błotem twarze. Właściwie nie mam nic przeciwko zabawie w komandosów, doszedł do wniosku. Najważniejsze, że udało się namówić Erica na wspólną eskapadę ratunkową. Zatrzymali się i spojrzeli w dół stromego zbocza. Munce skrzywił się i wyciągnął rękę, by złapać za gałąź. Zejście bez przytrzymywania się nie było możliwe.

– Nie! – szepnął ostrzegawczo Graham.

Policjant odwrócił się gwałtownie, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. Poślizgnął się na sosnowych igłach i poleciał do przodu. Grahamowi udało się przytrzymać go za rękaw.

– Jezus, Maria! Co się stało? – zawołał funkcjonariusz, podciągając się w górę.

– Przepraszam. Sam zobacz.

Eric zmarszczył czoło. Gałąź, którą zamierzał chwycić, była pokryta ogromnymi kolcami.

– To iglicznia. Najbardziej niebezpieczne z drzew. Ich rozmnażanie jest zabronione. Kolec przebiłby ci dłoń. Wielu ludzi zmarło z powodu zakażenia.

– Matko Święta, nie zauważyłem kolców. Jest tu tego więcej?

– Na pewno. Jeśli jest jedno, są i inne. A tam... Widzisz? – Graham wskazał przysadzisty pień. – Aralia kolczasta. W miejscach, gdzie las jest

rzadszy i dociera więcej słońca, będą jeżyny oraz dzikie róże. Jeżeli nie uda się od razu wyjąć kolców, może się wdać poważna infekcja.

– Cholerne pole minowe – mruknął Munce, po czym zamarł w bezruchu. – Widzisz światło na dole? – szepnął.

Graham przytaknął. Promień latarki albo księżyca odbijał się od jakiejś szklanej czy metalowej powierzchni. Kilometr od nich. Munce sięgnął po pistolet. Machnął ręką, żeby Boyd szedł za nim.

Urządzenie do nawigacji satelitarnej mniej ucierpiało w wypadku niż Hart. Co prawda nic sobie nie złamał, ale czuł ból w całym ciele, a z otworu po kuli znów zaczęła się sączyć krew. Poczłł złość na obie kobiety, które winił za swój stan. Chrzanić profesjonalizm, myślał. Zależało mu na słodkiej, krwawej zemście.

Wraz z Lewisem stał na brzegu rzeki Snake. Nawigacja satelitarna nie dostarczała tak szczegółowych informacji jak mapa, którą zgubił podczas wypadku, jednak nie błędzili.

– Wydaje mi się... – Zamilkł, widząc minę Lewisa. – Nic ci nie jest?

– Nic.

– Nie było ci łatwo strzelić do tej kobiety, co?

– Sam jestem zaskoczony. Ale te jej oczy...

– To trudne. – A w myślach dodał: Za pierwszym razem.

Po wzniesieniu ognia Lewis schował się za rogiem przyczepy. Ze środka wybiegło dwóch mężczyzn. Ten szczuplejszy, z brodą, trzymał w ręku gaśnicę. Tylnymi drzwiami wyskoczyła kobieta. Krzyczała. Po chwili mężczyźni już nie żyli. Zastrzelił ich Hart. Lewis trzymał lufę strzelby wymierzoną w kobietę. Hart już miał go wyręczyć, kiedy broń wypaliła zniecka w dłoniach zaskoczonego Comptona. Trafiona w pierś kobieta padła na kolana i krwawiąc, czołgała się po ziemi. Strzelił drugi raz, tym razem celując dokładnie. Susan upadła na wznak i skoła.

– Nic przyjemnego – skomentował Hart. – Ale to były ćpuny. Mieli dusze przeżarte narkotykami.

– Tak – szepnął Lewis i wrócił do rzeczywistości.

– Tędy pójdziemy. – Hart podjął przerwany wątek. Wskazał ekran komputera kieszonkowego. – Point of Rocks leży dziesięć kilometrów stąd, w górę strumienia. Ale po lewej stronie jest szosa międzystanowa. Czterdzieści minut wspinaczki pod górę. Tam idą.

– Na pewno?

– Tak. Chochlik mi powiedział o Point of Rocks, kiedy rozmawiałem z nim w samochodzie. Sądził, że dzięki temu pójdę w przeciwnym kierunku.

– Brynn sobie z tobą pogrywała?

Hart odłożył komputer i zbadał najbliższy teren.

– Hej, Lewis. Co to jest, według ciebie? – Poświecił latarką na ziemię.

– Nie wiem. Wygląda, jakby ktoś próbował zatrzeć ślady.

– Rzeczywiście. Proszę bardzo. – Znalazł odłamane gałęzie. – Jest i miotła.

Były tutaj. Popatrz na to... – Wskazał ślady małych stóp.

– Dziewczynka nam związała z przyczepy.

Lewis z zakłopotaniem potarł tatuaż na karku.

– Zwykle nie zabijam dzieci – mówił Hart. – Sprzątniemy tylko kobiety, dzieciaka puścimy.

Compton martwił się czym innym.

– Powinienem być ci już dawno powiedzieć, ale...

– Słucham, Comp.

– Opowiadałem ci o napadzie na bank...

– Tak. Wymiana ognia z tym byłym gliną.

– Nie byłem z tobą całkiem szczery. To mnie gryzie.

– No, mów. Śmiało.

– Mówiłem, że ukradliśmy pięćdziesiąt koła. Tak naprawdę... Cóż... To były trzy tysiące. Dwa z kawałkiem. No i nie napadliśmy na bank, tylko na kolesia uzupełniającego bankomat. Strzeliłem, żeby go postraszyć. Chyba zsiąkał się w gacie. Wcale nie miał zapasowej spluwy... Mam tendencje do wyolbrzymiania różnych rzeczy. Koloryzowania. Nauczyłem się przy bracie. To był mój sposób na przetrwanie... Często dostawałem po tyłku. Tyle ci chciałem powiedzieć.

– Co to ma być? Spowiedź?

– No.

– Nie chciałbym współpracować z gościem, który nie ma zdrowo napompowanego poczucia własnego ja. Zarobiłeś trzy tysiące za dwie minuty pracy. Tak czy nie?

– Mniej więcej.

– Czyli sześćdziesiąt tysięcy na godzinę. Zeszczął się w portki? Dla samego widoku warto było!

– Nadal chcesz ze mną pracować? – upewnił się nieśmiało Lewis.

– No jasne. Jak tylko tu skończymy, zajmiemy się planowaniem kolejnych skoków.

Lewis rozpromienił się z zadowolenia.

Wspinaczka okazała się dużo trudniejsza, niż Brynn przewidywała. W niektórych miejscach nie dało się podejść. Zwłaszcza z dzieckiem. Często musiały szukać łatwiejszych dróg.

– Może tędy?

Brynn odrzuciła sugestię Michelle. Ścieżka była zbyt widoczna z dołu. Musiały ją obejść, tracąc cenne minuty. Policjantka odnosiła niemiłe wrażenie, że pościg depcze im po piętach. Okrążyły dziesięciometrowy wapienny głąz. Nosił ślady obecności wspinaczy w postaci powbijanych w niego nitów. Uprawianie tego sportu wydało się Brynn szaleństwem, na które stać byłoby jej syna. Nie chciała o tym myśleć, skupiła się na wędrówce. Oddalały się od rzeki.

– O nie! – szepnęła Michelle.

Zatrzymały się pod ścianą z litej skały. Ślepy zaułek. Brynn zakręciło się w głowie.

– Tamtędy nie pójdziemy – westchnęła z rezygnacją. Wspinaczka wydawała się trwać całą wieczność. Gdyby zawróciły, straciłyby kolejne dziesięć minut. Pościg zostawiły niecały kilometr za sobą.

Brynn przyjrzała się skale, nieco nachylonej, o popękanej, nierównej powierzchni.

– Dasz radę? – Popatrzyła na Michelle.

– No pewnie.

Policjantka zwróciła się z uśmiechem do Amy:

– Pobawimy się? Wezmę cię na barana i wejdziemy razem.

– No dobrze. Rudy lubi się tak bawić, ale on brzydko pachnie.

Michelle skrzywiła się z obrzydzeniem. Kobiety wymieniły spojrzenia.

– Ja pewnie teraz też nie pachnę najlepiej – odparła wesoło Brynn.

– Ale będzie fajnie. Chodź, zaczynamy. – Szepnęła do Michelle:

– Pójdę pierwsza. W razie kłopotów łap dziecko. Mną się nie przejmuj.

Michelle skinęła głową i podsadziła dziewczynkę.

– Dasz radę? – spytała szeptem.

– Nie mam wyjścia – sapnęła Brynn.

Hasło przewodnie wieczoru, pomyślała.

Amy była szczupła i lekka. Kolejny z objawów zaniedbania przez opiekunów.

Wolno ruszyły pod górę. Brynn czuła ból mięśni i kołatanie serca. Nogi

zaczęły jej się trząść z wysiłku. I ze strachu. Przystawała często. Straszliwie bała się wysokości. Dziewczynka mocno ścisnęła ją za szyję, utrudniając oddychanie. Brynn przynajmniej nie musiała się martwić, że dziecko spadnie. Po kolejnych kilku metrach morderczej wspinaczki złapała krzak rosnący przy krawędzi.

– Amy, przejdź mi nad głową. Poczekaj na górze.

Mała natychmiast wykonała polecenie. Była wyćwiczona w posłuszeństwie.

Brynn usiadła na szczycie, ciężko dysząc. Z rozczarowaniem stwierdziła, iż z góry ściana wcale nie wygląda tak groźnie. Dała znak Michelle, która wdrapała się błyskawicznie. Była młoda i wysportowana dzięki regularnym wizytom na siłowni. Brynn podała jej rękę nad krawędzią. Wszystkie trzy usiadły blisko siebie, zmęczone. Po krótkim odpoczynku na nowo podjęły wspinaczkę.

– Co z nią będzie? – zapytała Michelle szeptem.

– Jeśli nie ma dalszej rodziny, trafi do domu dziecka.

– To smutne. Powinna mieć kochający dom.

– W Kennesha system opieki nad dziećmi działa bardzo dobrze. Wszystkie rodziny zastępcze są dokładnie sprawdzane.

– Ja bym się nią chętnie zaopiekowała. Zasługuje na to, żeby być z kimś, kto ją przyjmie z otwartymi ramionami.

Brynn pomyślała, że jednym z powodów kłopotów małżeńskich Michelle może być różnica zdań co do posiadania dzieci. Mąż dziewczyny niekoniecznie był gotowy na ojcostwo.

– Wydaje mi się, że adopcja jak najbardziej wchodzi w grę. Nie wiem, jakie są procedury. – Brynn dotknęła bolącego policzka.

– Chciałabyś mieć dzieci?

– Uwielbiam dzieci. Są kochane. Potrzebują przewodnika i nauczyciela, ale same również potrafią wiele nauczyć. Wychowanie dziecka stanowi prawdziwe wyzwanie. Dzieci... dopełniają osobowość. Bez nich nie jest się kompletnym.

– Mówisz jak ekspertka. Będiesz świetną matką.

– Taki mam plan – roześmiała się Michelle.

Na chwilę zapomniały o niewiernych mężach i pomyślały o lepszej przyszłości.

Postanowili podejść pod górę najkrótszą i najtrudniejszą drogą. Wiedzieli,

że uciekinierki nie mogą sobie na to pozwolić ze względu na towarzyszące im dziecko. Lewis zarzucił strzelbę na plecy.

Hart rozmyślał o parach, które zabierały dzieci na ścianki wspinaczkowe. Na co dzień ci ludzie zajmowali się przekładaniem papierów. Zarabiali dziesięć razy więcej od niego, nie narażając życia, nie czując fizycznego bólu. Nie zamieniłby się z nimi za żadne pieniądze. Żywe trupy...

Przystanęli na płaskiej półce skalnej, aby się rozejrzeć. Nadal mogli obawiać się ataku, choć kobietom bardziej teraz zależało na ucieczce. Hart nie potrafił zapomnieć wyrazu oczu Brynn, kiedy puszczała hamulec. A wcześniej, pod domem Feldmanów, także ryzykowała własne życie, aby go powstrzymać.

„Masz prawo zachować milczenie”...

Hart rozciągnął usta w uśmiechu.

Nagle usłyszeli czyjś wysoki przenikliwy krzyk.

– Co, u licha? – wystraszył się Lewis.

– Dziewczynka – roześmiał się Hart.

– Prawie równie niezawodna jak twój GPS, Hart.

Ruszyli biegiem przed siebie.

Jakieś zwierzę? – zgadywał szeptem Munce.

Graham przechylił na bok głowę, wsłuchując się w przeciągły skowyt niesiony wiatrem. Zdawał się dochodzić z lewej strony. Wcześniej mignął mu przed oczyma obraz przyglądającego im się z krawędzi skalnej czworonożnego zwierzęcia przypominającego psa. Czy to ono wydawało z siebie przeraźliwy dźwięk? Znał się na roślinach. O zwierzętach i ich zwyczajach nie miał pojęcia.

– Nie wiem.

Tak mogłoby krzyknąć dziecko. Ale to przecież niemożliwe.

– Wiatr? – zastanawiał się Munce.

Wołanie ucichło. Było w nim więcej strachu i zaskoczenia niż bólu.

Wiatr, ptak, wilk... Oby któreś z tych przypuszczeń okazało się prawdą.

– Na dole. Pod nami – odezwał się Eric.

Graham zmarszczył brwi. Przeszli dopiero kilkaset metrów, z trudem przedzierając się przez gęstą roślinność i omijając najbardziej strome zejścia. Munce wyraził żal, że nie mają sprzętu wspinaczkowego. Graham nie podzielał jego uczuć. Wolał łatwiejsze szlaki i przytrzymywanie się drzew. Napotkali przeszkodę w postaci trudnych do ominięcia głazów.

– Mamy tylko jedno wyjście – stwierdził Munce, wskazując stromą drogę w dół. Sprawiała wrażenie śliskiej jak lodowisko. W razie upadku czekał ich kilkumetrowy zjazd w dół po ostrych kamieniach, a potem przepaść niewiadomej głębokości. – Możemy też zawrócić i spróbować pójść inaczej.

Kolejny krzyk rozdarł ciszę. Tylko człowiek mógł wydać podobny głos.

– Idziemy – zdecydował Graham. Był rozdarty między gorączkową potrzebą dotarcia do krzyczącej osoby a lękiem przed niefortunnym upadkiem ze stoku lub ześlizgnięciem się w kępę iglicznic.

Gdzie mamusia?! – krzyczała Amy.

– Litości, kochanie. – Brynn przyłożyła palec do ust. – Błagam, bądź cicho.

Dziewczynka zaczęła krzyżeć bez ostrzeżenia, kiedy akurat szły na otwartym płaskim terenie. Była wyczerpana fizycznie i emocjonalnie. Wpadła w panikę.

– Nie! – zawodziła. Miała czerwoną buzię i ciekący nos. Z oczu kapały jej łzy. – Nieee!

– Ci ludzie chcą nas skrzywdzić. Musimy zachowywać się cichutko.

– Mamusiu! Gdzie mama? Ja wracam do mamy!

Brynn przywołała na twarz wymuszony uśmiech, uklękła i położyła dłonie na ramionach dziecka.

– Musimy być cichutko, zapomniałaś? Bo zepsujesz całą zabawę.

– Ja się nie bawię! Wracam do mamusi!

Amy zachowywała się jak pięciolatka. Policjantka zastanawiała się, czy to kolejny objaw zaniedbania dziecka, czy jeden z symptomów stresu.

– Proszę cię!

– Nieee!

– Ja spróbuję. – Michelle odłożyła wólcznę i przykucnęła przed Amy. Podała jej zabawkę, która została odrzucona na ziemię.

– Sprawdź za nami – odezwała się Brynn. – Musieli ją słyszeć, jeśli są niedaleko. – Wbiegła na niewielkie wzniesienie i spojrzała na drogę, którą przebyły. Wrzask Amy przypominał wycie syreny. Brynn zmrużyła oczy. O nie....

Z przerażeniem ujrzała dwóch mężczyzn zmierzających w ich kierunku. Dzieliło ich od niej około dwustu metrów. Dziecko na szczęście zamilkło. Mężczyźni zniknęli za kamienną ścianą. Brynn wróciła do Michelle i Amy. Dziewczynka wciąż była niepokieszona, ale przestała płakać. Ścisnęła pluszową zabawkę.

– Jak tego dokonałaś?

Michelle wzruszyła ramionami z krzywym uśmiechem.

– Niezbyt uczciwie – szepnęła. – Powiedziałam, że jesteśmy w drodze do mamusi. Nie mogłam wymyślić nic lepszego.

Wszystko, byle uciszyć wrzask, uznała Brynn. Mała wcześniej lub później i tak pozna prawdę.

– Wrócili – szepnęła.

– Co? Hart i ten drugi?

– Tak.

– Jak to możliwe?

– Podwójnie odwrócona psychologia Harta – wyjaśniła. – Są dwieście metrów za nami. Musimy przyspieszyć.

Poruszały się zygzakiem, unikając otwartych przestrzeni. Hart był coraz bliżej. Brynn zdała sobie sprawę, że nie uciekają wystarczająco szybko. Nagle dostrzegła światła samochodu przejeżdżającego szosą. Kilkaset metrów przed nimi.

Właśnie wtedy usłyszała odgłos kroków w gęstym lesie iglastym po lewej

stronie. Bardzo blisko. Brynn zerknęła z niepokojem na Amy, która sprawiała wrażenie, jakby lada chwila miała znów wybuchnąć krzykiem.

Zabójcy pokonali dwieście metrów w piętnaście minut. Nie spodziewała się tego. Najwyraźniej znaleźli lepszą drogę niż ona. Schowały się za konarem złamanego drzewa. Dziewczynka zaczęła pochlipywać. Michelle przytuliła ją do siebie i po raz drugi dokonała cudu. Brynn przykryła je liśćmi, po czym sama również się zagrzebała. Kroki się przybliżyły. Po chwili ucichły wśród poszumu wiatru. Policjantka wstrzymała oddech, słysząc swoje imię. Musiałam się przesłyszeć, pomyślała. To tylko wiatr.

– Brynn! – Tym razem już nie miała wątpliwości. Ktoś nawoływał ją szeptem.

Drżała pod wpływem szoku. Hart musiał mieć jakiś szósty zmysł, skoro wyczuwał jej obecność. Przez moment odniosła niedorzeczne wrażenie, że rozpoznaje głos Grahama. Jej mąż był przecież w domu pogrążony we śnie. Albo pojechał spotkać się z kochanką.

– Brynn...

Położyła palec na ustach. Michelle skinęła głową i sięgnęła po nóż. Kroki zbliżały się niebezpiecznie do ich kryjówek. Jest czas, żeby walczyć. I czas, żeby uciekać. Tym razem nastał czas ukrywania się.

Brynn myślała o pierwszym mężu. I o broni uderzającej o kuchenne płytki, jeszcze dymiącej po oddanym strzale. Czyżby dosięgła ją boża sprawiedliwość? Spotka ją taki sam los jak Keitha. Zamknęła oczy. Gdy Joey był mały, wierzył, że kiedy zamyka oczy, inni go nie widzą, przypomniawszy sobie.

Brynn! – Graham nie śmiał nawoływać głośniej.

Nie doczekał się żadnej reakcji. Krzyk ucichł. Nikogo nie zobaczyli, choć Graham wyraźnie usłyszał kobiecy szept i szelest liści dobiegające z bardzo niewielkiej odległości. Zawołał żonę. Znów usłyszał szmer. Udał się w kierunku, z którego dochodził. Munce również, z bronią gotową do strzału.

– Brynn!

Stanęli obok pnia ogromnego zwalonego dębu. Rozglądali się na wszystkie strony. Graham zmarszczył brwi i dotknął ucha. Munce pokręcił głową. Nagle zdrętwiał. Sto metrów przed nimi byli mordercy. Graham wskazał wyłączone radio policjanta. Munce pokręcił głową, tłumacząc na migi, że wydałby ich trzask urządzenia. Eric postanowił zaskoczyć morderców i ruszyć na nich z bronią.

Co ja tu, u licha, robię? – pomyślał Graham, nim pościg go całkowicie pochłoniął.

Kroki przycichły. Wreszcie Brynn odważyła się unieść głowę, starając się nie narobić hałasu. Sylwetki oddalały się w niewyraźnym świetle wczesnego poranka. Podeszli tak blisko... Gdyby Amy choćby pisnęła, już byłyby martwe. Brynn zadrżała.

– Chodźcie – szepnęła. – Oddalają się. Chyba schodzą na dół. Pospieszmy się. Szosa już niedaleko.

– Prawie nas mieli – zauważyła Michelle. – Po co schodzą w dół?

– Może coś usłyszeli. Na przykład jelenia. – Albo naszego anioła stróża w wilczej skórce, pomyślała. Zwróciła się do Amy: – Jestem z ciebie dumna, słoneczko. Zachowywałaś się bardzo cichutko.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Przytuliła mocno Chestera.

Pokonały kolejny odcinek swojej krętej drogi. Ich oczom ukazała się niebiańska poświata w postaci świateł kolejnego samochodu. Michelle z uśmiechem wyciągnęła dłoń, wskazując kierunek. Przed sobą miały ostatnią przeszkodę: kamieniste wzgórze. Po prawej stronie było urwisko, po lewej cierniste krzewy jeżyn i kolejne skały. Droga była trudna, lecz dostrzegły szansę w wąskiej krawędzi po lewej stronie, która sprawiała wrażenie możliwej do przebycia. Wyglądała zresztą na uczęszczaną. Tutaj również wielbiciele wspinaczek zostawili swoje ślady.

Brynn wahała się z dwóch powodów. Na czas wspinaczki musiałyby wyjść z ukrycia. Ponadto przejście było zbyt wąskie dla więcej niż jednej osoby, a upadek groził poważnymi konsekwencjami. Nie z powodu wysokości, lecz lądowania w kępie berberysów. Znała te rośliny ze szkółki Grahama. Klienci bardzo je sobie cenili ze względu na piękny kolor liści i owoce. Berberysy zostały także obdarzone przez naturę ostrymi cienkimi kolcami. Te krzaki były jeszcze pozbawione liści i owoców, lecz kolce wystawały złowieszczo. Ale cóż, trzeba było zaryzykować. Brakowało czasu na szukanie innych rozwiązań. Skoro mężczyźni zeszli na dół, to może im uda się przemknąć niepostrzeżenie.

– Wracamy do domu – mruknęła Brynn, podejmując wspinaczkę.

Zbliżali się do miejsca, gdzie po raz ostatni widzieli mężczyznę ze strzelbą. Munce dał Boydowi znak, żeby się zatrzymał. Przechylił głowę i wypatrywał wroga, z lufą broni podążającą za wzrokiem.

Graham czuł się nieswojo, mając tylko nóż w kieszeni. Powinien był się domagać pistoletu od Erica. Teraz nie śmiał wydać żadnego dźwięku. W pobliżu rozległy się kroki niewidzialnego przeciwnika.

Poczuł kołatanie w klatce piersiowej i z trudem uspokoił oddech. Mięśnie twarzy zaczęły mu drżeć. Tymczasem Eric Munce wydawał się w swoim żywiole, z każdą chwilą rosła jego pewność siebie. Ukucnął i dał znak, żeby Boyd zaczekał. Upewniwszy się, że pistolet jest na miejscu, za paskiem, mocniej chwycił strzelbę w obie ręce i wolno ruszył naprzód. Nie patrząc pod nogi, idealnie omijał suche liście oraz gałęzie.

Po drugiej stronie zarośli znów rozległ się szmer. Munce skradał się wśród drzew, przystając co chwilę. Podchodził bezszelestnie do mordercy. Zatrzymał się i przechylił głowę, nasłuchując.

Tamci mężczyźni przestali zachowywać się cicho. Nie zdawali sobie sprawy, że z myśliwych zamienili się w zwierzynę. Munce powoli ruszył w ich stronę.

Upadł na twarz, trafiony w plecy przez mężczyznę z dubeltówką. Graham nie mógł uwierzyć własnym oczom. Z przerażenia wstrzymał oddech. Morderca nie odezwał się ani słowem. Strzelił bez ostrzeżenia. Eric Munce leżał na brzuchu wstrząsany konwulsjami.

– Trafiłem go, Hart! – krzyknął zabójca do wybiegającego z chaszczki współnika. To on wprowadził Munce'a w zasadzkę.

Przewrócili rannego na plecy. Graham był zaledwie kilka metrów dalej, za gładem i płataniną krzewów.

– Ożeż...! Kolejny glina, Hart. – Lewis popatrzył na boki z niepokojem. – Musi ich być tu więcej.

– Widzisz kogoś jeszcze?

– Nie. Spytajmy jego. Mierzyłem nisko. Mogłem go zabić, ale chciałem tylko zranić.

– Bardzo rozsądnie, Comp.

Hart przyklęknął obok ofiary.

– Gdzie pozostali?

Graham poczuł falę mdłości. Miał ochotę wcisnąć się w środek gładu. Z trudem panował nad oddechem.

– Gdzie pozostali? Co? – Pochylił się. – Nie słyszę. Musisz mówić głośniej. Postaraj się, to sprowadzimy pomoc.

– Co on powiedział, Hart?

– Twierdzi, że jest sam. Szuka dwóch kobiet, które uciekły przed

włamywaczami.

– Kłamię?

– Trudno powiedzieć. Czekaj... Coś jeszcze. – Hart nachylił się nad Erikiem. – Mówi, żebyśmy spadali na drzewo – powtórzył obojętnym tonem.

– Wydaje mi się, że nie jest pan w wystarczająco dobrej formie, aby nam cokolwiek sugerować – grzecznie zwrócił się do rannego Lewis.

Hart wstał.

– Nie żyje.

Graham Boyd z trudem powstrzymywał łkanie. Zatrzymał wzrok na częściowo ukrytej pod liśćmi strzelbie. Leżała kilka metrów od ciała Erica. Graham modlił się w duchu, żeby zabójcy jej nie dostrzegli. Potrzebował broni tak bardzo, że aż bolało. Zdał sobie sprawę, z jaką łatwością przyszedłoby mu w tej chwili zabicie człowieka. Bez wahania zgotowałby zwyrodnialcom taki sam koniec, jaki spotkał funkcjonariusza.

Hart przeszukał zabitego. Znalazł i włączył radio. Rozległ się szum oraz zniekształcone głosy.

– Brygada ratunkowa przeszukuje okolice jeziora i szosy numer 682 – przekazał Compowi. – Chłopak chyba mówił prawdę. Działał na własną rękę.

– Skierował promień latarki na plakietkę z nazwiskiem policjanta. – Tu Eric. Odbiór – powiedział, przysuwając radio do ust.

Graham nie dosłyszał odpowiedzi.

– Mam tu kiepski zasięg. Odbiór.

Szum.

– Naprawdę kiepski. Nie znalazłem żadnych śladów czyjejkolwiek obecności. Słyszać mnie? Odbiór.

– Powtórz, Eric. Gdzie jesteś?

– Powtarzam, kiepsko was słyszać. Niczego nie znalazłem. Odbiór.

– Gdzie jesteś?

Hart wzruszył ramionami.

– Na północy. Ani śladu sprawców ani uciekinierów. A nad jeziorem?

– Jak dotąd nic. Nadal przeczesujemy teren. Nurkowie nie znaleźli żadnych ciał.

– To dobrze. Odezwe się, kiedy na coś trafię. Bez odbioru.

Graham wpatrywał się w strzelbę, zaklinając, żeby stała się niewidzialna.

– Dlaczego tu sam przyszedł? – zastanawiał się Hart. – Dziwne.

– Nie wszyscy są tak sprytni jak ty. Dlatego.

– Dobra, ruszmy się. Weź jego spluwę i amunicję.

Graham mocniej przywarł do skały. Oby zostawili strzelbę, myślał. Wsłuchiwał się w szelest liści rozlegający się coraz bliżej.

– Chcesz strzelbę gliniarza? – odezwał się Hart.

– Nie. Po co mi dwie?

– W takim razie wrzucę ją do rzeki, żeby nikt inny nie skorzystał.

– Ma się rozumieć.

– I poleciała – zakomunikował Lewis po chwili.

Graham przygotował nóż. Ostatnio używał go do przycinania krzewów różanych. Mordercy szli w jego stronę. Gdyby skręcili w prawo, nie mogliby go nie zauważyć. Modlił się, żeby obrali inny kierunek.

Michelle przelękała się huku wystrzału, wstrzymała oddech i puściła rękę Amy. Dziewczynka ze szlochem zbiegła na dół. Brynn ruszyła w ślad za nią, ku plataninie kolczastych gałęzi.

– Nie! – krzyknęła Amy. Chester wypadł z jej objęć i poleciał w dół. Wychyliła się za krawędź urwiska, próbując złapać pluszaka. Runęłaby wprost w kępę berberysów, gdyby Brynn nie chwyciła jej za bluzę. Na szczęście Amy była pochylona do przodu, inaczej w ręku policjantki zostałaby sama bluza. Dziecko krzyknęło ze strachu, bólu i żalu po stracie ukochanej maskotki.

– Cicho! – zawołała Brynn.

Przybiegła Michelle i wspólnymi siłami wciągnęły dziewczynkę z powrotem na górę. Młodsza kobieta pochyliła się, szepcząc coś do ucha małej, nim ta zdążyła znowu zacząć krzyczeć. Czemu ja tak nie potrafię? – pomyślała Brynn.

– Obiecałam jej, że wrócimy po Chestera – oznajmiła po cichu Michelle.

– Przysięgam ci, że jeśli wydostaniemy się stąd żywe, osobiście właduję się w te kolce i wyciągnę zabawkę. Dzięki.

Miały do pokonania jeszcze dwieście metrów pod górę. Błagam, niech nam się uda od razu zatrzymać ciężarówkę, toczyła Brynn wewnętrzny monolog. Jeśli będzie trzeba, rozbiore się do naga.

– Kto to strzelał? – zastanawiała się Michelle.

Brynn obejrzała się do tyłu.

Hart i jego partner przystanęli w miejscu, w którym znajdowały się pięć minut wcześniej. Hart spojrział do góry i napotkał wzrok Brynn. Chwycił współnika za ramię, wskazując dłonią do góry. Lewis załadował strzelbę, po czym ruszyli naprzód.

Strzelaj! – zawołał Hart.

Obaj sapali z wysiłku. Hart nie czuł się na siłach, żeby użyć pistoletu, ale Lewisowi mogło się udać trafić idącą na końcu Michelle. Rzeczywiście prawie mu się udało. Chybił o kilka centymetrów. Potem kobiety zniknęły z pola widzenia.

– Idą prosto na szosę. Przez polanę. Dzieciak je spowalnia. Damy radę. Pobiegli naprzód, nie zważając na zmęczenie.

Graham Boyd podskoczył na odgłos wystrzału. Pochylał się ryzykownie

nad krawędzią urwiska. Sto metrów niżej pieniała się rzeka Snake. Zdawało mu się, że na jednej z półek skalnych dostrzeże upragnioną strzelbę.

Zabójcy minęli go i zniknęli wśród drzew. Oczekał jakiś czas, nim odważył się opuścić kryjówkę i podczołgać do krawędzi. Postanowił zejść na dół i zdobyć broń. Nigdy nie pragnął niczego bardziej. Owładnęła nim wściekła furia. Z grubsza zaplanował drogę.

Zsuwał się najszybciej, jak potrafił. Upadek byłby bolesny. Uderzyłby o wystające skały urwiska, a wylądował na ostrych głazach wystających ponad powierzchnię rwącej wody. Odważył się zerknąć w dół. Nie pomylił się. Strzelba leżała na krawędzi jednego z kamieni. W każdej chwili mogła zniknąć w odmętach rzecznych. Poczuł przypływ paniki. Wreszcie znalazł się blisko, jeszcze dwa metry. Wciągnął głęboko powietrze, kładąc policzek na wilgotnej skale. Chwycił się młodego drzewka wyrastającego z kamiennej szczeliny i wyciągnął rękę po broń. Pod sobą miał rozszalały żywioł. Jego palce od rękojęści dzieliło kilka centymetrów. Westchnął bezsilnie. Jeszcze tylko trochę... Dopiero za trzecim razem udało mu się pochwycić zdobycz, ale właśnie wtedy drzewko nie wytrzymało jego ciężaru. Od upadku w wir rzeczny uchroniło go kilka włókien drewna i kory. Za wszelką cenę chciał przytrzymać strzelbę. Nie udało mu się. Wypadła ze śliskiej od potu dłoni wprost do wody.

– Nie! – zawołał z rozpaczą, patrząc, jak znika w czarnych odmętach.

Nie miał jednak czasu opłakiwać straty, jeśli nie chciał runąć w ślad za bronią.

Brynn już wiedziała, że nie zdążą.

Sapnęła z przerażenia. Pod koniec wspinaczki kula przeleciała obok Michelle i utkwiała w skale. Łąka zajmowała większy obszar, niż sądziły. Patrząc na spalone kikuty drzew, Brynn przypomniała sobie, iż w zeszłym roku zdarzył się tu pożar. Będą w zasięgu strzału, bez żadnej osłony, kiedy mordercy dotrą na górę. Brynn bezradnie zerknęła na zaczerwienioną od płaczu, umazaną błotem buzię Amy.

– Koniec bieganina – oświadczyła Michelle, opierając się o włócznię i próbując złapać oddech. – Teraz będziemy walczyć.

Brynn popatrzyła jej prosto w oczy.

– Oni mają broń palną. My nie.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Zdajesz sobie sprawę z ryzyka?

– Dotąd moje życie było go pozbawione. Aż mnie mdliło od bezpieczeństwa. Bieżnia, obiadek, kosmetyczka. Mam dość. – Michelle się uśmiechnęła. Brynn również.

Postanowiły wspiąć się na wzniesienie po prawej stronie, znajdujące się tuż nad półką skalną, na której byli zabójcy. Brynn poszła pierwsza, Michelle ostatnia. Bandyty pokonali już jedną trzecią drogi. Poruszali się ostrożnie, Hart prowadził. Ścigane uzupełniły swe skromne uzbrojenie. Chciały zachować nóż i włócznię do bezpośredniego starcia. Na razie postanowiły posłużyć się kamieniami i ciężkimi kłodami.

– Podarujmy im miękkie lądowanie wśród kolców – mruknęła Brynn.

Michelle ochoczo skinęła głową.

Policjantka wpadła na kolejny pomysł. Wyjęła z kieszeni kurtki flaszkę po alkoholu, która do tej pory służyła im za kompas. Przywiązała do niej skrawek materiału oderwany od ubrania i przysunęła zapalniczkę.

– To przecież tylko woda – zdziwiła się Michelle.

– Oni tego nie wiedzą. To na chwilę odwróci ich uwagę. Gotowa?

– Brynn wyjrzała poza krawędź. Znajdowały się tuż nad celem.

– Zawsze – odparła Michelle.

Brynn podpaliła strzęp poliestru i zrzuciła butelkę, która wylądowała pod stopami Harta. Odchylił się do tyłu, ale pozostał na miejscu.

– Co...? – sapnął.

– Cholera, to alkohol! Cofnij się, zaraz wybuchnie.

– Gdzie one są?

– Gdzieś na górze.

Kilka kul trafiło w ścianę skalną niedaleko. Amy zaczęła krzyczeć. Brynn nie miała nic przeciwko temu. Wrzask pasował do sytuacji. Brynn nie była już zwykłą policjantką, Michelle przestała być aspirującą aktorką. Stały się wojowniczkami. Królowymi lasu. Poczują przemożny impuls, żeby zawyc jak wilczyca.

Razem przytoczyły nad krawędź skały potężny głaz. Wycelowały idealnie. Niestety los pokrzyżował ich plany. Kamień odbił się od występu skalnego i zmienił trajektorię lotu. Ominął głowę Harta o kilka centymetrów. Na mężczyzn posypały się odłamki skały. W stronę kobiet posypał się kolejny grad kul.

– Musimy zrzucić, co się da – szepnęła Brynn. – Nie wolno nam przestać.

Przygotowały kłodę, dwa głazy i kilkanaście mniejszych kamieni.

– Kurwa, Hart, złamałem rękę! – Usłyszały krzyk.

Lewis upuścił strzelbę w krzaki. Hart popatrzył do góry, zobaczył Brynn i strzelił do niej dwukrotnie. Uchyliła się, cofając poza krawędź.

– Comp, lont się wypalił! – zawołał Hart. – Zabierz mi te gruzy z drogi. Nogą.

– Za chwilę będziemy mieli strzaskane czaszki.

– No, dawaj. Osłaniam cię.

– Teraz to – zdecydowała Brynn, wskazując potężną kłodę z kilkoma ostrymi kikutami po gałęziach.

– Tak! – ucieszyła się Michelle. Wspólnie dowlokły gruby pień do krawędzi. Usiadły na moment, sapiąc z wysiłku.

– Na mój znak zrzuć kamień.

Michelle pokiwała głową. Brynn chwyciła włócznię. Pomyślała o synu i Grahamie. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu pomyślała także o pierwszym mężu. Dała znak, kamień uderzył o półkę skalną. Obaj zabójcy spojrzeli w miejsce, gdzie upadł. Wtedy wycelowała ostrze włóczni w pochylone plecy Lewisa. Z jej piersi wydobył się pierwotny skowyt.

– Comp! – krzyknął Hart, odwracając się o sekundę za wcześnie. Compton Lewis umknął przed włócznią, która uderzyła ostrzem o skalisty grunt, wzbijając snop iskier, jednak potknął się i zawisł w powietrzu, uczepony skały. Tuż pod nim rosły groźne berberysy.

Hart podbiegł do partnera, po drodze oddając strzał do góry. Michelle i Brynn podsunęły kłodę pod samą krawędź. Zerknęły w dół. Jeden z mężczyzn nadal wisiał uczepony skały, drugi usiłował go podciągnąć. Był odwrócony tyłem. Mogły wyeliminować jednego lub obu. Połamać kości lub zabić na miejscu. Albo przynajmniej posłać jednego w kępę cierni. Nie miały czasu na wahanie.

– Teraz – szepnęła Brynn. Chwyciły za pień każda po swojej stronie.

Nagle rozległ się huk wystrzału i w skale pod nimi utkwiał pocisk. Padły na ziemię. Brynn podczołgała się do rozhisteryzowanej Amy i przyciągnęła ją do siebie. Kolejny strzał, odgłos odłamywanej skały.

– Kto? – sapnęła Michelle. – Nie oni. Strzela do nas ktoś jeszcze!

Brynn popatrzyła na ścianę lasu rysującą się w oddali. Dostrzegła tam błysk ognia.

– Padnij! – Tym razem kula utkwiała w kłodzie.

Na dole nie mniej zaskoczeni niż kobiety Hart i Lewis przykucnęli przy ścianie. Napastnik najwyraźniej celował w Brynn i Michelle, jednak nie mogli być pewni. Zdecydowali się zejść na dół, ponieważ siedząc na półce

skalnej, byli zbyt widoczni.

– Odchodzą. Zbierajmy się stąd – powiedziała Brynn.

– Kto to, do diabła? – mruknęła Michelle. – Prawie ich dopadłyśmy.

Nie mogły wrócić na polanę, gdzie stanowiłyby łatwy cel. Podczołgały się bliżej wąwozu, z dala od snajpera. Wkrótce znalazły się bezpiecznie po drugiej stronie wzgórza, niedaleko krawędzi urwiska. Brynn popatrzyła z niepokojem w przepaść i przesunęła się kawałek dalej.

– Kochanie – zwróciła się do dziewczynki. – Czy Rudy i twoja mamusia mieli jeszcze jakichś gości? Kogoś, kogo nie było w przyczepie?

– Czasem.

Wobec tego, uznała Brynn, wspólnik Gandy'ego i Rudy'ego znalazł wrak. Postanowił się zemścić.

Ciszę przerwał zapraszający dźwięk silnika przejeżdżającego TIR-a. Brynn popatrzyła tęsknie wzdłuż krawędzi wąwozu. Mogłyby tędy dojść aż do szosy, nie rzucając się w oczy.

Nastał wczesny świt, nie musiały wyteżać wzroku, żeby znaleźć ścieżkę.

– Prawie ich miałyśmy – powiedziała Brynn, ściskając Michelle.

– Następnym razem – odparła młoda kobieta bez cienia uśmiechu.

– A ja mam nadzieję, że nie będzie następnego razu.

Wyraz twarzy Michelle świadczył o tym, że ona ma nadzieję na coś wręcz przeciwnego.

Jeszcze jeden gliniarz? – zastanawiał się Lewis.

Okazało się, że nie ma złamanej ręki, tylko stłuczony kciuk. Bardziej zabolą go i rozzłościła strata strzelby. Obaj przycupnęli pod głazem. Hart wsłuchiwał się w komunikaty podawane przez policyjne radio. Nic o strzelaniu ani o policji w najbliższej okolicy.

– Kolejni narkomani w drodze do przyczepy. – Hart włączył urządzenie nawigacyjne. Usiłował zapanować nad gniewem. Ofiary były tak blisko, a oni nie mogli za nimi pójść, nie wystawiając się na strzał.

– Chodźmy naokoło. Przez las.

– Która godzina? – spytał Lewis.

– Co za różnica?

– Ciekaw jestem, od jak dawna siedzimy w tym bagnie.

– Za długo.

James Jasons spisał się najlepiej, jak umiał, choć strzelał w kiepskim

światle do celu oddalonego o ponad dwieście metrów. Od dziesięciu minut patrzył przez noktowizjer, usiłując zlokalizować pościg oraz ofiary. Wcześniejsza wymiana ognia i kamieni na skałach zrobiła na nim wrażenie.

Mężczyźni uciekli na dół. Zakładał, że będą próbowali dostać się na szosę. Stracili własny samochód, więc muszą zatrzymać okazję. Mieli do wyboru kilka dróg. Przy odrobinie szczęścia uda mu się z nimi spotkać. Chyba że pójdą za kobietami na drugą stronę wzgórza. Wtedy czekałaby ich trudniejsza wspinaczka, miejscami na odkrytym terenie, ale nie wykluczał, że się na nią zdecydują. Im bardziej są wściekli i pochłonięci pościgiem, tym bardziej jest to prawdopodobne, myślał. Wolał nie działać zbyt pochopnie, dlatego uważnie obserwował teren. Gałęzie kołysane wiatrem nie ułatwiały mu zadania. Nagle zobaczył poruszenie spowodowane bez wątpienia przez żywą istotę. Wciągnął głęboko powietrze, ponieważ jego oczom ukazało się dzikie zwierzę. Kojot lub wilk. Przez szkła noktowizjera miało niepokojący zielono-szary kolor. Szczerzyło białe zęby. Jasons cieszył się niezmiernie, że zwierzę o wąskim pysku znajduje się dość daleko. Było przepiękne, ale wyglądało również na groźne. Uniosło łeb, obwąchało ściółkę i odbiegło w ciemność. Jestem daleko od domu, pomyślał.

Postanowił opowiedzieć Robertowi okrojona wersję przygody. Pojawi się w niej wilk, ale nie padnie ani słowo na temat strzelaniny. Nie potrafił odnaleźć zabójców Emmy Feldman wśród gęstej roślinności. Nie wiedział także, gdzie są Graham i policjant. Domyślał się, że huk wystrzału, który rozległ się wcześniej, miał z nimi jakiś związek. Porwali się z motyką na słońce. Szkoda. Odczekał jeszcze kilka minut, potem postanowił wrócić na szosę. Ruszył w głąb lasu z płócienną torbą na ramieniu i strzelbą w dłoni.

Szły wzdłuż krawędzi skalnej przełomu rzeki Snake. W dole huczała rozszalała woda. Brynn bała się patrzeć w stronę przepastnej otchłani, od której dzielił ją ledwie krok. Ścisnęła rączkę Amy, wbijając wzrok w ścieżkę przed sobą. Zatrzymała się i obejrzała na Michelle. Dziewczyna kulała, wyraźnie była wyczerpana. Dziecko zapadło się we własny świat, tracąc kontakt z otoczeniem. Ruch na szosie nie był duży o tej porze. Od czasu do czasu przejeżdżała jakaś ciężarówka. Potrzebowały tylko jednej.

Widok mostu po prawej stronie nieco je zaskoczył. Minęły zagajnik i weszły na pas zieleni, za którym znajdowało się poboczne szosy i piękna wstęga szarego asfaltu. Brynn dała ręką znak, żeby się zatrzymać. Ulica na razie była pusta. Nie chciała popełnić teraz żadnego błędu. Ukryły się w

wysokiej trawie. Brynn odkryła, że ma problem z poruszaniem się po płaskim gruncie. Błądźnik nie zdążył się dostosować po dziewięciu godzinach wspinaczek. Popatrzyła na jezdnię i roześmiała się z ulgą. Zza zakrętu wyjechał radiowóz. Miał włączony migacz. Jakiś kierowca z pewnością usłyszał odgłosy strzelaniny i zawiadomił policję. Brynn machnęła ręką, zatrzymując samochód. Kierowca zjechał na pobocze. Był nim Hart. Lewis wysiadł po drugiej stronie.

Nie! – jęknęła Michelle.

Z piersi Brynn wyrwało się westchnienie pełne obrzydzenia. Patrzyła szeroko otwartymi oczyma na wóz należący do Erica Munce'a.

– No, nie wyszedł z tego. – Człowiek, którego omal nie zastrzeliła w jadalni państwa Feldman, potwierdził jej podejrzenia. – Nabrał się na sztuczkę starą jak świat.

Zamknęła oczy. Eric Munce... Samotny kowboj, który przybył jej na ratunek, spotkał się ze śmiercią. Hart milczał. Trzymał ofiary na muszce.

– Co słyhać, Michelle? – zagadnął Lewis, kładąc nacisk na imię i pokazując torebkę. – Miło cię wreszcie spotkać.

Dziewczyna objęła Amy ramionami.

– Udała się przechadzka na łonie natury, miłe panie? Porozmawiałyście sobie? Wypiłyście herbatkę?

Hart skupił uwagę na Brynn. Bez trudu wytrzymała jego spojrzenie. Przeciwnym pasem przejechał sedan. Nawet nie zwolnił, kierowca nie zauważył rozgrywającego się kilka metrów od niego dramatu. Hart na chwilę opuścił broń.

– Comp... – powiedział, nie spuszczać wzroku z Brynn.

– No?

– Stań tutaj, przed nimi.

– Tu? Mówisz i masz. Już się nimi zajmuję – zgodził się Lewis, ochoczo sięgając po pistolet.

– Nie trzeba.

Hart stanął naprzeciw współnika. Comp uśmiechnął się niepewnie i dotknął wytatuowanej szyi.

– O co chodzi?

Hart przystawił mu broń do twarzy i dwukrotnie nacisnął spust. Lewis upadł na plecy. Amy krzyknęła rozdzierająco. Po chwili kobiety i dziecko znowu znalazły się na celowniku. Michelle posłała mordercy zimne

spojrzenie. Hart wsunął broń zabitego w jego bezwładne palce. Brynn zrozumiała, że zamierza upozorować strzelaninę zakończoną śmiercią obu stron. Policja przypisze zabójstwo kobiet i dziewczynki Lewisowi, a Hart zniknie na zawsze. W ostatnich chwilach życia myślała o tym, czego żałuje. Spojrzała w stronę drzew, niemal spodziewając się, że zobaczy między nimi wilka i spotkają się na chwilę spojrzeniami, nim zwierzę zniknie w gąszczu, a ona odejdzie na zawsze...

Hart uniósł rękę martwego współnika i wycelował lufę pistoletu w Brynn. Michelle sięgnęła do kieszeni. Najwyraźniej zamierzała rzucić w przeciwnika nożem w desperackim, ale beznadziejnym geście. Joey, pomyślała Brynn. Ja...

Krzyk wystraszył wszystkich.

– Nie ruszaj się! Rzuć broń!

Graham Boyd trzymał w ręku mały rewolwer. Wyszedł z lasu i stanął za plecami Harta. Był zdyszany i utykał.

– Graham! – zawołała osłupiała Brynn. – Boże!

– Rzuć broń. Ale już! Odłóż ją.

Brynn patrzyła na porwane, ubłocone i zakrwawione ubranie męża, na posiniaczoną brudną twarz. Jego oczy płonęły wściekłością. Nigdy go takiego nie widziała. Hart zwlekał. Graham strzelił ostrzegawczo mu pod nogi. Morderca drgnął i położył pistolet na ziemi. Brynn rozpoznała w ręku Grahama broń należącą do Erica Munce'a. Nosił ją przypiętą do nogi nad kostką. Wspominała o tym kiedyś w rozmowie. Na razie nie zaprzętała sobie głowy zgadywaniem, skąd jej mąż i Eric wzięli się na przełomie rzeki Snake. Przejęła pistolet z rąk Grahama, upewniła się, że wciąż jest nabity, i kazała Hartowi zejść na pobocze, gdzie był lepiej widoczny. No, teraz miała nad nim władzę...

– Na kolana. Ręce za głowę. Nie próbuj żadnych sztuczek, bo zginiesz.

Żaden z kilku przejeżdżających samochodów się nie zatrzymał.

– Zabierz jego broń – powiedziała Brynn do męża. – Brakuje jednej sztuki. Erica. Przeszukaj go. – Keith ją nauczył, żeby zawsze liczyć broń.

Graham odszukał pistolet należący do nieżyjącego funkcjonariusza. Pozostałe dwa położył na trawie obok Brynn, lecz zatrzymał broń Munce'a. Przyjrzał się jej dokładnie. Nie miała zewnętrznego bezpiecznika. Od razu naciskało się na język spustowy. Graham umiał posługiwać się glockiem. Brynn nauczyła na wszelki wypadek męża i syna, jak go przeładować oraz oddać strzał. Strzelił w ziemię, upewniając się, że w środku są naboje.

– Graham! – krzyknęła Brynn.

Nie zwracał na nią uwagi.

– To ty odebrałaś, kiedy dzwoniłem? Czy ten drugi? – zapytał Harta.

– Ja.

Graham wycelował czarną lufę Glocka między spokojne szare oczy Harta.

– Graham – szepnęła Brynn. – Już po wszystkim. Pomóż mi, kochanie. Potrzebuję kajdanek. Sprawdź w schowku na rękawiczki.

Jej mąż pozostał nieporuszony. Wystarczyło lekkie dotknięcie spustu, żeby kula trafiła w głowę Harta.

– Graham, skarbie, bardzo cię proszę – rozpaczliwie usiłowała do niego dotrzeć. Gdyby oddał strzał, zostałby oskarżony o morderstwo.

Westchnął głęboko i opuścił broń.

– Gdzie te kajdanki? – spytał.

– Oddaj mi pistolet, proszę.

– Gdzie? – warknął zniecierpliwiony. Nie zamierzał rozstawać się z bronią. Brynn napotkała rozbawione spojrzenie Harta.

– W schowku na rękawiczki – powtórzyła mężowi.

– Nie widzę.

– Mogą być w foliowej torbie w bagażniku. Albo w pudełku. Przede wszystkim zamelduj się przez radio. Jest na desce rozdzielczej. Trzeba tylko wcisnąć guzik. Powiedz, że zgłasza się dziesięć trzynaście, i podaj nasze położenie. Silnik nie musi być włączony.

Graham złożył meldunek, nie spuszczając oka z Harta. Rozległy się głosy kilku funkcjonariuszy. Nie wdając się w niepotrzebne rozmowy, opisał sytuację i podał położenie. Odłożył radio i otworzył bagażnik.

– Byłaś blisko, bardzo blisko – rzekł Hart do Michelle.

Nie odpowiedziała. Odezwał się cicho do Brynn, tak by nikt inny nie usłyszał:

– Po tym jak spowodowałaś wypadek, a ja leżałem nieprzytomny... Widziałaś mnie?

– Tak.

– Niedaleko leżała moja spluwa. Też zauważyłaś?

– Owszem.

– Dlaczego jej nie podniosłaś?

– Ratowałam dziewczynkę. Inaczej spadłaby w przepaść.

– Jeden z tych trudnych wyborów. – Skinął głową. – Zawsze staje się przed nimi w nieodpowiednim momencie.

– Inaczej nie byłyby takie trudne, prawda?

Roześmiał się cicho.

– Gdyby nie dzieciak... zastrzeliłabyś mnie? Nieprzytomnego?

– Przechylił głowę na bok i szepnął miękko: – Powiedz mi prawdę.

Obiecaliśmy sobie szczerłość. Zabiłabyś mnie?

Nie była pewna, co odpowiedzieć.

– Myślałaś o tym, co?

– Myślałam o tym.

– Powinnaś była mnie zastrzelić. Ja bym to zrobił na twoim miejscu.

Jesteśmy jak dwie połówki tego samego jabłka.

Brynn zerknęła na Grahama. Nie mógł słyszeć ich rozmowy.

– Są między nami pewne znaczące różnice, Hart.

– Nie pod tym względem... Aresztowałabyś mnie zatem?

– Już cię zaaresztowałam. Zapomniałeś?

Uśmiech rozjaśnił jego twarz i szare oczy.

Od czasu do czasu mijali ich jakiś samochód. Przejechała ciężarówka.

– Mam! – zawołał nagle Graham.

Hart poderwał się na równe nogi. Brynn stała za daleko, żeby zdołał się do niej zbliżyć. Nie taki miał zresztą zamiar. Przeskoczył nad ciałem współnika i wbiegł na jezdnię. Policjantka oddała jeden niecelny strzał. Więcej nie mogła ze względu na nadjeżdżające samochody. Hart rzucił się pod koła, ryzykując, że zostanie przejechany. Kierowca toyoty zahamował gwałtownie. Samochód przechylił się na lewy bok, wznecając fajerwerki iskier. Towarzyszył temu przeraźliwy odgłos sunięcia metalu po asfalcie oraz wycie klaksonu, w powietrze poleciały kawałki szkła i metalu, z wybitych okien wystawała poduszka powietrzna. Pojazd znieruchomiał na poboczu po prawej stronie, cudem omijając dwie kobiety z dzieckiem, które instynktownie padły na ziemię.

Kilkanaście innych aut stanęło. Nim Brynn zdążyła wymierzyć z broni po raz drugi, Hart przebiegł na najdalszy pas i rzucił się na maskę przejeżdżającego sedana. Wyciągnął kierowcę, po czym zajął jego miejsce za kierownicą. Wyminął sznur samochodów i popędził przed siebie. Brynn musiała zrezygnować z oddania strzału, obawiając się o bezpieczeństwo osób wysiadających z samochodów. Opuściła broń. Musiała pomóc ofiarom wypadku.

James Jasons przyglądał się biegowi wydarzeń ukryty w chaszczach. Z oddali dobiegał dźwięk syren policyjnych. Graham Boyd pomagał rannym. Nieobecność Munce'a tłumaczyła strzał, który słyszał wcześniej w lesie. Spakował strzelbę do płóciennej torby. Jezdnia była zablokowana po stronie, gdzie się ukrywał. Ruch po drugiej stronie tamowali gapie, którzy zwalniali z ciekawości. Jeden z podejrzanych najwyraźniej był martwy. Okryli zwłoki brezentem. Drugiemu udało się uciec. Nikt z postronnych nie odniósł poważnych obrażeń. Jasons odniósł częściowy sukces. Nie był już potrzebny. Naciągnął czapkę na oczy i wkroczył na szosę. Zniknął w lesie po drugiej stronie, gdzie stało jego auto. Powoli włączył się w sznur samochodów. Sięgnął po telefon. Wybrał trzeci numer na liście szybkiego wybierania. Zaraz po numerach chłopaka i matki. Mimo wczesnej pory Stanley Mankewitz odebrał po pierwszym sygnale.

Nie ma dokumentów.

Popatrzyła na szeryfa. Siedziała obok męża na stopniach karetki pogotowia. Tom Dahl mówił o Compie, człowieku zastrzelonym przez własnego współnika. Widok rozczarowania na jego twarzy tuż przed śmiercią był bodaj najgorszym wśród makabrycznych wydarzeń mijającej nocy, pomyślała Brynn.

– Pieniądze, parę pudełek z amunicją, papierosy, rękawiczki, zegarek. Nic więcej.

Odzyskali także torebkę Michelle, z której mieli nadzieję pobrać odciski linii papilarnych obu morderców. Dahl posłał ludzi po strzelbę Erica Munce'a, która wpadła do rzeki, oraz drugą, Compa, która została w krzakach.

Mąż Brynn opowiedział, jak o mało nie spadł z urwiska, usiłując zdobyć broń. Wylądował na półce skalnej, nieco posiniaczony i podrapany, ale cały. Mijając zwłoki Erica, przypomniał sobie o rewolwerze ukrytym pod nogawką spodni. Zabrał broń i pospieszył w stronę odgłosów strzelaniny.

– Jak miał na imię? – spytał szeryf, wskazując zwłoki okryte zieloną plandeką.

– Chyba Comp. Coś w tym rodzaju.

Sanitariusz zakładał opatrunek na policzek Brynn. Nie zgodziła się na szwy. Zostawiłyby zbyt dużą bliznę. Jedna deformacja twarzy w zupełności wystarczy, uznała. Pielęgniarka sklepiła brzegi rany specjalnym plastrem i

poradził złożyć wizytę u lekarza jeszcze tego samego dnia.

– Proszę się wybrać także do dentysty. Ten złamany ząb zacznie przeszkadzać.

Zacznie? Obiecała, że pójdzie do lekarza oraz dentysty.

Wpatrywała się w materiał przykrywający zwłoki. Ten człowiek został zabity przez współnika, który zaledwie pół godziny wcześniej narażał własne życie, aby uchronić go przed upadkiem ze skały. Hart uratował Compa, choć z góry leciały kamienie mogące roztrzaskać mu czaszkę. Potem swobodnym tonem kazał mu stanąć naprzeciw siebie i bez mrugnięcia okiem strzelił.

Wokół panowało zamieszanie. Światła migwały, ludzie krzyczeli, trzeszczały radia. Oprócz szeryfa Dahla przybyli inni funkcjonariusze z jej departamentu oraz trzynaście osób z policji stanowej. Zjawili się także agenci FBI. Pozdejmowali marynarki i pomagali, w czym się dało. Nawet rozwijali taśmę policyjną. Nikt się nie wywyższał. Na to nadejdzie czas później.

Michelle siedziała na trawie oparta o drzewo. Miała spuszczoną głowę, tuliła śpiącą Amy. Obie były owinięte kocami. Sanitariusze już je obejrzeni, nie wymagały ich pomocy. Okazało się, że ból w okolicach kostki Michelle powodował nadwreżony mięsień. Dziewczyna miała posępną minę, mocno tuliła Amy. Obie dziś straciły bliskich w tragicznych okolicznościach. Ale nie tylko. Gdzieś wśród leśnej gęstwiny zostawiły własną niewinność. Brynn podeszła do nich na sztywnych nogach.

– Udało ci się połączyć? – Miała na myśli matkę i brata z Chicago, których dziewczyna zamierzała poprosić, żeby po nią przyjechali.

– Już jadą. – Michelle uśmiechnęła się ze smutkiem. – Mój mąż się nie odzywa.

– Telefonowałaś do niego?

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową. Pogłaskała Amy po włosach. Woląла zostać sama.

Brynn skrzywiła się z bólu, dotknąwszy znieczulonej już miejscowo rany. Podeszła do szeryfa i agentów FBI. Musiała przedrzeć się przez zasłonę mgły, zawrotów głowy i dezorientacji, które spłynęły na nią zniecka, kiedy tylko poczuła się bezpieczniej. Streściła wydarzenia minionej nocy. Od przyjazdu nad jezioro Mondac, poprzez ucieczkę, odnalezienie przyczepy, która okazała się nielegalnym laboratorium, i ostrzał z nieznanego źródła pod koniec przeprawy przez las.

– Ktoś od Rudy’ego Hamiltona? – odpowiedział z powątpiewaniem na sugestię Brynn jeden z agentów FBI. – No, nie wiem.

– Rudy wspominał także o jakimś Fletcherze.

Agent pokiwał głową.

– Kevin Fletcher. Narkotykowa szacha. Brak dowodów na jego działalność w okolicy. Trzyma się Green Bay. Dziesięciokrotnie większy zarobek. Nie. Stawiałbym na kogoś od Mankewitza.

– Przyjechał tu, żeby bronić płatnych zabójców?

– Tak bym obstawiał – wtrącił się drugi agent.

Tak bardzo zależało im na zamknięciu Mankewitza, że przypisałiby mu wszystko. Łącznie z zabójstwem Kennedy’ego. Jednakże Brynn nie zamierzała się z nimi spierać, ponieważ to, co mówili, miało sens. Nieznany sprawca pomógł Hartowi i Compowi.

– Widziałś go?

– Nie. Nawet nie wiem, skąd strzelał.

– To nie jest łatwe do spenetrowania miejsce zbrodni – uznał agent, patrząc w głąb lasu.

Umilkli wszyscy, kiedy ekipa poszukiwawcza wyniosła ciało Erica Munce’a w ciemnozielonej torbie. Na znak szacunku nie położyli zwłok policjanta obok ciała mordercy.

– Dziesiątki razy widziałam takie sceny – szepnęła Brynn – ale nigdy ofiarą nie był policjant.

Kierowca rozbitego samochodu oraz jego dziewczyna siedzieli oszołomieni na trawie obok karetki. Pasy bezpieczeństwa uchroniły ich przed poważnymi obrażeniami. Mężczyzna wyrzucony z samochodu plątał się wokół, złorzecząc i grożąc procesem, póki ktoś nie zaproponował mu złośliwie, żeby sprzedał swoją historię do gazet. Przestał narzekać. Najwyraźniej ten pomysł mu się spodobał.

Brynn podeszła do męża. Objął ją ramieniem.

– Co z żoną Erica? – spytała szeryfa.

Westchnął.

– Pojadę do niej osobiście.

– To dobrze – odezwał się z niejakim trudem Graham, patrząc na torbę ze zwłokami funkcjonariusza.

Brynn oparła głowę na piersi męża. Wciąż nie docierało do niej, że przyjechał specjalnie, żeby ją odnaleźć. Dahl ubolewał nad samozwańczą decyzją Munce’a, która zakończyła się jego śmiercią. Jednak gdyby nie on, martwe byłyby dwie kobiety oraz dziecko. Ponadto nie udałoby im się zebrać dowodów, które mogą ich doprowadzić do Harta, a od niego do

zleceniodawcy.

Z lasu wyłonili się ludzie niosący w foliowych woreczkach łuski po nabojach oraz pusty magazynek. W ekipie znajdowali się między innymi Pete Gibbs oraz zasapany Howie Prescott. Rzeczy znalezione przy Compie zapakowano oddzielnie. Torebkę Michelle oraz mapę Harta również. Brynn przeglądała dowody, myśląc: Kim jesteś, Hart?

– Tom, czy technicy zebrali odciski w domu nad jeziorem?

– Oczywiście. Około pięciuset. Większość należy do Feldmanów. Pozostałe wydają się niepowiązane. W kradzionym fordzie znaleźliśmy z sześćdziesiąt. Też nieprzydatne. Nie zdejmowali rękawiczek. Mądrzejsi niż większość miejscowych oprychów.

– A łuski po nabojach i kule?

– Cała tona się tego wałała. Twoje, ich. Obeszliśmy cały dom i okolice z wykrywaczem metali. Wyłowiliśmy jakieś nawet z potoku za garażem. Żadnych odcisków.

– Ani jednego? – Brynn była skonsternowana. – Ładowali broń w rękawiczkach?

– Na to wygląda.

Zgadza się, dużo sprytniejsi od miejscowych oprychów...

– Tom, jest szansa. Hart nie zostawił odcisków na łuskach, spodziewał się, że będziemy je oglądać, ale przeładowywał i rozkładał broń. Na magazynku muszą być odciski. I na mapie. Poza tym przeglądali torebkę Michelle. Osobiście zawiozę dowody do laboratorium w Gardener.

– Ty?! – oburzył się szeryf. – Chyba zwariowałaś! Odpocznij sobie. Stanowi to załatwią.

– Zdrzemnę się w samochodzie po drodze do domu, wezmę prysznic i wracam.

Dahl skinieniem głowy wskazał policjantów z komendy stanowej.

– Połowa z nich stacjonuje w Gardener. Zabiorą to do laboratorium.

– Gdzie będzie zbierało kurz przez dwa tygodnie – szepnęła Brynn.

– Muszę dorwać tego faceta. – Popatrzyła na jezdnię, gdzie po raz ostatni widziała Harta uciekającego skradzionym autem. – Będę stać nad technikiem, póki nie poda mi wyników. Naprawdę muszę dorwać drania.

Wreszcie szeryf ustąpił, widząc zaciętą twarz podwładnej.

Graham zdążył już przyprowadzić swego pikapa. Brynn włożyła dowody do schowka na rękawiczki. Zauważyła azalie z tyłu samochodu. Zaczęły właśnie wypuszczać różowe i białe pąki. Przytuliła się do męża.

- Kochanie, co za noc. Znalazłeś mnie.
- Wracajmy do domu. – Uśmiechnął się z roztargnieniem. Był wyraźnie wstrząśnięty. Co zresztą zrozumiałe, po takich przeżyciach.
- Czekałam na ciebie. Rozmawiałem z Anną. Joey nie jest w najlepszej formie.

Wyczuła, że zamierzał powiedzieć coś jeszcze. Nie zrobił tego.

Podjechał kolejny radiowóz prowadzony przez funkcjonariusza z policji stanowej, potężnie zbudowanego mężczyznę o kwadratowej szczęce i wyglądzie komandosa. Wysiadła niska Latynoska ubrana w garsonkę. Pracownica opieki społecznej. Brynn przedstawiła się przybyszom i streściła przebieg wydarzeń. Policjant sprawiał wrażenie poruszonego. Opiekunka społeczna nie okazała żadnych emocji. Była spokojna i uważna. Najwyraźniej spotykała się na co dzień z podobnymi sytuacjami. Zrobiła kilka notatek.

– Wyznaczyliśmy już rodzinę zastępczą. Znam dobrze tę parę. Można im zaufać. Po drodze wstąpimy na badania i od razu zawiozę do nich dziewczynkę.

– Wyobraża sobie pani? – szepnęła Brynn. – Dziecko wychowane w melinie. Pracowała przy produkcji. Proszę spojrzeć na jej szyję.

– Pokazała siniaki na szyi Amy. Wyglądały jak ślady po duszeniu.

Dowód metod wychowawczych Susan lub Rudy'ego. Przez chwilę cieszyła się z ich śmierci.

Podeszli do Michelle, która ścisnęła dziewczynkę zaborczo. Opiekunka powitała młodą kobietę skinieniem i przykucnęła przed Amy.

– Witaj. Mam na imię Consuela. Możesz mnie nazywać Connie, jeżeli chcesz.

Dziewczynka się nie odezwała.

– Zabieram cię na przejażdżkę. Poznasz bardzo miłych ludzi.

– Gdzie moja mama?

– Polubisz ich. Są bardzo mili.

– Nie lubię przyjaciół mamy.

– To nie są jej przyjaciele.

– Gdzie jest Chester?

– Znajdziemy Chestera – powiedziała Brynn. – Dostaniesz go z powrotem. Obiecuję.

Opiekunka społeczna pomogła dziecku wstać, owinęła je szczelnie kocem.

– Przejedziemy się samochodem.

Amy popatrzyła na Michelle, która odprowadziła ją spojrzeniem tak pełnym miłości, jakby była jej matką. Zapadła cisza.

– Zdaję sobie sprawę, jak wiele przeszedłaś, Michelle – odezwała się Brynn.
– Jeszcze o jedno muszę cię prosić. Twój brat przyjedzie najwcześniej za dwie godziny?

– Chyba tak.

– Wiem, że ci ciężko. Wiem, że nie masz ochoty. Ale może pojechałabyś ze mną na chwilę do domu? Nie mieszkam daleko. Dam ci ubrania na zmianę, przygotuję coś do jedzenia i picia.

– Brynn, lepiej nie. – Graham kręcił głową.

Zerknęła na niego, lecz mówiła dalej.

– Musisz mi powiedzieć wszystko, co zapamiętałaś na temat Harta. Słowa, gesty. Czy Emma wspominała cokolwiek na temat swojej ostatniej sprawy? Chcę z tobą porozmawiać na gorąco.

– Dobra.

– Michelle potrzebuje odpoczynku – zaprotestował Graham.

– I tak musi gdzieś poczekać na brata.

– Nie mam nic przeciwko temu – zapewniła Michelle. – Zależy mi, żeby ten człowiek nikogo już nie skrzywdził. Pomogę, jak będę umiała. – Jej głos zabrzmiał pewnie i stanowczo.

Karetka odjechała, zabierając dwa ciała. Graham Boyd patrzył za nią ze smutkiem. Wydawał się najbardziej poruszony ze wszystkich, co nie umknęło uwagi Brynn.

Zaczynał się nowy dzień. Niebo przybrało żółtawy odcień. Ruch na ulicy się wzmógł.

Brynn powiadomiła Toma Dahla, że zabiera Michelle do siebie.

– Poczeka spokojnie na brata. Anna się nią zajmie, kiedy ja pojedę do laboratorium.

Szeryf skinął głową i zwrócił się do Grahama:

– Musimy porozmawiać o Ericu. Wpadniesz na posterunek?

– Muszę odwieźć Joeya na korepetycje z angielskiego – powiedział, zerkając na zegarek.

– Może opuścić dzisiejszą lekcję. Oboje będziemy zbyt zajęci, żeby go wozić – zdecydowała Brynn.

– Uważam, że powinien pojechać.

– Nie dziś.

Graham wzruszył ramionami. Obiecał szeryfowi, że umówi się z nim na spotkanie telefonicznie. Dahl podał uroczyście rękę Brynn, która uścisnęła ją zmieszana.

– Winien ci jestem o wiele więcej niż pół dnia wolnego. O wiele więcej.

– To prawda.

Policjantka ujęła Michelle pod ramię i razem poszły do samochodu.

Gdzie się podziewałaś? O, ja pierdołę. Co ci się stało z twarzą?

– Miałam wypadek. Uważaj na słowa.

– Boże jedyny! – zawołała Anna.

– Nic mi nie jest.

– Jak to nic? Całą połowę głowy masz siną. Wolę nawet nie myśleć, co się kryje pod bandażem.

Brynn pomyślała o dentyście. Dotknęła językiem dziury po trzonowcu. Nie bolało. Miała zdrętwiałą szczękę.

– Co się stało, mamó? – Joey miał oczy szeroko otwarte z przerażenia.

Brynn przytuliła syna.

– Potknęłam się i upadłam. Niezdara ze mnie.

Jej matka nie powiedziała ani słowa. Popatrzyła tylko wymownie na opatrunek.

Michelle weszła do salonu bez utykania. Opatrunek i leki przeciwbólowe spełniły swoje zadanie.

– Przedstawiam ci Michelle, mamó.

– Witaj, moja droga.

Dziewczyna uprzejmie skinęła głową.

– Idź na górę, Joey. Zostaniesz dziś w domu. Zadzwoń do korepetytora.

Ani Graham, ani ja nie mamy czasu cię odwiedzić.

– Naprawdę wolałbym go podrzucić – nalegał Graham.

– Nie, kochanie. Tak będzie lepiej.

– Oboje jesteście w strasznym stanie – oświadczyła Anna. – Co się stało?

Brynn zerknęła na wyłączony odbiornik telewizyjny. Cieszyła się, że matka nie dowie się o wszystkim z lokalnych wiadomości.

– Zaraz ci wszystko opowiem. Jadłeś śniadanie, synku?

– Jadłem.

– To zmykaj na górę. Masz zadanie z historii do skończenia.

Chłopak spojrział przelotnie na Michelle, mijając ją. Graham poszedł do kuchni.

– Mamo, przyjaciele Michelle zostali zamordowani – powiedziała Brynn służbowym tonem. – Zostałam wezwana właśnie w tej sprawie. Brat po nią przyjedzie. Do tego czasu posiedzi u nas.

– O nie. – Anna chwyciła dłoń Michelle. – Bardzo ci współczuję, skarbie.

– Dziękuję.

– Prosimy. – Anna wskazała zieloną kanapę w salonie.

– Wolałabym najpierw wziąć prysznic, jeśli to nie kłopot.

– Ależ skąd – powiedziała Brynn. – Łazienka jest na końcu korytarza, tam. Przyniosę ci czyste ubrania. Chyba że nie chcesz.

– Przypomniała sobie, że Michelle nie lubi nosić cudzych ubrań.

– Bardzo chcę – odparła dziewczyna z uśmiechem. – Dzięki. Cokolwiek mi dasz, będzie dobre.

– Powieszę na drzwiach. – Brynn pomyślała o dzinsach, w które nie mogła się wcisnąć od dwóch lat, ale żal jej było je wyrzucić. Przydadzą się teraz.

– W szafie znajdziesz ręczniki kąpielowe – dodała Anna. – Napijesz się kawy albo herbaty? Zrobię coś do jedzenia.

– Dziękuję. Jeśli to nie kłopot.

Dziewczyna od dawna nie miała nic w ustach, ale nie skarżyła się na objawy hipoglikemii. Anna zaprowadziła ją do łazienki i wróciła po chwili.

– O szczegółach opowiem potem, mamo. Ją też usiłowali zabić. To ona znalazła ciała.

Anna była wstrząśnięta.

– Biedactwo, co ona teraz zrobi? Zadzwoń po pastora? Mógłby przyjechać w ciągu dziesięciu minut.

– To może być dobry pomysł. Trzeba ją spytać. Ja nie jestem pewna. Wiele przeszła. Jeden z moich kolegów nie żyje.

– Nie! Który?

– Eric.

– Ten uroczy chłopiec? Jego żona to ta brunetka?

Brynn potwierdziła z westchnieniem. Mieli małe dziecko.

– Zostałaś postrzelona? – spytała Anna raptownie.

– Dostałam rykoszetem.

– Czyli to rana postrzałowa?

Brynn pokiwała głową.

– Co się, na Boga, wydarzyło?! – wykrzyknęła Anna.

Udawany spokój Brynn skruszył się jak lód.

– Straszne rzeczy, mamusiu.

Przytuliła się do matki. Obiema wstrząsnął szloch.

– Tak strasznie ci współczuję, słoneczko. Teraz już wszystko będzie dobrze. – Anna odstąpiła krok do tyłu. Odwróciła się plecami, ocierając łzy.

– Zajmę się przygotowaniem śniadania. Powinnyście coś zjeść.

– Dzięki, mamó. Gdzie Graham?

– Przed chwilą jeszcze tu był. Pewnie za domem.

Z łazienki dobiegał szum wody i pieszczony rur. Brynn poszła na górę po ubrania dla Michelle. W lustrze w sypialni przyjrzała się swoim matowym włosom, skaleczeniom, siniakom i białemu bandażowi. Przypomniało jej się, jak Comp patrzył na Harta tuż przed śmiercią. Z bolesnym niedowierzaniem. Potem odtworzyła w pamięci ucieczkę Harta. Spojrzenie, które rzucił jej znad kierownicy.

...Powinnaś była mnie zabić...

Miała szaloną ochotę na prysznic, ale postanowiła najpierw zanieść ubrania Michelle. Spisze jej wstępne zeznania, później zadzwoni do szeryfa, szefa policji stanowej oraz FBI. Może dziewczyna wskaże jakiś szczegół obciążający Mankewitza. Przypomni sobie coś ważnego na temat Emmy Feldman lub zabójców. Zaraz potem Brynn miała zamiar dostarczyć próbki do laboratorium w Gardener.

Znalazła bluzkę z krótkim rękawem, bluzę, dżinsy, skarpetki oraz adidas. Postanowiła również dać Michelle torbę na śmieci do zapakowania brudnej odzieży. Przypuszczała, że kosztowne części garderoby trzeba będzie oddać do pralni chemicznej. Wciągnęła głęboko powietrze. Poczła zapach własnego potu, zaschniętej krwi oraz środków do odkażania ran.

W kuchni zagwizdał czajnik. Ktoś go wyłączył. Z łazienkowych rur dobiegało wycie. Brynn oparła czoło o chłodną szybę, spoglądając przez okno na samochód Grahama. Myślała o dowodach czekających w schowku na rękawiczki. Ciekawe, ile czasu minie, nim uzyska odpowiedzi od techników. Odciski linii papilarnych identyfikowano bardzo szybko dzięki bazie danych FBI. Balistyka nie pracuje tak błyskawicznie, jednak Wisconsin dysponuje niezłą bazą. Może uda im się powiązać łuski z którymś z poprzednich przestępstw Harta lub Compa. Dzięki temu mogliby uzyskać pełną identyfikację... Lub przynajmniej namiary na osobę, którą dałoby się przycisnąć. Ani jednego odcisku na łuskach... Westchnęła i pokręciła głową. Nagle coś jej przyszło do głowy. Usiadła na łóżku i zatelefonowała do Dahla.

– Jak się masz? – spytał. – Na pewno jesteś wyczerpana.

– Jeszcze nie. Czekam, aż mnie sieknie. Mam pytanie.

- Pytaj.
- Na temat miejsca zbrodni nad jeziorem Mondac.
- Słucham.
- Wspominałeś, że ludzie Arlena przeszukali dom wykrywaczami metali i znaleźli jedynie zużyte naboje.
- No.
- Żadnej broni palnej?
- Tylko naboje i łuski.
- Przeszukali potoki?
- Tam też znaleźli naboje. Były wszędzie. Cała okolica podziurawiona. Tak jakbym nie wiedziała, pomyślała Brynn.
- Michelle opowiadała, że zabrała jeden z pistoletów. Postrzeliła z niego Harta i przestrzeliła opony. Zużyła cały magazynek, po czym wrzuciła broń do potoku.
- Ciekawe, dlaczego nikt jej nie znalazł. Może leży w jakimś innym potoku.
- Chciałabym odnaleźć ten pistolet... Nie możemy go zostawić. Czy ktoś jeszcze tam jest?
- Pete Gibbs. Arlen zostawił dwóch swoich ludzi. Możliwe, że kręcą się jeszcze ci z ekipy technicznej.
- Dzięki, Tom.
- Wolałbym, żebyś odpoczęła.
- Wszystko w swoim czasie.
- Rozłączyła się i włożyła bluzę. Zatelefonowała do Gibbsa.
- Pete? To ja.
- O, cześć, Brynn. Jak się czujesz?
- Ech.
- No tak.
- Spytała, czy został ktoś z techników.
- Tak. Dwóch.
- Wyświadczysz mi przysługę? Spytaj ich, czy znaleźli jakiś pistolet.
- Dobra. Sekundę.
- Okazało się, że znaleziono jedynie kilka dodatkowych łusek. Żadnej broni. Westchnęła.
- Dzięki. Jak się trzymasz? – Zwróciła uwagę, że jest poruszony. Sądziła, iż przeżywa śmierć Munce'a.
- Przydarzyło mi się coś nieprzyjemnego – odparł ponuro.

– Musiałem przekazać tragiczną wiadomość jednej z przyjaciółek Feldmanów. Nic nie słyszała wcześniej. Cholera, strasznie nie lubię tego robić. Kompletnie się rozkleiła.

– Przyjaciółka?

– Tak. Uspokoila się dopiero po godzinie. Miała szczęście, mówię ci. Zamierzała wczoraj z nimi przyjechać, ale coś jej wypadło w pracy. Wyrwała się dopiero dziś rano. Wyobraź sobie, co by z nią było, gdyby nic jej nie zatrzymało.

– Skąd przyjechała?

– Z Chicago.

– Wzięłaś od niej numer?

– Nie. Nie pomyślałem. Powinienem był?

– Oddzwonię do ciebie za jakiś czas.

Brynn usiadła zamyślona na łóżku. Dwie kobiety z Chicago zaproszone na weekend? Niewykluczone. Dlaczego Michelle nie wspomniała o tej drugiej? Czemu nie zaplanowały wspólnej podróży? Przyszedł jej do głowy absurdalny pomysł i nie chciał odejść. Założyła z góry, że Michelle jest przyjaciółką państwa domu. Nie istniały na to żadne dowody. Czyżby dziewczyna się pod kogoś podszywała? Brynn uzbroiła ją we wszelkie potrzebne informacje.

„Jesteś ich koleżanką z Chicago? – spytała. – Jak masz na imię?

– Wtedy zorientowała się, iż policjantka nic o niej nie wie. – Jesteś prawniczką, jak Emma?”

„Jestem aktorką...”

Nie, to niemożliwe. Po co miałyby kłamać?

Brynn wstrzymała oddech. Odebrała bandytom dwa pistolety. Razem z bronią, którą Michelle rzekomo znalazła, byłyby trzy oraz strzelba. Trochę nadto, nawet dla zawodowych zabójców. Dlaczego technicy nie znaleźli trzeciego półautomatu? Czyżby należał do Michelle? Miała go przy sobie przez cały czas? Tylko po co?

Istniało jedno wyjaśnienie. Została wynajęta przez Mankewitza do zabicia Emmy Feldman. Hart i Comp przyjechali razem z nią. Zamierzała ich zastrzelić i zostawić na miejscu zbrodni. Jako kozły ofiarne.

Brynn przypomniała sobie gest dziewczyny sięgającej do kieszeni. Nie sięgała po nóż, lecz po pistolet, który przez cały czas miała przy sobie. I nadal go ma.

Michelle zakręciła wodę w łazience.

Brynn zerknęła na puste pudełko na broń i pobiegła do pokoju syna. Położyła dłonie na jego ramionach.

– Co się stało, mamó? – spytał wystraszony.

– Posłuchaj, kochanie. Mamy pewien problem. Zwykle zabraniamy ci zamykać drzwi na klucz...

– Aha.

– Teraz proszę cię, żebyś je zamknął i nie otwierał nikomu oprócz mnie, Grahama albo babci. Pod żadnym pozorem.

– Mamó, dziwnie wyglądasz. Boję się.

– Nie ma powodu. Po prostu zrób, o co proszę.

– Jasne. Co...?

– Po prostu zamknij się w pokoju.

Zbiegła na dół, starając się nie narobić hałasu. Miała zamiar zabrać jeden z zafoliowanych pistoletów ze schowka w samochodzie Grahama. Zatrzymała się na przedostatnim stopniu. Drzwi łazienki były otwarte. Nigdzie nie widziała Michelle. Zawahała się.

– Herbata będzie gotowa za chwileczkę! – dobiegło ją wołanie Anny.

Zrobiła krok naprzód. Napotkała wzrok Michelle, która stanęła w przejściu. Dziewczyna trzymała w dłoni mały rewolwer. Brynn sięgnęła po wiszącą na ścianie dużą, oprawioną w szkło fotografię rodzinną. Rzuciła ją, ale Michelle zdążyła się uchylić. Brynn doskoczyła i z całej siły zatopila paznokcie w jej nadgarstku. Michelle krzyknęła i uderzyła policjantkę w głowę wolną ręką. Strzeliła raz. Potem jeszcze trzy razy. Chybiła. Anna zaczęła wrzeszczeć, wołać Grahama. Brynn uderzyła zabójczynię pięścią w twarz. Michelle skrzywiła się z bólu, splunęła krwią. Miała zmrużone oczy, zacisnięte usta. Kopnęła policjantkę w pachwinę i zatopila łokieć w jej brzuchu. Brynn nie zamierzała wypuścić broni. Nic nie mogło jej do tego zmusić. Ziała nienawiścią. Cały gniew, który skumulował się w niej podczas makabrycznej nocy, zapłonął pod wpływem nieoczekiwanej zdrady. Gardziła własną naiwnością. Walczyły zaciekle, przewracając meble. Runęły na ziemię. Michelle już w niczym nie przypominała bezbronnej aktoreczki w butach za tysiąc dolarów. Broniła się jak oszalała. Rewolwer wystrzelił kilka razy. Brynn liczyła. Magazynek mieścił dziesięć naboju. Po chwili był pusty. Usłyszała ciche szczęknięcie mechanizmu oznaczające, że czas na przeładowanie. Uderzała głową przeciwniczki o podłogę, ściskając ją za gardło. Brynn nie miała cienia wątpliwości, że zwycięży. Zamierzała

powstrzymać kryminalistkę, nawet gdyby musiała ją zabić. Ogarnęła ją zwierzęca furia. Walczyła, używając rąk, nóg, zębów...

...Powinnaś była mnie zabić...

Cóż, człowiek uczy się na błędach. Ścisnęła gardło dziewczyny.

– Chryste, Brynn...! – usłyszała.

Przez chwilę miała wrażenie, że w progu stoi Hart. To był jej mąż, ale moment nieuwagi przeciwniczki wystarczył Michelle. Wyrwała się i uderzyła Brynn w zraniony policzek. Policjantce zakręciło się w głowie i zwymiotowała z bólu. Michelle zamknęła magazynek. Broń wyglądała na gotową do strzału, choć nie była nabita. Wymierzyła ją w Grahama.

– Dawaj kluczyki do samochodu.

– Posey! Posey! – jęczała Brynn, trzymając się za twarz i próbując złapać Michelle.

– Zabiję ją. – Dziewczyna przysunęła lufę do szyi funkcjonariuszki. – Dawaj te jebane kluczyki!

– Nie, nie! Proszę, weź i jedź sobie.

– Posey!

Michelle porwała kluczyki i wybiegła.

Graham przykleknął. Wyjął telefon i zadzwonił na policję. Przyciągnął do siebie Brynn, która odsunęła go, wstając. Zrobiło jej się ciemno przed oczyma, oparła się o poręcz schodów.

– Posey...

– Kim jest Posey?

Próbowała wyraźnie wymówić słowa, mimo bólu.

– Pusty. Magazynek był pusty.

– Cholera!

Graham podbiegł do drzwi. Samochód zniknął za rogiem. Brynn usłyszała czyjś cichy głos.

– Czy ktoś mógłby...

Anna stała na progu kuchni. Miała zakrwawione ręce.

– Błagam, czy ktoś mógłby... Patrzcie. No, zobaczcie tylko.

– Osunęła się na podłogę.

Rząd pomarańczowych plastikowych krzeseł pod ścianą jaskrawo oświetlonego pomieszczenia. Porysowana podłoga, odpryskująca farba.

Siedzieli obok siebie, wpatrując się w linoleum. Reagowali tylko na dźwięk otwieranych drzwi. Żaden z lekarzy ratujących życie Anny McKenzie

ani nikt z personelu pomocniczego jeszcze nie wyszedł. Brynn złączyła dłonie, popatrzyła na nietkniętą kawę. Była chora z wyczerpania i przerażenia. Zabrział sygnał telefonu. Zerknęła na wyświetlacz, ściszyła dzwonek. Nie chciała odbierać. Nie ze względu na zakaz obowiązujący w szpitalu. Do poczekalni wszedł jakiś pacjent. Trzymał się za ramię i krzywił z bólu. Zerknął na Brynn, po czym zatonął we własnych myślach.

– Minęła godzina – odezwał się Graham.

– Prawie.

– To długo. Ale nic nie oznacza.

– Właśnie.

Znów pograżyli się w milczeniu. Od czasu do czasu ciszę przerywały rozlegające się przez megafon wezwania i ogłoszenia. Telefon Brynn znów zaczął wibrować. Tym razem postanowiła odebrać połączenie. Dzwonił szeryf Dahl.

– Jak się czuje twoja mama?

– Jeszcze nic nie wiadomo. A ty czego się dowiedziałaś?

– Michelle udało się przedostać przez blokady. Nie znaleźliśmy samochodu twojego męża.

Brynn pochyliła się na krzesło. Przycisnęła zraniony policzek, jakby chciała się ukarać.

– Miałaś rację. Odszukaliśmy przyjaciółkę z Chicago. Ich jedyną przyjaciółkę z Chicago, która miała wpaść z wizytą. Michelle to płatna zabójczyni. Wszystko na to wskazuje.

– Wynajęta przez Mankewitza bądź któregoś z jego współpracowników.

– Też tak sądzę.

– W takim razie Hart i Comp mieli podzielić los porzuconych ofiar.

– Kogo?

– Porzuconych ofiar... Zaaranżowałyby scenę zbrodni tak, abyśmy pomyśleli, że zabójcy pozabijali się nawzajem po śmierci Feldmanów. Nie szukalibyśmy dalej. Coś nie wyszło. Hart miał za szybki refleks albo zaciął jej się pistolet. Musiała uciekać. Spotkałyśmy się w lesie.

– Roześmiała się z goryczą. – Uratowałam ją.

Brynn umilkła na widok lekarza w niebieskim fartuchu. Minał ją i poszedł dalej. Przypomniała sobie spotkanie Michelle z Hartem, sposób, w jaki na nią popatrzył.

Powiedział: „Prawie ci się udało, Michelle. Prawie...”.

Teraz jego słowa nabierały całkiem innego znaczenia. A także dziwne

zmieszanie Michelle na wieść o rozmowie Brynn z Hartem. Przestraszyła się, że zdradził policjantce prawdę.

– Po wszystkim miał po nią przyjechać ktoś od Mankewitza. To on do nas strzelał z lasu.

Czuła na sobie świdrujący wzrok przysłuchującego się rozmowie Grahama.

– Zależało jej na przechwyceniu dowodów, dlatego tak ochoczo przystała na moje zaproszenie. Na czymś musiały być jej odciski palców. W każdym razie coś obciążającego. Zamierzała zabrać wszystko ze sobą po załatwieniu byłych współników... Czekał, Tom. A jej buty? Damskie kozaczki na podwórku u Feldmanów. Znaleźliście coś na nich?

– Żadnych odcisków.

– Ani jednego?

– Wygląda, jakby ktoś je przetaił, używając płynu do mycia szyb. Forda także wyczyszczono.

– Zrobiła to, kiedy poszłam po łódkę. – Brynn zaśmiała się cicho.

– Kurczę, nieźle mnie nabrała. – Potarła kciukiem dołek w brodzie, jak zawsze, kiedy była zamyślona lub zdenerwowana. Bardzo mocno zabolą ją ta zdrada. – Ja też miałam być jedną z nich – powiedziała cicho.

– Słucham?

– Porzuconą ofiarą. Użyła mnie jako przynęty. Wcale nie skręciła nogi. Celowo spowalniała marsz. Robiła, co mogła, żeby ich zwabić. Wybiła szybę, uruchamiając alarm, bo przypuszczalnie wybierali się w kierunku szosy. Zrobiła scenę, odmawiając włożenia butów po nieboszczce. Grała na zwłokę, żeby pościg mógł nadążyć. Kto wie, co jeszcze wymyśliła. Jadła krakersy. Pewnie kilka wypadło jej z rąk. – Brynn zaśmiała się, potrząsając głową. – W pewnej chwili zaczęła wrzeszczeć, jakby ją ktoś obdzierał ze skóry. Żeby się przypadkiem pościg nie zgubił. Musiała obu zwabić, bo zamierzała ich zastrzelić. I mnie także.

– Czemu nie zastrzeliła cię od razu? – zastanawiał się Dahl.

– Widocznie byłam jej potrzebna. Jako zakładniczka, przewodniczka... Ale najprawdopodobniej chciała, żebym pomogła jej załatwić Harta i Compa.

Graham zacisnął mocno szczęki i splótł dłonie. Brynn powiedziała Tomowi, że musi kończyć, i poprosiła, by informował ją o wszystkim na bieżąco. Rozłączyła się, zamierzając zdać relację mężowi. Zamknął oczy i odchylił się do tyłu na krześle.

– Nie trzeba. Słyszałem.

Nie zareagował na jej uspokajający dotyk. Po kilku minutach cofnęła dłoń z jego kolana. Zatelefonowała do sąsiadów, u których przebywał Joey. Powiedziała synowi, że jeszcze nic nie wiadomo na temat stanu zdrowia babci. Wysłuchała jego chaotycznej opowieści o jakiejś grze komputerowej. Pożegnała się, mówiąc, że go kocha.

Wróciła do cichego oczekiwania u boku męża. Zerknęła na niego raz, po czym spuściła wzrok na podłogę. Minęła wieczność, nim poczuła jego dłoń na swoim kolanie. Siedzieli tak bez ruchu, dopóki nie pojawił się lekarz.

Hart porzucił kradzione auto w zachodniej części Milwaukee. Zostawił na ulicy z kluczykami w stacyjce. Przed upływem dwunastu godzin każda część zostanie sprzedana w innym miejscu. Spuścił głowę i oddalił się szybkim krokiem. Był wyczerpany, a także ranny. Instynkt nakazywał mu natychmiast się ukryć.

Znalazł odpowiedni hotel. Brewline. W takich miejscach wynajmowało się pokoje na godziny albo na tygodnie. Rzadko na doby. Zapłacił z góry za tydzień, wziął pokój z łazienką. Recepcjonistka wręczyła mu pilota do telewizora oraz komplet pościeli. Nie zwróciła uwagi na jego stan ani brak bagażu. Pokój numer 238 znajdował się na drugim piętrze. Hart wszedł po schodach. Zamknął za sobą drzwi na zasuwę, zdjął brudne ubranie. Stos na podłodze przypomniał mu przemoczony mundur Brynn McKenzie w domu na Lake View Drive. Wyobraził ją sobie nagą. To go podnieciło. Zbadał swoją ranę. Ukończył kurs pomocy medycznej, w pracy często był narażony na urazy. Uznał, że nie potrzebuje lekarza. Znał kilku medyków bez licencji, którzy za tysiąc dolarów zszyliby go bez zadawania pytań. Upewnił się, iż krwawienie ustało, kość jest nienaruszona i nie wdała się żadna poważna infekcja. Pozostawało olbrzymie zasinienie. Kupi sobie antybiotyk.

Wziął prysznic, starając się nie zamoczyć rany. Położył się nagi w pościeli. Usiłował poukładać sobie w głowie wydarzenia minionej nocy. Wrócił pamięcią do spotkania sprzed kilku tygodni. Umówił się w kawiarni z facetem, z którym współpracował kilkakrotnie na terenie Wisconsin. Gordon Potts nie grzeszył bystrością, ale był przyzwoity i godzien zaufania. Dysponował również właściwymi kontaktami. Powiedział, że zgłosiła się do niego w Milwaukee pewna kobieta. Inteligentna, ładna. Poręczył za nią. Dziś Hart sądził, że Michelle zapłaciła ciałem za rekomendację. Wtedy zainteresował się sprawą. Nudził się od jakiegoś czasu. W Chicago zaczynał dopiero od połowy maja. Brakowało mu dreszczyku emocji, adrenaliny. Był

od niej uzależniony. Podobnie jak chłopak, którego zabił nocą w lesie, nie potrafił żyć bez amfetaminy, on nie wyobrażał sobie życia pozbawionego ryzyka. A Potts bardzo zachwalał to zlecenie. Umówił go z „Brendą”. Spotkali się kilka dni później w kawiarni na Broadway District.

– Witaj, Hart. – Uścisnęła mu energicznie dłoń.

– Witaj. Jak się masz?

– Dobrze. Szukasz pracy? Potrzebuję kogoś.

– Może i szukam. Od dawna znasz Gordona?

– Nie.

– Jak się poznaliście?

– Dzięki wspólnemu znajomemu.

– Czyli?

– Freddy’emu Lancasterowi.

– Freddy. Jasne. Jak się miewa jego żona?

Michelle parsknęła śmiechem.

– Trudno powiedzieć. Zmarła dwa lata temu.

Hart również się roześmiał.

– Rzeczywiście. Zapomniałem. A jak mu się mieszka w St. Paul?

– W St. Paul? Freddy mieszka w Milwaukee.

– Ach, te luki w pamięci.

Taniec...

Po pierwszym spotkaniu z Brendą-Michelle zatelefonował do Gordona Potts i Freddy’ego Lancastera. Wypytał ich o wszystko, sprawdził najmniejszy szczegół. Wykonał wiele innych telefonów, po których zyskał pewność, że nikt z zaangażowanych w sprawę nie pracuje w policji. Brenda Jennings była złodziejką o nienagannej reputacji.

Teraz Hart już wiedział, że Michelle podszyła się pod inną osobę. Umówił się z nią na drugie spotkanie. Michelle twierdziła, że dowiedziała się, iż Steven Feldman wypytuje o dawnego właściciela domu, w którym mieszka, i jakieś stare rachunki. Przyjrzała się sprawie. Podobno przedsiębiorca, do którego wcześniej należała posiadłość, ukrył gdzieś na jej terenie milion dolców. To było w latach pięćdziesiątych. Podała Hartowi szczegóły.

– Poważna suma.

– Zgadza się. Zainteresowany?

– Słucham dalej.

– Oto mapa okolicy. To prywatna droga. Lake View Drive. Obok hektary parku stanowego. Zupełne odludzie. Masz tu plan domu.

– Dobra... Droga asfaltowa czy żwirowa?
– Żwirowa... Podobno jesteś dobry. To prawda? Słyszałam, że jesteś zawodowcem.

– Kto tak mówi? – spytał z roztargnieniem, skupiony na studiowaniu mapy.

– Ludzie.

– Dobrze mówią.

Patrzyła na niego przenikliwie.

– Mogę ci zadać pytanie?

– Tak. – Uniósł brew ze zdziwieniem.

– Z czystej ciekawości... Dlaczego to robisz?

– Bo lubię.

Nie był zwolennikiem psychoanalizy ani zagładania w duszę. Wierzył w życie w zgodzie ze sobą i podejmowanie szybkich decyzji.

...Jakim cudem nie umierają z nudów? Ja bym umarł. Potrzebuję czegoś więcej, Brynn, ty nie?

Michelle skinęła głową, jakby go doskonale rozumiała i oczekiwała dokładnie takiej odpowiedzi.

– Na to wygląda.

Zmęczyło go mówienie na własny temat.

– Jakie są zagrożenia?

– Słucham?

– Ryzyko? Ile osób w domu? Uzbrojeni? Odległość od posterunku policji? Sąsiedzi?

– To będzie bułka z masłem, Hart. Właściwie żadnego ryzyka. Sąsiednie domy puste. W domu tylko Feldmanowie. Dwie osoby. W parku zero strażników, najbliższy policjant oddalony o dziesiątki kilometrów.

– Będą uzbrojeni?

– Bez żartów. To typowe mieszcuchy. Ona jest prawniczką, on pracuje w opiece społecznej.

– Tylko Feldmanowie, tak? Sami?

– To pewna informacja.

– Nikomu nie stanie się krzywda?

– Wykluczone. Nie podjęłabym się tego, gdyby istniało jakiegokolwiek ryzyko, że ktoś ucierpi. – Uśmiechnęła się pokrzepiająco.

Żadnych ofiar i duży zysk. Podobało mu się to.

– Dam ci znać – powiedział ostrożnie.

Pojechał do domu i sprawdził wszystko w internecie. Mówiła prawdę. Roześmiał się w głos. Żaden gliniarz na świecie nie wymyśliłby takiej podpuchy, historii godnej filmu z Nicolasem Cage'em. Narkotyki, napady na bank, owszem. Ale nie coś takiego.

Nadszedł wielki dzień. Razem przyjechali do domu nad jeziorem. Hart, Compton Lewis oraz Michelle. Oni dwaj wtargnęli do domu i trzymali Feldmanów na muszce. Michelle miała ich związać, żeby mogli zacząć przesłuchanie w sprawie ukrytej forsy. Tylko że ona zamiast liny albo taśmy trzymała w ręku pistolet. Zastrzeliła Feldmanów. Zaległa świdrująca cisza, a dziewczyna jak gdyby nigdy nic poszła do salonu. Hart nic nie rozumiał.

– Coś ty, kurwa, narobiła? – stęknął Lewis, który przeglądał zawartość lodówki, zamiast pilnować drzwi.

– Nie martw się. Wiem, co robię. – Przeszukała plecak i walizkę.

Wpatrywali się z osłupieniem w zwłoki, podczas gdy ona, jak sądzili, szukała klucza do pokoju albo skrytki z pieniędzmi. Hart gorączkowo rozmyślał o randze zbrodni, w którą się wplątali. Podwójne morderstwo. Wtedy zobaczył jej odbicie w lustrze. Podchodziła od tyłu, mierząc do niego z pistoletu. Uchylił się odruchowo. Dostał w ramię. Strzelił do niej. Uciekła.

Rozmyślał o tym, leżąc na hotelowym łóżku. Wiedział już, że żaden ukryty skarb nie istniał. Michelle została wynajęta do zabicia Feldmanów. Zorientował się po rozmowie z Brynn. Zamierzała zostawić zwłoki na miejscu morderstwa, zrzucić na nich odpowiedzialność.

Roześmiał się mimowolnie. Zatrudnił Comptona Lewisa z tego samego powodu. Miał być jego polisą ubezpieczeniową, kozłem ofiarnym. Na wypadek gdyby coś się nie udało i pojawiły się ofiary w ludziach. Zastrzeliby Lewisa i zostawił na miejscu zdarzenia jako jedyne podejrzane. Wyłącznie z tego powodu wybrał półgłówka, z którym nic go nie łączyło. Los Comptona dopełnił się na poboczu szosy, kiedy Hart postanowił skończyć zabawę i uciec radiowozem. Zastrzelił Lewisa, ale nim zdążył wyeliminować pozostałe osoby, zjawił się mąż Brynn.

„Z moimi kontaktami i twoją głową bylibyśmy niepokonani”...

Comp naprawdę w to wierzył. Nie podejrzewał, że podpisał na siebie wyrok śmierci przy pierwszym spotkaniu. Żałosny głupek, pomyślał Hart.

Zasypiał, myśląc o Michelle. Pracował z niebezpiecznymi tuzami narkotykowymi z Jamajki, gangsterami z South Side i grubymi rybami z całego środkowego zachodu, a najniebezpieczniejsza z nich wszystkich okazała się ta dziewczyna. Słodka, bezbronna z pozoru. W rzeczywistości

śmiertelnie groźna. Zastanawiał się, o czym rozmawiały dwie kobiety podczas ucieczki. Brynn McKenzie nie należała do osób łatwowiernych, a jednak kunszt aktorski Michelle zrobił swoje. Przypomnił sobie magiczne chwile w samochodzie spędzone z Brynn.

„Michelle jest przyjaciółką Feldmanów? Można powiedzieć, że znalazła się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze. Jak my wszyscy...”.

Chochlik.

U Feldmanów zdążył szybko sprawdzić jej nazwisko na jednej z kart kredytowych. Nazywała się Michelle S. Kepler. A może Michelle A. Nie sprawdzał prawa jazdy. Będzie musiał ją znaleźć, nim zrobi to policja. Zołza sprzeda go bez chwili namysłu. Czekają go pracowite dni. Wrócił do wspomnień o Brynn.

„Masz prawo zachować milczenie...”.

Wrócili ze szpitala o dwudziestej. Po drodze wstąpili do sąsiadów po Joeya. Brynn wysiadła pierwsza, kiedy zatrzymali się przed domem. Podeszła do funkcjonariusza Jimmy'ego Barnes, który obchodził tego dnia urodziny. Pełnił tu służbę, zaparkował na poboczu. Łysiejący mężczyzna o zaczerwienionej twarzy był smutny i wyjątkowo milczący. Podobnie jak większość kolegów z pracy i nie tylko był przybity śmiercią Munce'a. Erica wszyscy w mieście znali i lubili.

– Nikt nie złożył wam wizyty, Brynn. – Pomachał do Grahama.

– Okrążyłem kilka razy okolicę.

– Dzięki.

Podejrzewała, że Michelle już jest daleko, ale wołała zachować ostrożność. Obawiała się również Harta, który znał jej adres.

– Technicy zebrali dowody – mówił dalej Barnes. – Zamknąłem za nimi.

– Mówili coś?

– Nie. Znasz ich.

Byłoby dziwne, gdyby łuski z jej domu nie pasowały do niektórych znalezionych w domu nad jeziorem.

– Zmyśliła wszystko? – spytał Barnes. – Wcale nie była przyjaciółką Feldmanów?

– Właśnie.

– Co z twoją mamą? Słyszałem, że z tego wyjdzie.

– Przeżyje.

– Gdzie dostała?

– W nogę. Zatrzymają ją w szpitalu na dzień lub dwa.

– Przykro mi.

Brynn wzruszyła ramionami.

– Wielu ludzi nie przeżywa.

– Miała szczęście.

O ile szczęściem można nazwać przyprowadzenie przez córkę do domu uzbrojonej morderczynie.

– Dobranoc. Ktoś będzie miał cały czas oko na dom.

– Dziękuję, Jimmy. Do jutra.

– Przyjdiesz do pracy?

– Tak. Masz coś dla mnie?

– A, tak. – Barnes sięgnął na tylne siedzenie samochodu i podał jej ciężką papierową torbę. W środku był wysłużony policyjny glock, dwa zapasowe

magazynek oraz pudełko z amunicją. – Naładowany. Trzyście naboju.

– Dzięki.

– Odpocznij, Brynn.

– Dobranoc. I sto lat.

Sprawdziła magazynek, nim weszli do domu. Zniosła pistolet na górę i zeszła do kuchni. Joey jadł u sąsiadów pizzę, a teraz chodził wokół, wpatrując się w ściany podziurawione kulami, dopóki Brynn nie kazała mu przestać. Poszła wziąć długi gorący prysznic. Wytarła włosy ręcznikiem i spięła. Nie chciała uruchamiać hałaśliwej suszarki. Zmieniła opatrunek, włożyła dres i zeszła na dół. Graham podgrzewał wczorajsze spaghetti. Nie miała ochoty na jedzenie, lecz wiedziała, że zaniebawany przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny organizm wkrótce się zbuntuje, jeśli o niego nie zadba. Usiedli przy stole w jadalni i jedli w milczeniu. Wkrótce oparła się na krześle. Przeczytała etykietkę z piwa. Jak właściwie wygląda chmiel? – zastanawiała się.

– O co chodzi? – spytała Grahama.

– Hmm?

– W szpitalu chciałeś mi coś powiedzieć.

– Zapomniałem.

– Na pewno?

– Nie teraz. Późno już.

– Myślę, że teraz jest odpowiednia pora.

Joey oglądał telewizję w salonie.

– Joey, dość tego! – zawołał Graham. – Idź na górę poczytać książkę.

– Za chwili...

Brynn chciała się wtrącić, ale Graham podszedł do Joeya i powiedział coś, czego nie usłyszała. Telewizor zgasł, chłopak poszedł na górę z obrażoną miną. Jej mąż wrócił do stołu.

– Daj spokój, Grahamie. – Rzadko używali swoich imion.

– O co chodzi? Powiedz mi.

Graham wahał się przez chwilę.

– Wiesz, w jaki sposób Joey się wczoraj zranił? – odezwał się wreszcie.

– Miał wypadek na deskorolce. Pod szkołą.

– Nie pod szkołą. Wcale nie spadł z trzech schodków. Chwytał się ciężarówek na autostradzie.

– Nie zrobiłby tego.

– Skąd wiesz? Dlaczego tak mówisz? Przecież nie masz pojęcia.

Mrugnęła z zaskoczeniem.

– Zrobił to – ciągnął Graham. – Złapał się samochodu, który jechał prawie sto kilometrów na godzinę. Na Elden Street.

– Na autostradzie?

– Tak. Cały dzień tak się bawił.

– Nie wierzę.

– Dlaczego tak mówisz? Nauczycielka go widziała. Dzwonił pan Raditzky. Joey wagarował. Podrobił twój podpis na zwolnieniu.

– Jak to podrobił? – Brynn była wstrząśnięta.

– Podał rano zwolnienie, wyszedł ze szkoły i nie wrócił.

Wzniosła oczy do nieba. W kącie pokoju, na suficie, była dziura po kuli. Wielkości muchy. Pocisk doleciał aż tam.

– Nie miałam pojęcia. Porozmawiam z nim.

– Już próbowałam. Nie chciał słuchać.

– Czasem tak z nim bywa.

– To żadne wytłumaczenie. Nie wolno mu się w ten sposób zachowywać. Kłamał mi w żywe oczy. Zarekwirowałam deskorolkę na miesiąc.

– To na pewno... – Zamilkła. Instynktownie chciała wstawić się za synem, podważyć wiarygodność nauczyciela, przesłuchać świadków.

Graham był spięty. Zanosilo się na dłuższą rozmowę. Sama o nią prosiła.

– Pan Raditzky powiedział mi, jak naprawdę wyglądała tamta zeszłoroczna bójka. Ta, którą nazwałaś zwykłą przepychanką.

– Ten chłopak mu dokuczał. On...

– ...drwił z niego, wiem. Ale nie używał pięści. Tymczasem Joey dotkliwie go pobił. Rodzice chłopaka chcieli nas pozwać do sądu, a ty nie wspomniałaś mi nawet słowem na ten temat.

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Nie chciałam robić zamieszania wokół tej sprawy. Wykorzystałam służbowe kontakty, żeby go chronić.

– On nie jest ze szkła, Brynn. Nie rozpadnie się. Psujesz go. Jego pokój wygląda jak katalog z gadżetami dla młodzieży.

– Płacę za wszystko z własnych pieniędzy! – Pożałowała swoich kłujących słów. Graham skrzywił się z niesmakiem. Oczywiście, że nie chodziło o pieniądze.

– Uważam, że jesteś zbyt pobłażliwa. Nie potrafisz mu odmawiać, a przecież on potrzebuje czasem usłyszeć „nie”. Wydaje ci się, że wyrządziłabyś mu krzywdę, nie pozwalając na wszystko? Wyznaczaj mu

kary za nieposłuszeństwo.

– Przecież tak robię.

– Nieprawda. Masz wobec niego poczucie winy. Próbujesz mu coś wynagrodzić.

– Przesadzasz. Robisz z igły widły. – Roześmiała się nieswojo. Poczula na karku zimny dreszcz. – Ta bójka w szkole... To była sprawa między nami.

– No właśnie. Tu mamy problem. Ty i Joey. Nigdy my. Ja też jestem członkiem rodziny.

– To nie tak.

– A jak? Wyjaśnij mi. Rzeczywiście uważasz, że funkcjonujemy we trójkę jako rodzina? Czy też ty i twój syn macie własny świat?

– Jesteśmy rodziną, zależy mi na tym. Naprawdę. – Nie mogła spojrzeć mężowi w oczy.

Potrafiła być szczerą wobec Harta. I Keitha... Ale Graham był inny. To nie w porządku, pomyślała, że złoczyńców traktuję dobrze, a zaniedbuję i okłamuję porządnego człowieka.

– Nieważne. Kładźmy się spać. Jesteśmy zmęczeni – powiedział Graham, przeciągając się. Nie wypili piwa.

– Kiedy? – spytała.

– Co takiego?

– Kiedy odchodzisz?

– Brynn, skończmy tę rozmowę na dziś. – Roześmiał się. – Nigdy nie rozmawiamy na ważne tematy. A teraz nie możemy skończyć. Właśnie dziś, kiedy padamy z nóg. Chodźmy spać.

– Kiedy? – powtórzyła.

Przetarł oczy. Popatrzył na swoje dłonie. Miał je pokaleczone po wczorajszej nocy. Wydawał się zaskoczony.

– Nie wiem. Za miesiąc, tydzień... Naprawdę nie wiem.

– Spodziewałam się tego – westchnęła.

Ogarnęło go zakłopotanie.

– Jak to? Ja sam się nie spodziewałem aż do wczoraj.

Do wczoraj? Nie miała pojęcia, co o tym sądzić.

– Kim ona jest?

– Ona?

– Nie udawaj. Kobieta, z którą się spotykasz.

– Z nikim się nie spotykam. – Był urażony, jakby uciekła się do taniej obelgi.

Nie pozwoliła się zbić z tropu, choć straciła nieco pewności siebie.

– Poker u JJ’a – powiedziała surowo. – Często się na nim nie pojawiaasz.

– Szpiegowałeś mnie.

– Wyczułam, że mnie okłamujesz. Taki mam zawód.

W przeciwieństwie do mnie nie potrafi udawać, pomyślała.

Zareagował gniewem i niesmakiem.

– Co zrobiłaś? Założyłaś mi podsłuch w samochodzie? Poprosiłaś kogoś, żeby mnie śledził?

– Widziałam cię raz. Przypadkiem. Przed motelem Albemarle. Rzeczywiście, pojechałam za tobą następnym razem, kiedy wybrałeś się na pokera. Znowu pojechałeś do motelu... Co cię śmieszy?! – zdenerwowała się. – Złamałeś mi serce!

– Żeby złamać komuś serce, trzeba mieć do niego dostęp. Ja do twojego serca nie mam żadnego. Nigdy nie miałem.

– To nieprawda! Na zdradę nie ma usprawiedliwienia.

Pokiwał głową.

– Zdrada... Spytałaś mnie dlaczego? Powiedziałaś: „Kochanie, martwię się, chyba mamy problem. Porozmawiajmy. Spróbujmy go wspólnie rozwiązać”?

– Ja...

– Dowiedziałem się od twojej matki, co zrobił ci Keith. Wiesz, jaka była moja pierwsza reakcja? O mój Boże, już wszystko rozumiem. Jak mogłem się na ciebie złościć? Po chwili zdałem sobie sprawę, że mogłem. Miałem do tego prawo i powód. Powinnaś była mi powiedzieć. Zasługuję na to.

Brynn setki razy zastanawiała się nad wyznaniem mu prawdy. A jednak zmyśliła historyjkę o wypadku samochodowym. Nie potrafiła powiedzieć, że mąż wpadł w furję i ją pobił. Że nie mogła potem przez kilka miesięcy dojść do siebie, płakała pod byle pretekstem. Podskakiwała na dźwięk jego głosu. Rozpadła się na tysiąc drobnych kawałeczków, jak małe dziecko. Wstydziała się, że nie odeszła. Powinna była zabrać syna i po prostu wyjść. Bała się. Była słaba. A odkładanie tego zakończyło się tragicznie. Keith... Nawet teraz nie potrafiłaby opowiedzieć Grahamowi o wszystkim.

Rozumiała, że jest winna zbrodni milczenia. Nie potrafiła mówić wprost o swoich uczuciach. Dlatego zraniła Grahama, dlatego Keith... Czuła, że wskazówka doprowadzi ją do rozwiązania zbyt późno. Odkryła kluczowy dowód obciążający mordercę, który dawno zmarł z przyczyn naturalnych.

– Przepraszam – powiedziała. – Ale ty...

Sięgnął do kieszeni po portfel. Wystraszyła się, że chce jej pokazać zdjęcie kochanki. Tymczasem on podał Brynn niedużą wizytówkę. Zmrużyła oczy, usiłując odczytać drobny druk.

„Dr Sandra Weinstein, LLC. 2942 Albemarle Avenue, Ste. 302, Humboldt, Wisconsin”. Poniżej, dopisane długopisem: 17 kwietnia, piątek 19:30.

– Ona... – zaczęła Brynn.

– Jest terapeutką. Psychiatrą.

– Ty...

– Widziałas nas przed motelem. Nie wchodziliśmy do środka. Ona ma gabinet w sąsiednim budynku. Zazwyczaj jestem jej ostatnim pacjentem. Czasem wychodzimy razem. Prawdopodobnie widziałas nas właśnie w takiej sytuacji.

Pstryknęła wizytówką.

– Zadzwoń do niej – rzekł Graham. – Spotkajcie się. Zwolnię ją z tajemnicy lekarskiej. Idź z nią porozmawiać. Pomóż mi dociec, czemu bardziej kochasz pracę ode mnie. Dlaczego w radiowozie ci lepiej niż w domu. Pomóż mi być dobrym ojcem dla dziecka, do którego nie pozwalasz mi się zbliżyć. Dlaczego za mnie wyszłaś? Nie rozumiem. Kompletnie tego nie rozumiem.

Brynn próbowała niezdarnie ratować twarz.

– Czemu mi nie powiedziałaś? Nie zaproponowałaś wspólnej terapii? Zgodziłabym się!

Zwiesił głowę. Najwyraźniej dotknęła czułego punktu.

– Powinienem był. Sandra ciągle mi to proponuje. Kilka razy prawie się zebrałem. Nie potrafiłem.

– Dlaczego?

– Bałem się twojej reakcji. Sądziłem, że możesz mnie skreślić. Uznać, że za wiele oczekuję, i trzasnąć drzwiami. Albo przejąć inicjatywę i spowodować, że jeszcze bardziej się pogubię... Przekonać mnie, iż nie ma żadnego problemu. – Wzruszył ramionami. – Po prostu nie byłem w stanie nic powiedzieć. Teraz jest już za późno. Zbyt wiele na różni i dzieli. Najlepiej będzie dla nas obojga, jeśli się rozstaniemy.

– Przecież nie może być za późno. Nie podejmuj decyzji pod wpływem minionej nocy. Przeżyliśmy koszmar.

Nie oczekiwała takiego wybuchu. Graham poderwał się na nogi, przewracając krzesło. Piwo z butelki trysnęło na stół i talerze. Jej opanowany zazwyczaj mąż płonął wściekłością. Struchlała, dotknęła ręką żuchwy.

Wróciła myślami do tamtej nocy, z Keithem. Nie obawiała się, że Graham podniesie na nią rękę. A jednak osłoniła się odruchowo. Patrzyła na niego z lękiem. Przypomnił jej wilka, którego widziała w lesie. Zdała sobie jednak sprawę, że złość Grahama nie jest wymierzona w nią. Złościł się wyłącznie na siebie.

– Muszę podjąć decyzję pod wpływem tego, co się wydarzyło. Właśnie to zdecydowało, Brynn. Wczorajsza noc...

Nie wiedział, że odejdzie. Aż do wczoraj... Co miał na myśli?

– Nie rozumiem.

– Eric – powiedział z głębokim westchnieniem.

– Eric Munce?

– Zginął przeze mnie.

– Przez ciebie? Skąd! Jego brawura była słynna w całym mieście. Cokolwiek zaszło, nie jesteś za to odpowiedzialny.

– Właśnie że jestem! To moja wina.

– Co ty pleciesz?

– Wykorzystałem go! – Broda zaczęła mu drzeć. – Wiedziałem, że był lekkomyślny. Nikt nie chciał cię szukać w okolicach szosy międzystanowej. A ja byłem pewien, że tam poszłaś. Powiedziałem Ericowi, że jeżeli ma ochotę na prawdziwą akcję, powinien wybrać się ze mną. Ponieważ wiem, gdzie są zabójcy. – Graham potrząsnął głową. – Zwabiłem go, niczym psa na ulubiony smakołyk... A teraz nie żyje. Przeze mnie. Ponieważ wtrąciłem się w nie swoje sprawy. Będę musiał z tym żyć do końca.

Odtrącił jej dłoń.

– Po co mnie szukałeś? – zapytała.

Zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Och, Brynn. Zarabiam na życie sadzeniem roślinek. Ty nosisz do pracy broń i bierzesz udział w pościgach. Wieczorami ja mam ochotę oglądać telewizję, a ty pogłębiasz wiedzę na temat najnowszych metod przeprowadzania testów toksykologicznych. Nie mogę z tobą konkurować. A już na pewno nie w oczach Joeya... Nie mam pojęcia, co mi wczoraj strzeliło do głowy. Może odkryłem swojego wewnętrznego wojownika. Chciałem się sprawdzić. Śmieszne. Przyczyniłem się tylko do śmierci człowieka... Nie powinienem był się wtrącać. I tutaj też nie mam nic do roboty. Nie chcesz mnie, Brynn. A już z całą pewnością nie potrzebujesz.

– Nie, kochanie, mylisz się...

– Tak – szepnął. Zdecydowanym gestem uciął rozmowę. Ścisnął żonę

delikatnie za ramię. – Chodźmy spać.

Brynn z roztargnieniem wycierała rozlane piwo. Papierowe serwetki się rozpadły. Poszła po ścierkę. Przy okazji otarła oczy. Graham zszedł na dół, niosąc koc i poduszkę. Nie patrząc na nią, zrobił sobie posłanie na kanapie, po czym zamknął drzwi salonu.

Gotowe, proszę panią – oznajmił malarz.

Brynn omiotła wzrokiem ściany i sufit bez śladu dziur po kulach.

– Ile płacę? – Rozejrzała się w poszukiwaniu książeczki czekowej.

– Rachunek przyjdzie pocztą. Nie obawiamy się oszustwa z pani strony. – Wskazał jej mundur. Uśmiechnął się, a po chwili spoważniał.

– Jutro pogrzeb pana Munce’a?

– Tak.

– Moje wyrazy współczucia z powodu tego, co się stało. Syn malował kiedyś jego garaż. Pan Munce traktował go z wielkim szacunkiem i uprzejmością. Nie wszyscy tacy są. Poczęstowali go mrożoną herbatą... Przykro mi.

Skinęła głową.

Przyglądała się pustym ścianom. Powinna z powrotem powiesić obrazy. Nie miała siły. W domu panowała cisza. Zerknęła na listę rzeczy do zrobienia. Musiała wykonać kilka telefonów, sprawdzić, co wniosły do śledztwa dowody, przeprowadzić kilka przesłuchań. Jakiś Andrew Sheridan usiłował się z nią skontaktować dwukrotnie w sprawie akt Emmy Feldman, które znaleziono w domu nad jeziorem. Telefonował człowiek z biura prokuratora stanowego. Para ranna w wypadku na szosie postanowiła wnieść do sądu sprawę o odszkodowanie. Podobnie jak jeden z sąsiadów Feldmanów, do którego domu się włamano. Amoniak uszkodził podłogę. No i były jeszcze dziury po kulach. Musiała też napisać raport. Odkładała to, jak długo mogła. Usłyszała czyjeś kroki na ganku. Czyżby Graham? Poszła otworzyć drzwi.

– Dzwonek chyba nie działa – powiedział Tom Dahl.

– Cześć. Wejdz.

Szeryf popatrzył na gładkie ściany.

– Jak się czuje twoja mama?

– Dobrze. Jest waleczna. – Wskazała zamknięte drzwi do salonu.

– Urządziliśmy jej sypialnię na dole. Odpoczywa teraz.

– Postaram się nie mówić zbyt głośno.

- Bierze tyle leków, że nie obudziłby jej ostrzał artylerii. Szeryf usiadł i rozmasował nogę.
- Podobało mi się sformułowanie, którego użyłaś, opisując sytuację. Porzucone ofiary. Pasuje jak ulał.
- Pojawiło się coś nowego, Tom?
- Niewiele. Zastrzelony przestępca to Compton Lewis. Mieszkał w Milwaukee.
- Compton to jego imię?
- Wszelkie wątpliwości kieruj do jego rodziców. Był zwykłym wykolejencem i złodziejaszkiem z wielkimi ambicjami. Pracował na budowach, a po godzinach zajmował się drobnymi szwindlami, kradzieżami, napadami. Jego największe osiągnięcie to próba obrobienia faceta napędniającego bankomat. Lewis zrobił to wraz z kilkoma kumplami, prawdopodobnie był kierowcą. Upuścił kluczyki do samochodu w zaspę. Reszta uciekła, a jego przyskrzynili. Odsiedział pół roku. Jedyne krewne, do jakiego udało mi się dotrzeć, to jego starszy brat. Reszta rodziny jest poza granicami stanu. Brat ciężko przyjął wiadomość. Rozpłakał się jak dziecko. Rozłączył się i oddzwonił po trzydziestu minutach... Niewiele miał do powiedzenia, ale mogę ci dać jego numer, jeśli chcesz z nim sama pogadać.
- Podał jej kartkę.
- A Hart? – Osobiście przeszukała wszystkie bazy danych w pięciu stanach. Wpisywała: Hart, Heart, Harte, Hartman, Harting... Nic nie znalazła.
- Nie mamy się czego uchwycić. Dobry jest. Nie zostawił ani jednego odcisku palca. Zabrał pocisk, którym został postrzelony. Zna się na rzeczy.
- Michelle? Przepuszczalnie podała Hartowi i Lewisowi fałszywe dane, ale wydaje mi się, że Michelle to jej prawdziwe imię. Przeszukali jej torebkę. Poza tym nie miała powodu, żeby mnie okłamywać. Byłam spisana na straty.
- FBI bardzo się nią interesuje. Są pewni, że wynajął ją Mankewitz. Zależy im na udowodnieniu tego. Jak dotąd nic konkretnego nie mają.
- Pokazują jej portret pamięciowy w klubach fitness i szkołach aktorskich?
- Brynn była niemal pewna, że opowieści Michelle na temat własnego życia zostały wyssane z palca, by wzbudzić współczucie. Jednak zostały przekazane w tak wiarygodny sposób, że warto było je sprawdzić.
- Chyba zaczynają od góry. Prześwietlają kontakty Mankewitza.
- Dahl założył akta w sprawie śmierci czterech osób prowadzących nielegalne laboratorium. Hart i Lewis odpowiadają za ich zamordowanie.

Nie ustalono tożsamości ani powiązań tajemniczego strzelca z lasu. Znaleźli miejsce, z którego strzelał, natomiast nie udało się z niego pozyskać żadnych dowodów. Łuski zostały zabrane, a ślady butów zatarte.

– Kolejny zawodowiec – mruknął Dahl. – Jak się miewa ta dziewczynka?

– Amy? Szukają dla niej rodziny adopcyjnej.

– To smutne.

– Nie zgadzam się z tobą, Tom. Teraz przynajmniej ma szansę na normalne życie. Nie przetrwałaby z Gandym i jego żoną... Wygląda na całkiem zadowoloną ze zmiany.

– Widziałaś się z nią?

– Dziś rano. Zawiozłam jej nowego Chestera.

– Nowego...?

– Maskotkę. Nie wiem, co to. Jakiś małpo-osioł. Zamierzałam wybrać się do parku i odzyskać oryginał, ale nie potrafiłam się zmusić.

– To by było zbyt wiele, Brynn. A fizycznie nic jej nie jest?

– Nie była molestowana.

– Dzięki Bogu.

– Ale te ślady na szyi? – Brynn wykrzywiła się z wściekłości.

– Lekarz stwierdził, że powstały kilka godzin przed badaniem.

– Kilka godzin? To znaczy, że zrobiła je Michelle?

– Tak – westchnęła. – Amy zaczęła krzyczeć, kiedy Hart i Lewis znajdowali się w pobliżu. Michelle wzięła ją na bok, na rozmowę, po której dziewczynka ucichła. Nic dziwnego, została niemal uduszona, biedactwo.

– Jezu, co za wiedźma!

– Amy od tamtej pory była śmiertelnie przerażona. Nie skojarzyłam faktów.

– Biedne dziecko. To dobrze, że pojechałaś ją odwiedzić.

– FBI powiadomi nas o wynikach sprawdzania powiązań Mankewitza, czy też ma nas za wioskowych głupków?

– Nigdy nie rozumiałem tego wyrażenia.

Brynn uniosła pytająco brwi.

– Mają nas za wioskowych głupków, ale obiecali zadzwonić – powiedział Dahl.

– Poproszę o numer telefonu. Sama zadzwonię z pozdrowieniami.

Dahl odszukał wizytówkę jednego z agentów, Brynn spisała dane.

– Wyglądasz na przemęczoną – rzekł szeryf. – Należy ci się wolne. Jako twój przełożony nalegam. Odpocznij. Przekaż domowe obowiązki

Grahamowi. Prawdziwy mężczyzna potrafi odnaleźć się w kuchni, sklepie i pralni. Na przykład ja. Carole mnie wytresowała.

Brynn się roześmiała. Nie chciała okazać smutku.

– Zgadzam się. Obiecuję, że tak zrobię. Tylko jeszcze nie teraz. Mamy otwarte sprawy morderstw popełnionych na naszym terenie. Niezależnie od powiązań z Mankewitzem i śledztwem federalnym, musimy się wywiązać ze swoich obowiązków.

– Co zamierzasz?

– Pójść za poszlakami. Niezależnie od tego, gdzie prowadzą. Tu, do Milwaukee, gdziekolwiek. – Postanowiła na początek rozejrzeć się po szkołach aktorskich i klubach fitness. Oraz strzelnicach. Dziewczyna świetnie strzelała.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Możesz mnie zwolnić.

Zachichotał.

– Patrz, na co nam przyszło – westchnęła.

– Zazwyczaj nie da się pochwycić kuli w locie. Często się jej nawet nie słyszy.

– Co robicie z Carole w ten weekend?

– Zastanawiamy się nad pójściem do kina. Jeśli teściowa zgodzi się popilnować dzieci. Nastoletnia opiekunka liczy sobie dziesięć dolców za godzinę i jeszcze splądruje lodówkę. Nie mówiąc o obowiązkowym ciepłym posiłku, który musisz jej zapewnić. A ile ty płacisz?

– My z Grahamem nie wychodzimy zbyt często.

– No pewnie. Przyjemniej zostać w domu, zjeść wspólną kolację. Po co wychodzić? Zwłaszcza, kiedy ma się kablówkę. Dobra, będę leciał.

– Pozdrów Carole.

– Pozdrowię. A ty swoją mamę. Przekaż jej życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

Odprowadziła go wzrokiem i wróciła do pierwszego punktu na swojej liście spraw do załatwienia.

[1] Guglielmo Marconi – włoski fizyk i konstruktor. Przyczynił się między innymi do rozwoju telegrafii bezprzewodowej (wszystkie przypisy tłumacza).

[2] Sprint Nextel – amerykańska firma telekomunikacyjna specjalizująca się w telefonii bezprzewodowej.

[3] National Crime Information Center (Krajowy Rejestr Karny).

[4] Violent Criminal Apprehension Program – specjalny oddział FBI zajmujący się analizą zbrodni ze szczególnym okrucieństwem.

[5] Bell System, „Ma Bell”, grupa firm świadczących usługi telekomunikacyjne od ich wprowadzenia pod koniec XIX w. aż do 1984 roku, kiedy została rozwiązana.

II

Maj

Stanley Mankewitz spojrział na swoje odbicie w restauracyjnej szybie. Zapadał zmierzch. Był pierwszy maja, ale pogoda raczej marcowa. Międzynarodowe Święto Pracy ustanowione pod koniec lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku przez międzynarodówkę odgrywało ważną rolę w życiu Mankewitza. Data upamiętniała pamięć robotników, którzy zginęli podczas zamieszek w maju 1886 roku na placu Haymarket. Domagali się wprowadzenia ośmiogodzinnego dnia pracy. Pierwszy Maja był świętem ludzi pracy, których z wielkim zaangażowaniem reprezentował. Święto przypominało mu również o tym, że czasem cel uświęca środki, a wspólne dobro wymaga ofiar.

Nad jego biurkiem, jako życiowe motto, wisiały ostatnie słowa Augusta Spiesa, jednego ze skazańców powieszonych za udział w masakrze na Haymarket. Spies powiedział: „Tutaj zادهczecie iskrę, lecz (...) gdzie indziej wybuchną płomienie”.

Ofiary...

Pogrążony w zadumie nad istotą daty Mankewitz studiował odbicie swojej potężnej sylwetki. Czasem ubolewał z powodu tuszy, ale dziś martwił go wyraz znużenia widoczny w całej postawie ciała. Z pewnością zmęczenie odcisnęło piętno także na twarzy, której dokładnie nie widział.

Zaczął jeść kanapkę. Jak zwykle dali mu ser amerykański zamiast szwajcarskiego, o który prosił. A w sałatce colesław znów było za dużo majonezu. Czemu w ogóle tu przychodzi? – zastanawiał się z rozdrażnieniem.

Wspomniał niedawno Jasonsowi, że detektyw o wyglądzie hobbita stał się zbędny. Zaczynał tracić zimną krew. Po śmierci Emmy Feldman rozpętało się prawdziwe piekło. Mankewitz został zaproszony na przesłuchanie przez FBI oraz prokuratora stanowego. Wybrał się w towarzystwie adwokata. Na

niektóre pytania udzielił odpowiedzi, na inne nie. Pożegnano go chłodno. Adwokat niczego nie wywnioskował z zachowania prowadzących przesłuchanie.

Po jakimś czasie Mankewitz się dowiedział, że kancelaria, w której pracowała Emma Feldman, rozważa wszczęcie przeciwko niemu procesu w sprawie śmierci pracownika i poniesionych w związku z nią strat finansowych. Adwokat uważał, że to jakieś brednie, ponieważ procedury postępowania w sprawie o morderstwo są zupełnie inne. Cholerne groźby. Mankewitz był wściekły.

– A może to są brednie dlatego, że nikt nie udowodnił, iż miałem coś wspólnego ze śmiercią Emmy Feldman?

– Nie wspominałem o tym, bo jest to dla mnie oczywiste.

Oczywiste!

James Jasons zajął miejsce naprzeciwko Mankewitza. Zamówił dietetyczną colę.

– Nie jesz – zauważył otyły mężczyzna.

– To zależy.

Czyli co? – pomyślał Stanley Mankewitz.

– Mam kilka świeżych informacji.

– Słucham.

– Zatelefonowałem do tamtejszego szeryfa jako pogrążony w żałobie przyjaciel Feldmanów, Ari Paskell. Przycisnąłem go. Dlaczego jeszcze nie złapaliście morderców? I tak dalej.

– Dobrze.

– Nie podejrzewa, że nie jestem tym, za kogo się podałem.

– Co ci powiedział?

– Właściwie nic. Obowiązuje go tajemnica. Upewniłem się tylko, że nie zaliczył mnie do grona podejrzanych.

Mankewitz ufał jego osądowi. Pokiwał głową.

– Jak się miewa twoja dziewczyna?

Pytał o Kristen Brynn McKenzie. Jasons niedługo po wydarzeniach z nocy z siedemnastego na osiemnasty kwietnia sprawdził, kto prowadzi śledztwo w sprawie zabicia Feldmanów. Był palant z FBI

– Brindle, dwóch policjantów z Milwaukee, ale tak naprawdę sprawę ciągnęła kobieta z małego miasteczka.

– Trudno za nią nadążyć. Prze naprzód jak buldożer.

Stan powstrzymał się od komentarza na temat prędkości rozwijanej przez

buldożery.

– Jest skuteczniejsza niż FBI i policja z Milwaukee razem wzięci.

– Wątpię.

– Ciężej pracuje. Odwiedziła Milwaukee już czterokrotnie od czasu popełnienia morderstw. Sprawdza poszlaki.

– To chyba wykracza poza jej jurysdykcję.

– Tym raczej nikt sobie nie zaprzęta głowy. Po tym, co zaszło w powiecie Kennesha. No i przecież zginęła prawniczka.

– Dlaczego ja wiecznie wpadam w kłopoty?

James Jasons nie potrafił lub nie chciał udzielić odpowiedzi. Zresztą związkowiec uznał pytanie za retoryczne. Miał kłopoty, ponieważ uważał, że chętni do ciężkiej pracy imigranci zasługują na swobodny dostęp do stanowisk ludzi, którzy nie cenili swojej pracy. Co gorsza, miał odwagę mówić o tym publicznie.

– Zatem pani McKenzie nie spocznie, póki nie odkryje prawdy.

– Nie spocznie – przyznał Jasons.

– Żądna zaszczytów?

– Raczej nie – odparł prawnik po zastanowieniu.

– O co jej chodzi wobec tego?

– O zamknięcie bandytów.

Jasons przypomniał szefowi o osobistym udziale Brynn McKenzie w kwietniowych wydarzeniach. Na własne oczy widział, jak nieuzbrojona policjantka, stojąc na szczycie urwiska, zrzuciła kamienie i kłody na prześladowców ostrzeliwujących ją z broni palnej. Zrezygnowała, dopiero kiedy Jasons zaczął strzelać. Mankewitz nie miał wątpliwości, że nie polubiłby pani McKenzie. A jednak żywił do niej szacunek.

– Co odkryła?

– Nie wiem. Była w zachodniej części Milwaukee, nad jeziorem, w Brewline, Madison i Kenosha. Potem spędziła dzień w Minneapolis. Działała bez przerwy.

Rozpędzony buldożer.

– Masz cokolwiek, co mógłbym wykorzystać?

Jasons nigdy niczego nie notował. Teraz także mówił z pamięci.

– Jedną rzecz.

– Słucham.

– Ona ukrywa pewną tajemnicę.

– Zdradź mi ją.

– Sprawa sprzed sześciu, siedmiu lat. Dotyczy byłego męża, znanego i zasłużonego policjanta. Miał trudności z utrzymaniem nerwów na wodzy. Bił ją.

– Damski bokser.

– Strzelono do niego.

– Strzelono?

– Wypadek w kuchni podczas czyszczenia broni.

– No i co?

– Nie strzelano przypadkowo. Zatuszowano sprawę. Być może, sprawa sięga aż do Madison.

– Kiedy to wyjdzie na jaw, polecą głowy?

– Pewni ludzie stracą pracę, a niektórzy nawet trafią za kratki.

– Masz cokolwiek poza plotkami?

Jasons wyjął aktówkę.

– Dowód.

Jak na takiego wymoczka, facet był skuteczny, zdaniem Mankewitza.

– Mam nadzieję, że okaże się pomocny.

Mankewitz otworzył akta i zaczął czytać. Jego brew powędrowała do góry.

– Bardzo pomocny. Dzięki – powiedział serdecznie. – A, i przy okazji: wszystkiego najlepszego z okazji Święta Pracy.

Był zadowolony ze swojego tymczasowego domu. Podobało mu się Green Bay. Nie było tak górzyste i malownicze jak okolice jeziora Mondac, ale tereny nad zatoką i tak uważał za bajkowe. A przemysłowy klimat Fox River kojarzył mu się z dzieciństwem, kiedy to odwiedzał ojca w pracy, w hucie stali. Uwielbiał chodzić po halach w kasku na głowie, wdychać zapach dymu, węgla, roztopionego metalu oraz gumy.

Wynajął dom w dzielnicy robotniczej, na jednej z ponumerowanych ulic. Daleko mu było do pałacu, ale nie kosztował wiele i miał wszelkie wygody. Jedyne problemy Harta polegały na tym, że się nudził. Nie cierpiał okresów przestoju, lecz rozumiał, że są konieczne. Nie miał wyboru.

Kiedy już nie mógł wytrzymać, jechał do rezerwatu leśnego. Lubił te wycieczki. Droga, którą jeździł, nazywała się Lakeview Drive. Niemal tak samo, jak ta prowadząca do domu nad jeziorem Mondac. Chadzał na spacer lub przesiadywał w samochodzie i pracował. Miał kilka aparatów telefonicznych na kartę. Rozmawiał w sprawie przyszłych zleceń.

Właśnie wracał z jednego ze swoich spacerów. Na jednej z polan dostrzegł

gromadkę dzieci tańczących wokół wymalowanego i ukwieconego słupa pierwszomajowego. Po tańcach rozpoczął się piknik. Dzieci usiadły do jedzenia. Niedaleko stał żółty szkolny autobus.

Hart wrócił do siebie. Dla pewności zrobił rundkę po okolicy, żeby się rozejrzeć. Od razu po wejściu do domu sprawdził wiadomości. Przeprowadził kilka rozmów z telefonu komórkowego na kartę. Potem poszedł do garażu, gdzie urządził sobie mały warsztat stolarski. Pracował nad własnym projektem. Najpierw poświęcał zajęciu jedną, dwie godziny dziennie. Teraz spędzał w warsztacie co najmniej po cztery godziny.

Polerował drewno ręcznie. Wrócił myślami do kwietniowej nocy w parku stanowym. Dęby, jesiony, klony, orzechy. Mnóstwo świetnego materiału do pracy. Materiału, który tam wznosił się jako ogromne, potężne, groźne drzewa, a on kupował w postaci wygładzonych, pociętych kawałków. Z jednej strony żałował ściętych drzew. Z drugiej strony wierzył, że nadając drewnu inny kształt, zamieniając w coś użytecznego, oddaje mu cześć. Obecnie pracował nad inkrustowaną skrzynką. Był zadowolony z efektów. Może podaruje ją komuś, jeszcze nie zdecydował.

Wieczorem pojechał do centrum. Wstąpił do ciemnego baru na chili i piwo. Usiadł na wysokim stołku przy kontuarze. Skończył jeść, zamówił kolejne piwo i przeszedł do innej sali. Trwał mecz koszykówki. Odbywał się na zachodnim wybrzeżu, tam była nieco wcześniejsza godzina. Kibice zaczęli spoglądać na zegarki i wychodzić. Wynik wynosił 92 do 60, zbliżał się koniec drugiej połowy i entuzjazm powoli wygasał. Zresztą to tylko koszykówka, a nie futbol.

Popatrzył na ściany obwieszane szyldami starych browarów. Loaf and Stein, Heileman, Foxhead. Przypuszczał, że były niegdyś słynne, choć nigdy o nich nie słyszał. Z szyldu Hibernia Brewing wlepiął w niego złowrogie ślepie olbrzymi dzik z wielkimi kłami. Było też zdjęcie ekranu telewizyjnego, z którego spoglądały dwie kobiety. Po spodem napisano długopisem: „Pozdrowienia od Laverne i Shirley”.

Poprosił o rachunek. Kelnerka traktowała go z uprzejmym dystansem. W zeszłym tygodniu próbowała z nim flirtować, ale spotkała się z chłodną reakcją. Nie potrzebowała kolejnego odrzucenia. Uregulował należność i podjechał pod inny bar, nieopodal, na Broadway District. Schował się w cieniu alejki.

O pierwszej z baru wyszedł mężczyzna. Od tygodnia wychodził o tej samej porze. Hart przystawił mu pistolet do pleców i zaciągnął w głąb zaułka.

Freddy Lancaster potrzebował sekundy na decyzję. Uznał, że bezpośrednio zagrożenie ze strony Harta jest gorsze niż równie niebezpieczna, aczkolwiek znajdująca się dalej Michelle Kepler. Hart zerknął przez ramię, oddał strzał i wrócił do samochodu.

Pojechał do domu, rozmyślając nad kolejnym krokiem. Freddy twierdził, że ani on, ani Gordon Potts nie znają dokładnego adresu Michelle. Raczej nie kłamał. Hart wydobył tak dużo innych informacji, że wkrótce ją dopadnie. Najpierw jednak zajmie się tym, o czym marzył od kilku tygodni. Ziewnął, postanowił się przedtem porządnie wyspać. Nie musi wyjeżdżać z samego rana. Droga do Humboldt w stanie Wisconsin nie potrwa dłużej niż trzy godziny.

Kristen Brynn McKenzie przy kontuarze baru jadła rosół i popijała napój bez cukru. Był czwartego maja, poniedziałek, wpół do trzeciej, a bar mieścił się w Milwaukee. Brynn niedawno zakończyła spotkanie z agentem FBI oraz detektywem policji stanowej. Porównywali wyniki swojej pracy śledczej dotyczącej kwietniowych morderstw w okręgu Kennesha.

Okazało się, że słusznie postąpiła, umawiając się z nimi. Wytknęła kolegom, że bardziej im zależy na odnalezieniu ogniwa łączącego Mankewitza ze sprawą, mniej się skupiają na pochwyceniu sprawców brutalnych morderstw. Zrobili współczujące miny, lecz jej stwierdzenie nie zrobiło na nich najmniejszego wrażenia. Może nieco uraziła ich dumę, to wszystko. Z drugiego spotkania wyszła mocno zirytowana. Postanowiła zjeść lekki obiad i ruszyć w drogę do domu.

W ciągu minionych tygodni pokonała ponad cztery tysiące kilometrów bardzo wysłużoną toyotą camry. Zatopiona honda, zdaniem firmy ubezpieczeniowej, została zniszczona w wypadku na miejscu pracy, w związku z czym ubezpieczenie osobiste nie mogło pokryć straty. Brynn kupiła używany samochód za własne oszczędności. Zrobiła to z bólem serca, martwiąc się o swoją finansową przyszłość.

Graham ją opuścił.

Wracali jeszcze wiele razy do rozmowy z osiemnastego kwietnia. Graham wciąż nie pogodził się ze śmiercią Erica Munce'a, za którą obwiniął wyłącznie siebie. Do niej nie miał pretensji. Keith miałby z całą pewnością.

Wyprowadził się kilka dni temu do wynajętego domu oddalonego o dwadzieścia minut jazdy. Było jej przykro, tęskniła... Poczuła także pewną ulgę. Jej emocje zostały w znacznej mierze zamrożone. Specjalizowała się w

kłopotach rodzinnych. Zdawała sobie sprawę, że musi minąć trochę czasu, nim oboje zdecydują, co robić dalej.

Nie przestał płacić swojej części rachunków. Właściwie robił znacznie więcej, pokrywając wydatki za leczenie Anny, których nie zwracało ubezpieczenie. Niemniej dotychczas żyli z dwóch źródeł dochodów, teraz Brynn musiała zacząć ostrożniej planować wydatki.

Zjadła jeszcze trochę chłodnej zupy. Zabrzęczał telefon. Odebrała natychmiast, widząc na wyświetlaczu imię Joeya. Zadzwoił, żeby się zameldować. Opowiedział, jak było na gimnastyce i matematyce, ona odpowiadała z ożywieniem. Po chwili musiał kończyć, bo miał jeszcze jedną lekcję.

Wzięła pod uwagę opinię Grahama na temat wychowania chłopca. Przeprowadziła małe dochodzenie, które potwierdziło niebezpieczne wyczyny na deskorolce oraz wagarowanie. Miał szczęście, że nic poważnego mu się nie stało. Przeprowadziła z synem kilka trudnych rozmów wspierana, ku swemu zaskoczeniu, przez matkę. Brynn wtargnęła w życie swojego syna niczym komandos spuszcający się na linie z helikoptera. Pozwoliła mu na jazdę na deskorolce wyłącznie w swojej obecności w lokalnym klubie młodzieżowym. Pod warunkiem że będzie wkładał kask.

– Daj spokój, mamó. Nie wygłupiaj się.

– Nie masz wyboru. Przez resztę czasu deskorolka będzie leżała pod kluczem, w moim pokoju.

Westchnął demonstracyjnie, ale nie protestował więcej.

Wymagała od niego także regularnego meldowania się przez telefon i powrotów do domu w czasie nie dłuższym niż dwadzieścia minut od zakończenia lekcji. Rozbawiła ją jego reakcja na przypomnienie, że policja ma umowę z miejscową siecią telefoniczną, która pozwala na ustalenie dokładnego miejsca, gdzie znajduje się aparat komórkowy, nawet jeśli nie jest używany. Nie minęła się z prawdą, nie wspomniała jedynie, że gdyby wykorzystwała drogę służbową do ustalenia miejsca pobytu syna, popełniłaby wykroczenie.

Udawało jej się zapanować nad buntem Joeya, jednak nie mogła ulżyć jego cierpieniu po odejściu Grahama. Mimo że jej mąż pozostawał w stałym kontakcie z pasierbem, chłopiec bardzo przeżywał rozstanie. Nie wiedziała, jak temu zaradzić. To nie ona odeszła. Jeszcze nie wpadła na żaden pomysł naprawy sytuacji. Odsunęła talerz z zupą. Tak wiele się zmieniło od tamtej nocy.

Tamta noc... kamień milowy w jej życiu. Znow była samotną matką. Syn sprawiał trudności wychowawcze. Jej własna mama wymagała opieki. I nic jej nie mogło powstrzymać przed złapaniem Michelle i Harta. Spróbowała wyciągnąć jakieś wnioski z rozmów z agentem FBI i policjantem stanowym. Nagle zdała sobie sprawę, że w barze zapanowała przeraźliwa cisza. Wszyscy zniknęli. Kelner, barman, chłopak sprzątający naczynia. Pomyślała o szczupłym mężczyźnie, który szedł za nią od posterunku. Przystanęła przed wystawą sklepową, on odebrał telefon. Albo udał, że odbiera, i również się zatrzymał. Wtedy go nie podejrzewała. Zaczęła wstawać, zaniepokojona, kiedy poczuła na plecach podmuch powietrza. Drzwi się zamknęły, a za nią stanęło co najmniej dwoje ludzi. Zamarła. Jej broń była schowana pod żakietem i płaszczem. Zginie, zanim zdąży rozpiąć choć jeden guzik. Odwróciła się, nic innego jej nie pozostało. Spodziewała się zobaczyć zimne szare oczy Harta oraz wycelowany w nią pistolet.

– Pani detektyw, nazywam się Stanley Mankewitz – odezwał się tęgi, mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna.

– Nie jestem detektywem, jestem z biura szeryfa.

Drugi mężczyzna o mikrej posturze i chłopięcym wyglądzie był tym samym, który ją śledził. Uśmiechał się, ale jego uśmiech nie miał nic wspólnego z dobrym humorem. Milczał.

– Mogę? – spytał Mankewitz, przysiadając się.

– Ociera się pan o porwanie.

– Ależ może pani w każdej chwili wyjść. Jakie porwanie?

– Wydawał się szczerze zaskoczony.

Gestem dał znak swojemu towarzyszowi, żeby usiadł przy najbliższym stoliku. Wrócił barman.

– Tylko kawę – zamówił Mankewitz. – I colę bez cukru dla kolegi.

Barman obsłużył nowych gości.

– Coś jeszcze dla pani? – spytał. Jakby chciał powiedzieć: „Może serniczek w ramach ostatniego posiłku?”.

– Tylko rachunek.

Mankewitz dokładnie odmierzył ilość cukru i śmietanki dodawanej do kawy.

– Słyszałem, że kilka tygodni temu spotkała panią nie lada przygoda.

Tamta noc...

– Skąd pan wie?

– Oglądam wiadomości.

Sprawił wrażenie niezwykle pewnego siebie. Poczula niepokój, ale też ulgę. Nie groziło jej bezpośrednio fizyczne niebezpieczeństwo. Najwyraźniej prześladowca uznał, że nie musi uciekać się do przemocy, ponieważ dysponuje innymi środkami mogącymi zrujnować. Wydawał się przekonany o swojej władzy. W pewnym sensie przypominał jej Harta.

– Informacja to potęga – kontynuował związkowiec. – Kiedy byłem mały, a pani jeszcze nie było na świecie, codziennie oglądaliśmy lokalne wiadomości, od piątej do szóstej. Potem z kraju i ze świata. Walter Cronkite, Huntley i Brinkley... Tylko pół godziny. Mnie to nie wystarczało. Jestem żądny wiedzy. Uwielbiam CNN. Mam ustawioną ich stronę jako główną w komputerze kieszonkowym.

– To nie wyjaśnia pana obecności tutaj. Moja decyzja o przyjeździe była spontaniczna... Jak się pan dowiedział o umówionym spotkaniu?

Zawahał się, najwyraźniej jej rozumowanie toczyło się właściwym torem, opłacał kogoś w policji.

– A może zwyczajnie panią śledziłem?

– On z pewnością – warknęła, spoglądając na szczupłego współnika Mankewitza.

Stanley Mankewitz uśmiechnął się, upił łyk kawy i tęsknie popatrzył na obrotową wystawę z deserami.

– Dzielimy wspólną pasję.

– Ciekawe jaką.

– Poszukiwanie zabójcy Emmy Feldman.

– Czyżbym się myliła, sądząc, że właśnie popija kiepską kawę w moim towarzystwie?

– Rzeczywiście nie jest najlepsza. Skąd pani wie?

– Rozpoznałam po zapachu.

Popatrzył na puszkę napoju bez cukru obok jej talerza.

– Powariowaliście z tymi dietami. One szkodzą zdrowiu bardziej niż łakomstwo. I myli się pani, jeśli uważa mnie za zabójcę.

Obejrzała się. Drugi mężczyzna popijał swój napój i wpatrywał się w kieszonkowy komputer. Jaka była jego główna strona?

– W powiecie Kennesha z pewnością nie spotykacie się zbyt często z takimi morderstwami, jak to.

– Jak te – poprawiła go. – Zginęło kilka osób. – Poczula przypływ brawury. Nie obawiała się o swoje życie w obecności świadka. Nawet jeśli barman był przekupny.

- Rzeczywiście.
- Zastanówmy się. Jakiego rodzaju sprawy prowadzimy najczęściej? Przemoc domowa. Przypadkowy strzał podczas napadu z bronią w rękę. Wypadki w nielegalnych laboratoriach.
- Narkotyki szkodzą. Bardzo szkodzą.
- Wielkie mi odkrycie, pomyślała.
- Jeśli oglądał pan „Drogówkę”, to wie, czym jeszcze się zajmujemy.
- Zdarzenia z siedemnastego kwietnia was zaskoczyły. – Nadal popijał kiepską kawę. – Należy pani do związku zawodowego policjantów?
- Nie. Nie w Kennesha.
- Wierzę w związki, proszę pani. Cenię uczciwą pracę i uważam, że każdy powinien dostać równe szanse na początku wyścigu. Wykształcenie. Szkoła pomaga. Podobnie jak związek. Wyrównuje szanse. Przynależność zapewnia przestrzeganie przez pracodawcę podstawowych praw należnych pracownikowi. Jeżeli komuś wystarcza stała pensja i ubezpieczenie, to bardzo dobrze. Ale można też potraktować je jako trampolinę. Początek czegoś większego.
- Trampolinę?
- Może źle się wyraziłem. Brakuje mi kreatywności. Wie pani, co mi zarzucają?
- Nie w szczegółach. Przekręt dotyczący nielegalnych imigrantów.
- Zarzucają mi rozdawanie ludziom dokumentów sfałszowanych lepiej niż te kupowane na ulicy. Potem oni znajdują pracę w miejscach, gdzie pracodawcy zatrudniają personel niezrzeszony, i werbują dla nas nowych członków.
- To prawda?
- Nie. – Uśmiechnął się. – To niepotwierdzone zarzuty. Wie pani, skąd się wzięły? Emma Feldman prowadziła sprawę na zlecenie pewnej firmy. Odkryła, że wielu legalnych imigrantów należy do związku. Proporcjonalnie znacznie większa liczba niż gdziekolwiek indziej. Od tego zaczęły się plotki, że sprzedają fałszywe papiery. Tymczasem wszystkie zielone karty są autentyczne. Wydane przez rząd Stanów Zjednoczonych.
- Brynn musiała przyznać, że jego wersja brzmi wiarygodnie.
- Dlaczego?
- Wyjaśnienie jest proste i logiczne: w celu rozbicia związku. Rozchodzi się pogłoska o moim skorumpowaniu. Rzekomo wspieram terrorystów, zachęcam cudzoziemców, aby odbierali pracę uczciwym Amerykanom...

Ludzie rezygnują z członkostwa. – Mankewitz był bardzo poruszony własnymi słowami. – Ktoś próbuje się mnie pozbyć, bo nie pałam nienawiścią do cudzoziemców. Wspieram ich z całych sił. Wolałbym zatrudnić tuzin Meksykanów, Chińczyków czy Bułgarów, którzy przyjechali do naszego kraju – legalnie, podkreślam – aby ciężko pracować, niż setkę leniwych obywateli. Staję się niewygodny dla wszystkich. Pracodawcy mnie nie lubią za przewodniczenie związkowi zawodowemu. Członkowie związku przestają mnie lubić za popieranie konkurencji o innych narodowościach. Powstaje spisek w celu pozbycia się niewygodnej osoby. Mnie.

Brynn ciężko westchnęła. Straciła ochotę na jedzenie. Napój prawdopodobnie już zwietrzał, stał się równie mało zachęcający jak kawa. Przynajmniej nie pachniał brzydko.

Mankewitz odezwał się ciszej:

– Zdaje sobie pani sprawę, że siedemnastego kwietnia ocaliłem jej życie?

Udało mu się ją zaskoczyć, choć starała się nie okazywać żadnych emocji. Zmarszczyła czoło.

– Wysłałem obecnego tu pana Jasonsa, aby dopilnował moich interesów. Nie zabiłem Emmy Feldman i jej męża. Chciałem się dowiedzieć, kto to zrobił. W ten sposób miałem nadzieję poznać tożsamość osoby, która próbuje mnie zrobić.

– Błagam... – jęknęła sceptycznie. Zabolał ją policzek i musiała zrezygnować z wymownej miny.

– James? – Mankewitz obejrzał się przez ramię.

Jego mikry towarzysz podszedł do stolika. Przyniósł ze sobą teczkę.

– To ja byłem w lesie niedaleko półki skalnej, gdzie pani i ta kobieta walczyły z dwoma mężczyznami.

– Pan? – szepnęła. Jasons nie wyglądał na człowieka, który potrafiłby unieść broń, a cóż dopiero strzelić. – To pan do nas strzelał?

– Nie do was. Chciałem jedynie przerwać walkę. Byłem w domu nad jeziorem. Przedstawiłem się jako przyjaciel Steve’a Feldmana. Poszedłem za pani mężem i tym policjantem. Nie było moją intencją zabicie nikogo. Wręcz przeciwnie. Moim zadaniem było dopilnowanie, żeby wszyscy przeżyli. Miałem się dowiedzieć, kim są. Udało mi się zakończyć starcie między wami, lecz nie zdołałem nikogo przesłuchać.

– Mamy powody – podjął Mankewitz – by podejrzewać, iż pogłoski o mojej rzekomej nielegalnej działalności mają swe źródło w firmie transportowej o nazwie Greak Lakes Intermodal Container Service. Pan

Jasons zdołał dotrzeć do pewnych dokumentów...

– Zdołał dotrzeć?

– ...dokumentów wskazujących na kłopoty finansowe prezesa firmy, który usiłował zniszczyć związek i obniżyć płace. Szef działu prawnego Great Lakes dostarczył nam akta dowodzące udziału prezesa w rozpowszechnianiu pogłosek.

– Rozmawiał pan z oskarżycielem?

– Niestety, ta dokumentacja...

– Została skradziona.

– Powiedzmy, że nie nadaje się do przedstawienia w sądzie. Nie można mi udowodnić rozprowadzania podrobionych zezwoleń na pracę, ponieważ nigdy tego nie robiłem. Zarzuty zostaną wcześniej czy później oddalone. Tymczasem plotka sięje zniszczenie. Taki jest jej cel. Pracodawcy, którym działalność związku nie jest na rękę, usiłują go rozbić, szargając moją reputację. Moim zaś celem jest ucinanie w zarodku jak największej liczby fałszywych oskarżeń. Najważniejszym z nich jest zabójstwo Emmy Feldman.

– W szkole policyjnej uczyli nas, by nie zamykać sprawy po tym, jak podejrzany powie, że jest niewinny.

Mankewitz odsunął kubek z kawą.

– Wiem o strzelaniu sprzed siedmiu lat.

Brynn struchlała z przerażenia.

– Pani mąż – powiedział Jasons. – Keith Marshall.

– W oficjalnym raporcie widnieje sformułowanie: „wypadek podczas czyszczenia broni służbowej” – kontynuował Mankewitz. – Tak naprawdę podejrzewano, że strzeliła pani w obronie własnej, kiedy mąż znowu wpadł w szal. Dopuszczał się już wcześniej aktów przemocy. Keith Marshall przeżył dzięki kamizelce kuloodpornej i osobiście zeznał, że to był wypadek.

– Proszę posłuchać...

– Ja znam prawdę. To nie pani strzelała do Keitha, lecz wasz syn. W pani obronie.

– Nie, nie... – Ręce Brynn drżały.

Stanley skinął głową młodemu pomocnikowi, który podał stare wyświechtane akta. Na okładce napisano: Z Archiwum Komisji Edukacji Powiatu Kennesha.

– Co to?

Mankewitz zwrócił jej uwagę na widniejące poniżej nazwisko. Dr R. Germain. Nie od razu je rozpoznała. Po chwili przypomniała sobie, że

Germain był pedagogiem szkolnym, gdy jej syn chodził do trzeciej klasy. Joey spotykał się z nim kilka razy w tygodniu, w okresie kiedy miał największe problemy z zachowaniem. Wdawał się w bójki i odmawiał odrabiania lekcji. Chłopiec bardzo przeżył niespodziewaną śmierć pedagoga, który zmarł na zawał niedługo po spotkaniu z nim.

– Skąd to macie? – Nie czekając na odpowiedź, otworzyła teczkę.

O Boże...

Wszyscy byli przekonani, że chłopiec wymazał z pamięci tragiczny wieczór. Miał wtedy tylko pięć lat. Podbiegł z krzykiem do walczących rodziców. Keith odepchnął syna i dalej okładał żonę po twarzy. Joey wyjął pistolet z kabury przy pasku mamy i strzelił ojcu w pierś.

Wykorzystali wszystkie możliwe znajomości. Brynn wzięła na siebie winę za wypadek przy czyszczeniu broni. Zaryzykowała karierę zawodową. Podejrzewano, że strzelała celowo. Keith był znany ze swojej wybuchowości. Nikomu nie przyszło do głowy posądzać Joeya.

Ze sprawozdania wynikało, że chłopiec opowiedział doktorowi Germainowi ze szczegółami wydarzenia tamtego wieczoru. Nie miała pojęcia, że Joey pamięta wszystko tak dokładnie. Zdała sobie sprawę, że jedynie śmierć Germaina i złożenie jego akt w szkolnych archiwach uchroniły Joeya przed domem dziecka, a rodziców przed oskarżeniem o narażenie zdrowia i życia syna na niebezpieczeństwo przez niezabezpieczenie broni.

– Mało brakowało, a dotarłoby do tego FBI – powiedział Mankewitz.

– Co takiego? Jak to?

– Ponieważ chcą panią odsunąć od sprawy. Im chodzi wyłącznie o przyszpilenie mnie. Pani zależy na ustaleniu faktów.

– Prześwietlali panią – dodał asystent. – Szukali czegoś, co pomogłoby im panią zdyskredytować. – Zerknął na teczkę. – Mając w rękach te dane, wnieśliby oficjalne oskarżenie przeciw pani i każdemu, kto przyczynił się do zatuszowania sprawy.

Drżała na całym ciele – niemal tak samo jak wtedy, kiedy wyczołgała się z lodowatej wody jeziora Mondac. Odebraliby jej syna... Zawodowo byłaby skończona. Tom Dahl stanąłby przed sądem za pomaganie jej. Niektórzy ludzie z policji stanowej także mieliby poważne kłopoty. Mankewitz spojrział w jej wypełnione łzami oczy.

– Proszę się uspokoić. – Postukał palcem w teczkę. – Pan Jasons zapewnił mnie, że to jedyny egzemplarz. Nie zrobiono kopii. Tylko pani, Keith oraz

Joey wiecie, co się wtedy wydarzyło.

– A teraz i wy – mruknęła.

– Zamierzam pani oddać te dokumenty.

– Słucham?

– Proszę je podrzeć. Nie. Ja bym zrobił tak: podarł, a potem spalił.

– Pan...

– Nie przyszedłem tu pani szantażować. Nie zależy mi na tym, żeby zaprzestała pani śledztwa. Daję pani dowód mojej dobrej woli. Jestem niewinny. Pragnę, żeby nadal zajmowała się pani sprawą. Dopóki nie ustali, kto naprawdę stoi za śmiercią tych ludzi.

Brynn chciwie zagarnęła akta i schowała je do plecaka. Wydawały się napromieniowane.

– Dziękuję – powiedziała drżącym głosem. Zastanawiała się nad jego słowami. – Kto miałby motyw, żeby zabić Emmę Feldman? I jaki?

– A czy ktoś go szukał?

Racja, przyznała. Wszyscy założyli, że to Mankewitz stoi za zbrodniami.

Związkowiec odwrócił wzrok, zwiesił ramiona.

– My też nic nie znaleźliśmy. Emma prowadziła kilka innych spraw, jedna dotyczyła senatora, który popełnił samobójstwo. Może okazała się dla kogoś niewygodna.

Brynn знаła tę historię. Polityk zamierzał wydziedziczyć żonę i syna na rzecz dwudziestodwulatka uprawiającego męską prostytutkę. Media ujawniły szczegóły, a senator homoseksualista popełnił samobójstwo.

– Jeszcze jedna sprawa przykuła moją uwagę – mówił dalej przewodniczący związku.

Zerknął na Jasonsa, który najwyraźniej był głównym wywiadowcą.

– Odpowiedzialność za szkodę powstałą w wyniku wad produktu – wyjaśnił młody człowiek. – Chodzi o nowy model samochodu hybrydowego. Rodzina ofiary pozwała klienta Emmy Feldman, pewną firmę z siedzibą w Kenoshy. Producenta akumulatora czy układu elektrycznego. Nie znam się na tym. Nagle odebrano jej dostęp do danych.

Niebezpieczny defekt pojazdu hybrydowego. Nieczęsto się słyszało o takich przypadkach. Właściwie prawie nigdy. Z pewnością w grę wchodzi wielkie sumy pieniędzy. Może Emma trafiła na coś, o czym nie powinna wiedzieć. Nazwa miejsca brzmiała znajomo. Kenosha. Brynn postanowiła zajrzeć do swoich notatek z ostatnich tygodni. Przypomniała sobie, że musi oddzwonić do osoby zainteresowanej aktami Emmy Feldman. Mężczyzny o

nazwisku Sheridan.

– Nie znaleźliśmy nic konkretnego – wyjaśnił Mankewitz.

– To teraz pani zadanie. – Poprosił o rachunek i uregulował należność.

Popatrzył na niedojedzony posiłek Brynn. – Za to nie zapłaciłem.

Mógłbym zostać posadzony o wręczenie łapówki.

Włożył płaszcz. Asystent pozostał na miejscu. Wręczył jej wizytówkę. Znajdowały się na niej jedynie nazwisko oraz numer telefonu. Brynn podejrzewała, że nazwisko może nie być prawdziwe.

– Proszę się nie wahać, jeżeli uzna pani moją pomoc za przydatną. Proszę się nagrać na pocztę głosową. Nigdy nie odbieram. Ale oddzwonię natychmiast.

Brynn skinęła głową.

– Dziękuję – powiedziała jeszcze raz, poklepując plecak.

– Proszę jeszcze raz przemyśleć to, co mówiłem – doradził Mankewitz. – Odnoszę wrażenie, że zarówno FBI, jak i wszyscy inni szukali w niewłaściwym miejscu.

– Lub też przygladali się niewłaściwej osobie – dodał młody człowiek, popijając gazowany napój, jakby delectował się wykwinnym winem.

Taśma policyjna została zerwana i powiewała na wietrze. Brynn wróciła do domu letniego Feldmanów po raz pierwszy od tamtej nocy sprzed prawie trzech tygodni. W świetle dnia domostwo sprawiało jeszcze mniej przyjemne wrażenie. Farba odpryskiwała w wielu miejscach, czarne okiennice wyglądały ponuro.

Podeszła do punktu, z którego celowała do Harta. Omal nie zemdląła wtedy z przerażenia. Nastrój grozy przypomniawszy jej o raporcie pedagoga szkolnego, który dostała od Mankewitza. Podarła zawartość razem z teczką i spaliła na grillu ogrodowym.

Pedagog dokładnie spisał wszystkie fakty. To było także w kwietniu. Miała złe przeczucia, patrząc na Keitha, który właśnie wrócił do domu po długich godzinach służby w terenie. Siedział przy stole w kuchni, gotując się z tłumionej wściekłości. Nie pamiętała, co sprowokowało wybuch. Chyba coś związanego z pieniędzmi i podatkami. Pewnie zapodziała jakieś rachunki. Nic wielkiego, jak zwykle. Mała rzecz nakręcała spiralę agresji. Keith miał ten niepokojący błysk w oczach, błysk szaleństwa. Zachowywał się jak opętany. Zaczął mówić cicho, głos mu się załamał i przeszedł w krzyk. Brynn dobrała najgorsze z możliwych słów:

– Uspokój się. Przecież nic się nie stało. To tylko pieniądze.

– Pracowałem na nie cały dzień! A ty gdzie byłaś? Rozdawałaś mandaty za złe parkowanie?

– Uspokój się! – zawołała. Czuła kołatanie w klatce piersiowej, mimowolnie dotknęła szczęki.

Stracił panowanie nad sobą. Zaatakował ją butelką od piwa, przewracając stół i zrzucając rachunki. Odepchnęła go mocno. Chwycił ją za włosy i pociągnął na podłogę. Szamotali się, przewracając krzesła. Uniosł do góry pięść wymierzoną w jej twarz.

– Nie, nie, nie! – krzyczała i płakała.

Wtedy przybiegł Joey.

– Cofnij się, synu! – wrzasnął odurzony wściekłością Keith. Zatracił zdolność kontrolowania gniewu. Szarpała się, usiłując ochronić własną twarz przed ciosem. Broniła także Joeya, który rzucił się pomiędzy nich. Łkał i krzyczał razem z matką.

– Nie rób mamusi krzywdy!

A potem padł strzał. Chłopczyk wrzasnął przeraźliwie. Pewnie chciał tylko postraszyć ojca. Pistolet pozbawiony zewnętrznego bezpiecznika wypalił od

razu po naciśnięciu spustu. Pięciolatek upuścił broń na podłogę. Wszyscy troje znieruchomieli pod wpływem szoku. Keith wstał i odszedł na bok. Zataczał się. Po chwili upadł na kolana i zwymiotował. Zemdlał. Brynn wstrzymała oddech. Podbiegła do męża. Rozdarła jego koszulę, odsłaniając kamizelkę kuloodporną, do której przywarł kawałek rozgrzanego metalu.

Pogotowie, zeznania, negocjacje... oraz niezapomniana groza tamtej chwili.

A jednak Mankewitz i jego chudy pomocnik nie wiedzieli o najgorszym. O tym, czego nigdy nie przestanie żałować.

Od tamtej chwili wszystko się zmieniło. Stali się idealną rodziną. Keith znalazł dla siebie dobrego psychiatrę i poszedł na terapię, na której uczono go panowania nad gniewem. Zgłosił się także do kliniki leczenia uzależnień. Razem chodzili na terapię dla par, a Joey trafił pod opiekę psychologa dziecięcego. Nie padło między nimi ani jedno gorzkie słowo więcej. Stali się parą najnormalniejszą z normalnych. Wspólnie chodzili na występy i popisy sportowe Joeya oraz uczęszczali regularnie do kościoła. Anna i jej mąż nieufnie zaangażowali się na powrót w życie córki, którą do tej pory trzymali na dystans ze względu na Keitha. Skończyły się wybuchy oraz awantury. Keith stał się wzorowym mężem i ojcem. A ona po dziewięciu miesiącach poprosiła o rozwód. Zgodził się niechętnie. Godzinami zastanawiała się, dlaczego to zrobiła. Czyżby pod wpływem opóźnionego szoku? Zbyt długo tłumionych emocji? A może nie potrafiła prowadzić spokojnego, normalnego życia?

„Nie zamieniłbym tego, co robię, na nic innego. Popatrz na całą resztę świata. Żywe trupy. Martwi w środku, Brynn. Siedzą na tyłkach, narzekając na rzeczy, które znają tylko z telewizji. Gadają o czymś, co ich tak naprawdę nie obchodzi”.

Wróciła myślami do rozmowy z Grahamem. Jej mąż miał rację we wszystkim, co powiedział. Była coś winna swojemu synowi. Miała wobec niego ogromne i usprawiedliwione poczucie winy. Postawiła go w sytuacji, w której użył broni palnej, żeby ratować własną matkę. Podczas gdy to ona powinna była go chronić, zabierając już dawno z tamtego domu. A potem, kiedy już było bezpiecznie i normalnie, odebrała syna ojcu, który poruszył niebo i ziemię, żeby uzdrowić swoje życie. Dlatego rozpieszczała chłopca. Błagała go w ten sposób o przebaczenie.

Trzymając rękę przy zuchwie, weszła na ganek domu Feldmanów. Na drzwiach została blokada założona przez policję stanową. Wpisała szyfr,

otworzyła drzwi i weszła do środka. Pomieszczenia wypełniał słodki zapach płynu czyszczącego, dymu z kominka i wilgoci.

Wszędzie zostały dziury po kulach z broni Harta, Lewisa, Michelle oraz Brynn. Ktoś dokładnie wyczyścił podłogę kuchenną. Nie została nawet kropla krwi. Istniały specjalne firmy sprzątające zajmujące się takimi rzeczami. Sprzątaniem miejsc zbrodni i scen wypadków. Brynn już dawno temu wpadła na świetny pomysł na fabułę powieści kryminalnej. Morderca, który pracuje w jednej z takich firm. Sprząta po sobie tak dokładnie, że policja nie jest w stanie znaleźć najmniejszej wskazówki.

Na półce w kuchni stało kilka mocno zużytych książek kucharskich. Kilka z nich miała u siebie. Sięgnęła po stary egzemplarz „Radości gotowania”. Otworzyła na stronie zaznaczonej czerwoną wstążką. Potrawka z kurczaka. Roześmiała się. To była również jej specjalność. Z boku dopisano ołówkiem: „2 godziny” oraz „zastąpić wermutem”. Odłożyła książkę na miejsce. Zastanawiała się, co będzie z domem. Przepuszczalnie długo zostanie pusty. Kto by chciał tu mieszkać? Wokół same lasy, żadnych sklepów ani restauracji w pobliżu i to zimne ciemne jezioro. Jak dziura po wielkiej kuli.

Odgoniła złe myśli. Zerknęła na miejsce, w którym leżały zwłoki. Mało brakowało, żeby podzieliła los ofiar. Wróciła do salonu.

Musimy już jechać.

– Dobra. Joey zszedł na dół przebrany w kowbojski strój uszyty przez Annę. Brynn podziwiała jej zdolności krawieckie. Podejrzewała, że to wrodzony talent.

Ona spędziła ostatnie kilka dni w Milwaukee oraz Kenoshy. Sprawdzała poszlaki. Odkryła kilka interesujących rzeczy, ale zależało jej na powrocie do domu przed występem Joeya.

– Mamo, wszystko w porządku?! – zawołała.

– Tak – odpowiedziała Anna z salonu. – Szkoda, że nie mogę pojechać z wami. Chciałabym, Joey. Będę za to na twoim przyjęciu po zakończeniu roku szkolnego. Do tego czasu wyzdrowieję. Kogo grasz?

– Przewodnika. Przeprowadzam ludzi przez góry.

Anna dokuśtykała do drzwi.

– Obróć się... Ho, ho. Wyglądasz jak Alan Ladd.

– Kto?

– Słynny aktor.

– Jak Johnny Depp?

– Boże dopomóż.

Joey zmarszczył nos.

– Nie chcę fluidu. Jest tłusty.

– Musisz mieć makijaż sceniczny – nalegała Brynn. – Żeby publiczność lepiej cię widziała. Poza tym wyglądasz z nim na prawdziwego przystojniaka. Chłopiec westchnął z rozpaczą.

– Kochanie, sądzę że Graham chętnie by przyszedł na przedstawienie – powiedziała Anna.

– Tak! – ucieszył się chłopiec. – Mamo, możemy go zaprosić?

– No, nie wiem – odparła niepewnie Brynn. Była zła na matkę. Podejrzewała, że specjalnie wspomniała o tym w obecności Joeya. Anna wytrzymała jej spojrzenie, obdarzyła ją jednym ze swych słynnych bojowych uśmiechów.

– Zadzwoń do niego. Co ci szkodzi?

Brynn nie знаła odpowiedzi na to pytanie, dlatego wolałaby nie dzwonić.

– Spodoba mu się przedstawienie, mamo. Zgódź się.

– Chcesz go zaprosić tak w ostatniej chwili?

– Może powiedzieć, że ma już inne plany i podziękować za zaproszenie. Albo się zgodzić.

Zerknęła na Annę. Matka podtrzymywała ją na duchu po rozstaniu z Grahamem, powstrzymując się od wydawania opinii. Brynn sądziła, że nie chce się angażować, jak to ona. Jednak teraz nie wykluczała, iż nienagannie obojętny uśmiech skrywał przemyślaną strategię.

– Wolałabym nie – powiedziała stanowczo.

– Aha. – Uśmiech Anny przygasł.

– Mamo! – Joey był wściekły.

Anna spojrzała na niego przelotnie, nie odezwała się więcej.

– Nie wiem, czemu się wyprowadził – warknął Joey. – Aż na Hendricks Hills.

– Skąd o tym wiesz? – Graham przeprowadził się do innego wynajętego domu dopiero wczoraj.

– Od niego.

– Rozmawialiście?

– Dzwonił.

– Nie powiedziałaś mi.

– Bo nie dzwonił do ciebie.

Brynn nie wiedziała, jak zareagować.

– Nie prosił, żeby mi coś przekazać?

– Nie. – Miał w dłoniach rąbek kostiumu. – Dlaczego się tam przeprowadził?

– To ładna okolica.

– Dlaczego w ogóle się od nas wyprowadził?

– Tłumaczyłam ci. Nie mogliśmy się dogadać.

Joey nie potrafił tego zrozumieć. Podobnie jak Brynn.

– Może przyjść na przedstawienie?

– Nie, kochanie. Może następnym razem.

Chłopiec podszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz.

– O co chodzi? – spytała, marszcząc brwi.

– Myślałem, że jest przed domem.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Czasem wpada.

– Tak? Zobaczyć się z tobą?

– Nie. Podjeżdża, siedzi chwilę w samochodzie, a potem odjeżdża.

Widziałem też, że raz zaparkował przed szkołą.

– Jesteś pewien, że to był Graham? – Usiłowała zachować spokój.

– Raczej tak. Nie widziałem dokładnie. Miał okulary przeciwsłoneczne.

Ale kto inny?

Anna również była wyraźnie zaskoczona.

– To mógł nie być Graham? – drażzyła Brynn.

Joey wzruszył ramionami.

– Miał ciemne włosy i był takiej samej budowy.

– Jakim samochodem przyjechał?

– Nie wiem. Ładnym. Chyba sportowym. Ciemnoniebieskim. Nie przyjrzałem się dokładnie. Mówił mi przez telefon, że nie znaleźli jego samochodu i kupił nowy. Domyśliłem się, że to ten. Co się stało, mamó?

– Nic. – Uśmiechnęła się.

– Daj spokój. Dlaczego do niego nie zadzwonisz?

– Nie dziś, skarbie. Innym razem. – Brynn przyjrzała się pustej szosie. Posłała matce nic nieznaczący uśmiech. – Naprawdę lepiej wyglądasz, mamó. Może jednak wybierzesz się z nami?

Anna się zdziwiła. Wcześniej córka uparcie odmawiała zabrania jej na przedstawienie, a teraz nagle zmieniła zdanie.

– Bardzo chętnie.

– Potem pojedziemy coś zjeść. Pomogę ci się ubrać. Zaraz przyjdę. –

Brynn zamknęła drzwi na zasuwę i poszła na górę. Wyjęła broń ze skrytki i schowała pod ubranie. Zadzwoiła do Toma Dahla, nie przestając wyglądać przez okno.

– Potrzebuję przysługi. I to szybko.

– Nie ma sprawy, Brynn. Co się stało?

– Nie wiem.

– Zamieniam się w słuch.

– Graham. Potrzebuję informacji o pojazdach zarejestrowanych na jego nazwisko. Wszystkich. Także służbowych.

– Sprawia ci jakieś kłopoty?

– Nie, nie. Nie chodzi o niego.

– Daj mi chwilę na przeszukanie bazy danych.

Po niecałej minucie szeryf wrócił do rozmowy.

– Na firmę Rolling Hills Landscaping zarejestrowano trzy przyczepy, dwa fordys F150 i jeden F250. Graham wziął w leasing taurusa za pośrednictwem firmy ubezpieczeniowej. Pewnie dlatego, że w zeszłym miesiącu ta kobieta ukradła jego wóz.

– Czy taurus jest ciemnoniebieski?

– Biały.

– Dobrze...

Wróciła myślami do tamtej nocy.

„Powinnaś była... Powinnaś była mnie zabić”.

– Tom, znowu potrzebuję ochrony.

– Co się dzieje, Brynn?

– Ktoś podjeżdża samochodem pod dom. Obserwuje. Joey go widział. Wiesz, jakie są dzieciaki. To nie musi nic znaczyć. Jednak wolę nie ryzykować.

– Oczywiście, że dostaniesz ochronę, Brynn. Wszystko, o co poprosisz.

Brynn w obu dłoniach ścisnęła kubek bardzo gorącej czekolady. Był czwartek, siódmy maja. Gorąca czekolada to jej najnowszy nałóg. Dla zachowania równowagi rzuciła poprzednie: kanapki z serem brie oraz ulubione krakersy. Pijała trzy kubki czekolady dziennie. Ciekawe, czy to miało jakikolwiek związek z tamtą nocą. Strasznie wtedy przemarzła. Ale raczej po prostu lubiła gorącą czekoladę. Pili ją z Grahamem na zakończenie pierwszej randki, siedząc w restauracji Humboldt Diner. Zanim skończyli rozmawiać, czekolada całkiem wystygła.

Przeglądała notatki z rozmów, które przeprowadziła od czasu spotkania z Mankewitzem. Nigdy nie pracowała tak ciężko. Skupili się na niewłaściwej osobie.

Zadzwoił służbowy telefon. Brynn upiła ostatni łyk, nim odstawiła kubek.
– McKenzie.

– Halo? – odezwał się ktoś z hiszpańskim akcentem. Dzwoniąca mówiła z rezerwą właściwą osobom nieprzywykłym do rozmów z policją. Przedstawiła się jako kierowniczka hotelu Harborside Inn w Milwaukee.

– W czym mogę pani pomóc? – Brynn spięła się, słysząc nazwę miasta.

Sprawa rzeczywiście dotyczyła zabójstwa dokonanego na Feldmanach. Ta kobieta zobaczyła w telewizji portret pamięciowy człowieka poszukiwanego w związku z zabójstwami nad jeziorem Mondac. Mężczyzny o nazwisku lub przydomku Hart czy też Harte. Bardzo podobna do niego osoba zameldowała się w hotelu szesnastego kwietnia. Kierowniczka hotelu zadzwoniła na najbliższy posterunek policji, gdzie podano jej numer do biura szeryfa w Kennesha. Nazwisko gościa brzmiało William Harding.

Harding... Hart...

– To prawda, że on kogoś zabił? – spytała z lękiem kobieta.

– Tak podejrzewamy... Poproszę o dane z karty meldunkowej.

Pstryknęła palcami, przywołując Todda Jacksona. Natychmiast podbiegł do jej biurka. Brynn zapisała adres podany przez kobietę i podała kartkę młodemu funkcjonariuszowi.

– Sprawdź to. Szybko.

Zapytana o rozmowy telefoniczne oraz osoby odwiedzające gościa kierowniczka odparła, że Harding nie korzystał z telefonu, ale spotkał się w hotelowej kawiarni z chudym nieuprzejmym mężczyzną ostrzyżonym na jeża oraz z ładną dwudziestokilkulatką. Dziewczyna nieco przypominała osobę z drugiego portretu pamięciowego.

Coraz lepiej...

– Tylko że on się nie wymeldował – dodała kobieta.

– Nadal tam mieszka?

– Nie. Zameldował się na trzy dni. Siedemnastego po południu wyszedł i już nie wrócił. Usiłowałam go odszukać, ale ani w St. Paul, ani w Minneapolis nie ma telefonu zarejestrowanego na osobę o tym nazwisku pod adresem, który podał.

Nie była zaskoczona, kiedy Jackson podsunął jej kartkę z informacją: „Fałszywy. Parking. Nazwiska nie ma w żadnej bazie danych”. Pokiwała

głową i szepnęła:

– Powiedz Tomowi, że mamy coś.

Wróciła do przeglądania notatek.

– Zapłacił kartą kredytową? – spytała kierowniczkę.

– Gotówką. Tak naprawdę dzwonię dlatego, że zostawił walizkę. Jest wasza, jeśli po nią przyjdziecie.

– Naprawdę? Chciałabym jak najszybciej przejrzeć jej zawartość. Zorganizuję swój przyjazd i zawiadomię panią telefonicznie.

Brynn odłożyła słuchawkę i opadła na oparcie krzesła.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się Tom Dahl, patrząc w jej błyszczące oczy.

– Bardzo dobrze. Chwyciłam trop.

Michelle Alison Kepler była teraz zadbaną do granic możliwości brunetką. Siedziała w luksusowej sypialni swojego luksusowego domu w eleganckiej dzielnicy Milwaukee. Malowała paznokcie śliwkowym lakierem. Tamtej feralnej kwietniowej nocy miały ten sam kolor.

Doświadczenie ją nauczyło, że ludzie słyszą tylko to, co chcą usłyszeć. Widzą to, co chcą zobaczyć. Wierzą w to, w co chcą uwierzyć. Jednak żeby umiejętnie wykorzystać ludzkie słabości, potrzebna jest spostrzegawczość. Trzeba poznać cudze pragnienia i oczekiwania, a potem w subtelny, sprytny sposób podsuwać im dość, by myśleli, że są syci. Trudne zadanie. Jednak dla Michelle było warunkiem przetrwania.

Rozmyślała o Brynn McKenzie.

„Jesteś ich przyjaciółką z Chicago? Słyszałam, że pracowałyście razem z Emmą. Też jesteś prawniczką?”

Prosta z ciebie kobieta, Brynn.

Michelle znalazła się w trudnej sytuacji po zabiciu Feldmanów. Odszukała i zniszczyła akta. Nie potrzebowała już Harta ani Lewisa. Tymczasem Hart okazał się czujny jak kot. Rozpętało się piekło. Uciekła do lasu. Spotkała policjantkę McKenzie. Wyczuła instynktownie, jaką rolę odegrać. Coś, co trafi do przekonania wiejskiej policjantki. Przyjęła pozę bogatej zepsutej panienki, niezbyt sympatycznej, za to z kompleksami. Porzuconej przez męża za wady, które w niej wspierał.

Zgodnie z przewidywaniami Brynn na początku była rozdrażniona. Zwykle traktujemy w taki sposób osoby poznane w trudnych sytuacjach. Nie lubimy ofiar. Dopóki nie poznamy ich lepiej i nie dostrzeżemy w nich swoich cech. Rola miała odwrócić uwagę policjantki od faktu, że Michelle nie wygląda na pogrążoną w żałobie po śmierci gospodarzy. Ludzi, których przed chwilą zamordowała. Nie kłamała, mówiąc, że jest aktorką. Po prostu nie grywa na scenie ani przed kamerami.

Minęły trzy tygodnie. Na szczęście sprawy miały się lepiej. Nareszcie. Zasłużyła na odpoczynek. Po kłopotach, jakie przydarzyły jej się tamtej nocy i później, potrzebowała odrobiny dobrej passy.

Poutykała wate między palcami stóp i kontynuowała malowanie paznokci.

Tak, las znowu jej sprzyjał. Zdobyła nazwisko i adres Harta. Mieszkał w Chicago. Dowiedziała się, że ostatnio rzadko bywa w domu. Przebywa w Wisconsin. Nieco ją to rozczarowało, choć nie powinno dziwić. Zapewne szukał jej z podobną determinacją. Nie tylko jej. Najwyraźniej znalazł już

Freddy'ego Lancastera. Freddy przestał odpowiadać na telefony i wiadomości tekstowe. Gordon Potts, ukrywający się w Eau Claire, zapewne również trafił na czarną listę Harta.

Michelle zachowywała ostrożność, lecz nie wpadała w panikę. Nic jej nie łączyło z wydarzeniami z siedemnastego kwietnia. Hart poznał jej prawdziwe nazwisko, przeszukując torebkę, co nie oznaczało, że uda mu się do niej dotrzeć. Zawsze pozostawała nieuchwytna.

Już od czasu, kiedy była nastolatką, specjalizowała się w podkradaniu życia innym ludziom. Manipulowała innymi, żeby się o nią troszczyli. Udawała bezbronną, zagubioną, wyuzdaną. Głównie przed mężczyznami, choć przed kobietami również, jeśli zaszła taka potrzeba. Obecnie mieszkała w Milwaukee z Samem Rolfe, zamożnym przedsiębiorcą, którego omotała bez najmniejszego trudu.

W dokumentach widniał jej stary adres. Poczta przychodziła na poste restante. Już osiemnastego kwietnia poleciła, by przesyłano ją na adres innego urzędu pocztowego.

Ukradła pocziwemu Grahamowi samochód ze wszystkimi niemal dowodami. Jej odciski palców były tylko na mapie i torebce. Nim zostawiła kozaki zamienione na buty martwej „przyjaciółki”, przetała je płynem do mycia szyb. Nie potrafiła wybaczyć Brynn tego, że musiała zostawić buty Ferragamo z włoskiej skóry warte tysiąc siedemset dolarów. Nie, nie martwiła się dowodami znad Mondac. Istniało inne zagrożenie. Postanowiła je dziś wyeliminować.

Wysuszyła paznokcie u nóg suszarką. Była zadowolona z rezultatu. Złościł ją nieco fakt, że nie mogła pójść do salonu kosmetycznego. Musiała ograniczyć wyjścia ze względu na Harta.

Zajrzała do salonu. Rolfe siedział na kanapie z jej dziećmi, pięcioletnią Tory oraz siedmioletnim Bradfordem. Chłopiec miał jasne włosy, które po prostu trzeba było zwichrować. Zawsze kiedy patrzyła na syna i córkę, jej serce wzbierało matczyną miłością.

Rolfe miał przyjemną twarz i niezbyt obrzydliwe usta. Jeśli zaś chodzi o wady, to powinien schudnąć o jakieś piętnaście kilogramów. Poza tym odstręczał ją zapach jego włosów. Pachniały liliami. Nie mogła patrzeć na jego tatuaż. Nie miała nic przeciwko tatuażom jako takim, lecz on zafundował sobie wielką gwiazdę na pachwinie. Włosy łonowe zarastały część, a drugą część przykrywał brzuch. W zależności od tego, jaką pozycję przyjął.

Litości...

Michelle raczej nie narzekała, chyba że to było w scenariuszu. Rolfe zarabiał mnóstwo pieniędzy i godziła się na udostępnianie mu swojego pięknego ciała z dużą częstotliwością w zamian za... Cóż, wszystko, czego sobie zażyczyła.

Znała na wylot Samów Rolfe'ów tego świata, którzy wierzyli w to, co chcieli. Jeśli Bóg pokarze kogoś wadą lenistwa, brakiem zdolności akademickich i marketingowych, a przy tym da mu wyrafinowany gust, piękną twarz i jeszcze piękniejsze ciało, to ta osoba powinna nauczyć się odnajdywać takich mężczyzn niczym głodny pyton głupią mysz.

Musiała jednak zachować czujność w każdej sytuacji.

Widząc śmiejącego się Brada siedzącego obok Rolfe'a, pomyślała, że wyglądają jak ojciec i syn. Ogarnęła ją paląca zazdrość. Miała ochotę zabrać dzieci i natychmiast wyjść.

Zapanowała nad sobą. Często wpadała we wściekłość, ale nigdy nie wybuchała. Uśmiechnęła się, myśląc mściwie: Dziś nie będziemy się kochać, skarbie.

Później przesłucha chłopca. Miała przecucie, że o niej rozmawiali.

– Stało się coś? – spytał Sam.

– Nie. – Przepędziła Brada z kanapy. Kazała przynieść sobie z kuchni coś do picia. Jej nastrój gwałtownie się zmienił. Patrząc na odchodzącego posłusznie chłopca, poczuła obezwładniający przypływ miłości.

Usiłowała zajść w ciążę, odkąd skończyła szesnaście lat. Nie mogła mieć własnych dzieci, ale los jej to wynagrodził. Zaprzyjaźniła się z samotną matką z nizin społecznych Milwaukee. Przedstawiła się jako wolontariuszka z organizacji społecznej.

Blanche chorowała na HIV. Zaraziła się przez seks albo narkotyki. Przypuszczalnie jedno i drugie. Często nie czuła się najlepiej. Zostawiała wtedy córkę i syna pod opieką koleżanki. Mimo zażywania leków stan biednej kobiety pogarszał się błyskawicznie. Była spokojniejsza, mogąc wyznaczyć Michelle na prawną opiekunkę dzieci po swojej śmierci. Całe szczęście, że sporządziła dokument, ponieważ zmarła znacznie szybciej, niż się spodziewano. Smutne wydarzenie nastąpiło niedługo po tym, jak Michelle spuściła w toalecie półroczny zapas leków przepisanych Blanche przez lekarza. Zastąpiła je środkami przeciwbólowymi kupionymi bez recepty oraz witaminami dla dzieci, które podawała także Tory i Bradowi.

Teraz dzieci należały tylko do niej. Kochała je całym sercem. Były

posłuszne i nadawały sens jej życiu. Mało wartościowemu życiu, jak jej powiedziała kiedyś terapeutka. Do diabła z terapeutką. Michelle zawsze wiedziała, czego chce.

Za jedno z najbardziej niefortunnych wydarzeń tamtej kwietniowej nocy uważała pojawienie się męża Brynn. Przez niego straciła Amy, kolejne dziecko, które miała nadzieję przygarnąć. Gdyby nie on, zabiłaby Brynn i Harta, po czym uciekła z dziewczynką. Nie udało się. Kolejny punkt na liście przewinień Brynn McKenzie.

Michelle popatrzyła na córkę. Tory pokazywała namalowany przez siebie obrazek Rolfe'owi. Ta gruba świnia nie jest twoim ojcem, nie waż się tak o nim myśleć, złorzeczyła w myślach. Wtedy zadzwonił jej telefon. Zerknęła na wyświetlacz.

– Odbiorę – powiedziała do Rolfe'a.

Pokiwał głową, zachwycił się dziełem Tory i wrócił do oglądania telewizji. Brad przyniósł matce napój.

– Nie widzisz, że rozmawiam przez telefon? – warknęła na dziecko i wyszła do sypialni. – Harborside Inn – powiedziała, naśladowując hiszpański akcent. – W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry. Mówi Brynn McKenzie z biura szeryfa powiatu Kennesha. Telefonowała pani do mnie pół godziny temu?

– Ach, tak. W sprawie gościa, który zostawił u nas walizkę.

– Właśnie. Mogę dojechać do Milwaukee na siedemnastą.

– Zobaczmy... A może być siedemnasta trzydzieści? O siedemnastej mamy zebranie personelu. – Michelle była niezmiernie zadowolona z występu. Naprawdę jest dobrą aktorką.

– Oczywiście. Przyjadę pół godziny później.

Podziała Brynn adres.

– Do zobaczenia.

Michelle zamknęła oczy, dziękując swej szczęśliwej gwiazdce. Sięgnęła do szafy po zamykaną na kluczyk walizkę. Wyjęła z niej pistolet, który zapakowała do torebki. Popatrzyła w okno. Czuła lęk i podniecenie. Po chwili wróciła do salonu.

– Dzwonili z domu opieki – okłamała Rolfe'a. – Z ciocią coraz gorzej. – Pokręciła głową ze smutkiem. – Biedaczka. Nie mogę patrzeć, jak cierpi.

– Przykro mi, kochanie – powiedział, patrząc ze współczuciem na jej udręczoną twarz.

Nie znosiła czułości. Skrzywiła się.

– Muszę do niej pojechać.

– No jasne... – Zmarszczył brwi. – Przypomnij mi, kim ona jest.

Popatrzyła na niego zimno. Jej spojrzenie mówiło: Albo sugerujesz, że kłamię, albo nie pamiętasz moich krewnych. Tak czy owak, nie chciałabym być w twojej skórze.

– Przepraszam – powiedział pospiesznie, najwyraźniej właściwie odczytując jej wyraz twarzy. – Chodzi o Haddie, prawda? Tak ma na imię? Podwiozę cię.

Michelle nagrodziła go uśmiechem.

– Nie trzeba. Wolałabym pojechać tylko z Bradem. Przejść przez to w gronie rodziny.

– Jak chcesz. Uważasz, że Brad powinien ją oglądać w takim stanie?

– Chcesz się zobaczyć z ciocią, prawda? – spytała. Mały nie odważy się powiedzieć, że nie ma żadnej cioci. Patrzyła na niego przeszywająco. Wyjęła mu z ręki puszkę z napojem i napiła się powoli, nie spuszczając wzroku z chłopca.

Pokiwał głową.

– Tak myślałam. Dobrze.

Brynn McKenzie zabrała plecak i wyrzuciła kubek po drugiej tego dnia gorącej czekoladzie. Znów pomyślała o pierwszej randce z Grahamem. A potem o ostatniej. Tańczyli do północy w klubie na Route 32. Na tydzień przedtem, jak odkryła jego „zdradę”. Wciąż nie mogła zrozumieć, czemu nie zaproponował jej wspólnej terapii.

– Hej, B? – zaczęła ją jedna z koleżanek, Jane Styles. – Może pójdziesz ze mną później do Bennigana? Spotykam się tam z Reggie. Będzie też ten przystojniak ze State Farm, o którym ci opowiadałam.

– Nie mam jeszcze rozwodu, Jane – szepnęła Brynn.

– Nic nie mówiłam. Jest przystojny i tyle. Przecież nie zaczęłam planować waszych zaręczyn.

– Jest agentem ubezpieczeniowym.

– Co w tym złego? Ludzie muszą się ubezpieczać.

– Dzięki, ale jestem zajęta. Ty mi wykup polisę.

– Ale śmieszne.

Idąc korytarzem, myślała o Harcie i hotelu Harborside Inn w Milwaukee. Tak często przemierzała ten korytarz, że prawie nie zwracała już uwagi na zdjęcia funkcjonariuszy poległych na służbie. Cztery z nich powieszono w

ciągu ostatnich ośmiu lat. Fotografii Erica Munce'a jeszcze nie było. Wszystkie podobizny oprawiano w kosztowne ramki. Pierwszą ofiarą był funkcjonariusz z sumiastym wąsem. Został zastrzelony w Northfield w Minnesocie przez bandytów, którzy napadli na pociąg. Zatrzymała się na chwilę przed wielką mapą powiatu. Popatrzyła na jezioro Mondac. To dobry pomysł czy zły? – zadała sobie pytanie.

Roześmiała się. Po co zadaje pytania, skoro już podjęła decyzję? Wyjęła kluczyki z kieszeni. Wyszła na zewnątrz. Było przepiękne popołudnie.

Jechali nad jezioro Michigan przez piaszczyste tereny Milwaukee.

– Podejdiesz do tej pani i powiesz, że się zgubiłeś – pouczała syna. – Jak tylko wysiądzie z samochodu, podejdziesz do niej i powiesz: „Zgubiłem się”. Powtórz.

– Zgubiłem się.

– Dobrze. Pokażę ci, do której pani podejść. Masz wyglądać na zdenerwowanego. Potrafisz to zrobić? Wiesz, jak udawać zdenerwowanego?

– Nie.

– Ja tak wyglądam, kiedy jesteś nieposłuszny.

Szybko pokiwał głową. To rozumiał.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się.

Dojechali na miejsce, pod hotel Harborside Inn. Michelle przejechała obok, potem zawróciła. Połowa miejsc parkingowych była zajęta. Brynn miała się zjawić dopiero za pół godziny.

– Do roboty.

– Słucham, mamusiu?

– Ciii...

Okrążyła hotel raz jeszcze. Zatrzymała się na poboczu jezdni, kilka metrów od parkingu hotelowego.

– Ta pani zaparkuje gdzieś tam. Widzisz? Dobrze. Wtedy oboje wysiądziemy z samochodu. Ja pójdę tamtędy, za róg. Ty podejdziesz do jej samochodu, zapukasz w szybę po jej stronie i powiesz, że się zgubiłeś. Boisz się. Wysiądzie. Co masz powiedzieć?

– Zgubiłem się.

– Co jeszcze?

– Że się boję.

– A jak masz wyglądać?

– Na zdenerwowanego.

– Dobrze. – Wynagrodziła go szerokim uśmiechem. Potargała dziecięcą czuprynę. – Potem przyjdzie mamusia i... porozmawia chwilę. Po rozmowie oboje pobiegniemy do naszego samochodu i wrócimy do domu. Do Sama. Lubisz go?

– Tak. Jest miły.

– Lubisz go bardziej niż mamusię?

Odczuła jego wahanie niczym dotyk rozpalonego żelaza na skórze.

– Nie.

Stłumiła piekącą zazdrość. Musiała się teraz skupić na czym innym. Dokładnie przyjrzała się otoczeniu. Z rzadka przejeżdżał jakiś samochód, z tawerny po drugiej stronie ulicy sporadycznie wychodził jakiś klient, chodnikiem szedł starszy człowiek. Poza tym okolica wydawała się dość wyludniona.

– Teraz się nie odzywaj. I wyłącz radio.

Zabrzączał jej telefon komórkowy. Przeczytała wiadomość od znajomego z Milwaukee i zmarszczyła brwi. Złe nowiny. Kolega dowiedział się dwadzieścia minut temu, że Gordon Potts zginął w wypadku, w Eau Claire. Michelle nie wierzyła w wersję o wypadku. To z pewnością robota Harta. Z jednej strony ucieszyła się, że nie ma go teraz w mieście. Poczuli się pewniej. Opatrzność cały czas nad nią czuwała. Na parking zajechał radiowóz. Michelle spostrzegła, że ma spocone dłonie.

Opatrzność...

– Teraz, Brad. – Otworzyła drzwi i wysiadła. Jej syn zrobił to samo.

– Mamusia pójdzie tam – szepnęła. – Podejdę do tej pani od tyłu. Nie patrz na mnie. Udawaj, że mnie nie widzisz. Rozumiesz?

Skinął głową.

– Nie patrz na mnie, kiedy do was podejść. Powiedz to.

– Nie popatrzę na ciebie.

– Bo jeśli spojrzysz, ta pani cię zabierze do więzienia. Ona taka już jest. Bardzo cię kocham i nie chcę, żeby spotkało cię coś złego. Dlatego robię to dla ciebie. Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo poświęcam się dla ciebie i twojej siostry?

– Tak.

Uściskała go.

– Idź i powiedz jej to, co ci kazałam. Pamiętaj, masz być zdenerwowany.

Chłopiec odszedł w kierunku radiowozu, a tymczasem Michelle przemykała się skulona pod osłoną samochodów. Wyjęła pistolet z kieszeni

skórzanej kurtki, którą dostała niedawno od Sama. Jej ulubione wierzchnie okrycie – przepiękny projekt firmy Neiman Marcus – zostało zniszczone podczas spaceru po lesie tamtej pamiętnej chłodnej nocy w kwietniu.

Tom Dahl rozmyślał o Brynn McKenzie, jadąc w stronę jej domu. Pracowali razem od lat. Nie oszczędzała się, przyjmowała najtrudniejsze wezwania. Do ofiar przemocy domowej. Czasami były nimi dzieci. Koledzy nie ułatwiali jej życia, ponieważ była nadgorliwa. Od zawsze. Dziewczynka z pierwszej ławki. Prymuska, która zgłasza się do każdej odpowiedzi. Nikt nie przepada za takimi ludźmi.

Jednak wystarczyło popatrzeć na rezultaty jej pracy, żeby nie mieć jej tego za złe. Szeryf nie sądził, by ktokolwiek sprostał sytuacji nad jeziorem Mondac lepiej niż ona. Pomasował chorą nogę. Zaparkował i wysiadł przed niewielkim domkiem na Kendall Road. Coś strzyknęło mu w kościach, ale dawno przestał się przejmować podobnymi drobiazgami. Wszystkie domy na tej ulicy były niewielkie. Siedziba Brynn należała do najbardziej zadbanej. Dzięki Grahamowi wyróżniała się zwłaszcza bajecznym ogrodem. Dahl miał nawyk dotykania czapki, robił to teraz, idąc krętą ścieżką ku drzwiom. Po drodze mijał gatunki roślin, których istnienia nie podejrzewał. Dziesiątki gatunków. Zawahał się przez sekundę, nim nacisnął dzwonek.

– Cześć, szeryfie. – Drzwi otworzył Joey. Urósł o kilka centymetrów od czasu, kiedy się widzieli podczas przyjęcia gwiazdkowego na posterunku.

– Cześć, Joey. – Tom Dahl przywitał się także z Anną, która przechodziła właśnie z salonu do kuchni. Podpierała się laską. Kiwnęła powściągliwie głową na powitanie.

Brynn zaglądała do piekącego się kurczaka. Szeryf nie sądził, że potrafi gotować. Kurczak wyglądał smakowicie. Policjantka odwróciła się ku przełożonemu i uniosła pytająco brwi.

– Mamy ją, Brynn.

Usiedli w salonie. Popijali przygotowaną przez Annę mrożoną herbatę.

– To trwało dłużej, niż się spodziewałam. Siedziałam jak na szpilkach. – Słowa nie były w stanie oddać niepokoju, z jakim czekała na nowiny.

– Nastąpiły pewne komplikacje – rzekł szeryf. – Ludzie czekali pod domem Rolfe’a. Wstrzymali akcję, ponieważ zabrała ze sobą syna.

– Co zrobiła?!

– Posłała go nawet do samochodu, w którym siedziała twoja zmienniczka. Miał odwrócić twoją uwagę, podczas gdy ona podchodziła od tyłu z bronią.

– O Boże jedyny!

– Brygada nie chciała wkraczać, kiedy Michelle miała dziecko w swoim zasięgu. Bali się, że wykorzysta je jako zakładnika. Poczekali, aż się rozdzielią na parkingu. Chłopiec czuje się dobrze. Zawieziono go razem z siostrą do komisji opieki nad dziećmi.

Dzięki Bogu, pomyślała Brynn.

– Posłużyłaby się własnym dzieckiem, żeby odwrócić moją uwagę i zastrzelić mnie na jego oczach? – Nie potrafiła tego pojąć.

– Wszystko na to wskazuje.

– Co mówi jej konkubent?

– Właśnie go przesłuchują. Na razie wygląda na to, że nie miał o niczym pojęcia. Moglibyśmy go aresztować za wyjątkowo nietrafiony wybór partnerki życiowej. – Zerknął na wyświetlacz swojego telefonu komórkowego. – Odbiorę. Dzwoni burmistrz. Urządzamy konferencję prasową. Pójdę po notatki.

Wyszedł sztywnym krokiem i poszedł do samochodu. Brynn została na kanapie. Oparła się wygodnie, popatrzyła w sufit. Dziękowała w myślach Stanleyowi Mankewitzowi oraz jego chuderlawemu asystentowi za pomoc w dotarciu do Michelle Kepler.

...Może przyglądacie się niewłaściwej osobie.

Po spotkaniu w barze postanowiła przyjrzeć się innym prawdopodobnym motywom zabójstwa Emmy Feldman. Szczególną uwagę poświęciła sprawom wspomnianym przez Mankewitza. Samobójstwu polityka oraz firmie z Kenoshy produkującej wadliwe części samochodowe. Przeprowadziła dochodzenie dotyczące wszystkich klientów Emmy Feldman. Nic nie znalazła.

Słowa Jasonsa podsunęły jej pewien pomysł. Założyła, że niewłaściwą osobą, której się przyglądali, była ofiara, Emma Feldman. Wtedy wszystkie

fakty ułożyły się w spójną całość. Michelle zależało na śmierci Stevena, nie Emmy. Feldman pracował w opiece społecznej. Zajmował się pomaganiem dziecięcym ofiarom przemocy. Przeprowadzał inspekcje, odpowiadał na skargi, umieszczał dzieci w rodzinach zastępczych. Biorąc pod uwagę brutalny sposób potraktowania Amy przez Michelle, Brynn nie mogła wykluczyć, że opieka społeczna zainteresowała się losem ewentualnych dzieci tej kobiety.

Na miejscu zbrodni nie znaleziono dokumentów z pracy Stevena. Jego plecak był pusty, podczas gdy wiele akt należących do Emmy leżało rozrzuconych na podłodze. Michelle mogła wrzucić wszystkie papiery Stevena do kominka. Brynn pojechała do domu Feldmanów i pobrała próbki popiołu. Wymusiła na pracowniku laboratorium w Gardener natychmiastowe ich zbadanie oraz przedstawienie wyników. Analiza wykazała pozostałości po brązowej teczce oraz spirali od notesu. Dokładnie takiego, jakiego używał Feldman, robiąc notatki w terenie.

Brynn przeprowadziła kilka rozmów ze współpracownikami Stevena, dotarła do szczątkowych zapisków i wykazów rozmów telefonicznych. Odkryła, że jeden z sąsiadów Sama Rolfe'a zgłosił skargę dotyczącą znęcania się nad dziećmi. Brutalna matka nazywała się Michelle Kepler. Strzał w dziesiątkę.

Policja z Milwaukee obserwowała dom Rolfe'a. Przed interwencją trzeba było poczekać na nakaz. Wtedy właśnie Brynn odebrała podejrzany telefon od rzekomej kierowniczkii hotelu Harborside Inn. Natychmiast po odłożeniu słuchawki sprawdziła, skąd pochodziło połączenie. Telefon na kartę. Nabrała pewności, że „kierowniczka” to nikt inny, tylko Michelle usiłująca zwabić ją w zasadzkę. Tom Dahl powiadomił ekipę z Milwaukee, która przygotowała się na ujęcie kobiety zaraz po opuszczeniu przez nią eleganckiego lokum należącego do Rolfe'a. Pozostawał dylemat, czy Brynn powinna osobiście aresztować Michelle. Rozgorzała debata, policjantka miała na to ogromną ochotę, lecz rozsądek wziął górę. Na spotkanie do hotelu Harborside Inn pojechała inna funkcjonariuszka, a Brynn McKenzie wróciła do domu.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Tom Dahl nigdy nie uchybiał zasadom grzeczności. Joey wpuścił szeryfa, który uśmiechał się od ucha do ucha.

– Nie zgadniesz – powiedział, stając w progu salonu. – Wszędzie roi się od dziennikarzy! – Roześmiał się. – I nie mam na myśli przedstawicieli stacji regionalnych. Jest FOX, CBS, a nawet CNN. Burmistrz wyraził zaniepokojenie, czy każdy, kto pracuje w telewizji, musi mieć jasne włosy.

- W Atlancie rodzą się sami blondyni – odparła ze śmiechem Brynn.
- Michelle zostanie jeszcze dziś przewieziona do naszego aresztu. Pewnie zechcesz ją przesłuchać.
- Jasne, że tak. Ale nie dziś. Mam plany, mówiłam ci.
- Czy to na pewno dobry pomysł? Po co zadawać sobie takie pytania, skoro podjęła już decyzję?
- Wywiązała się z obowiązków służbowych, przyczyniając się do schwytania morderczyni Feldmanów, teraz musiała spróbować uporządkować życie osobiste. Odprowadziła szeryfa do drzwi.
- Co może być aż takie ważne? – zainteresował się przed wyjściem.
- Przygotowuję kolację dla Anny i Joeya, a potem będziemy oglądać „Idola”.
- To powtórka – zachichotał Dahl. – Mogę ci powiedzieć, kto wygrał.
- Dobranoc, Tom. Do zobaczenia w biurze jutro skoro świt.

Michelle Kepler siedziała na plastikowym krześle za stołem z płyty pilśniowej w jednej z dwóch sal przesłuchań, którymi dysponował posterunek. Kiedyś pomieszczenia służyły za magazyny, ale zdemontowano szafki, usunięto pudła i zamontowano kamery. Jeden z funkcjonariuszy zainstalował lustro kupione w supermarkecie. Dla efektu. Szczerze powiedziawszy, każdy średnio doświadczony przestępca by rozpoznał, iż nie jest to lustro weneckie. Cóż, w organach ścigania powiatu Kennesha liczone się z każdym groszem. Za oknem szalała burza. Był piątek, godzina dziewiąta rano.

Brynn siedziała naprzeciwko Michelle uzbrojona jedynie w papier i długopis. Od bezwzględnej morderczyni i oszustki oddzielał ją jedynie stół. Była dziwnie spokojna. Poczowała naturalne ukłucie żalu na myśl o perfidnej zdradzie. Poznały się jako dwie ofiary ocalałe z tragedii, potem zostały sojuszniczkami, a z czasem nawiązała się między nimi nić przyjaźni. Brynn Kristen McKenzie uprawiała zawód, który wymagał nieustannego kontaktu z oszustami. Przyszła do pracy. Jej zadaniem było uzyskanie informacji. Michelle jak zwykle nie traciła pewności siebie.

- Gdzie są moje dzieci? – spytała władczo.
- Pod dobrą opieką.
- Błagam cię, Brynn... Syn i córka mnie potrzebują. Oszaleją beze mnie. Naprawdę, będzie z nimi kłopot.
- Chciałaś zrobić z syna pomocnika w morderstwie? – Nie potrafiła ukryć

zdumienia.

Michelle zrobiła zatrwożoną minę.

– Ależ nie! Nie. Chcieliśmy jedynie z tobą porozmawiać. Zamierzałam cię przeprosić.

– On ma siedem lat. Zabrałaś go ze sobą. Miałaś przy sobie broń.

– Wyłącznie do obrony. W Milwaukee bywa niebezpiecznie. Mam zezwolenie, gdzieś je zapodziałam.

– Dobrze. – Brynn obojętnie pokiwała głową.

– Mogę się zobaczyć z Bradem? Na pewno jest nieszczęśliwy beze mnie. Jeszcze się rozchoruje. Odziedziczył po mnie skłonność do omdleń.

– Przecież go adoptowałaś.

Michelle drgnęła zaskoczona.

– On mnie potrzebuje.

– Znajduje się pod dobrą opieką. Nic mu nie będzie... Ty zostałam zatrzymana pod zarzutem morderstwa, usiłowania zabójstwa oraz napaści. Przedstawiono ci twoje prawa. Masz prawo w każdej chwili przerwać przesłuchanie i zażądać adwokata. Rozumiesz?

– Tak – odparła Michelle, zerkając na czerwoną diodę kamery.

– Czy życzysz sobie obecności adwokata?

– Nie, porozmawiam z tobą, Brynn. – Roześmiała się. – Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy... jesteśmy niemal jak siostry. Nie uważasz? Zwierzałam ci się, ty mi opowiedziałaś o swoich problemach w domu. – Zerknęła w kamerę, przybierając współczujący wyraz twarzy. – O swoim mężu, synu... Jesteśmy bratnimi duszami. To się rzadko zdarza, Brynn. Naprawdę.

– Mam rozumieć, że rezygnujesz z prawa do obecności adwokata?

– Absolutnie tak. Nastąpiło nieporozumienie. Zaraz ci wszystko opowiem. – Mówiła cichym, znękanym głosem. Jak ofiara okrutnej niesprawiedliwości.

– Wyjaśnię ci, dlaczego tu jesteśmy – zaczęła Brynn. – Twoim zadaniem jest opowiedzenie, krok po kroku, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy. Tak będzie znacznie lepiej dla ciebie, twojej rodziny...

– Co z moją rodziną? – warknęła. – Chyba nie rozmawiałaś z moimi rodzicami?

– Owszem, tak.

– Nie miałaś prawa! – Zreflektowała się po sekundzie. – Dlaczego to zrobiłaś? Oni mnie nienawidzą. Cokolwiek powiedzieli, kłamali. Zazdroszczą mi. Byłam samodzielna od urodzenia. Odniosłam sukces. Oni zawsze byli

przeegrani.

Michelle dorastała w Madison, w stanie Wisconsin. Rodzice nadal tam mieszkali. Jej rodzina zaliczała się do klasy średniej. Matka miała pięćdziesiąt siedem lat, ojciec sześćdziesiąt siedem. Twierdzili, że starali się ją wychować na porządnego człowieka, ale ponieśli klęskę. Matka Michelle określiła córkę jako mściwą. Ojciec uważał, że jest niebezpieczna. Nie kryli przerażenia na wiadomość o morderstwach, ale nie protestowali, że to niemożliwe. Dziewczyna miała zwyczaj przeskakiwania z kwiatka na kwiatek. Najczęściej wiązała się z mężczyznami, choć miewała także bliskie relacje z kobietami. Żyła na rachunek kochanków. Po jakimś czasie trwania takiego związku zaczynały się ataki furii, zazdrości i agresji. Wstrząśnięci niepoczytalnością dziewczyny partnerzy byli wdzięczni losowi, kiedy odchodziła. Najpierw jednak musiała mieć na oku następną ofiarę. Dwukrotnie zatrzymano ją za napaść na mężczyzn, którzy ją porzucili. Nękała wiele osób. Trzy z nich wystąpiły o sądowy zakaz zbliżania się.

– Nie można im wierzyć – powiedziała Michelle. – Byłam ofiarą przemocy w rodzinie.

– W kartotekach nie ma o tym wzmianki.

– Jak miała się tam znaleźć? Mój ojciec nigdy by do tego nie dopuścił. Nikt nie chciał słuchać moich skarg. Ojciec był w zmowie z szefem lokalnej policji. Moją jedyną szansą była ucieczka. Musiałam sobie radzić sama. Było ciężko, okropnie ciężko. Nikt nigdy mi nie pomógł.

Brynn postanowiła przerwać tę łzawą historyjkę.

– Łatwiej by było, gdybyś współpracowała. Chciałabym się dowiedzieć jeszcze kilku rzeczy.

– Nie zamierzałam zrobić ci krzywdy – jęknęła Michelle. – Przyjechałam porozmawiać.

– Podawałaś się za kierowniczkę hotelu. Mówiłaś z hiszpańskim akcentem.

– Nie rozumiałabyś. Nikt mnie nie rozumie. Gdybym się przedstawiła, od razu zostałabym aresztowana. Bez szansy na wyjaśnienie czegokolwiek. Zależy mi na tym, żebyś mnie zrozumiała, Brynn. To ważne.

– Miałas przy sobie broń.

– Tamci mężczyźni w domu nad jeziorem usiłowali mnie zabić! Bałam się. Już wcześniej padałam ofiarą przemocy. Mój ojciec, paru narzeczonych... Kilka razy wniosłam sprawę do sądu o zakaz zbliżania się.

Rzeczywiście oskarżyła paru kochanków o znęcanie się, jednak sąd odrzucił jej wersję wydarzeń. Mężczyźni mieli niepodważalne alibi. Uznano,

że Michelle pozwała ich z zemsty.

- Wydano trzy zakazy przeciwko tobie.
- Tak właśnie działa system – odparła ze smutnym uśmiechem.
- Nikt nie daje wiary poszkodowanemu. Popiera się prześladowców.
- Porozmawiajmy o siedemnastym kwietnia.
- Mogę wszystko wytłumaczyć.
- Słucham.

– Byłam umówiona na spotkanie ze Stevenem Feldmanem z opieki społecznej. Podejrzywałam, że Brad padł ofiarą wykorzystywania przez jednego z nauczycieli.

– Dobrze. Zgłosiłaś to gdzieś?

– Właśnie po to umówiłam się na spotkanie z panem Feldmanem. Zwolniłam się wcześniej z pracy, ale autobus się spóźnił. Zanim dotarłam do biura, on już zdążył wyjść. Sprawa wydawała mi się na tyle ważna, że kiedy dowiedziałam się, że pojechał do swojego letniego domu nad jeziorem Mondac, postanowiłam wyruszyć za nim. Powiedział, że mogę z nim porozmawiać o Bradzie o każdej porze dnia i nocy. Poprosiłam znajomego – Harta – o podwiezienie. Popęliłam wielki błąd. – Pokręciła głową.

– Jak brzmi jego pełne nazwisko?

– Właśnie tak. Po prostu Hart. Zabrał ze sobą kolegę. Comptona Lewisa. Obrzydliwy, obleśny typ. Powinnam była się wycofać w chwili, kiedy go zobaczyłam. Tylko że strasznie zależało mi na rozmowie ze Steve'em. Pojechaliśmy we trójkę. Po rozmowie z Feldmanem mieli mnie odwieźć z powrotem. Po drodze zaczęli się zachowywać coraz dziwniej. Mówili: W tych domach pewnie są jakieś cenne rzeczy. Albo: W tej okolicy chyba mieszkają nadziani ludzie. Zaparkowali pod domem, zobaczyli mercedesa i zanim się zdążyłam zorientować, na co się zanoszą, wyjęli pistolety. Pomyślałam: Tylko nie to. Weszli do środka i od razu otworzyli ogień. Chciałam ich powstrzymać. Sięgnęłam po rewolwer...

– Broń znajdująca się w twoim posiadaniu została skradziona ze sklepu oddalonego o kilometr od miejsca twojego zamieszkania.

– To była ich broń! – Michelle zasłoniła twarz dłońmi. Płakała albo udawała, że płacze.

– Napijesz się czegoś? Kawy? Wody?

Może chcesz krakersy, żeby podnieść poziom cukru we krwi...? – pomyślała Brynn, ale jej twarz pozostawała niewzruszona.

Michelle podniosła wzrok. Miała zaczerwienione, ale suche oczy. Tak

samo wyglądała tamtej kwietniowej nocy.

Twierdziła, że jest aktorką. Boże, i ja to kupiłam, zatrwożyła się Brynn.

– Byłam zdruzgotana – mówiła dalej Michelle. – Czułam się tak strasznie, że prawie nie mogłam oddychać. Wiedziałam, że to moja wina. Ja sprowadziłam tych ludzi. Nie potrafię opisać słowami swojego poczucia winy... Wpadłam w panikę. Okłamałam cię trochę. To zrozumiałe. Bałam się. Zobaczyłam ciebie na tym odludziu. Owszem, miałam pistolet. Przecież cię nie znałam. Mogłaś być ich współniczką. Co z tego, że byłaś w mundurze? A gdyby wszystko zostało z góry ukartowane? Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Umierałam z przerażenia. Skłamałam, żeby się ratować. Najgorsze ze wszystkiego... Tego nie potrafię sobie wybaczyć... Sama nie wierzę w to, co zrobiłam u ciebie w domu. Miałam atak paniki. Przerażliwego lęku. To chyba efekt stresu pourazowego. Zawsze miałam do niego skłonności. Wydawało mi się, że Hart jest w domu. Przestraszyłaś mnie. Pistolet wystrzelił przez przypadek! Muszę się nauczyć z tym żyć. Postrzeliłam twoją mamę przez przypadek.

Brynn założyła nogę na nogę. Patrzyła na zagubioną piękną kobietę o oczach wypełnionych łzami. Dobre przedstawienie...

– Niestety, dowody i świadkowie mówią coś troszkę innego, Michelle.

Wy tłumaczyła jej, w jaki sposób odkryli jej tożsamość oraz co wiedzieli na temat jej planów. Wymieniła dowody balistyczne, popiół z kominka, wykaz rozmów telefonicznych Stevena Feldmana, zgłoszenia na temat złego traktowania dzieci.

– Osobiście rozmawiałam z ludźmi z opieki społecznej. Z przełożonym Stevena Feldmana, świadkami, nauczycielem twojego syna. Brad regularnie miewał siniaki na nogach i ramionach. Twoja córka również.

– Zdarzył im się parę razy jakiś wypadek. Pójdiesz z dzieckiem na pogotowie i od razu mają cię za wyrodną matkę. Nigdy ich nie pobiłam... Nie popadajmy w paranoję! – Michelle się zacietrzewiała.

– Każdy od czasu do czasu da klapsa swojemu dziecku. Ty nie?

– Nie.

– A może powinnaś. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Może wtedy nie miałabyś z nim tylu kłopotów. Pozwalasz, żeby takie rzeczy uchodziły mu na sucho... Mój syn nie wpadnie pod koła pędzącej ciężarówki ani nie złamie sobie karku, jeżdżąc na deskorolce. Dzieci potrzebują jasnych zasad. Jeśli nie czują nad sobą twardej ręki, nie będą cię szanować. A przecież chcą szanować swoich rodziców

– Michelle, pozwól, że przedstawię ci dowody zebrane przeciwko tobie. – Brynn sięgnęła po dokumentację zawierającą streszczenia analiz ekspertów, zeznania świadków oraz dowody rzeczowe. Ich liczba była obezwładniająca. Michelle wybuchła płaczem.

– To nie moja wina! Nie moja!

Brynn wyłączyła kamerę. Michelle popatrzyła podejrzliwie. Otarła oczy.

– Zapoznałaś się z naszym stanowiskiem. – Brynn mówiła cicho i łagodnie. – Zostaniesz skazana. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Jeśli nie będziesz współpracować, trafisz do izolatki na dożywocie. Jeśli nam pomożesz, odsiedzisz wyrok w więzieniu o średnim rygorze, w niezłych warunkach. Może wyjdiesz na wolność, zanim ci będzie wszystko jedno.

– Będę mogła się widywać z dziećmi? Zgodzę się, jeśli pozwolicie mi widywać się z dziećmi.

– Nie – odparła stanowczo Brynn. – To nie leży w ich interesie.

To na moment zmartwiło Michelle.

– A ładniejszą celę? Mogę dostać ładniejszą celę? – spytała, uśmiechając się promiennie.

– Tak.

– Muszę tylko się przyznać?

– To część umowy.

Michelle wpatrywała się w kamerę. A dokładnie w miejsce, gdzie wcześniej paliła się czerwona dioda.

Brynn McKenzie i szeryf Dahl siedzieli w stołówce. Krzesła były małe, prawie jak w szkole podstawowej. Szeryf ledwie się mieścił. Brynn nie miała takiego problemu. Jedyna część ciała, którą wolałaby zmniejszyć, to brzuch. Tom Dahl czytał zapis przesłuchania. Brynn wpatrywała się w odwrócone notatki. Przestraszyła się, kiedy szeryf nagle trzasnął nimi o stół.

– Wyciągnęłaś z niej przyznanie się do winy. Brawo. Na niezbyt wygórowanych warunkach. Pójdzie do Sanford? Średni rygor?

– Ale bez prawa do przepustek. Widzenia z dziećmi zależą od decyzji pracowników socjalnych.

– Minimum dwadzieścia pięć lat. Bez możliwości zwolnienia warunkowego. – Dahl zabrał się do jedzenia makaronu. – Ty nie jesteś głodna?

– Nie.

– Co z tym Hartem? Mówiła coś o nim?

– Może ze dwa słowa.

– Uciekł.

– Tacy jak on nie uciekają – odparła ze śmiechem. – Może będzie się przez jakiś czas ukrywał, ale na pewno nie zniknie z powierzchni planety. Nie teleportuje się, jak w „Gwiezdnym Wojnach”.

– To było w „Star Treku”. Serialu telewizyjnym. Nie pamiętasz, za młoda jesteś.

– W każdym razie szkoda, że to niemożliwe. Niech go lepiej znajdą. FBI, ci z Minneapolis, ktokolwiek. Dla jego własnego dobra.

– Co masz na myśli?

– Znalazł się na kilku czarnych listach. Ludziom, dla których pracował, nie zależy na jego przymknięciu. Ma na koncie zabójstwa, napady rabunkowe oraz wymuszenia na zlecenie. Rozeszły się wieści, że jest poszukiwany w związku z zabójstwami nad jeziorem Mondac. Będą się bali, że zacznie sypać. Rodzina Comptona Lewisa również ma swoje powody, aby życzyć mu nie najlepiej.

Dahl zajrzał do jej notatek. Brynn podziwiała jego gładką skórę. Wyglądał młodziej niż ona. Nawet gdyby pominąć złamaną szczękę i ranę postrzałową twarzy. I gdzie tu sprawiedliwość?

– Dlaczego zawodowiec pokroju Harta zaangażował się w tak drobną sprawę? – zastanawiał się szeryf. – Z tą Kepler... Pieniądze? Seks? Brzydka nie jest.

– Myślisz?

Szeryf parsknął śmiechem.

– Moim zdaniem ani jedno, ani drugie – powiedziała Brynn.

– Obstawiam nudę.

– Nudę?

– Miał przerwę między zleceniami. Trafiała się okazja. Brakowało mu wrażeń.

Wyciągnął oskarżycielsko palec w jej stronę, bez uśmiechu.

– Jak ty – powiedział.

– Ja? – zdziwiła się.

– Zupełnie jak ty. Nie jesteś w zawodzie dla zarobku. Lubisz ten dreszczyk, co?

– Pracuję, bo kocham swojego przełożonego.

– Cha. Co dalej? Pewnie zaczniesz ścigać Harta. Będę musiał błagać o

zwiększenie funduszy na wydatki operacyjne.

– Nie. Zostawię to policji stanowej.

– Naprawdę? – Dahl przerwał masowanie nogi.

– Mamy tu dość pracy.

– Czy ja się przypadkiem nie przesłyszałem?

– Kiedy przyskrzynię Harta, na pewno nie odmówię sobie przyjemności przesłuchania go. Ale swoją część pracy już wykonałam. Poza tym, potrzebny jest ktoś z jego okolic. Do zakończenia większości spraw przyczyniają się lokalne powiązania.

– Otóż to. Zgadzam się z tobą w całej rozciągłości. Prześlij akta chłopcom ze stanowej. Na pewno chcesz?

– Tak.

– Hej, Brynn! – zawołał od progu funkcjonariusz. – Przepraszam, że przeszkadzam ci podczas jedzenia.

– Słucham.

– Przyskrzyniłem faceta, który kręcił się koło szkoły. Mówiłaś, że chcesz z nim pogadać.

– Jasne. Za co go przyskrzyniłeś!

– Za rozpięty rozporek.

– Zrezygnował ze swoich praw?

– Tak. Ma wytłumaczenie.

– Pewnie, że ma – zaciętrzewił się Dahl. – Pieprzony zboczeniec.

– Zaraz wracam – powiedziała Brynn.

Wysoki mężczyzna o szerokich ramionach i krótko przystrzyżonych włosach stał na drabinie przystawionej do dachu starego, lecz dobrze utrzymanego domu w stylu kolonialnym. Dom mieścił się w miłej dzielnicy w południowej części Humboldt. Wstawał chłodny sobotni poranek. W wielu domach na terenie całego kraju wykonywano podobne czynności. Mężczyzna malował okiennice na ciemnozielono. Brynn mieszkała w tym domu dziesięć lat i przez dziesięć lat uważała, że okiennice powinny być zielone. Wreszcie zrozumiała dlaczego. Z powodu lasu za domem. Pięknego zielonego gąszczu igieł. Codziennie patrzyła na te drzewa, tak naprawdę ich nie widząc.

Zerknął przez ramię na podjeżdżający samochód. Zawahał się w pół gestu na widok toyoty camry. Powoli zszedł z drabiny. Odstawił wiadro z farbą na specjalnie przygotowany stół i owinął pędzel folią, żeby emulsja nie zaschła. Keith Marshall zawsze był pedantyczny. Brynn zaparkowała przed garażem.

Joey wysiadł z samochodu, zabierając walizkę z tylnego siedzenia.

– Cześć, tata!

Keith uściskał syna. Po chwili Joey pobiegł do domu.

– Na razie, mammo!

– Odbiorę cię w poniedziałek ze szkoły!

– Nie zapomnij o ciasteczkach!

Jej były mąż wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale zapomniał co. Brynn zgasiła silnik i wysiadła z wozu. Od dwóch lat tego nie robiła. Przywoziła syna w odwiedziny do ojca, po czym znikala w ciągu minuty.

– Cześć – przywitała się.

Keith skłonił głowę. Jego włosy przyprószyła odrobina siwizny, nie przytył ani o kilogram od dziesięciu lat. Przemiana materii godna pozazdroszczenia. Poza tym uprawiał sporty. Podszedł, uściskał ją przelotnie. Niezbyt mocno, niezbyt lekko. Przypomniała sobie o zaletach, których posiadał tak wiele. Był twardzielem, to prawda. Klasycznym, nie takim jak nieszczęsny Eric Munce, dla którego zaletą dobrego policjanta nie było opanowanie i spokojna pewność siebie, ale brawura.

– Jak się masz? – spytała.

– Nieźle. Sporo pracuję. Napijesz się czegoś?

Podziękowała.

– Ładny kolor – pochwaliła.

– Była wyprzedaż.

– Jakie macie plany na weekend?

– Wędkowanie. Potem grill u Boglesów. Joey lubi Claya.

– To miły chłopak.

– Tak. Ojciec kupił mu sprzęt do lacrosse'a. Mamy zamiar go wypróbować.

– Istnieje jakiś sport, którego ten dzieciak nie lubi? – zapytała Brynn z uśmiechem. – Ty też będziesz grał?

– Chciałbym się przymierzyć.

– Ja znów jeżdżę konno.

– Tak?

– Kiedy tylko mam czas. Przeważnie raz w tygodniu.

Odwiedziła kiedyś kilkakrotnie stadninę razem z byłym mężem. Keith nie zapałał miłością do koni.

– Ostatnio zabrałam Joeya. Nieźle mu szło, chociaż nie znosi toczka.

– Cały Joey. Dopilnuję, żeby założył kask i zasłonę na twarz, kiedy

będziemy grali w lacrosse'a. – Keith odwrócił wzrok. – Będziemy tylko we dwóch. My, chłopaki.

Minęło tyle lat, mieli za sobą rozwód i pogrzebaną przeszłość, a Keith nadal czuł się winny, umawiając się na randki. Uważała, że to zabawne. A także ujmujące.

– Co słyszać w policji stanowej?

– Wszystko po staremu. Słyszałem, że złapali kobietę, którą uratowałaś tamtej nocy.

Tę, którą uratowała...

– Można i tak powiedzieć. Poszła na ugodę.

– Było tak źle, jak mówią?

Keith telefonował, żeby dowiedzieć się o zdrowie Brynn natychmiast po usłyszeniu o wydarzeniach nad jeziorem Mondac. Odebrał Graham, Brynn nie było w domu. Mężczyźni zawsze zachowywali się bardzo uprzejmie w stosunku do siebie nawzajem. Keith nie przedłużał rozmowy, zadowolony, że Brynn jest bezpieczna. Pozostałe informacje dotyczące sprawy zdobył dzięki wiadomościom telewizyjnym oraz kontaktom w organach ścigania.

Dopełniła jego wiedzę o kilka szczegółów. Rozmawiali na werandzie. O dziwo najbardziej zaintrygował go kompas. Nie bola, włócznia ani strzelaniny.

– Sama zrobiłaś?

– No.

Posłał jej jeden ze swych najmielszych uśmiechów i poprosił o więcej szczegółów. Na moment zapadła ciężka, paląca cisza. Keith zdał sobie sprawę, że Brynn nie zamierza wsiąść do samochodu i jak zwykle pośpiesznie odjechać.

– Zrobiłem nowy pomost – pochwalił się.

– Joey mi mówił.

– Chcesz zobaczyć?

– Jasne.

W ostatni weekend maja Hart odwiedził tawernę na starym mieście w Chicago, niedaleko North Avenue, na Wells. Okolica bardzo się zmieniła od lat siedemdziesiątych, kiedy się tu sprowadził. Było bezpieczniej, ale znacznie mniej klimatycznie. Nowocześni przedsiębiorcy wypłoszyli starych mieszkańców, włóczęgów, muzyków, pijaków i prostytutki. Eleganckie sklepy, gdzie sprzedawano wykwintne wina i sery oraz zdrową żywność, zastąpiły warzywniaki i monopolowe. Najsłynniejszy bar w okolicy przestał istnieć. Została tylko siedziba teatru komediowego Second City, która prawdopodobnie przetrwa wieki.

Bar, do którego wybrał się Hart, powstał już po czasach największej świetności dzielnicy, ale pamiętał erę disco. Była godzina czternasta trzydzieści, sobotnie popołudnie. W środku siedziało pięć osób. Trzy przy barze. W pewnej odległości od siebie nawzajem, co sugerowało, że się nie znają. Para sześćdziesięciolatek, kobieta i mężczyzna, zajmowała jeden ze stolików. Kobieta nie miała zęba na przedzie, a jej głowę zdobił czerwony kapelusz z rondem.

Ukrywając się przez półtora miesiąca, Hart zatęsknił za swoim miastem i dzielnicą. Doskwierała mu samotność. Brakowało pracy. Dowiedział się, że Michelle trafiła do więzienia i zaniechała prób pozbycia się go. Mógł bezpiecznie opuścić schronienie i wrócić do normalnego życia. Ku jego zdumieniu, najwyraźniej nie wydała go glinom.

Opadł ciężko na barowy stołek.

– Kogo moje piękne oczy widzą?! Toż to Terry Hart! – zawołał okrągłutki barman i uściśnął mu dłoń. – Nie widziałem cię chyba z miesiąc.

– Byłem w podróży służbowej.

– Gdzie? Co podać?

– Smirnoffa z sokiem grejpfrutowym. I burgera bez frytek. Średnio wysmażonego.

– Już się robi. Więc gdzie?

– W Nowej Anglii. A potem krótko na Florydzie.

Barman podał drinka i powiesił zatłuszczoną zieloną karteczkę z zamówieniem Harta przy okienku łączącym bar z kuchnią. Potrząsnął dzwonkiem. Ciemnobrązowa dłoń wychyliła się przez otwór i zabrała kartkę.

– Na Florydzie. Bywam tam z żoną. Ostatnio poszliśmy na plażę dopiero ostatniego dnia. Woleliśmy przesiadywać na pomoście. Często jadaliśmy w różnych restauracjach. Uwielbiam kraby. W której części stanu byłeś?

– Niedaleko Miami.
– My też. Miami Beach. Nie opaliłeś się prawie wcale, Terry.
– Niezdrowo jest się opalać. – Hart wychylił swojego drinka jednym haustem.

– Święta racja.

– Jeszcze raz to samo. – Odsunął szklanekę. Rozejrzał się po lokalu. Spróbował nowego drinka. Mocny. Popołudniami nie żałują alkoholu. Po paru minutach usłyszał dzwonek w kuchni. Dostał zamówionego burgera i powoli zaczął jeść. – Opowiadaj, co słychać w mieście, Ben. Wszystko dobrze?

– Chyba tak.

– Nikt o mnie nie pytał?

– Cha.

– Co to znaczy: cha?

– To odzywka z czarnego kryminału.

Hart z uśmiechem sączył drinka. Jadł, posługując się głównie lewą ręką. Starał się jak najczęściej używać niesprawnego ramienia. Ćwiczył zastawę mięśnie. Pracował dziś przez kilka godzin nad inkrustowaną skrzynią, którą zaczął w Wisconsin, używając tylko lewej ręki. Był dumny ze swego dzieła, było naprawdę piękne.

– Nie na mojej zmianie – powiedział barman. – Spodziewasz się kogoś?

– Nigdy nie wiem, czego się spodziewać. – Hart uśmiechnął się od ucha do ucha. – Ten tekst też by pasował do czarnego kryminału.

– Obciąłeś włosy. Dobrze wyglądasz.

Barman oszedł obsłużyć innego klienta. Ludzie, którzy piją w ciągu dnia, zwykle wybierają wódkę z dodatkiem jakiegoś soku lub napoju. Nikt nie zamawia martini. Ciekawe dlaczego? – myślał Hart. Zastanawiał się, czy Brynn McKenzie je teraz obiad. Może nie jada obiadów. Dopiero kolacje z rodziną. To mu przypomniało o jej mężu. Brynn McKenzie i Graham Boyd. Ciekawe, czy planują do siebie wrócić... Wątpliwe. Ładny nowy dom Grahama nie wyglądał na przejściowe lokum. W niczym nie przypominał obskurnego mieszkanka, które wynajął Hart po rozstaniu z żoną. Po prostu się wtedy wprowadził i nie ruszył palcem, żeby się jakoś urządzić. Wrócił pamięcią do rozmowy z Brynn. Nie odpowiedział na zadane nie wprost pytanie. Poczł się winny. Żadnych kłamstw między nami...

– Słucham? – Barman powiedział coś, czego nie dosłyszał.

– Wszystko smakuje? Dobrze przyrządzone?

– Tak, dzięki.

Telewizor był nastawiony na kanał sportowy. Nadawali skrót wiadomości. Hart skończył obiad i barman sprzątnął talerz.

– Masz jakąś dziewczynę, Terry? – Usiłował nawiązać rozmowę.

– Tak – odparł Hart, patrząc w telewizor. Sam był zaskoczony, że to powiedział.

– Nie może być. Kto to?

– Poznaliśmy się w kwietniu. – Wymówienie tych słów sprawiło mu przyjemność.

– Przyrowadź ją kiedyś.

– Chyba coś się zaczyna psuć.

– Jak to?

– Wiesz, związek na odległość.

Barman skrzywił się ze współczuciem.

– Tak, wiem coś o tym. Na początku narzeczeństwa z Ellie trafiłem do wojska na pół roku. Ciężko było. Wezwanie do armii pokrzyżowało nam plany. Po ślubie to co innego, można spokojnie się rozstać na jakiś czas. Ale kiedy znajomość jest świeża... Związek na odległość to prawdziwe utrapienie.

– Prawdę mówisz.

– Skąd ona jest?

– Z Wisconsin.

– Serio?

– Tak.

– To niezbyt daleko.

– Są też inne problemy.

– W sprawach damsko-męskich wiecznie są problemy.

Hart zastanawiał się, czemu barmani tak często posługują się utartymi zwrotami wygłaszanymi tonem sugerującym, że jedno zdanie przesądza sprawę i kończy temat.

– Jesteśmy jak Romeo i Julia.

I wszystko jasne, pomyślał barman.

– Żydówka? – spytał konspiracyjnym szeptem.

– Nie – zaprzeczył ze śmiechem Hart. – Nie chodzi o różnice religijne. Raczej o jej zawód.

– Za dużo pracuje? Nigdy nie ma jej w domu? Moim zdaniem kobiety nie powinny pracować zawodowo. To nie po bożemu. No, chyba że jak dzieci

dorosną. Na pół etatu...

– Tak – zgodził się z nim. Ciekawe, co by na to odpowiedziała Brynn, pomyślał.

– A więc o to chodzi?

– Chyba tak. – Słyszał pulsowanie krwi w uszach.

Barman popatrzył mu w oczy i odwrócił wzrok, jakby zobaczył w nich coś przerażającego albo przygnębiającego.

– Poznasz kogoś innego, Terry. – Podniósł do ust szklankę z napojem, do której chlupnął sobie „przez przypadek” trochę rumu.

– Życie toczy się dalej, prawda? – Hart również umiał posługiwać się sloganami.

– Ja...

– Nie ma na to odpowiedzi, Ben. Tak sobie tylko gadam.

– Uśmiechnął się szeroko. – Muszę się zbierać. Ile płacę?

Barman wystawił rachunek, Hart go uregulował, dodając dwadzieścia dolarów napiwku.

– Gdyby ktokolwiek o mnie pytał, daj mi znać.

Zapisał mu numer telefonu na kartę, którego używał tylko do odbierania poczty głosowej.

– Czarny kryminał, co?

Hart odpowiedział uśmiechem. Omiótł wzrokiem salę i wyszedł na zalany słońcem chodnik. Włożył okulary przeciwsłoneczne, myśląc o mrocznych lasach parku stanowego Marquette. Tam, na leśnym odludziu, odkrył, że ciemność ma setki różnych odcieni, kształtów i faktur. Szarości i czernie trudne do opisanie słowami. Ciemność w wielu odmianach, jak gatunki drzew. Ciemność o różnej gęstości. Może...

Pierwszy pocisk trafił go w plecy. Krew i strzępy ciała prysnęły mu na twarz. Jęknął bardziej ze zdumienia niż bólu. Spuścił wzrok na ogromną ranę wylotową w klatce piersiowej. Druga kula utkwiała w jego głowie. Trzecia rozbiła okno tawerny, mijając go o kilka centymetrów. Posypało się szkło.

Upadł bezwładnie w deszczu szklanych odłamków. Jeden z nich niemal odciął mu ucho, inny przeciął tętnicę szyjną. Chodnik zalała krew.

Dzień dobry – przywitał się Tom Dahl, stając przy biurku Brynn. Trzymał kubek z kawą i dwa pączki. Dziś przyniosła je recepcjonistka, Cheryl. W każdy poniedziałek ktoś przynosił słodkie pieczywo. Wyznaczali dyżury. Pewnie robili to, żeby osłodzić powrót do pracy po weekendzie. Albo też

była to jedna z tych tradycji, które ktoś zaczął bez powodu, a potem się je ciągnęło, bo nie było powodu, żeby przestać.

– Jak ci minął weekend? – spytał szeryf.

– Miło. Joey pojechał do ojca. W niedzielę po mszy zjadłam obiad z mamą, Ritą i Megan. W Brighton.

– W bufecie?

– Tak.

– Mają tam bardzo smaczną pastę do kanapek – powiedział z szacunkiem Dahl.

– Rzeczywiście.

– W Marriocie też. I łabędzia z lodu. Tylko trzeba przyjść w miarę wcześnie. Zanim się roztopi i zamieni w kaczkę.

– Wezmę to pod uwagę. A wy robiliście coś ciekawego?

– Nie. Teściowie przyjechali. Ten jej ojciec... Chudy jak patyk. Zezarał trzy porcje kurczaka, a potem, nim ktokolwiek zdążył skończyć pierwsze danie, on pochłaniał już chleb moczony w zupie grzybowej, który zanurzał jeszcze w zapiekance z fasolki szparagowej.

– Pyszna ta zapiekanka Carole. – Brynn miała okazję jeść ją kilka razy.

– A od czego niby są łyżki do nakładania? – Popatrzył na swoje pączki. – Dziś Krispy Kreme. Wolę te, które ty kupujesz.

– Z Dunkin' Donuts.

– Właśnie. Nie pieką już tych z górką?

– Nie wiem, Tom. Zawsze proszę o trzy tuziny. Mieszają różne rodzaje.

Zapadła cisza.

– Więc... Słyszałaś już?

– O czym?

– Dzwonili z Milwaukee. – Zmarszczył brwi. – Ten detektyw zajmujący się sprawą Feldmanów.

– Do mnie nikt nie dzwonił – zdziwiła się.

– Hart został zabity.

– Co takiego?!

– Wygląda na porachunki gangsterskie. Strzał w tył głowy. W Chicago. Jak się okazuje, tam mieszkał.

– A to ci dopiero! – Brynn odchyliła się na krześle. Popatrzyła na kawę, pomyślała o pączkach. Postanowiła ćwiczyć silną wolę.

– Miałaś rację. Facet nie był lubiany.

– Jakież poszlaki?

– Niewiele.

– Co o nim wiadomo?

Dahl powtórzył jej, co usłyszał od policjanta z Milwaukee, który zdobył informacje od funkcjonariusza z Chicago. Terrance Hart prowadził firmę ochroniarską w Chicago. Doradzał magazynom i firmom w sprawach bezpieczeństwa, zapewniał ochroniarzy. Niekarany, nigdy nie był nawet zatrzymany. Podatki płacił na czas. Jego ostatni roczny dochód wyniósł dziewięćdziesiąt trzy tysiące dolarów.

– Tylko że bardzo dużo podróżował. Bardzo – oświadczył szeryf takim tonem, jakby już sam ten fakt wzbudzał podejrzenia.

Rozwiedziony, jego małżeństwo nie trwało długo. Bezdzienny. („Nie jestem stworzony do małżeństwa. A ty, Brynn?”). Rodzice mieszkają w Pensylwanii. Młodszy brat jest lekarzem.

– Lekarzem? – zdziwiła się Brynn.

– Tak. Reszta rodziny jest zaskakująco normalna. Hart zawsze był odszczepieńcem. Kochał ryzyko. Już w szkole bez przerwy pakował się w kłopoty. Ale udawało mu się zachowywać pozory, nigdy nie trafił za kratki. Firma nieźle prosperowała. Poza tym był świetnym stolarzem. Robił naprawdę piękne meble. Ja potrafię jedynie z paru desek zbić półkę. Nie był typowym mordercą na zlecenie.

– Jak doszło do strzelaniny?

– Normalnie. Na jakiś czas zadekował się w Green Bay, ale potem wrócił do siebie. Po zamknięciu Michelle nie miał już powodu się ukrywać. W sobotę poszedł na obiad do jednego ze swoich ulubionych lokali. Załatwili go, kiedy wyszedł.

– Świadkowie?

– Nie. W barze wszyscy momentalnie padli na ziemię, słysząc strzały. To w końcu Chicago. Nic nie widzieli. Na pobliskich chodnikach nikogo nie było. Kilka samochodów odjechało z piskiem opon, nim ktokolwiek zdołał dojrzeć numery rejestracyjne. – Przerwał.

– Jest powiązanie z nami.

– Z nami? – Brynn patrzyła z zazdrością, jak szeryf zajada pączka.

– Z Wisconsin. Analiza balistyczna wykazała, że pociski pasują do strzelaniny w Smith sprzed pół roku. Na stacji benzynowej Exxon. Sprzedawca cudem przeżył.

– Nie pamiętam.

– Nie prowadziliśmy śledztwa. Zajęła się tym policja stanowa.

- Ta sama broń?
- Może. Kto wie? To w końcu balistyka. Nie ma nic wspólnego z tym, co pokazują w „Zagadkach kryminalnych”.
- Możemy jednak założyć, że nasz miejscowy bandyta porzucił broń, ktoś ją znalazł i sprzedał na ulicy.
- Chyba tak.
- Recykling w najgorszym wydaniu.
- Amen.
- Co jeszcze, Tom? Nie powiedziałeś mi wszystkiego.
Dahl się zawahał.
- Chyba powinienem. W notesie Harta było twoje nazwisko. I adres. A w mieszkaniu znaleźli zdjęcia.
- Zdjęcia?
- Zrobione niedawno aparatem cyfrowym. Wydrukowane na komputerze. Widok domu z zewnątrz, w ogrodzie już kwitły kwiaty. Przechowywał fotki w takiej eleganckiej drewnianej skrzyni. Chyba sam ją zrobił.
- Cóż...
- Przeciągle westchnienie.
- Były też zdjęcia szkoły, do której chodzi Joey.
- O nie! Joey?
- Tylko szkoły. Wygląda na to, że zapoznawał się z twoim rozkładem dnia... W mieszkaniu znaleziono spakowaną walizkę. W środku był pistolet i tłumik. Widziałem takie tylko w filmach.
- Mieszała z roztargnieniem kawę.
- Wycofamy ochronę przed twojego domu, jeśli nie masz obiekcji – rzekł szeryf.
- Skąd. Zamknęliśmy wszystkie wątki.
- Zgadza się. Zamykam sprawę. Chyba nigdy tego wcześniej nie mówiłem.

Brynn spięła włosy w kok. W Wisconsin zapanowały niespodziewane upały. Po jej plecach spływały strużki potu, służbową beżową koszulę miała mokrą. Mijała szkółkę sosen. Przyjrzała się uważnie drzewkom. Były niewiele wyższe od niej. Wysunęła rękę i przechodząc, muskała gałązki. Igły nie były twarde. Przystanąła. Ostatnio często rozmyślała o tamtych dwunastu godzinach kwietniowej nocy, które spędziła w parku Marquette. Z niezwykłą wyrazistością powracały do niej zapachy roślin i drzew, które uratowały jej

życie. A mało brakowało, by przyczyniły się do śmierci.

Nie potrafiła się nadziwić – jak to się dzieje, że one są takie a nie inne? Przybierają różne kształty i odcienie. Niektóre są jasne, jak żelki o smaku jabłkowym, inne ciemne jak zielona farba do okiennic. Sosny mają długie miękkie igły, a berberysy odstraszaają straszliwymi kolcami. Chester Amy prawdopodobnie znalazł w ich kępie miejsce wiecznego spoczynku. Rozmyślała o drzewach, liściach, krzewach. Żywych pniach i martwym drewnie. O przemijaniu.

Weszła między olbrzymie kamelie. W koronach zielonych błyszczących liści pyszniły się duże kwiaty. Ich płatki miały kolor świeżej krwi. Serce Brynn zabiło szybciej na tę myśl. Przyspieszyła. Minęła kolonie azalii, ligustrów i lagerstroemii. Paproci, hibiskusów i glicynii.

Niski mężczyzna o ciemnej karnacji podlewał kwiaty wężem ogrodowym. Zdziwił się na widok Brynn.

- **Buenos dias**, pani McKenzie – powiedział.
- Dzień dobry, Juan. Gdzie on jest? Widziałam samochód.
- W szopie.

Przeszła obok kilkumetrowych hałd kompostu. Pracownik obsługujący minikoparkę przerzucał łatwopalny stos. Wciągnęła w nozdrza intensywny zapach. Drzwi szopy były otwarte, weszła do środka.

– Już idę. – Graham popatrzył na nią przez gogle. Widział jedynie zarys sylwetki, wziął ją za klientkę. Wrócił do przerwanej pracy. Prace stolarskie stały się jego specjalnością od niedawna. Wprowadził je w zakres usług firmy i wykonywał osobiście. Cały Graham. Mimo że się wyprowadził, zabierając wszystkie swoje rzeczy, wrócił jeszcze, żeby dokończyć kładzenie płytek w kuchni. Rezultat był znakomity.

Popatrzył jeszcze raz, rozpoznał ją, przerwał pracę i zdjął gogle.

– Cześć.

Skinęła głową na powitanie. Nie wymienili uścisków.

– Coś nie tak z Joeyem? – zaniepokoił się.

– Nie. Wszystko w porządku.

– Zrobiłaś sobie operację? – spytał, patrząc na jej policzek.

– Jestem próżna.

– Nie ma śladu. Jak się czujesz?

– Muszę uważać przy jedzeniu. – Rozejrzała się. – Rozwijasz firmę.

– Dawno powinienem był to zrobić. Anna mówi, że czuje się lepiej. Rozmawiałem z nią.

– Wiem, mówiła mi. Lekarze doradzają jej więcej ruchu, a ona woli siedzieć w domu. Próbuję ją namówić na spacer, żeby mieć trochę spokoju.
– Roześmiała się.

– A Joey jeździ na deskorolce wyłącznie pod eskortą pewnej policjantki, hm? Babcia zdała mi relację.

– Jest pod ścisłym nadzorem. Rozesłałam szpiegów. Donoszą mi, że jest czysty. Teraz woli grać w lacrosse'a.

– Obejrzałem program o Michelle Kepler i morderstwach.

– Wiem, o którym mówisz.

– Nawet nie wymienili twojego nazwiska. Powiedzieli, że aresztowali ją ci z Milwaukee.

– To prawda. Ja wzięłam wolne.

– Ty?

Potwierdziła.

– Nie przeprowadzili nawet z tobą wywiadu?

– A po co mi rozgłos? – Brynn czuła, jak płoną jej policzki. Jak dziewczynie, z którą nikt nie chce zatańczyć na dyskotecę. Wróciła myślą do swej pierwszej interwencji. Nerwy zjadły ją do tego stopnia, że wróciła do radiowozu, nie dając kierowcy jego kopii mandatu. Poprosił o nią grzecznie.

Denerwowała się, odkąd matka wspomniała jej wczoraj wieczorem, że przypadkiem wpadła na Grahama w centrum handlowym.

– Daj spokój, mam – przerwała jej chłodno. – Kombinujesz, żebyśmy do siebie wrócili?

– Tak. Zamierzam dopiąć swego.

– To nie takie proste.

– Od kiedy to lubisz prostotę? Twoje rodzeństwo, owszem. Ale nie ty.

– Dobrze, spotkam się z nim.

– Jutro.

– Nie jestem gotowa.

– Jutro.

Pracownik zajrzał przez próg. Zapytał o coś Grahama, który odpowiedział po hiszpańsku. Brynn zrozumiała co trzecie słowo. Popatrzył na nią bez słowa. Dobra. Teraz, pomyślała.

– Chciałam zaproponować kawę. Mam przerwę, a ty pewnie jesteś na nogach od szóstej rano.

Zamierzała mu opowiedzieć, co jeszcze zdarzyło się tamtej kwietniowej nocy. Pragnęła mu powiedzieć wszystko, jeśli tylko będzie miał ochotę

słuchać. Kilka tygodni wcześniej przeprowadziła podobną rozmowę z Keithem. Wypowiadała się, przeprosiła, oczyściła atmosferę. Z początku nieufny, były mąż wysłuchał jej z wdzięcznością. Miała nadzieję, że obecny mąż również jej wysłucha.

W ciszy słyszała bicie własnego serca.

– Zgoda. Pozwól mi tylko skończyć to, co zacząłem.

– Dobrze. Poczekam w kawiarni.

Graham zmarszczył czoło, pokręcił głową. Brynn McKenzie zrozumiała. Zaskoczyła go swoim nagłym przyjściem. Przyjął zaproszenie odruchowo. Teraz otrzeźwiał. Wróciły do niego straszliwe emocje tamtej nocy. Smutek poprzedzających ją miesiące. Wściekłość i ból. Nie interesował go cel jej wizyty. Brynn nie mogła go za to winić. Czas na rozmowę minął dawno temu. Teraz już za późno. Uśmiechnęła się ze smutkiem. „Rozumiem”, chciała powiedzieć, ale nie zdążyła.

– Przestałem lubić tę kawiarnię – wyjaśnił Graham. – Otworzyli nową, w centrum handlowym. Serwują o niebo lepszą kawę i całkiem smaczną gorącą czekoladę.

– Gdzie?

– Na dole, obok sklepu Searsa. Przyjdę za dziesięć minut.

Porzucone ofiary

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

I Kwiecień

II Maj

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału
THE BODIES LEFT BEHIND

Copyright © 2008 by Jeffery Deaver
All rights reserved

Projekt okładki
Hoo-Ha Ltd.

Redaktor prowadzący
Renata Smolińska

Redakcja
Agnieszka Roslan

ISBN 978-83-7648-758-8

Plik wyprodukowany na podstawie *Porzucone ofiary*,
Warszawa 2009

Wydawca
Prószyński Media Sp.zo.o.
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl


czytanie zdarza się wszędzie

www.woblink.com

Plik opracowany przez Woblink i eLib.pl